

RYSZARD ĆWIRLEJ · ROBERT OSTASZEWSKI
ANDRZEJ PILIPIUK

MARCIN WROŃSKI



GLINY Z INNEJ GLINY

Wydawnictwo
ab
two



RYSZARD
ĆWIRLEJ
ROBERT
OSTASZEWSKI
ANDRZEJ
PILIPIUK
MARCIN
WROŃSKI

GLINY Z INNEJ GLINY



W opowiadaniu Gliny z innej gliny wykorzystane zostały fragmenty piosenki kabaretu Czart pt. Chuligańskie tango – sł. Władysław Ziemian (wł. Władysław Ćwik) – oraz Hymnu komunistów, śpiewanego na melodię Roty – autor nieznany. Tango z Podzamcza w opowiadaniach Trupów hurtowo trzech i Złota robota – sł. Marcin Wroński. W posłowie Dziesięć lat z Zygą Maciejewskim został przytoczony urywek z powieści Marcina Wrońskiego Obsesyjny motyw babiego lata (PoliART Studio, Lublin 1994, s. 32–34). Trzy opowiadania Marcina Wrońskiego z niniejszego zbioru były już publikowane: Gliny z innej gliny (wówczas z tytułem Czarcia Łapa) – w antologii Rewers (Czwarta Strona, Poznań 2016); Trupów hurtowo trzech – w antologii Trupów hurtowo trzech (Media Rodzina, Poznań 2017); Złota robota – w „Przekroju” (2017, nr 4).

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Małgorzata Denys
Korekta: Sabina Raczyńska, Małgorzata Denys
Adiustacja: Maria Nowicka, Magdalena Gorlas

Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Vladitto / shutterstock.com

Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl
Logo cyklu: aorta.com.pl
Logo serii: Marek Goebel
Skład i łamanie: d2d.pl s.c., Kraków
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5535-3

Marcin Wroński

Trupów hurtowo trzech

I

Lublin, jesienią 1926 roku

Był w Grecji jeden cwaniak. Jak mu stało w metryce, nie wasza trefna broszka, dość że dla swojej ferajny ten urka prawidłowy był Tantal, takie miał pseudo oryginalnościowe. Zblatował się na lewo i prawo, pił jak równy z ważniakami i najlepsze kurwy były jego, forszą szastał i trząsał nie tylko swoją dzielnicą, ale całą Grecją, pod hajrem. Miał raz kosę z jednym frajerem, to go zrobił na mokro i byłoby jak zwykle git, tyle że Tantal fest przecwaniaczył. Kazał gościa pokroić jak chabaninę i zrobić z niego zakąskę do gorzały, i podać jego koleżkom, którzy nie wiedzieli, co szamią. Jak się wydało, wiadomo, dintojra i nie było zmiłuj. Obuli Tantala w trepy z betonu i wsadzili do wody po szyję, i tak cwanie przywiązali do deski, że nie mógł się schylić i napić, chociaż go suszyło. Nad głową na sznurkach powiesili mu piwo i kiełbasę niziutko, że jakby stanął na palcach, toby sięgnął, tylko jak to zrobić w betonowych butach?

Ten zgrywny bałach opowiedział pod celą jeden polityczny, którego zresztą zaraz przenieśli najpierw do drugiego skrzydła, potem chyba do Wroniek, ale Staszek Sójka pseudo Chojrak zapamiętał każde słowo. Nic dziwnego, że w Grecji to mają dintojry, że strach; oni robili już niezłą grandę, kiedy w Polsce szpadryny jeszcze nie znali. Człowiek pod celą nauczy się niejednego, ale nie o to szło Chojrakowi. Bardziej o to, że sam był przecież jak Tantal, bo z jego celi wystarczyło wyrzeć bokiem między blindą a murem i już ponad dachami Podzamcza widziało się Bramę Grodzką, a przed nią róg knajpy Joszke Flaka, nawet kawałek szyldu, ten z wyrysowaną flaszką. Gdyby Staszek jakimś cudem chociaż na godzinę wyrwał się z buchty, u Flaka w kwadrans dowiedziałby się, co na mieście, a co u Hanki, która od

roku nie odezwała się słowem, przekazałby grypsy i proszę bardzo uprzejmie, dalej mógłby kiblować do krechy! Z łżejszym sercem. Tylko nie było jak; gady pilnowały bramy jak kundle furtki, a jeszcze jeden stał zawsze z karabinem na baszcie. Dwa strzały, pierwszy Sójce w plecy, drugi w powietrze, niby że ostrzegawczy. „Stój, bo strzelam”, wymamrocze pod nosem i koniec balu, panno Lалу!

Dlatego Staszek odsiedział swoje co do dnia. Zdał majdan, pokwitował depozyt, z władzą był rozliczony. Napadł go jeszcze, bo jakże inaczej, gość z Patronatu Opieki, ale koleżka nasz wyjaśnił mu grzecznie, że jak ma nagrany robotę, to owszem, lecz w kwestii pracy za dwa złote dniówki to nie do Staśka z taką mową. Gdzie poszedł, ledwo zaciągnął się wolnością, jasne jak żarówka, chyba że kto frajer!

II

Konna karetka pogotowia ratunkowego przetoczyła się z turkotem po moście na Bystrzycy, a potem kłusem pojechała Foksałem, gdzie dopiero co nakazem magistratu pojawiły się nowe tablice: „ul. 1 Maja”. Lewą stronę wciąż jednak zajmowały te same fabryki maszyn, a prawą smutne, przydymione, ciasne kamienice. Woźnica ambulansu miał na głowie nową czapkę ze znaczkiem Polskiego Czerwonego Krzyża, lecz jego grzbiet otulał porządny, carski jeszcze szynel. Mężczyzna sięgnął do dzwonka i kilkoma szarpnięciami sznurka wprowadził go w dygot. Spieszący na pierwszą zmianę robotnicy ustąpili drogi karetce, która niczym znak cudzej śmierci wypłynęła z mgły październikowego przedświtu, a po chwili zanurzyła się w nią z powrotem. Dwa krzepkie konie, kary wałach i siwa klacz, pociągnęły ją ku dawnemu „przejazdowi śmierci”.

Tymczasem w kabinie ambulansu, podskakującego na nierównym bruku, doktor Karczewski nerwowo palił egipskiego.

– I za jakie grzechy właśnie siostra przypadła mi do spółki? – Niechętnie spojrział na drobną dwudziestoletnią dziewczynę w palcie narzuconym na biały fartuch, której spod pielęgniarskiego czepka

wysypywały się delikatne blond loczki. – Jedziemy do rozprawy nożowej. Krwi będzie jak na świniobiciu. Nie starczy mi czasu opatrywać ran i jeszcze cucić siostrę.

– Jeżeli do tego dojdzie, proszę pozwolić mi zemdleć i więcej się tym nie przejmować – odparła, przyciskając do siebie torbę z bandażami i medykamentami. – A ja radziłabym nie marnować energii na rozmowę ze mną, czas pana doktora jest zbyt cenny.

Przed torami karetka zwolniła, mimo że osławiony „przejazd śmierci” ustąpił miejsca nowo pobudowanemu wiaduktowi. Tory kolejowe teraz bezpiecznie wiodły górą, drogę dla pojazdów w obie strony wyznaczała wybudowana z berlińskim przepychem kolumnada, tyle że jak to w Lublinie, po każdym deszczu wozy nurzały się tu w kałużach niemal po osie, a konie całe brzuchy miały zachlapane.

Lekarz wyjrzał przez okno, ale gdy karetka znów przyspieszyła na Bychawskiej, usiadł z ulgą obok noszy.

– Dlaczego uparła się pani na pogotowie ratunkowe? To nisko płatna praca dla silnych mężczyzn.

– A pan doktor palił perfumowanego papierosa. Czyli jest nas dwoje!

Touché! Karczewski pokiwał głową. Siostra Róża Marczyńska jak na pielęgniarkę była doprawdy bezczelna, zupełnie jakby miała ochotę po dyżurze wprosić się do niego na kamasutrę i śniadanie. Nic nie odpowiedział jednak, bo ledwie ambulans wygrzebał się z kałuż, musiał zakręcić ostro ku najbliższemu mostowi nad kolejną rzeką, Czerniejówką. Za nią, między ulicami Garbarską, Wspólną i Długą, do bruków, nierównych parkanów i błotnistych podwórek tuliły się niczym dziwki do złodzieja podłe kamieniczki Kośminka. Tam było wezwanie, Żelazna numer siódmy. Lecz nim woźnica zdążył zawołać „prrr!” na karego i siwkę, a doktor Karczewski wyleźć z karetki, siostra Róża Marczyńska z torbą opatrunków w ręku biegła już po schodach. W oknach kamienicy powoli zapalały się światła, zupełnie jakby budził je stukot obcasów pielęgniarki na poczerniałych schodach.

*

Starszy posterunkowy Witold Fałniewicz klęczał na lepkiej od brudu podłodze w kuchni. Ranna miała szczęście, że kiedy Żelazną przedwcześnie obudził krzyk: „Ratujcie! Zabili!”, policjant z II Komisariatu akurat kończył nocny obchód i znalazł się na miejscu w jednej chwili. Teraz przyciskał do szyi kobiety zdartą ze ściany makatkę. Na białym lnianym czerwona nitką wyhaftowano gospodynię przy garach i napis: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. W mgnieniu oka nabiegł czerwienią cały zaimprovizowany opatrunek, podobnie jak ręce i mankiety munduru Fałniewicza.

– Nie wchodzić! – krzyknął, nie odwracając się, kiedy skrzypnęły za nim drzwi.

Zignorowano go jednak. Filigranowa blondynka przeskoczyła przez niedającego już żadnych oznak życia mężczyznę i uklękła obok posterunkowego. Odetchnął z ulgą, widząc pielęgniarzki czepek i biały fartuch pod paltem.

– Brzytwą ją... – Uznał, że winien coś powiedzieć, gdy drobne palce sanitariuszki wcisnęły się pod jego wielkie dłonie i ścisnęły mocniej zakrwawioną makatkę. – Albo raczej nożem...

– To sprawa policji, nie pogotowia. Proszę nie przeszkadzać! – ofuknęła go.

– Niech pan jej nie drażni – poradził lekarz, wpadając na miejsce zbrodni za pielęgniarzką.

Leżącemu na brzuchu mężczyźnie sprawdził pobieżnie puls i przytknął zegarek do ust. Ten nie zaszedł parą, więc Karczewski zostawił trupa w spokoju, by zaraz uklęknąć obok rannej.

– Co za draństwo, ona jest w ciąży! – warknął. – Siostró, gaza i bandaże! I chyba będziemy szyli...

Fałniewicz wycofał się z mieszkania na poddaszu i zamknął drzwi przed nosami trójki sąsiadów. Grube babsko w poplamionym kwiecistym fartuchu narzuconym na nocną koszulę przypomniało sobie o mleku na kuchni. Rozczochrana brunetka w brudnym

szlafroku, przeżegnawszy się, również zniknęła za swoimi drzwiami. Został tylko nieogolony dryblas w pożółkłej koszuli bez kołnierzyka, trzymający kciuki pod rozciągniętymi szelkami.

– Zawsze mówiłem, że źle skończy. Kurew była, proszę pana władzy. O, i patrz pan, zamiast księdza alfons jakiś! – Wskazał ruchem głowy niewysokiego, ale starannie ubranego faceta w krzykliwym krawacie, rzucającym się w oczy nawet z wysokości dwóch pięter. Z papierosem w gębie, facet sadził po dwa stopnie w górę.

Sąsiad chciał podzielić się jeszcze niejedną refleksją z posterunkowym, ale domniemany sutener i policjant podali sobie ręce jak starzy znajomi.

– Czekać u siebie proszę – rozkazał Fałniewicz. – Będzie pan za świadka – poinformował, a może zagroził, nim obaj weszli do mieszkania.

Akurat doktor Karczewski zanurzał pół dłoni w szyi nieprzytomnej kobiety, a pielęgniarka wołała o nosze, wychylona przez okno. Krwi na podłodze musiało być już parę litrów. Zasychająca kałuża spod trupa mieszała się ze świeżymi rozbryzgami.

– Oczom własnym nie wierzę! Śliczny Piotruś kopnął w kalendarz. – Młody tajniak zdjął kapelusz, lecz nie by przeżegnać się nad zwłokami złodzieja znanego mu jak rodzina, i po pseudonimie, i po personaliach. Poprawił tylko włosy wybrylantynowane na glanc, zaciągając się machorkowym. – I Haneczka. No to wszystko jasne!

Pielęgniarka odwróciła się gwałtownie i spiorunowała go wzrokiem. Wywiadowca ukłonił się szarmancko, babka z niej była pierwsza klasa!

– Proszę wyjść! – krzyknął lekarz. – Siostro, szew puścił! Szyjemy ją jeszcze raz.

Posterunkowy chciał odruchowo złapać niższego kolegę za ramię i wyprowadzić, lecz tamten wołał wyjść sam.

– Nowy płaszcz, do cholery, a ty masz łapy jak po świniobiciu! – warknął, zamykając drzwi.

– Człowieka już święty Piotr rozpytuje, a ty robisz kabaret, Zielny?!
– wyrzucał mu Fałniewicz kilka minut później, myjąc ręce pod pompą na podwórku kamienicy. – I jeszcze ona! Chyba w piątym miesiącu...

Pogotowie odjechało, wypełniając Żelazną złowróżbnym hałasem dzwonka. Drzwi mieszkania, w którym popełniono zbrodnię, pilnował już drugi patrol, właśnie przysłany z komisariatu. Posterunkowy strząsnął wodę z dłoni i wytarł je starannie kraciatą chustką.

– Nie irytuj się, kolego. – Wywiadowca Tadeusz Zielny zdeptał taniego papierosa modnym butem, czarno-białym jak jaskółka. – Miałem cynk, że coś się na niego kroi, tylko nie chciałem wierzyć. Pójdiesz ze mną zgarnąć klienta?

Witold Fałniewicz spojrzał w okna kamienicy. Zasadniczo powinien rozpytać świadków, póki wszystko mieli na świeżo w pamięci i fakty nie pomieszały im się z dobrosąsiedzkimi pomówieniami. Z drugiej strony zamknąć taką sprawę jeszcze przed południem? Kusilo.

– Sam jesteś za mały? – zapytał jednak tajniaka.

– Nie, tylko jestem ciekaw, czy ty, taki duży, potrafisz coś bez kwitu od prokuratora. Poza tym nie znam adresu, a ty raczej tak – odparł Zielny z rozbrajającą szczerością.

*

Wszystko... mnie wszystko zawdzięczasz... – wydyszała tak niewyraźnie, że kto inny nie zrozumiałby ani słowa. On zrozumiał, bo od miesiąca słuchał jej zamierającego oddechu każdego wieczora. Że był szpiclem, a więc człowiekiem nawykłym do podsłuchiwania wątlých szeptów, w tym wypadku nie miało znaczenia.

Przyjechał do niej prosto z dworca z torbą pomarańczy i w mundurze z nowym srebrnym kątem na niewygodnym, sztywnym kołnierzu. Że cytrusy są zdrowe, słyszał od lekarzy. Że sukces nie służy przyjaźni, wiedział z bogatego doświadczenia życiowego, bo chociaż nie skończył jeszcze trzydziestu lat, miał na koncie mistrzostwo okręgu w boksie, sąd wojenny podczas wojny

z bolszewikami i złamany, a potem krzywo zrośnięty nos, zaś od niespełna doby szarżę podkomisarza policji. Gdy nie tak dawno kończył w stopniu aspiranta kurs Służby Śledczej, stał w szeregu przed inspektorem generalnym Borzęckim, ściskającym wszystkim dłonie szczupłym mężczyzną o gładko wygolonej twarzy, pasującym raczej do prawniczej togi niż granatowego munduru. Teraz natomiast klepnął go szablą w ramię Jagrym-Maleszewski, nowy komendant główny, facet nie tylko z kretyńską kozią bródką, ale też ubrany w kretyński zielony mundur pułkownika szwoleżerów. Ktoś, kto byłby honorowy i nie miał na karku umierającej żony, rzuciłby mu twardą, oprawną w skórę nominację w pysk. Świeżo upieczony podkomisarz Zygmunt Maciejewski, podobnie jak pozostali, nie wykazał się jednak charakterem. I jadąc do Lublina w wagonie trzeciej klasy, w teczce miał swój ozdobny patent oficerski, na kolanach kilogram pomarańczy w brązowej papierowej torbie, w głowie zaś mętlik refleksji na temat honoru, który w jego służbie oznacza zupełnie coś innego niż dla durnowatego kawalerzysty pokroju komendanta Jagryma-Maleszewskiego.

– Mnie... zawdzięczasz, Zyga... i to! – Zofia dźgnęła palcem w jego mankiet, również ozdobiony srebrnym kątem.

Odruchowo cofnął rękę. Każdy by cofnął, gdyby dotykał go żywy jeszcze trup. Nawet szwoleżer.

Cholera wie jednak, co poczułby chwilę później bohater walk o niepodległość. Maciejewski natomiast poczuł złość.

– To i także tamto – burknął do chorej. – To chyba nie pora, żeby się licytować.

– Bo? – wycharczała.

– Bo nie jesteśmy sami. – Wskazał ruchem głowy na inne chore na sali. – Nie wypada.

Wybuchła jednocześnie śmiechem i kaszlem, śmiechem sięgającym przepony i kaszlem targającym dnem płuc. Tak Zofia Maciejewska, z domu Wołkońska, marnując jakże drogocenny oddech, naigrywała się, póki mogła.

– Nie wypada?... Mnie... w moim stanie... nie wypada?! – Lekarze starej daty dawali jej godziny, wierzący w niezbadane moce ludzkiego organizmu mówili o dniach, o możliwych kilku tygodniach w męczarniach przebąkiwał jedynie doktor Arnsztajn. Natomiast płuca Zofii charczały tak głośno, że słycać ją było na szpitalnym korytarzu, choć poza Zygą nikt nie zrozumiałby cierpkiego pytania: – A co... akurat ty... możesz o tym... wiedzieć?

O ile zdążył się zorientować, inni chorzy nie rozmawiali z odwiedzającymi ich bliskimi o sprawach zasadniczych. W grę wchodziły wyłącznie błaahostki. Mąż umierającej obok na tę samą gruźlicę wychudzonej na wiór pacjentki pasjami mówił o prosperity w fabryce Moritza i o radości kolegów, a potem na korytarzu wiaął i liczył w portfelu niedobitki wypracowanych nadgodzin. Małzonek innej suchotniczki był wręcz poetą, bo mimo zgniłej polskiej jesieni potrafił godzinami przekonująco bredzić o kwiatach w ich ogródku.

– Ni cholery nie mogę o tym wiedzieć – powiedział natomiast Maciejewski, prostując się i poprawiając niewygodny mundur. Najbardziej uwierał go pod szyją, dusił niczym ta rozmowa. – Mam niestety tylko czerwoną krew, nie błękitną jak ty i twój kochanek. Dlatego... Tak, wiem, nie męcz się!... Wszystko ci zawdzięczam. Potrzebujesz czegoś? Przyniosę jutro.

Machnęła ręką jak księżna odpędzająca ciężącego jej sługę. Albo jak kostucha leniwym gestem wskazująca kolejną ofiarę. Bo tej kobiety, którą Zyga tak niedawno jeszcze brał z młodzieńczą namiętnością, nie przypominała ani trochę. Dlatego nie pożegnali się jak inni zdrowi z ich żywymi trupami ze Szpitala Jana Bożego. I dlatego również, że tak naprawdę na do widzenia powiedzieli sobie wszystko, jeszcze zanim arystokratyczna bladość Zofii okazała się zapowiedzią gruźlicy.

Maciejewski minął męską salę kaszlaków umarłaków i nie oparł się pokusie, by zajrzeć przez uchylone drzwi. Kapitan Potocki leżał nieporuszony, lecz jego klatka piersiowa unosiła się wraz z każdym oddechem jak po forsownym biegu. Ciekawość brała, czy kiedy Zofia

uciekła z nim, pozostawiwszy pięknie wykaligrafowany liścik: „Nie szukaj mnie. Zwracam Ci wolność”, też tak sapał. Zyga zasalutował mu wrednie, nie mógł się powstrzymać.

Zszedł po pustych, martwych jeszcze nad ranem szpitalnych schodach, sam martwiejąc we własnych myślach, ale na parterze wytrąciła go ze stuporu mała, zaróżowiona na twarzy blondynka z paltem na ramionach i z lokami wysypującymi się spod czepka pielęgniarki.

– Z drogi! – Odepchnęła Zygę z taką determinacją, że gdyby rzecz działa się na ringu, niechybnie zostałby rzucony na liny.

Na szpitalnym wózku przejechała przed nim pchana w sprinterskim tempie nieprzytomna młoda kobieta. Okrywające ją prześcieradło szybko nasiąkało krwią.

– Panie doktorze, a gdyby tak doktor Gilanowicz? Może chociaż dziecko przeżyje...

– Siostra nie tylko mnie irytuje, ale i przekracza swoje kompetencje... – Tyle zdążył usłyszeć Maciejewski, zanim z hałasem zamknęły się drzwi oddziału ratunkowego.

Przez szybę jeszcze chwilę widział tę energiczną kobietę, pchającą wózek i dyskutującą z niedotykającym go nawet lekarzem. Fakt faktem, za wysiłek fizyczny pogotowie ratunkowe mu nie płaciło.

Również Zyga nie miał już nic więcej do roboty w szpitalu. Wyszedł więc, by przyjść nazajutrz i kolejnego dnia. Lekarze zapamiętali go jako patrzącego im na ręce natręta, jednak pomarańcze dla Zofii podawał przez salowe. Nie był jej wdzięczny ani za awans, ani za zaszczyt małżeństwa. Jak przystało na syna socjalistycznych bojowców, z natury niewdzięczny był dla potomków tych, co w stolicy palili cygara. To już jednak zupełnie inna historia...

III

Połowa Długiej budziła się długo przed świtem, żeby wysypać się z niskich, odrapanych kamienic i iść robić u Plagego, Moritza, Vettera.

Druga połowa dopiero co wróciła z roboty: ze skoków, włamów albo spod latarni, dlatego komuś o filozoficznej umysłowości ta przecinająca cały Kośminek ulica wydałaby się z pewnością miniaturą świata: tu zawsze ktoś spał i zawsze ktoś czuwał. A jednak nikt tak o niej nigdy nie pomyślał. Żaden z mieszkańców, bo tu nie było żadnego z wyższą umysłowością. Zaś stukający wysokimi butami w nierówny bruk policjant i towarzyszący mu niższy więcej niż o głowę elegancik z przedmieścia uwagę mieli zaprzątniętą zupełnie innymi sprawami.

– Tutaj – powiedział starszy posterunkowy Fałniewicz, uchylając wąskie drzwi wstawione w rzadko otwieraną bramę kamienicy. – Tylko zaraz! – Zatrzymał się. – Bierzemy sukinsyna do mnie czy do ciebie?

– Możemy do ciebie. – Wywiadowca zgodził się bez targów, bo w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno.

A może nawet lepiej, aby zatrzymanego najpierw zawlec na II Komisariat, gdzie lubią i umieją wlać? Potem skruszonego odwiezie się na Jedynekę, spisze dobry protokół i dopiero na koniec facet, już całkiem ugotowany, trafi do Wydziału Śledczego.

Skrzypienie schodów, po których weszli, każdego postawiłoby na nogi. A jednak musieli długo walić do drzwi na drugim piętrze, zanim ktoś przyczłapał.

– Żeby ci tak w trumnę stukali nieheblowaną, bladź twoja... Zara, zara! – usłyszeli, zanim w uchylonych drzwiach pokazała się czerwona gęba z oczami jak u królika.

Gość miał łeb ostrzyżony maszynką jak rekrut albo ktoś świeżo zza krat. Zielny uśmiechnął się na ten widok.

– Sójka Stanisław, syn Feliksa? – warknął urzędowo.

– No. A co je...?

– Pseudo Chojrak? – Fałniewicz włożył nogę za próg.

– Dla kogo Chojrak to nie syn Feliksa, panie władzo.

– No to jesteśmy w domu! – Tajniak natarł ramieniem na skrzydło drzwi.

Zabrali go za pysk i za chabety i przez ciasną kuchnię porośniętą wieloletnim kurzem wepchnęli do pokoju z jednym oknem. Przekrzywiona szafa stała w rogu, stół na trzech nogach przewrócił się, ledwie tknięty, ale łóżko z jęczącymi sprężynami wytrzymało, chociaż rzucili na nie faceta jak worek ze zbożem.

– Zbieraj się, sukinsynie! – wrzasnął Zielny.

– Kiedy ja dopiero co wczoraj wyszłem!

– To znów posiedzisz. W nocy co robiłeś? – Tajniak złapał go lewą ręką za pogniecioną, rozchełstaną koszulę i podniósł prawą pięść.

– Nie wiem... Spałem, jak Boga kocham! – jęknął Sójka i widać było, że mniej bólu sprawia mu przemoc fizyczna niż wiercący uszy podniesiony głos. – Pijany byłem. Bo dopiero co wyszłem.

Zielny pozwolił mu opaść w bety. Fałniewicz podniósł skołtunioną kołdrę, chcąc sprawdzić, czy prześcieradło jest wiarygodnie pogniecione. Prześcieradła nie było jednak, tylko siennik, lepiej nie wiedzieć, czym poplamiony.

– Jasna sprawa, się wychodzi na wolność, mus wypić – przyznał ze zrozumieniem agent policyjny, lecz zaraz zaatakował: – Całą noc spałeś? Gdzie piłeś?

– Odpowiadaj panu wywiadowcy! – ryknął Sójce do ucha mundurowy.

– Nie męcz się, my i tak wiemy. – Zielny poklepał go po pysku. – Piłeś na Grodzkiej, herbaciarnia Joszke Flaka. Wiele poszło tej herbaty?

– Ale...

Czułość skończyła się w jednej chwili i podejrzany oberwał na odlew.

– Ale to angielskie piwo! – ryknął tajniak. – Piłeś wódkę i odgrażałeś się, że pójdziesz do kochanki, do jej nowego gacha i obojgu łby pourzynasz. Tak było, Chojrak, bracie kochany! Ludzie słyszeli...

– Nie pamiętam...

Zabrzmiało to całkiem szczerze, lecz nie dość szczerze, by oszukać posterunkowego Fańwiewicza. Postawny mundurowy złapał go za kark jak kociaka.

– Nie pamiętasz, sukinsynie?! Nie pamiętasz trupów?

– Jakich trupów, panie władzo?! – Sójka zadygotał niczym podłączony do prądu, chociaż ten sposób odświeżania pamięci nie należał do metod Policji Państwowej. Na wielu posterunkach, na prowincji zwłaszcza, elektryczności nie znano.

– Hurtowo trzech – wyjaśnił Zielny. – Detalicznie: Mańka, czyli twoja bywsza, jej gach i ich dziecko. Nienarodzone, w brzuchu matki. Razem trzy. Zgadza się?

Mundurowy wiedział najlepiej, że zgadzało się jedynie pobieżnie. Co do Mańki, na razie zachodziło tylko ciężkie, zagrażające życiu uszkodzenie ciała. Co do jej dziecka, to samo.

– Nie pamiętam... – Podejrzany bezczelnie rozłożył jednak ręce.

Fańwiewicz był niestety pobożnym katolikiem i nienawidził bezduszności elementu przestępczego.

– To ci przypomnę!

Nie miał przy sobie pałki, bo i zakres jego czynności patrolowych nie przewidywał regulowania ruchu ulicznego. W ruch poszły pięści, ale umiejętnie. Tylko w brzuch i po jajach, bez siniaków.

– Pan nie hańbi munduru, panie posterunkowy – przeszkodził mu Zielny. – Po to ja tu jestem, po cywilnemu.

A Sójka, chociaż każdy wyrokowiec na jego miejscu umiałby zachować się przyzwoicie, stanął sztorcem.

– No co pan? Na to jest paragraf! – zagroził.

– Paragraf?! – Wywiadowca przygwoździł mu bosą stopę obcasem i praworządnie trzepał po gębie otwartą dłonią. – Na ciebie to dopiero będzie paragraf! – sapał. – Zapoznasz się z samym Maciejewskim, byku krasy!

– Maciejewskim? – Albo kac dodał temu przestępcy sił, albo naprawdę był wyzuty z ludzkich uczuć. – Tak się nazywa ten wasz nowy?

– O nie, kochany, mam na myśli tego sławniejszego Maciejewskiego. – Zielny zamachnął się z prawa. – Kata z Mokotowa. – Poprawił z lewa. – Już wiąże ci krawat... z grubego sznura... Przyjedzie, ani się obejrzysz!

– Starczy! – rozległ się głos Fałniewicza.

Wywiadowca, nachylony nad podejrzanym, zadarł głowę. Mundurowy krzywił się, widocznie wezbrały w nim skrupuły albo zwyczajnie obawiał się prowadzić nazbyt pobitego Sójkę przez jego własną dzielnicę.

– Ma pan rację, panie posterunkowy. – Zielny nie zamierzał wchodzić w spór. Nie przy recydywiście. – Jesień, spoczę się, a potem, nie daj Boże, jeszcze mnie przewieje... A z tobą, Sójka, idę o zakład: wszystko nam wyśpiewasz. I to dyszkantem!

*

Serwus, Gienek! Jak żona? Urodziła? – Maciejewski zjawił się w Wydziale Śledczym wcale nie spóźniony, wręcz za pięć ósma. Mimo to jego zastępca aspirant Eugeniusz Kraft musiał zagryźć zęby, gdy podawał mu rękę.

– Dzień dobry. Wybacz, mam dużo pracy – odparł z rezerwą i zagłębił się w lekturę raportów z nocnych patroli.

Kogo jak kogo, lecz dawnego szkolnego kolegi nie podejrzewał o podobny marsz po trupach. Owszem, sprowadzono go tu z Zamościa od razu na stanowisko zastępcy kierownika wydziału. W gimnazjum był rocznik wyżej, ale w policji o dwa lata młodszy wysługą lat. Gdyby w tym samym gabinecie posadzono mu innego aspiranta, Gienek uznałby to za sprawdzian, który zagryzie drugiego i tym sposobem w kwestii awansu zdejmie ciężar decyzji z barków przełożonych.

Maciejewski przeleci jak kometa, zapewniał go jednak komendant Bauman, a pan jest najbardziej sumiennym funkcjonariuszem, jakiego znam, i jeśli odejdę, to chyba oczywiście, kogo zarekomenduję na stanowisko kierownika po Sikorskim.

Najwyraźniej nie zdążył tego zrobić, kiedy kilka miesięcy po objęciu władzy przez Piłsudskiego wymieniono go z dnia na dzień jak wielu wyższych urzędników. Krafca zaś czekały wydatki: tylko patrzeć, jak Elizka pójdzie do szkoły, a teraz drugie dziecko w drodze i Olga źle znosi ciążę. Nowy nadkomisarz Sobociński oczywiście zapewniał, że ani mu w głowie pozbawiać komendy doświadczonych sił. Zatem gdy Zyge wezwano do Warszawy, Gienek spodziewał się wszystkiego, tylko nie że kolega z gimnazjum wróci starszy stopniem.

– Gienek, chodzi ci o ten wihajster u mnie na kołnierzu? – domyślił się wreszcie Maciejewski.

Sobociński niczego Zydze nie obiecywał, a on również nie spodziewał się wiele po Sobocińskim. Nadkomisarz miał imponujące doświadczenie, w końcu ponad dziesięć lat służby to nie w kij dmuchał, ale bardzo przypominał w tym Maciejewskiemu byłego szefa z Zamościa. Tacy faceci z praktyką, lecz z czterema klasami szkoły powszechnej, na ogół źle patrzyli na podwładnych po maturze, a po kilku latach studiów tym bardziej. Tylko co miał powiedzieć w Komendzie Głównej, kiedy okazało się, że nie chodzi o nowy przydział, ale o awans na podkomisarza? Że mają bałagan i że powinni uprzedzić?

– Byłem w szpitalu, zanocowałem u ciotki. Nie zdążyłem się przebrać. Co mam ci jeszcze powiedzieć? – Zyga niemal jęknął.

Prawie przywykł do myśli, że gdy nie sposób już będzie przedłużyć urlopu kierownikowi Sikorskiemu, na jego miejsce wskoczy Kraft, a on zgodnie z planem pozostanie zastępcą. Fakt, w dawnym koledze widział raczej doskonałego urzędnika niż śledczego, lecz trudno, z takim szefem mógłby się dogadać. Może to nawet lepiej mieć nad sobą uporządkowanego i przewidywalnego ewangelika niż choleryka z Matką Boską pod koszulą. Byliby dobrym i złym policjantem, w sam raz na okoliczność poważniejszych przesłuchań.

– Nic mi nie musisz mówić – Gienek wzruszył ramionami – skoro o awansie też mi nie powiedziałaś. Gratuluję, panie komisarzu!

Przyszedł pan na służbę jak na defiladę – rzucił mu jeszcze i zaraz tego pożałował.

Nie dlatego w żadnym razie, że ogarnął go nagły niepokój o los rodziny, zależny przecież od przychylności zwierzchników. Uniósł się? Trudno! Raz na rok wolno nawet protestantowi, a poza tym na korzyść Krafta świadczyły jego akta personalne bez najmniejszej skazy. Tylko że teraz zamiast karierowicza znowu zobaczył w Zygmuncie dawnego kolegę.

– Nie zabiegałem o to sreberko. – Maciejewski zgarnął na bok papiery na swoim jak zwykle zabałaganionym biurku i rozpiął krępujący go kołnierz. – Mnie chodzi tylko o robienie dochodzeń i dość mam pretensji! A ty jesteś jak moja żona i ciotka razem wzięte. Lepiej się poczujesz, jak złożę podanie o przeniesienie?

– Nie, przepraszam. – Kraft podniósł głowę znad papierów. I tak nie rozumiał ani słowa z tego, co próbował czytać. Podły charakter pisma funkcjonariuszy patrolówki miał z tym niewiele wspólnego.

– To dobrze – Zyga uśmiechnął się – bo gdyby wyszło tak, że to ja będę tu kierowniczył, za cholereę cię stąd nie puszcę. I liczę na wzajemność, Gienek.

Liczyć to można na liczydła, mawiał ojciec Krafta, który przyjechał do Lublina z nadzieją na założenie fabryczki, ale rozbił sobie łeb o kredyty i nieuleczalne pijaństwo tutejszych robotników. Przepracował więc resztę życia na cudzym, co było rodzinną przypadłością. Gienek wolał policzyć do dziesięciu, zanim coś odpowie, i dla zabicia czasu zerknął za okno.

Akurat na róg Zielonej i Staszica podjechała dorożka, a postawny mundurowy i sporo niższy tajniak wytargali z niej skutego kajdankami mężczyznę. Za chwilę zadzwonił telefon z dyżurki i wszystko stało się jasne. Kraft wyjął spośród raportów ten o zabójstwie Hanny Rutki, córki Tadeusza, prostytutki rejestrowanej, oraz jej kochanka Piotra Kołodzieja, z ojca nieznanego, zawodowego złodzieja.

– Mamy sprawę, Zyga – powiedział na zgodę.

Maciejewski wstrzymał oddech i zapiął haftki przy kołnierzu munduru.

– Piotra Kołodzieja? – Zdziwił się. – Jeśli Kołodzieja, to chyba Piasta...

*

Już popołudniem herbaciarnię Joszke Flaka czuć było wszystkim poza herbatą. Z Grodzkiej, traktu recydywistów prowadzącego od więzienia ku Krakowskiemu Przedmieściu, biła cebula przysmażana na starym tłuszczu, a wystarczyło otworzyć drzwi, aby odetchnąć aromatami monopolki i dymu papierosowego. Maciejewski zaciągnął się z lubością jak nałogowiec. W podobnym lokalu w Zamościu zdobywał pierwsze szlify policyjnego szpicla.

Zanurzył się między stoliki, które obsiadły dziwki, luftmencze i poszukujący taniej rozrywki studenci katolickiego uniwersytetu. Ponieważ zmienił mundur na szary garnitur i wymięty płaszcz, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dopóki nie położył na kontuarze metalowego znaczka Służby Śledczej.

– Pan przodownik nie uwierzy, ale ja tego sobie nie wybaczę... – powiedział knajpiarz, międląc koźlą brodę.

Powód wizyty odgadł w lot, Zyga był pod wrażeniem. Że zaniżył mu szarżę, Maciejewski nie zamierzał się procesować. W końcu oficerowie, nawet policyjni, nie bywają w podobnych spelunkach.

– Pan jest wyjątkowo wrażliwy człowiek, panie Flak – pochwalił śledczy. – Dziw, że wierszy pan nie pisze.

Przed policjantem pojawił się pełny kieliszek. Świeżo mianowany podkomisarz wychylił go jednym haustem.

– A co do faktów tak zwanych? – spytał cicho, raz, by nie robić rabanu, a dwa, by nie dać znać po sobie, że pejsachówka miała więcej procent, niż zwykły przyjmować jako kompot.

– *Fifn jorn*, znaczy się pięć lat, jak dał mi go na przechowanie, to przechowałem. Potem Chojrak, znaczy się Sójka Stanisław, zamówił obiad i więcej wódki...

I to pasowało jak ulał do raportu, który wraz z zatrzymanym dostarczyli posterunkowy Fałniewicz i wywiadowca Zielny. Pierwszy wyglądał Maciejewskiemu na sumiennego, drugi na niezłego spryciarza, dobrana para. Zyga nie słyszał jednak, aby gliniarze z różnych komisariatów samorzutnie połączyli siły, nie ustalwszy z przełożonymi, na konto której jednostki pójdzie sukces. „My dla dobra służby”, powiedział Zielny z cwaniackim uśmiechem i przyglądał wybrylantynowane włosy, chociaż i tak świeciły się jak latarnia. Podkomisarz spojrział wtedy pytająco na Krafta. Nie znał ani lubelskiego półświatka, ani tych dwóch funkcjonariuszy. Gienek był jednak zadowolony, jemu wszystko grało.

Podobnie jak grało knajpiarzowi, który opisywał pijacki wieczór podejrzanego, jakby to działo się przed kwadransem, a nie wczorajszego wieczora.

– Pan się spieszy na pociąg, że tak szybko mówi?... Co dał panu na depozyt?

– Nóż. Sprężynowy. Z monogramem S.S.

Maciejewski znacząco wskazał swój pusty kieliszek.

– Jak Siostry Samarytanki? – burknął, przyglądając się wódce niczym inspektor z Państwowego Monopolu Spirytusowego.

– Jak Sójka Stanisław – powiedział bez uśmiechu knajpiarz.

Zyga odwrócił się od szynkwasu i powiódł wzrokiem po sali. W Zamościu większość twarzy znałby lepiej niż album inwigilacyjno-rozpoznawczy, rodzinne miasto musiał poznać na nowo. Od najgorszej strony.

– Więc pan, jak to uczynny i uczciwy człowiek, kiedy Sójka wrócił po pięciu latach odsiadki, oddał mu ten pamiątkowy nożyk. I co było dalej? – zapytał, na powrót opierając łokcie o szynkwas.

– Wsadził go do kieszeni marynarki. – Flak klepnął się w lewy bok.

– Żałuję, że mu powiedziałem, panie władzo. I to ja mu pierwszy powiedziałem! On tylko: „Hanke kochanke, kochanke Hanke”... Jo, ja się przyznaję, bo to tylko wykroczenie, a ja z dobrego serca: przeze mnie szły te grypsy na buchtę. Tyle że ona z rok temu przestała

odpowiadać. Zadała się ze Ślicznym Piotrusiem, chociaż i jego brejdak, brat znaczy się, miał wcześniej do niej skłonność.

– Odgrażał się? – przycisnął Maciejewski. – Sójka, nie brejdak Piotrusia.

– Jak kto wypije, to się odgraża, zrozumiałe. Pan by się nie odgrażał?... Żadne kredyt! Na szyldzie jest napis, że knajpa czy że Flak i Spółka, Kasa Kredytowa?! – krzyknął do młodego kelnera, z którym trzech nowo przybyłych facetów zaczęło negocjować.

Zyga pokiwał z uznaniem głową. Cenił ludzi z podzielną uwagą.

– Co chcą pić, to z góry płacić, git? – zakończył Joszke Flak. – Ale czy to moja wina? Jak nie wczoraj, to dziś, jak nie dziś, to jutro... I tak by się dowiedział. Niecierpliwa była i zwykła *zojne*, stąd cała tragedia. Nawarzył sobie Sójka piwa, oj, nawarzył... Może panu władzy kufelek?

Podkomisarz pokręcił głową. Zapłacił i wyszedł, aby już na Grodzkiej włożyć sobie do ust dwa dropsy miętowe, po czym zapalił papierosa. Zamierzał jeszcze wrócić na komendę, więc lepiej, żeby nie było od niego czuć wódką.

*

W tym samym czasie wywiadowca Tadeusz Zielny robił to, co lubił najbardziej. Rozpinał rozporek, podczas gdy Kudłata Helka przystawiła niski taboret i zadarłszy kieckę, usiadła przed nim. Jako katoliczka miała zasady i nie klękała przed klientem. Nawet jeżeli klient był duchownym, a co dopiero zwykłym mentem!

– A wracając do Mańki... – Tajniak zachęcająco pogłaskał ją po włosach. Sztywne, zdrowe loki zalatywały naftą, ale przyjemnie laskotały wewnątrz dłoni. – Nieraz odgrażałaś się po knajpach, że w pysk jej kwasem chluśniesz. Tamta odbiła ci Ślicznego Piotrusia, ty musowo wyszaś z nerw...

– A to z pana glina skończona! – Oburzona prostytutka przerwała działalność zarobkową. – Ja daję panu serce na talerzu...

– Od kiedy to się nazywa serce?! – Zielny zaśmiał się, przyciągając ją za włosy.

Spoglądając z góry na poruszającą się miarowo głowę Helki i jej loki jak u rasowej owcy, pomyślał sobie, że pogniewała się całkiem szczerze. Nie rozumiał, o co chodziło temu nowemu, Maciejewskiemu, że szukał dziury w całym. Rozumiał natomiast, że ten facet wkrótce będzie kierownikiem Wydziału Śledczego, więc nie dyskutował.

Zielny ani podejrzewał, że spotka go cokolwiek poza pochwałą. Tymczasem Maciejewski, ledwie przesłuchał podejrzanego, wyrwał tajniaka do telefonu. Słuchajcie, mamy za mało na tego Kołodzieja, powiedział. Teraz nabrał wody w usta, ale wyrwie się w sądzie z nowym zeznaniem i cały akt oskarżenia leży. Poza tym ja wcale nie jestem pewien, czy to on...

Wywiadowca miał wprawdzie lat dopiero dwadzieścia dwa, ale w swojej robocie nie był szczeniakiem. Gdy po wojsku zgłosił się do służby w policji, tylko kilka miesięcy dali mu chodzić w mundurze. Poznał się na nim wtedy i kierownik Komisariatu I, i sam komendant Bauman. Dlatego teraz od razu wyraźnie zaznaczył, że z całym szacunkiem dla pana komisarza, lecz skoro tak, to już rewir Dwójki. A komisarz od razu zapytał, czy Zielny zamierza całą służbę spędzić na Lubartowskiej, czy też chodzi mu po głowie robota w Wydziale Śledczym. No i wziął pod włos, zanim tajniak zdążył się wysliznąć.

Teraz Zielny stał w lekkim rozkroku, zamglonym wzrokiem wodząc po pajęczynach na suficie. Może ten Maciejewski miał rację, mówiąc o nim, że zasługuje na rozwinięcie skrzydeł? Co szkodziło popracować trochę po godzinach? No i Helka tak umiała dogodzić po francusku, że podobnie jak Zielny zasługiwała nie na Lubartowską z przyległościami, lecz choćby i na sam Paryż!

– Odgrażałaś się czy nie? – zapytał jednak, bo służba nie drużba.

– Może i się odgrażałam, jak mnie naszło na wspominki o Piotrusiu... – powiedziała, niespiesznie pracując językiem. – Uczuciowa jestem.

Wywiadowca skwapliwie potaknął. Przez otwarte okno od podwórka wdzierał się harmider żydowskiej dzieciarni, kopiającej szmacianką o ścianę wychodka. Tajniak obiecał sobie, że da bachorom parę groszy na cukierki. Rozpraszały go, przedłużając przyjemność.

– Ale nie że zabiję przecież! – zaznaczyła Helka, powłóczyście patrząc Zielnemu w oczy. – Pobić kurwę, kwasem gębę szkaradną polać... Nadać mokrą robotę, panie władzo? A czy mnie na to stać? No i ona była w ciąży, a dziecko jest dziecko, nawet takiej suki. To małeństwo niewinne!

Hanna Rutka żyła jeszcze, co tajniak powinien był wyraźnie zaznaczyć, bo inaczej sytuowało to charakter czynu, lecz nie miał ochoty na drobiazgi. Usiłowanie zabójstwa nie ulegało wątpliwości, zaś Kudłata Helka znów zabrała się ostro do pracy i tylko odgłos końskich kopyt oraz turkoczącego wozu na podwórku kamienicy przyjemnie rozpraszał myśli wywiadowcy.

– Proszę zamykać okna, z ustępu wybierane będzie! – wdarł się przez uchylone okno okrzyk urywający i rozdzierający wszystko, co w Lublinie mogło być piękne.

Dziwka natychmiast poderwała się z taboretu. Nieszczęśliwie, odpychając Zielnego, zbyt natarczywie poruszyła ręką. Gdy ona klękała na parapecie i manipulowała przy okiennej klamce, żeby jak najszczelniej odgrodzić pokój od kloaczego odoru, który za chwilę zaleje całe podwórko, on patrzył, jak smętnie cieknie z niego na podłogę, nawet brudzi modny mankiet nogawki. Zły jak diabli wyjął z kieszeni chustkę.

– A sama nie byłaś czasem podejrzana o spędzenie płodu? Czy może źle pamiętam?

Kudłata Helka spojrzała wściekle przez ramię. Kłapały pospiesznie zamykane okna, pompa kanalarzy jeszcze nie zabalgotowała.

– Pan wywiadowca zaspokoił się za pół ceny, to co mi teraz sztukuje?! Uniewinniona byłam! Z braku dowodów, tak sędzia powiedział. I ludzie słyszeli!

*

Jednym z tych ludzi, którzy na własne uszy słyszeli sentencję wyroku w sprawie Heleny Pióro, był Józef Kołodziej, z fachu wyuczonego ślusarz, z zawodu bezrobotny. Wszakże obecnie, gdy niechętnie wysiadał z dorożki na Zielonej róg Staszica, niewinność Kudłatej Helki obchodziła go jak zeszłoroczny śnieg.

– Na co pan czeka? – ponaglił posterunkowy Witold Fałniewicz.

Brat zamordowanego Piotra postawił nogę na krawężniku i spojrzał podejrzliwie na ciężki, przysadzisty budynek z dwoma oficynami, wyciągniętymi jak chciwe łapy gliniarza. W jednej z nich właśnie mieścił się Wydział Śledczy. Fałniewicz wskazał Kołodziejowi bramę na dziedziniec, a sam zabrał z siedzenia podłużny przedmiot zawinięty we wczorajszą gazetę.

– Czy to trzeba aż tak? – burknął przywieziony tu mężczyzna. – Ja to żem panu władzy przyniosł, nie żeby zaraz iść do komisarza...

– Im prędzej, tym lepiej – zdecydował mundurowy, a kilka minut później referował już aspirantowi Kraftowi, iż Józef Kołodziej, brat Piotra Kołodzieja pseudo Śliczny Piotruś, niekarany, nieopodal kamienicy Żelazna 7 znalazł w rynsztoku nóż sprężynowy z monogramem S.S., w którym świadek rozpoznał własność podejrzanego Stanisława Sójki. Nie mając wiedzy w zakresie zabezpieczania śladów, owinął go w gazetę i przyniósł na komisariat.

Śledczy popatrzył ostro na świadka i wskazał krzesło przed swoim biurkiem. Fałniewicz chciał zaszalutować i odejść, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich podkomisarz Maciejewski. Z daleka czuć go było dropsami miętowymi, skutecznie maskującymi zapach tytoniu, wódki, w innych wypadkach także zepsutych zębów.

– S.S.? – Od razu zwrócił uwagę na dowód rzeczowy. – Stanisław Sójka...

– Sprawa jest jasna – potwierdził Kraft.

Zaś Kołodziejowi, w którego oczach wymięty garnitur Zygi Maciejewskiego budził najwięcej zaufania, zaraz rozwiązał się język.

– Żem znalazł, to zaraz z tym na policję. I ja panu posterunkowemu zaraz chciałem pokazać miejsce, gdzie ten bydlak go wyrzucił. Dla jasności, panie władzo, ja nie jestem kapuś! Ale tydzień będę pił z radości, jak drania powiesicie!

Zyga kiwnął głową i trzymając przez gazetę nóż za czubek ostrza, podniósł wyżej.

– Brat zabitego – wyjaśnił Kraft.

– I krwawe ślady palców tu, na lewej stronie rękojeści. Czyli w prawej garści trzymał... – zauważył Zyga.

– Ja go tam za rękę nie złapałem, to nie wiem w której. Jakbym złapał, toby żyli. Od tego pan jest glina, żeby wiedzieć. Nóż znalazłem niedaleko domu Mańki w rynsztoku. Jego, mordercy! Litery same mówią.

– Palce, ale bez linii papilarnych. Miał rękawiczki... Często grzebiesz pan w rynsztokach, panie Kołodziej? – Maciejewski przysiadł na biurku Krafta, tak że teraz górował posturą nie tylko nad świadkiem, lecz nawet Fałniewiczem, przypominającym sylwetą słonia.

– Co pan mnie tak krzywo rozpytuje, skoro dowód przyniosłem rzeczowy?! – Kołodziej, jeszcze niedawno onieśmielony gmachem komendy, teraz się odszczeknął. – Ja z nim też piłem u Joszke Flaka!

– To wiem – warknął Zyga i obaj patrzyli przez moment na siebie jak złe psy.

Twarz Krafta, chociaż przed chwilą ambicjonalnie poczerwieniała, bo kolega panoszył się jak u siebie, teraz przybrała skupiony wyraz. Fałniewicz wodził oczami od jednego oficera do drugiego.

– Siedział na prawo ode mnie, częstował... – opowiadał Kołodziej. – Dopiero kiedy zaczął się odgrażać na Piotra...

– Inni mówili o nim raczej Śliczny Piotruś – przerwał bezdusznie Maciejewski, jakby chodziło mu właśnie o to, by wyprowadzić świadka z równowagi.

I cel ten osiągnął.

– Ale to był mój brat! – Józef poderwał się z krzesła. – I ja mówię, jak stoi w metryce. Szlag mnie mało nie trafił i wyszedłem z tej speluny. Gdybym wiedział, że Sójka to tak pod hajrem mówi, tobym draniowi tam na miejscu łapy połamał!

– Podobno Hanka prowadziła się z panem, a jednak to Śliczny Piotruś, przepraszam, pański brat Piotr, zmajstrował jej dzieciaka.

Fałniewicz uznał, że czas zareagować. Przyrowadzony przez niego świadek stawiał się sztorcem oficerom, więc posterunkowy wstał i położył mu ciężką dłoń na ramieniu. Kołodziej usiadł.

– Bywa w najlepszej rodzinie – odburknął jednak charakternie. – Pan pójdzie kiedyś do kina, to sam pan zobaczy, jakie rzeczy zdarzają się na świecie.

I wtedy zadzwonił telefon. Kraft przez chwilę tylko słuchał, rzucając krótkie zdania, po czym wstał z biurka.

– Odzyskała przytomność – rzucił.

– Hanka?! To ona żyje? – Oczy Kołodzieja przybrały rozmiar dwuzłotówek.

*

Pod białym prześcieradłem nawet kurwa wygląda jak anioł, przemknęło przez głowę Maciejewskiemu, lecz nie powiedział tego głośno. Raz, że miał na myśli nie tylko Hanke, lecz i swoją dogorywającą żonę. Dwa, Kraft jeszcze nie dokończył modlitwy przy zmarłej.

Nie zdążyli. Hanna Rutka zapytała tylko lekarza o kochanka i swoje dziecko, a młody doktor okazał się przy niej marnym kłamcą.

– Po chwili przytomności nastąpił wstrząs, którego osłabiony organizm pacjentki nie wytrzymał – powiedział później policjantom.

– No to zbrodnia zamiast usiłowania – podsumował Zyga, gdy schodzili po schodach. Przyspieszył kroku obok oddziału, gdzie umierała Zofia. – Co myślisz o tym świadku, Gienek?

– Powiedziałem już, że sprawa jest jasna. – Dawny kolega szkolny włożył kapelusz i zapiął pasek płaszcza. – Nawet bez jej zeznań.

Maciejewski pokręcił głową. Jak na jego gust sprawa była aż za jasna. Przeciw Sójce świadczyło wszystko i nawet pełen współczucia knajpiarz Flak nie miał wątpliwości, kto zabił. Policja lubiła i zawsze będzie lubić takie dochodzenia, bo mało roboty, a statystyki puchną aż miło. Wszystko na tacy. Tylko Zyga, podobnie jak dobrze wytresowany pies, czuł opory, żeby brać kielbasę od obcych. Może nie miał racji? Może po przeniesieniu do Lublina niepotrzebnie spodziewał się wyłącznie trudnych, ekscytujących śledztw? I tak powinien docenić, że skrupulatny Kraft pozostawił dokończenie nudnego protokołu posterunkowemu Fałniewiczowi, a sam zerwał się wraz z nim do szpitala. To dowodziło, że gliniarski instynkt posiadli obaj, choć na co dzień Gienek się z nim nie obnosił. Pewnie miał dzięki temu mniej porażek...

– Dobry wieczór, siostró Rózo! – Głos kolegi wyrwał Zygę z jego własnych myśli i podkomisarz podniósł głowę.

Byli już w holu na parterze, a z sali przyjęć wychodziła niewysoka, lecz energiczna pielęgniarka z burzą blond loków wysypujących się spod czepka.

– Pani pozwoli, mój kolega z pracy, Zygmunt Maciejewski.

– Marczyńska. Już pana tutaj widziałam. Pan ma chorą żonę?

Podkomisarz bywał dotąd raczej partaczem niż bawidamkiem, lecz teraz przytrzymał jej dłoń dwie chwile dłużej, niż to było konieczne przed ucałowaniem.

– Mam – nie wyparł się. – I mam wielką przyjemność poznać panią.

Tej nocy w ruderze na Rurach Jezuickich miał sen. Śniły mu się te wszystkie nieliczne momenty wzruszeń, jakie przeżył z Zofią Wołkońską, ale za każdym razem miała ona włosy i oczy Róży Maciejewskiej, przepraszam, wtedy jeszcze Marczyńskiej.

IV

Ani słowa, git? O co by nie pytali, nic pan nie wiesz, nic pan nie pamiętasz, byłeś pan pijany jak bela.

Urzędowy papuga miał w teczce i papiery, i tańce, bo widocznie zaraz z więzienia wybierał się do synagogi. Chojrak codziennie widział ją z okna swojej celi śledczej w północnym skrzydle Zamku, słyszał głośniejsze rozmowy i czasem katarynkę z targu żydowskiego, ale największy harmider urządzały mu jego własne myśli. Do tego, żeby milczeć w śledztwie, nie potrzebował adwokata. Zwłaszcza takiego, który nawet nie pytał, jak było. Z drugiej strony może i dobrze, bo Staszek wyszedłby z nerw. Jak było, sam dobrze nie pamiętał.

Na pewno pękła jedna flaszka, przy której Sójka dowiedział się od Flaka, że Lublin już nie jest ten sam, co wcześniej. Pokielbasiło się i w ferajnie, i w mentowni, bo do Wydziału Śledczego dali nowego szefa, Maciejewskiego. Morda bandyty, kapelusz spod wyżymaczki, ganc kabaret odstawia nowa władza! Flak śmiał się tylko, nalewał i dopisywał do zeszytu, a Sójka z każdą złotówką długu czuł się wypłacalny na kolejnego dziesiątaka.

Potem u Flaka jak co dzień zjawił się serdeczny koleżka Staszka, starszy z braci Kołodziejów. I na pewno to wtedy Kazik Kulas zaczął dośpiewywać słowa do melodii na swoją harmonię:

*To nie jest tango z Argentyny,
tango z Podzamcza tu się różnie.
Tu nie przychodzą żadne gliny,
chewra z ferajną bawi się!*

*W buchcie na Zamku to się nuci,
żeby klawisza trafił szlag,
a gdy zza krat koleżka wróci,
to tutaj pije, mówiąc tak:*

*„Mnie Maciejewski przestłuchiwał:
«Sypiesz? Bo w mordę będę lał!»,
a kiedy jużem w buchcie siedział,*

to Maciejewski wieszac chciał”.

Chojrak pamiętał dobrze, jak spodobało mu się, że to jest tango z Podzamcza, a nie z Argentyny, i że nuci się je właśnie w buchcie, jak wszyscy wyrokowcy nazywali lubelskie więzienie na Zamku. Rzucił się później, że jak to Maciejewski przesłuchiwał, skoro takiego psa nie widział na oczy. Trzy, może nawet pięć razy powtórzono mu, że piosenka nie jest przecież o nim, i Staszek zrozumiał wreszcie różnicę między ogółem a szczegółem. Chyba jednak z pół godziny później znowu się ciskał, tak po prawdzie, bo przypominał sobie ręce młodego Kołodzieja łapiące go za marynarkę od ramion po połą i przy kieszeni.

Wsadzono go do dorożki, to też sobie przypominał. I przypominał sobie również, jak na koniec miał pretensje do dryndziarza, że śpiewa się o jakimś Maciejewskim, a nie o Staszku Chojraku. Kto musiał zatargać go na piętro i rzucić na wyro, to niestety kryło się w pomroce, zupełnie jak te rzeczy, które mocno wtedy wsiowa, jednak zawsze polska ferajna, wyrabiała w czasach Tantała.

No i na koniec przypominał sobie tego małego tajniaka i mundurowego jak szafa, podobno to był nowy dzielnicowy na Kośminku. Bili, a za co, to sami wiedzieli lepiej, jak to gliny. Sójka w życiu nie uderzył człowieka bez dania racji, przynajmniej na trzeźwo. Trzeźwy jednak tamtego wieczoru nie był, więc wciąż zadawał sobie pytania, wyglądając na miasto spoza blindy.

Miasto zaś, dymiące z coraz to nowszych kominów fabrycznych, rozrastające się jak pleśń na chlebie, na świeżo i z pasją poznawał podkomisarz Maciejewski. Nie było ono zagadką dla Róży, codziennie jeżdżącej karetką pogotowia i spoglądającej na oświetlone lampami elektrycznymi Krakowskie Przedmieście i na ciemne Bronowice albo Piaski. Na świeżo, lecz bez pasji, obserwowała ze swych okien Lublin ciotka Maciejewskiego, lecz o tym za chwilę.

Ja poprosze panenke o take czarne piczcie, jak ta pani ma za szczaną, i jeden „Kurwier Warsiaski” na kiju – zażądał od kelnerki brodaty, pejsaty gość w garniturze wyświechtanym, lecz z grubą i szczerozłotą dewizką przy zegarku. Nie zdjęwszy kapelusza, wskazywał palcem i świecił sygnetem w kierunku ciotki Zygi Maciejewskiego za szklanym przepierzeniem kawiarni Semadeniego.

Ciotka lewą ręką odstawiła spodek z porcelanową filiżanką na marmurowy stół. Zyga nie mógł się nadziwić, że na powierzchni kawy nie pojawiła się najmniejsza fala, a spoczywająca obok łyżeczka nie wydała ani brzęku. Tymczasem gazeta w rękach mężczyzny za szkłem łopotała głośno jak żagle pirackiego brygu w powieściach dla młodzieży.

– Kupiłeś jej piękny wieniec – westchnęła ciotka. – I dziękuję, że mnie zaprosiłeś, Zygmusiu.

Maciejewski uśmiechnął się z przymusem. Owszem, wieniec za dwadzieścia złotych musiał wyglądać pięknie, to murowane. I jeszcze do tego szarfa: Nieodżałowanej Wiernej Małżonce – wdzięczny za wszystko Mąż. Ironia to była jedna z niewielu rzeczy, jakie Zyga naprawdę w sobie lubił, w przeciwieństwie do wydawania pieniędzy. Tymczasem przyszło mu zapłacić kolejne trzy pięćdziesiąt, bo jakiś kretyń pomylił się z „nie” i wyszło „odżałowanej” oraz „niewiernej”. W gruncie rzeczy facet miał rację, ale nowa szarfa na godzinę przed pogrzebem wymagała napiwku. Teraz dojdzie rachunek w najdroższej lubelskiej kawiarni, niestety ciotkę zaprosić musiał, sumienie kazało. Dawniej to on mógł niezawodnie polegać na jej kapitale, teraz wymyślała lepsze wymówki niż kiedyś Zygmus, byle odroczyć odrabianie lekcji. Wstydziała się, że wielkie, luksusowe mieszkanie na Krakowskim Przedmieściu musiała zamienić na szereg klitek dla sublokatorów. Sklep ciotki nie wytrzymał powojennego kryzysu, a na Rurach Jezuickich, gdzie zamierzała pobudować na starość willę na dwóch parcelach, wciąż stały dwie rudery. W jednej mieszkał teraz Zyga, drugą dostała bezdżetna służąca Kapranowa z mężem inwalidą,

byleby tylko codziennie darmo przyszła do swej chlebowczyni i ugotowała obiad.

– To był piękny pogrzeb i jestem dumna, że tak się postarałeś.

Skinął głową i zgasił papierosa w popielnicy droższej chyba niż jego zegarek. Wcale nie był dumny, a ciotka zaczynała go irytować. Dobrze wiedziała, co oznaczało to zaprzese małżeństwo: krępujący wszystkich mezalians. Gdyby miał chociaż gram rozumu, powiedziałby w porę, że koniec balu, panno Lalo, niestety postanowił zostać rycerzem w lśniącej zbroi. Po tym, jak obnażył zbrodnię ojca Zofii, błękitnokrwistego mordercy, uznał, że musi zaopiekować się panną, która w swoim kręgu zostanie skazana na śmierć towarzyską. Wbrew temu, co bredziła w gorączce, przeniesienie do Lublina, chociaż o nim marzył, nie było żadną przysługą, raczej wypadkową obopólnych interesów. Rodzina nie chciała jej więcej widzieć, lecz i nie życzyła sobie dalszych plotek, dlatego Wołkońska musiała wraz z mężem zniknąć z Zamościa, gdzie była znana zbyt dobrze. Zygmuntovi po prostu trafiło się jak ślepej kurze ziarno.

– Tylko nie rozumiem, dlaczego nie przyszedłeś w mundurze – ciągnęła ciotka. – Jesteś oficerem, nie gorszym niż wojskowi.

– Jeżeli ciocia ma na myśli kuzynów nieboszczki, to nie chciałem grać im na nerwach – skłamał i to też zauważyła. Zbyt byli sobie bliscy na tak niewysublimowane kłamstwa, a jednak grali komedię. Włożył cywilny garnitur tylko dlatego, że urwała mu się haftka przy kołnierzu.

– I to cię martwi? – zapytała, nadziejąc na widelczyk kawałek napoleonki tak foremny, jakby wykroiła go maszyna. Próbując dotrzymać jej kroku, Zyga swoje ciastko rozsmarował po całym talerzyku. Ze słodczy najbardziej lubił śledzie.

– Nie, mam po prostu trochę kłopotów w pracy. A cioci nie szkoda, że w jej sklepie panoszy się jakiś Żyd? – zmienił temat, lecz jeszcze nie skończył, a już wyczuł, że poszybował prawym prostym w powietrze.

– Żyd czy Chińczyk, to bez znaczenia! – zachnęła się w uniku. – Lepszy kupiec, młodszy, silniejszy, obrotniejszy!... Odstępne zapłacił

uczciwe. I powiem ci, że zawsze wiedziałam: Kapucyńska to szczęśliwe miejsce. Gdy przechodzę ulicą i widzę nową witrynę, jak ja się cieszę, że sklep żyje!

Kłamała jak z nut. Chociażby miała nadłożyć drogi, nigdy nie przeszłaby Kapucyńską, Zyga dobrze o tym wiedział. Ciotce serce by pękło. Lecz w całej rodzinie była jedynym przypadkiem zdrowego rozsądku, dlatego przemawiała jak któraś z postaci z *Lalki* Prusa. Lata temu ciotka kupiła powieść, bo była o kupcach, więc jakby też o niej. Maciejewski przeczytał prawie całą jako gimnazjalista, bo liczył na sceny erotyczne, a w swoim ówczesnym guście znalazł tylko jeden krótki rozdziałik przypominający książki Verne'a.

– To i ja się cieszę, proszę cioci. Likieru by ciocia nie skosztowała? – Zyga wzniósł się ponad przyrodzone skąpstwo.

– Daj spokój, Zygusiu! – osadziła go wielkopańsko. – Wiem, ile dostaje żołdu podporucznik piechoty, to i domyślam się, ile ty zarabiasz. Chcesz, to zamów sobie wódki. Rachunek ja zapłacę.

– O tym nie może być mowy, proszę cioci!

– Pozwolisz, mój kochany, że póki mnie nie sparaliżowało, to ja będę decydować, o czym ma być mowa – odparła. – Najlepszej starki proszę dwa kieliszeczki – powiedziała niemal szeptem, a jednak kelnerka zatrzymała się w biegu między stolikami i uprzejmie przyjęła zamówienie.

– I ja poproszę take najlepsze wódkę jak ta pani – przyłączył się gość zza szklanego parawanu.

– Powiedz mi szczerze, Zygusiu, jakie masz kłopoty – zażądała cicho ciotka, zupełnie nie zważając na swą rolę arbitra w sprawach elegancji. – Przecież właśnie dostałeś nominację na kierownika wydziału. Żałoba żałobą, ale z tego powinieneś się cieszyć.

Już otwierał usta, aby odpowiedzieć ciotce szczerze i kąśliwie. Zyga Maciejewski jeszcze dobrze nie zagrzał krzesła w lubelskim Wydziale Śledczym, a już był sławny. Ktoś z boku powiedziałby, że szedł po trupach, odsuwając od awansu dawnego szkolnego kolegę. Fakt, nie przyłączyli się do nienawistnego chóru Fałniewicz i Zielny, którym

świeżo upieczony kierownik obiecał etaty w komendzie. I Krafta ani myślał się pozbywać, o ile ten będzie chciał pozostać. Zyga na jego miejscu by nie chciał, liczył jednak na protestancki rozsądek Gienka. Tak, miał wokół siebie ludzi, z którymi chciał pracować, tymczasem nie opuszczała go dręcząca myśl, że w sprawie wyrokowca Sójki wszyscy się pomylili, że nad złodziejem zawisło okrutne i nawet w jego wypadku niezasłużone fatum. Niestety Zyga nie miał pomysłu, co z tym fantem zrobić.

Szczęśliwie od tej skomplikowanej opowieści wybawił go dzwonek konnej karetki pogotowia, która akurat przejeżdżała Krakowskim Przedmieściem przed kawiarnią. To miasto było zbyt wielkim jak na małe, napisał Jerzy Trąbicz w „Ziemi Lubelskiej”, lecz i zbyt małym jak na wielkie. Dlatego zdarzały się w nim niekiedy podobnie szczęśliwe przypadki.

– Widzi ciocia tę pielęgniarkę tam, w okienku? – Niekulturalnie wskazał palcem Maciejewski. – Nie wiem jeszcze jak, ale zamierzam ją oczarować.

– Ty zwariowałeś, Zygmusiu! Jak nie księżniczka na ziarnku grochu, to sierotka Marysia! – Ciotka załamała ręce. – Owszem, ładna, z wyglądu sympatyczna i powiem ci, to dobrze, że nie jakaś lalka perfumowana, ale dlaczego akurat pielęgniarka?!... Zobaczysz, że cię wydziedziczę! Nie możesz tak jak inni zwyczajnie chodzić sobie na kurwy?

– Za skąpy jestem. – Zyga smutno pokręcił głową. – Tak mnie ciocia wychowała.

– Ja?! – Starsza pani zachnęła się. – Ja cię wychowałam na to, żebyś wiedział, co jest słuszne, a co diabła warte. Umrę, to może docenisz – burknęła gderliwie, wiek i kłopoty zrobiły swoje. Jednakże gdy kelnerka przyniosła starcę, znów była damą, uśmiechniętą i po stoicku znoszącą kłopoty. – No, Zygmusiu, na zgodę! Więc jakie masz kłopoty?

Docenił, że dała spokój rozmowie o zmarłej. Wypili. Ona pół kieliszka, on cały.

– Mam takiego podejrzanego. – Taktownie nie wymienił nazwiska, chociaż po chwili zobaczył przez szybę, że nawet „Kurwier Warsiaski” pisał o nim na czwartej stronie. – Moim zdaniem ten człowiek jest niewinny, ale wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. I sam nie chce sobie pomóc.

– No to go przesłuchaj. – Ciotka wzruszyła ramionami.

– Robiłem to z dziesięć razy. – Machnął ręką.

– Więc zrób jedenasty. Na miłość boską, Zygmusiu, po to chyba dali ci awans, żebyś służył ludziom. I ja też na to cię wychowywałam. Ale gdzie ty idziesz? Obraziłeś się?! – Ciotka spojrzała niepewnie na siostrzeńca, który poderwał się od stolika jak oparzony.

– Przeciwnie. – Ucałował jej dłoń. – Przepraszam ciocię, idę na komisariat. Płacić, pani będzie łaskawa! – Podniósł rękę, przyzywając kelnerkę.

Spodziewał się, że gość za szklanym przepierzeniem zawoła zaraz o „taki sam *fejn* rachunek jak tego pana”, lecz nieznajomy tylko przewrócił stronę w gazecie.

ZBRODNIARZ Z KOŚMINKA UPARCIE MILCZY

Krew obeschła, lecz **zgroza zbrodni żywa!** Dwa tygodnie już przebywa w areszcie śledczym Stanisław Sójka (lat 31), zam. przy ul. Długiej 2 recydywista. Nad ranem 7-go b. m. patrol P. P. ujawnił w kamienicy przy ul. Żelaznej 7 **zwłoki** notowanego złodzieja Piotra Kołodzieja (lat 27) i **ciężko ranioną nożem ciężarną** Hannę Rutkę (lat 24), zawodową prostytutkę. Rutka dawniej była kochanką Sójki, lecz ten ciężko zapracował sobie na trzy lata więzienia na Zamku. Ułożyła sobie życie inaczej. Wyszedłszy na wolność, Sójka wpadł w szal.

Dochodzenie Wydziału Śledczego P. P. z jego nowym kier. pkom. Maciejewskim ujawniło szereg faktów. Sójka **nie ukrywał swych morderczych zamiarów** przed kompanami z półświatka. Znalaziono nóż – narzędzie zbrodni – ze śladami krwawych odcisków. Zbrodniarz cynicznie milczy w śledztwie.

– We Lwowie czy w Krakowie czekałaby go kara śmierci – powiedział reporterowi p. prok. Ignasiak. – Obowiązujący w naszym województwie **kodeks karny jest niesłusznie pobłażliwy**, lecz żądać będę postawienia Sójki przed sądem doraźnym, który dysponuje odpowiednimi instrumentami oczyszczania społeczeństwa z elementów tak zdemoralizowanych i społeczeństwu zagrażających. (jt)

No i co powiesz, Sójka? – Maciejewski, skończywszy czytać na głos, złożył gazetę, po czym cisnął na biurko. – Nic nie powiesz? No to ci zaśpiewamy! – obiecał, otwierając drzwi gabinetu.

Mundurowy policjant wepchnął do środka kalekę z akordeonem. Grajek miał nos fioletowy od alkoholu i częstego przebywania na świeżym powietrzu, zdarte ubranie, poruszał się o kulach i ogólnie mówiąc, z niejednego pieca chleb jadł, teraz jednak wykazał nieśmiałość właściwą naturom wrażliwym. Jakkolwiek pracował swym wiernym akordeonem w Bramie Krakowskiej, na podwórkach Starego Miasta i bywało, że na dworcu kolejowym, to w komendzie policji czemuś zabrakło mu talentu. Nawet miech instrumentu odmówił posłuszeństwa artyście.

– No! – ponaglił podkomisarz Maciejewski.

Uliczny muzyk spojrział najpierw na marsową minę śledczego, który rozsiadł się za biurkiem pełnym urzędowych papierów, potem na zgaszoną twarz aresztanta. Zagrał i zaśpiewał na ćwierć swych możliwości:

...„Mnie Maciejewski przesłuchiwał:

«Sypiesz? Bo w mordę będę lał!».

A kiedy jużem w buchcie siedział,

To Maciejewski wieszac chciał”.

Tak samo Stach, jak go puścili,

Tutaj skierował kroki swe.

Ledwie z ferajną się napili,

*To Joszke Flak wnet przysiadł się.
„Tyś przez fifyn jorna śnił o swej Hance,
Tyś jej spod celi grypsy słał,
A z innym żyje twa kochanke.
Jak mi nie wierzysz, to sprawdź sam”.*
*Gdy go komisarz w śledztwie cisnął,
To Stach nie wiedział, co to strach.
A teraz żal mu gardło ścisnął,
Jakby mu pętlę włożył kat.*

Wypadło słabo. Akordeon fałszował, zaś uliczny muzyk śpiewał bez przekonania. Potrzebował tej znanej sobie przygodnej publiczności, potrzebował akustyki bram i podwórek, a sprowadzony tu przez policjanta, nagle przypomniał sobie, że nie zna nut i nigdy w życiu nie był w filharmonii. Bał się jednak. Dlatego charczącym głosem zaczął kolejną zwrotkę:

A rankiem...

– Dość! – Maciejewski urwał w pół frazę i stanowczym gestem wskazał drzwi. – Jesteśmy sławni, panie Sójka – ni to zakpił z ambicją podejrzanego, ni to je połechtał, gdy zostali już sami. – Chociaż moją sławę tylko panu zawdzięczam. Co do tamtego Maciejewskiego jednak, kata z Mokotowa, nie znam człowieka. Niejednemu psu... Maciejewski. Może teraz będzie pan bardziej rozmowny?

Sójka nie odpowiedział. Zyga miał ochotę porwać z biurka ciężki ebonitowy telefon i walnąć go nim w głowę. Mniejsza o tortury, które podobno nagminnie stosowała Policja Państwowa, co podnosił sejm, póki Marszałek nie zatkał gąb posłom. Śledczy nie chciał maltretować recydywisty, ale wrócić mu rozum. Ten jednak milczał na własną zgubę jak kto głupi lub tylko nader konsekwentny.

– Trudno zatem. – Podkomisarz sięgnął po akta. – Stanisław Sójka, syn Feliksa, urodzony... i tak dalej... Przypomniałeś sobie coś więcej?

– Kaca...

Maciejewski zdziwił się, że padło cokolwiek nowego, lecz nie był opiekunką z freblówki, która chwali dzieci choćby za to, że sznurówki same sobie zawiązują.

– To mam dać na protokół? – burknął, jakby charknął.

I podejrzany, odmawiający dotąd w śledztwie wszelkich wyjaśnień, nagle wybuchnął, widać wyprowadzony z nerw:

– A po co mam strzepić język, jak wyście już z tamtym drugim tajniakiem... i pewno jeszcze z sędzią śledczym wszystko dawno ustawili? Recydywista, niewierna kochanka i tak dalej... No, macie mnie zaobrączkowanego, to o co się jeszcze rozchodzi?! Chcę wrócić pod celę!

– Wrócisz, wrócisz, i to na długo – uspokoił go Zyga. – Ja przejdę na emeryturę, a ty wciąż będziesz pierdział w słomiany siennik. Zabiłeś czy nie?! – wrzasnął.

Sójka spojrział na niego wzrokiem stoickiego filozofa, który doprawdy nie potrafi pojąć, dlaczego prości ludzie denerwują się z byle powodów.

– Ile razy mam mówić, że nie zabiłem?! – powiedział jak zdarta płyta, jak dewotka odmawiająca setną zdrowaśkę. – Byłem tak pijany, że nawet nie wiem, czyj Anioł Stróż odprowadził mnie do domu. Odwykłem od wódki przez te pięć latek... Byle pętał, jakby napadł, to dałby mi radę, a Piotr toby mnie...

– Wychodzi jednak, że to ty jego. – Teraz to Maciejewski powtórzył spokojnie, co miał w aktach, a podejrzany nerwowo zacisnął pięści.

– Ktoś inny. Ile razy mam powtarzać?! Chcę wrócić pod celę.

– Dobrze. – Zyga westchnął. Spisanie tego zeznania nie trwało długo, więc szybko skończył i podsunął blankiet podejrzanemu. – Podpisz protokół.

– Sto razy podpisywałem – mruknął Sójka.

– Ale nie mnie osobiście. – Maciejewski uśmiechnął się krzywo.

Komu, to nie miało znaczenia. Fakt faktem jednak, że dotąd zajmował się tym Kraft albo któryś z wywiadowców. Teraz

podkomisarz osobiście zanurzył stalówkę w kałamarzu i podał pióro podejrzanemu. Ten wyciągnął rękę.

– Gdzie mi tu lewą?! – ryknął śledczy. – Chcesz w sądzie iść w unieważnienie protokołu? Masz mnie za głupiego?

– Nie odpowiem, bo mi pan przyszyje jeszcze obrazę władzy – odparł spokojnie recydywista. – Mańkut jestem.

– Mańkut? – Zyga zaczął kartkować akta, szukając kwitów z podpisem Sójki.

– Od urodzenia. Dlatego ledwo skończyłem szkołę. Ale to chyba nie przestępstwo? Chcę wrócić pod celę.

– Won! – zgodził się uprzejmie Maciejewski.

A potem wyjął z szuflady biurka nóż przyniesiony przez młodszego z braci Kołodziejów. Trzymając go za czubek ostrza, widział wyraźnie ślady palców pozostawione po lewej stronie. Bez linii papilarnych, bo sprawca prawdopodobnie miał rękawiczki, poza tym dowód nie był w porę zabezpieczony i cholera wie, co działo się z nim w rynsztoku na Żelaznej. Jedno pewne, ktoś z łapą ubrudzoną krwią trzymał go w prawej ręce. I jeszcze ten Joszke Flak, przypomniał sobie Zyga, wskazał lewą kieszeń. Może też był mańkutom i tak mu było wygodniej, a może właśnie dobrze zapamiętał?...

Zyga podniósł słuchawkę telefonu.

– Dyżurny, jutro rano chcę mieć posterunkowego Fałniewicza z drugiego i wywiadowcę Zielnego z pierwszego komisariatu – zakomenderował. – Na którą? Dla dowcipu niech będzie szósta rano. Znaleźć i zawiadomić! Ja będę. I dzbanek kawy z restauracji! Nigdzie się nie ruszam, na całą noc mam roboty.

*

Wytwórnia maszyn rolniczych Moritza przy 1 Maja robiła pełną parą. Przestała galopować inflacja, teraz i ziemianin, i zamożniejszy chłop nawet czuł w garści wagę swego pieniądza, a na gwałt trzeba było wsi młocarni i kieratów. Tylko między czwartą a szóstą rano tokarki i prasy parowe miały chwilę wypoczynku, motory mogły ostygnąć,

a baby i dzieciaki zaangażowane na pół dniówki oczyścić jako tako halę, póki nie przyjdzie pierwsza zmiana, najlepsi fachowcy.

Wśród nich niemrawo zbliżał się do bramy fabrycznej ospały Józek Kołodziej. Niedawny bezrobotny, zabijający czas wśród ferajny Kośminka, nie przywykł wstawać przed południem, dlatego laźł do roboty w półśnie, ale zawziął się i miał nadzieję przywyknąć. Uczciwe życie stanęło przed nim otworem w sposób nieoczekiwany. Nie był kapuś i złodziejska granda to wiedziała, ale gdy szło o śmierć brata, honorowe zasady nie były już te, co przed wojną. Kiedyś taki chłopak jak on miałby mir, tylko gdyby poszedł mścić się z kosą w garści i zostawił Sójkę w kałuży krwi na środku placu Bychawskiego. Teraz nie żył już urka Mendel z Podzamcza i honor inne miał imię. Szczególnie że Sójka siedział w areszcie, bo gliny były pierwsze, więc jak go dorwać? Pozostawało jedynie osłodzić mu kiblowanie. Zatem nie tylko dzielnica machnęła ręką na to, że Józek zaniósł mentowni narzędzie zbrodni, ale też i dziennikarzom z miasta bardzo się to spodobało. Wtedy wkroczyła matka. Bo matka jest matka.

– A pan władza pamięta, że to mój synek panu odniósł ten przeklęty nóż? Ten sam, co ten skurwysyn nim dwie osoby i dziecko niewinne nienarodzone zaszlachtował?!... – awanturowała się nie tylko po komisariatach. – A pan majster to ma sumienie chrześcijańskie przyjmować do fabryki byle kogo, kiedy mój synuś, taki uczciwy i fachowiec, cierpi bezrobocie? Ślusarz fachowy, tylko mu się noga powinęła z głupoty, jak to ślusarzowi – dodała, bo i ona wiedziała dobrze, i ludzie wiedzieli, że sam pan majster dawniej robił wytrychy, kiedy potrzeba mu było forsy na chrzciny.

Lepszej protekcji zatem Józek mieć nie mógł i robił uczciwie, zwłaszcza że matka pilnowała go gorzej niż klawisz więzienny. A gdyby zaczął popijać z kolegami, gotowa była wstydu narobić, przychodzić po niego na koniec zmiany, jakby był gówniarzem, którego trzeba odebrać ze szkoły po lekcjach. Matka ma swoje humory, lecz matka jest tylko jedna.

Minęła godzina i druga. Maszyny sapały i wystukiwały swoje miarowe rytmy, a młody Kołodziej raz za razem brał ze skrzynki toporne kształtki żelazne i przeistaczał je w wajchy zakończone z jednej strony trybem, z drugiej uchwytem na dłoń.

– Sprawnie pan to trzymasz – wyrwał go naraz znad roboty obcy głos.

Podniósł głowę i zobaczył dwóch facetów. Wyższego znał, to był komisarz ze Śledczego, Maciejewski. Miał sine z niewyspania oczy i czarny garnitur, jakby wybierał się na pogrzeb. Ten mniejszy, który zaczepił Józka, wyglądał jak alfons ze swoim szerokim, kwiatowym krawatem ze sztucznego jedwabiu do niebieskiej marynarki w prążki.

– Dziękuję szanownemu panu – powiedział Kołodziej – ale pan szanowny uważa na garderobę, bo smar może prysnąć. Czy coś trzeba podpisać, panie władzo?

– Nie trzeba. – Maciejewski pokręcił głową. – Pan naprawdę sprawnie to w garści trzymasz. W prawej garści. A Sójka jest mańkut.

Nie wykonali najmniejszego ruchu w jego stronę i to był ich błąd. Józek znał fabrykę, w której maszyny, podręczne magazyny i stanowiska tokarskie tylko z pozoru wyglądały jak labirynt, a dla wtajemniczonych były niczym plan Starego Miasta, trzy uliczki na krzyż. Odskoczył w tył, przebiegł piętnaście kroków w lewo, kilka w prawo, po czym zostawiwszy pogoń za syczącym wściekle, wypełnionym płynnym żeliwem tygłem pełznącym powoli na łańcuchach, już był prawie przy kantorku z tylnym wyjściem na magazyn.

Tam zderzył się jednak z twardym niemalże jak ów tygiel postawnym posterunkowym Fałniewiczem. Kołodziej zachwiał się, na mundurowym nie zrobiło to wrażenia. Policjant wykręcił Józkowi rękę i przycisnął go twarzą do betonowej posadzki o zapachu opiłków metalu, oliwy do maszyn, ludzkiej pracy i pewnie nawet pieniędzy, niestety tych jeszcze Józek Kołodziej nie zdążył się tu dość nawąchać.

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem potrójnego zabójstwa swojego brata Piotra, Hanny Rutki oraz ich nienarodzonego dziecka –

powiedział Maciejewski, zapinając kajdanki.

Chociaż ubrany porządnie, spod jego pachy było czuć, jakby w tym garniturze przeżył pogrzeb, stypę i jeszcze tęgą popijawę w gronie najbliższych żałobników. Taki już był.

VI

Maciejewski patrzył ze złością na zegarek. Fakt, Lublin nie był metropolią i jeśli za kwadrans stąd wyjdzie, nie spóźni się na *rendez-vous* tak bardzo, by miało to mieć przykre reperkusje.

Niestety miał przed sobą niepoprawnego milczka.

– Sójka, ja cię znam i ty mnie znasz, więc darujmy sobie wstępne grzeczności – zaproponował. – Jedno mi tylko powiedz, bo nie rozumiem. Byłeś porządnym złodziejem, ledwie cię od stryczka urwałem, a tu teraz mam w papierach, że jak byle łajza pobiłeś słabszego, kalekę...

Zatrzymany milczał, wpatrzony w zakratowane okno piwnicy, jakby naprawdę spodziewał się w nim zobaczyć cokolwiek poza tylnym zderzakiem zaparkowanego tam policyjnego auta. Zepsutego od miesiący. Cmoknął nerwowo i niechętnie spojrzął na glinę.

– Skurwysyna pobiłem. Nieprawdę śpiewał – wycedził. – Kłamstwa o mnie i o panu komisarzu. Ja spłaciłem mój dług. Coś jeszcze? Czy mogę mocz oddać, że tak powiem urzędowo? – Ruchem głowy wskazał kubel przykryty metalowym wiekiem.

– Uważaj, Sójka, bo świat jest mały – warknął Zyga i załomotał w drzwi celi.

Kiedy mundurowy zamykał zasuwę, podkomisarz wygrzebał z pudełka niespaloną zapalną i zaciągnął się papierosem.

– Dać kolację – polecił policjantowi. – Odczekać, aż strawi, i wlać pałką. Ale tak po ojcowsku, z miłością, rozumiemy się?

– Tak jest! Żeby skruszał? – spytał klawisz dla czystej formalności.

– Nie, dla zasady. A potem wypuścić.

– No ale jak to wypuścić, panie komisarzu? Są przepisy.

Maciejewski położył policjantowi ciężką łapę na ramieniu, poklepał go i poczęstował papierosem.

– Przepisy, posterunkowy, biorę na siebie. W końcu palić tutaj też nie wolno – zauważył, podając ogień.

*

Niewidomy grajek szóstym albo i siódmym zmysłem wyczuł zainteresowanie stojącego nad nim widza, dlatego gramofon zachrypiał tak, jakby też lubił sobie wypić i zapalić:

A rankiem budzą go tajniacy:

„Całą noc spałeś? Sukinsyn!

Dowody mamy jak na tacy!

Na dom twej Hanka napad był.

Trzy trupy – gęby glin się cieszą

– bo w ciąży była Hanka twa”.

Stach, choć niewinny, to nie przeczy.

Dopiero w celi cicho łka.

Śledztwo prowadził Maciejewski

– Stach w niebo patrzył spoza krat,

A w pociąg już w Warszawie siadał

Ten drugi Maciejewski – kat.

– I tyle? – warknął wierny słuchacz. – Wiesz, kto ja jestem?

Harmonista, ociemniały wprawdzie nie w wyniku ataku gazowego podczas wielkiej wojny, jak miał to wypisane na tabliczce, ale z powodu bimbru ze złego źródła, zafrasował się. Było późno, czego nie mógł wprawdzie widzieć, ale czuł, jak chłodnieje mur za jego plecami. Krzyczeć pomocy? To jak prosić się o danie w mordę!

– To było ostatni raz, panie komisarzu – obiecał, bo mówiono mu, że kierownik Wydziału Śledczego miał osobisty uraz do tej piosenki.

Kopniak zmasakrował miech instrumentu. Czyli to nie był glina. Grajek spodziewał się zatem kolejnego ciosu, tym razem w twarz, lecz

jego nos połaskotał banknot. Wiele by dał za zmysł wzroku, aby poznać nominał.

– To pięćdziesiątka – usłyszał, a słuch miał dobry, wręcz coraz lepszy, odkąd oczy odmówiły mu posłuszeństwa. – A to druga na akordeon. Jeżeli cię jednak jeszcze raz zobaczę, to nie będzie trzeciej. Wiesz, co będzie?

– Wiem – odparł natychmiast ślepiec. – Bardzo pana szanownego przepraszam. Balladę o Stachu i Maciejewskim śpiewają jeszcze garbus przy placu Dworcowym i jeden taki łamaga sztukowany na Grodzkiej – doniósł skwapliwie.

– Wiem. – Ręka w chłodnej skórzanej rękawiczce poklepała twarz muzyka. – Oni już nie śpiewają. Ty byłeś ostatni.

I umarła uliczna ballada, która mogła przebić Bal na Gnojnej, ale tak już bywa w naszym mieście, że w zarodku dusi się rzeczy wielkie, pod hajrem!

Ryszard Ćwirlej

Podwójny nelson

Poznań, piątek, 19 lipca 1929 roku, godzina 3.20 w nocy

Mężczyzna stał przy słupie ogłoszeniowym, jakby wpatrywał się w któryś z afiszy oblepiających tę wystawę najprzeróżniejszych ogłoszeń i informacji. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, bo przecież od tego są słupy z ogłoszeniami, żeby przy nich się zatrzymywać i czytać, co tam obwieścili. Tyle że byłoby to całkiem normalne za dnia albo nawet jeszcze pod wieczór, ale na pewno nie o trzeciej nad ranem, kiedy miejskie ulice pogrążone były w kompletnych ciemnościach. Jeszcze pół godziny i zacznie budzić się lipcowy, letni dzień, gdy promienie słoneczne wsuną swoje jasne języki w uliczne wąwozy, prześlizgując się najpierw po czerwonych dachach, by zejść niżej i zagrać refleksami na szybach w oknach domostw, podążyć po ścianach, do tych większych szklanych połączeń wystaw składów i magazynów, by w końcu spłynąć na sam dół, do wilgotnych od porannej rosy łbów kamieni brukowych. Wtedy będzie można wreszcie przeczytać wszystkie te nagromadzone grubą klejowo-papierową warstwą przesłania, prośby i polecenia, ale na razie wszędzie dokoła było ciemno i ponuro. Co prawda ulicę oświetlały lampy gazowe, lecz ich blask dawał tylko możliwość zorientowania się w kierunku spóźnionym wędrowcom, powracającym z nocnych eskapad po knajpach i dancinгах. Nie były to wszakże lampy elektryczne, które instalowano od pewnego czasu na najważniejszych ulicach i placach miasta, wytwarzające za pomocą żarówek światło jasne jak w dzień. Te zwykłe, gazowe, świeciły na słowo honoru, byleby tylko świecić, tak by idący pod nimi przechodzić nie stracił orientacji i nie połamął nóg.

Ów stojący przy słupie mężczyzna w ciemnym płaszczu i kapeluszu na głowie najwyraźniej nie zwracał uwagi ani na ogłoszenia, ani na lampy. On był zainteresowany czymś zupełnie innym. Spoglądał na przeciwległą stronę ulicy. Tam, w odległości jakichś dwudziestu kroków od niego, stała dorożka. Siedzący na koźle woźnica wyglądał jak kamienny posąg z pochyloną głową. O tym, że jest żywą istotą, świadczyło jednak głośne pochrapywanie, przechodzące chwilami w gwizd. Jego koń widać przyzwyczajony był do takich nocnych postojów, bo stał spokojnie, prychając tylko co jakiś czas chrapami. On też zdawał się drzemać. Na szczęście śpiącym nie przeszkadzał żaden, najdrobniejszy nawet szmer. Ulica Wielkie Garbary jeszcze spała, odpoczywając po ciężkiej nocy, wypełnionej po brzegi strumieniami wódki i piwa, przelewającymi się we wszystkich pobliskich szynkach i gospodach.

Naraz drzwi osadzone w solidnej, dębowej bramie otworzyły się, wypuszczając na ciemną ulicę odrobinę światła ze świecy. Gruby jak beczka piwa stróż wyszedł na zewnątrz, oświetlając przejście między bramą a dorożką.

– Ej ty, dryndziarz! – zawołał w kierunku pogrążonego we śnie dorożkarza. – Ej drynda, do roboty! – krzyknął nieco głośniejszym głosem, a śpiący poruszył się na koźle i zaraz potem przetarł kułakami zaspane oczy. Koń też się przebudził, bo zarżał, najwyraźniej zadowolony, że wreszcie kończy się to bezproduktywne oczekiwanie i być może ruszą niebawem do stajni.

– Szanowne panowie, poproszę bardzo. – Stróż odwrócił się i spojrzał za siebie.

Z bramy wyszło dwóch mężczyzn. Jeden szedł pewnie, zdecydowanym krokiem, ale drugi z wyraźną trudnością podążał za swoim towarzyszem. Stróż natychmiast wyczuł okazję do zarobienia dodatkowego grosza. Niezwykle delikatnie, ale zdecydowanie ujął gościa pod ramię i podprowadził go do dorożki. Ten pierwszy wsiadł już do środka i teraz, widząc, że jego towarzyszowi potrzebna jest pomoc, wychylił się i podał mu rękę. Wspólnie z cieciem wwindowali

go do góry, po czym mężczyzna opadł ciężko na siedzenie. Dorożka zajęczała, ale na szczęście była solidnie zbudowana i nie takie ciężary już zdarzało jej się dźwigać. Bardziej trzeźwy z dwójki sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pugilares. Wygrzebał z niego jakiś banknot i podał go stróżowi. Ten zadowolony ukłonił się wpół, a potem klepnął woźnicę w kolano.

– No, jedźże, chłopie, i zawieź mi szanownych panów, dokąd tam chcą. Ino żebyś nie trząśł za bardzo tą dryndą.

– Trzym się swojej bramy, szuszwolu niemyty – burknął dorożkarz, którego najwyraźniej zirytowała nadgorliwość stróża. Strzelił batem nad końskim zadem i zwierzę wolno ruszyło przed siebie.

Ciec tymczasem chuchnął na banknot i schował go do kieszeni. Nim dorożka zdołała zawrócić na pustej ulicy, by odjechać w kierunku placu Bernardyńskiego, stróż zniknął za drzwiami w swojej bramie. Chwilę później była już przy skrzyżowaniu z niewielką przecznicą Wszystkich Świętych, tam gdzie stał słup ogłoszeniowy. Naraz wyskoczyła zza niego postać w ciemnym płaszczu i jednym susem dopadła dorożki. Mężczyzna wskoczył na stopień, a z drugiej strony ulicy podbiegł inny, blokując drugie wyjście. Obaj mieli na twarzach maski z chust, z dziurami wyciętymi na oczy, lśniące teraz złowieszczo w księżycowej poświacie.

– Co jest, do cholery?! – zawołał dorożkarz, ale natychmiast przeszła mu ochota do zadawania kolejnych pytań, gdy poczuł, jak w kark wbija mu się coś twardego i zimnego.

– Jedź i zamknij ryło! – nakazał ten w kapeluszu. Drugi, w kaszkiecie na głowie, wycelował pistolet w stronę pasażerów.

– Dawać portfele, piniądze, pirścionki i co tam jeszcze mota – warknął groźnie do obu mężczyzn.

– Porcygary i dulary – zaśmiał się ten drugi, który nie musiał już pilnować woźnicy. Ten pilnował się sam, lekko poganiając konia. Bandyta zdjął kapelusz i odwrócił go do góry dnem.

– Ładować wszystko do srodeczka. A jak który z szanownych panów coś zachowa dla siebie, to jak mi Bozia miła, łeb odstrzelę w try

miga.

– To oburzające! – wybełkotał z trudem ten, który przed chwilą miał kłopoty z chodzeniem. Jak się okazało, z mówieniem również. Jego druh za to nie miał żadnych kłopotów z przetrząśnięciem swoich kieszeni. Ich zawartość w błyskawicznym tempie znalazła się w kapeluszu. Widać musiał być dobrym przyjacielem, bo pomógł też koledze pozbyć się niepotrzebnych rzeczy.

Nim dorożka dojechała do placu Bernardyńskiego, obaj zamożni pasażerowie stali się byłymi zamożnymi pasażerami. Bandydzi tymczasem podziękowali grzecznie za podwózkę, zeskoczyli z dorożki i pobiegli w głąb Wielkich Garbar. Po chwili stukot ich podkutych butów ucichł, a sylwetki zbiegów rozplynęły się w szarości świtu.

*

Godzina 8.40 rano

Więc powiadacie, że ów bandyta chciał was zastrzelić?

– Jak pragnę zdrowia, panie aspirancie. Bo inaczej po co by wyciągał ten leworwer i celował we mnie, a ten drugi w mojego znajomka od interesów, tego chudego Arona Dubeltowegibela z Łucka, kupca kolonialnego?

– A pan Dubeltowegibel mówi, że on tylko machał tym pistoletem na postrach. Że jakby chciał was zabić, to już by było po was.

– Dubeltowegibel to on jest człowiek małej wiary. Co on może w ogóle wiedzieć, jak on był tak pijany, że ja jego prawie na własnych plecach musiałem prowadzić do dorożki.

– A Dubeltowegibel mówi, że to on pana prowadził.

– I popatrz się pan, panie aspirancie, co ja mam za kolegę od interesów, jak on nawet nie potrafi prawdy Policji Państwowej powiedzieć. Ja jego ciągnę do dorożki, co może poświadczyć stróż, ten sam, co nam bramę za opłatą nocną otwierał i co on tę wypłatę zainkasował z mojej kieszeni. A jak już zainkasował, to wtedy te bandyty na nas wskoczyły i dalej wymachiwać leworwerami. No i jak

on może powiadać, że oni nas chcieli tylko nastraszyć, jak jeden z nich, ten ze złamanym nosem, pistolet mi do głowy przystawił i kazał wszystko, co mam w kieszeniach, oddawać, to ja jemu oddałem, jak przykazał, bo co mnie tam kosztowności wielkie, jak ja bym miał życie stracić. Bo przecież złoty łańcuch na rękę, złoty zegarek kieszonkowy na grubym łańcuchu, obrączkę także ze złota i do tego jeszcze portcygar złoty, a w portfelu to będzie dwa tysiące dolarów... Wszystko przepadło, wszystko przepadło, ale życie zostało. A póki życia starczy, to się to wszystko odrobi, a tego bandytę złapie i osądzi, a potem powiesi...

– Panie Libuber, niech pan poczeka z osądzaniem i skazywaniem na śmierć, aż my tych bandytów złapiemy – przerwał mu wreszcie aspirant Oskierko. – Sądy są u nas od skazywania, a my od łapania bandytów i właśnie...

– I całe szczęście, że to w sławnym mieście targowym Poznaniu się stało, a nie na ten przykład w naszym Łucku, gdzie nasi policjanci myślą tylko o tym, żeby na piecu poleżeć i wódki się napić. Ale tu, w Europie, to się tych bandziorów raz, dwa złapie i znajdą się moje skradzione rzeczy...

– To ile tych dolarów było w portfelu?

– Trzy tysiące!

– Przed chwilą mówił pan, że dwa?

– Dwa? Niemożliwe. Były trzy tysiące. Przecież ja przyjechałem tu z gotówką na zakupy, to wiem, ile gotówki było. Bo ja jestem, panie aspirancie, porządny kupiec konfekcyjny. Ja na cały Łuck i okolicę dostarczam najlepsze materiały do szycia ubrań, prosto z Paryża i Berlina, i nawet z miasta Łodzi. Mówię panu, niczego lepszego pan nigdzie nie znajdzie, jak u Jakuba Libubera. Jakby na ten przykład pan aspirant chciał sobie obstałować elegancki garnitur, to ja bym zaraz mógł panu przysłać sztukę najlepszej wełny garniturowej z Berlina. Powiadam panu, europejski szyk! A jaka cena? Darmo, prawie że darmo!

– Co mi pan tu gadasz o garniturach! O bandytach mów pan. Co się dało zapamiętać?

– Wszystko, co pan aspirant szanowny tylko chce, się dało spamiętać. Najbardziej to ten nos pod chustką, bo tak wyglądał, jakby on tego nosa całkowicie nie miał, znaczy taki bardziej jakby rozdeptany...

– A niech mi pan jeszcze powie... – Oskierko przeszył kupca świdrującym spojrzeniem, żeby ten wiedział od razu, że nie warto go oszukiwać. – A kogo żeście panowie tam po nocy odwiedzali na tej ulicy Garbary?

Libuber chrząknął i zaraz sięgnął do kieszeni marynarki, wydobywając z niej kraciatą chusteczkę. Najpierw przetarł nią oczy, a potem wydmuchał głośno nos.

– No, w zasadzie to myśmy byli w odwiedzinach u znajomej. Bardzo poważnej znajomej.

– Znajomej?

– Bardzo wielkiej damy. Nasza znajoma prowadzi tam salon towarzyski. Sama elita, panie szanowny, tam przychodzi. Tacy goście, że wielki szacunek dla nich za sam wygląd. A jakie bogate towarzystwo...

– A czy wasza znajoma to czasami nie jest madame Cocot?

– Coś takiego? Pan aspirant też bywa u madame Cocot? Jakież ten świat jest mały.

Teraz chrząknął Oskierko, który rzeczywiście jakiś czas temu był gościem przybytku prowadzonego przez tę panią, ale był to epizod w jego życiu, o którym raczej wolałby zapomnieć.

– Nie bywa, ale zna, z obowiązków policyjnych znam wszystkie burdele! – mruknął, ale bez specjalnego przekonania.

– No proszę, jak to można pracę połączyć z przyjemnością. Mało która praca daje służbową konieczność bywania w burdelach. Zwykli ludzie muszą za takie przyjemności płacić...

– Co mi pan tu imputuje?

– Ja? Uchowaj Boże. A co ja mogę panu aspirantowi amputować? Ja tylko chcę odzyskać swoje pieniądze.

– To ile ich było?

– Kogo? Bandytów? Dwóch.

– Pieniędzy.

– Dwa tysiące dolarów.

– A mówił pan, że trzy.

– A może trzy. Madame Cocot będzie dokładnie wiedziała, ile myśmy tam u niej za gościnę i szampana zapłacili... Ale żeby tak dużo, to nie. Trzy, na pewno trzy tysiące.

Oskierko zapisał coś w swoim notesie, a potem zamknął go, dając przesłuchiwanemu wyraźnie do zrozumienia, że zakończono właśnie przesłuchanie.

– To co będzie z moimi pieniędzmi? – zapytał kupiec konfekcyjny.

– Pieniędze? – zdziwił się policjant. – Jak się znajdą, to oczywiście oddamy, ale na to bym raczej nie liczył. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby policja odebrała bandytom pieniądze...

– To co ja mam teraz zrobić, panie szanowny?

– A bo ja wiem? Idź pan na wódkę albo co. Tylko nie noś pan przy sobie zbyt dużo gotówki, bo takie coś nigdy się dobrze nie kończy.

*

Godzina 9.30 rano

Komisarz Antoni Fischer ledwie zdążył przełknąć pierwszy kęs chleba z kielbasą suchą krakowską, gdy rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu. Zaklął cicho pod nosem, upił łyk herbaty, odchrząknął, by przeczyścić gardło i uczynić je zdatnym do rozmowy, i w końcu zawołał gromkim głosem:

– Wejść!

Drzwi otworzyły się i do środka wmaszerował aspirant Oskierko w dopasowanym, jakby szytym na miarę policyjnym mundurze. Podszedł do biurka swojego szefa i jak na placu apelowym zatrzymał

się w przepisowej odległości dwóch i pół metra od pryncypała. Zasalutowawszy sprężyście, zameldował:

– Aspirant Oskierko Walenty melduje się na służbie!

Fischer nic nie odpowiedział, tylko sięgnął do kieszeni kamizelki po zegarek. Wydobył swoją srebrną omegę, otworzył kopertę, a potem ją zamknął.

– Dziewiąta trzydzieści – stwierdził i schował zegarek na powrót do kieszonki. – Czas się zgadza. – Pokiwał głową i wskazał podwładnemu krzesło.

Ten zadowolony usiadł, aż drewno zaskrzypiało głośno pod jego ciężarem. Nie żeby aspirant Oskierko był zbyt ciężki. W porównaniu z komisarzem Fischerem, postawnym i dobrze zbudowanym mężczyzną o atletycznej sylwetce, wyglądał jak chuchro. Był jednak silny i gibki. O takich ludziach powiada się, że są jak sprężyna. Tę giętkość, jak sam mówił, wyniósł z kawalerii. Bo aspirant Oskierko, zanim przyszedł do policji, był ułanem, który podczas wojny polsko-bolszewickiej, jako świeżo upieczony podporucznik IV Brygady Kawalerii, brał udział w tym słynnym kontrataku wyprowadzonym znad rzeki Wieprz, który w konsekwencji przyniósł odrzucenie wroga od stolicy. Tak się szczęśliwie złożyło, że po wiktorii warszawskiej dowództwo sypało orderami jak z rękawa, więc i Oskierko dostał zaszczytne wyróżnienie w postaci Virtuti Militari, choć tak naprawdę nie bardzo wiedział za co. Jednak fakt, że wyróżnił się na froncie, sprawił, że już po zakończeniu wojny zaproponowano mu pozostanie w wojsku, a po przewrocie majowym wysłano go do pracy w policji na trudnym poznańskim odcinku, w miejsce, w którym nieszczególnie przepadano za ludźmi „od Piłsudskiego”. Fakt, było w tej delegacji drugie dno, ale on nie bardzo lubił to rozpamiętywać i wolałby o owym drugim dniu zapomnieć. Dość powiedzieć, że doszło do skandalu towarzyskiego, w którym młody przystojny podporucznik, brunet z zawadiackim wąsem, grał główną rolę wraz z pewną panią rotmistrzową. W zasadzie powinien wylecieć z armii na zbity pysk, ale tak przecież nie postępowano z bohaterami znad Wieprza. Dowódca

pułku złożył aspirantowi propozycję nie do odrzucenia i w ten sposób Oskierko znalazł się w Poznaniu.

Jego nowy dowódca, komisarz Antoni Fischer, również był weteranem. Podczas Wielkiej Wojny służył jako podporucznik w armii pruskiej, później walczył ze swoimi dawnymi polskimi towarzyszami broni u boku w powstaniu wielkopolskim, a w końcu trafił z poznańskimi pułkami na wschód. Po wojnie w pełni świadomie jednak zrezygnował z munduru wojskowego i zamienił go na policyjny. Tyle że ten granatowy wisiał u niego w szafie, bo Fischer wolał do pracy chodzić w garniturze.

Oskierko siedział teraz na krześle i jako zdyscyplinowany podwładny czekał, aż jego pryncypał się odezwie. Ten najwyraźniej nad czymś się zastanawiał, stukając przy tym palcem w blat biurka. Blat podrapany i pełen zadziórów. Wszystkie meble w tym biurze były kiepskiej jakości. Biurko, szafy na dokumenty, a nawet niewielki stolik kawowy z dwoma fotelami, przy którym nikt nigdy nie pił kawy, zrobiono ze zwykłego sosnowego drewna okleinowanego orzechem. Ten orzech miał dodawać im dostojności i powagi, jednak nie trzeba było być specjalistą od stolarki meblowej, żeby natychmiast zauważyć kiepską jakość wykonania. Meble odziedziczone zostały przez poznańską policję w spadku po policji pruskiej i stanowiły całkowite zaprzeczenie niemieckiej solidności.

W końcu komisarz otworzył szufladę i wyjął z niej starą, wysłużoną wiśniową fajkę. Nabił ją tytoniem i podpałił. Teraz Fischer był gotowy do rozmowy.

– I co pan powiesz, panie Oskierko?

– Mamy kolejnych dwóch napadniętych, panie komisarzu – stwierdził aspirant z całkiem zadowoloną miną.

– To z czego pan się cieszysz?

– Bo wreszcie jakiś konkretny jest...

– Czyli że co?

– Czyli że obaj napadnięci, których obrabował ten cholerny Zorro, widzieli wreszcie jego gębę.

– Obaj widzieli dokładnie i opisali?

– I tak, i nie.

– Mów pan jaśniej, w czym rzecz, bo nie mam ochoty na rozwiązywanie szarad.

– Tak jest. Znaczy melduję, że jeden widział, bo drugi nic zupełnie nie pamięta. Obaj wychodzili w nocy z burdelu na Wielkich Garbarach pod numerem 49. I gdy wsiedli do dorożki, która na nich czekała, natychmiast zaatakowali ich ludzie w maskach.

– To znaczy, że dwóch było tych Douglasów Fairbanksów.

– Tak jest, dwóch, ale jednemu przyjrzał się bliżej pierwszy z naszych napadniętych. Ten bardziej trzeźwy, bo drugi, ten, co nic nie pamięta, był kompletnie pijany... No więc ten bardziej trzeźwy twierdzi, że ten człowiek w masce był całkiem blisko niego i on zdążył mu się przyjrzeć.

– Jemu? Chyba masce.

– Ano właśnie, panie komisarzu, masce. I on mówi, że może nawet przysiąc, że pod tą maską był nos płaski...

– Złamany! – ucieszył się Fischer.

– Taki boksterski – dodał Oskierko.

– I to jest informacja, panie Oskierko szanowny. Mamy tu, co prawda, całą menażerię łachudrów z przetrąconym klukiem, ale to znacznie zawęzi nam pole poszukiwań. Niech pan zaraz przekaże tę informację przodownikom Olkiewiczowi i Okoniowi, a oni naszym wywiadowcom. Jutro, najdalej pojutrze, chcę mieć wszystkich rozrabiaków z połamanymi nosami pod kluczem.

Oskierko poderwał się z krzesła, a to jak zwykle zaskrzypiało.

– Tak jest...

– Coś jeszcze pana niepokoi?

– Tak jest – potwierdził aspirant Oskierko. – Niepokoi mnie redaktor Tomczak z „Kuriera Poznańskiego”, co to siedzi na dole na korytarzu i chce się koniecznie widzieć z panem komisarzem w sprawie tych napadów na targowych gości. Mówi, że jak go pan nie

przyjmie, to sam napisze artykuł o tym, że ten Zorro napadł już dwadzieścia osób, i się zrobi z tego afera międzynarodowa.

– Cholerny szantażysta – mruknął Fischer. – No dobra, dawaj go pan tu do mnie. Już ja mu zrobię aferę międzynarodową ze *Znakiem Zorro* w głównej roli.

*

Sobota, 20 lipca, godzina 8.35 wieczorem

Słońce powoli spływało na dachy wysokich, cztero- i pięciopiętrowych kamienic, dumnie wystawiających swoje ozdobne secesyjnymi balonami brzuchy ku przejeżdżającym pod nimi dorożkom, automobilom i zielonym tramwajom. Mało kto jednak spośród jadących albo przechodzących ulicą marszałka Ferdinanda Focha zadzierał głowę w górę, by podziwiać kunszt mistrzów sztukaterii, którzy ozdobili szczyty budynków wymyślnymi ornamentami i reliefami, albo kowalskich wirtuozów, przystrajających balkonowe poręcze metalowymi pnączami, przypominającymi do złudzenia żywe gałęzie upstrzone drobnymi listkami. Nie było na co patrzeć, jeśli się miało te widoki na co dzień i od dawna się do nich przyzwyczajało. Tutaj od zawsze stąpało się mocno po ziemi i mało która głowa błędziła w chmurach, podziwiając słoneczne zachody i wschody. W tym mieście ceniono się przede wszystkim sumienną pracę, która jak wiadomo jest podwaliną wszelkiego dobrobytu. Poznaniacy przejeżdżali więc i przechodzili wzdłuż pięknych kamienic, po równo ułożonych chodnikach i solidnie wybrukowanych jezdniach, myśląc o tym, jak prowadzone przez siebie interesa przekształcić w brzęczące złotówki, a ochy i achy nad przepychem poznańskiej secesji, przeflancowanej wprost z nieodległej, berlińskiej metropolii, zostawić przyjezdnym.

A tych w ostatnim czasie było tu tak wielu, że mało który z uważnych obserwatorów odróżniłby przyjezdnego od miejscowego. Dopiero gdy gość ów odezwał się z pytaniem o drogę, tutejsze

wywijasy natychmiast rozpoznawały bezbłędnie, z kim mają do czynienia. Nie było to trudne, bo w Poznaniu mówiło się twardo, z charakterystycznym kocim miauczeniem, gdy się chciało o coś zapytać. Ci natomiast, którzy mówili z miękkim zaśpiewem, to byli goście, co do których nikt już się nie bawił w dokładne określenie, skąd pochodzą. Mówiono o nich galicyjoki z Kongresówki. To rozróżnienie na swoich i obcych było konieczne, by móc zaoferować odpowiednią cenę za niezbędne po przyjeździe usługi i niepotrzebnie nie tracić czasu i atłasu, narzucając się poznaniakom. Wiadomo bowiem było, że poznaniak tragarzowi walizki nie odda do niesienia, choćby i nawet ważyła ze dwadzieścia kilo, i sam, uginając się pod ciężarem, zanieś ją do domu, bo i na dorożkę tracić grosza nie będzie. Co innego goście. Ci mieli gest. Przyjeżdżali z kuframi i walizami, do których trzeba było wynajmować wielkie wózki bagażowe, przewożące paki na podjazd przed Dworcem Głównym albo Zachodnim. Potem dryndziarze pakowali je na swoje dorożki, czekając, aż państwo przyjezdni, pokrzepiwszy się w dworcowej restauracji limonadą lub piwem, zasiądą na wygodnych kanapach i każą się wieźć do któregoś z wykwintnych poznańskich hoteli. O takich podróźnych bandy młodocianych tragarzy toczyły prawdziwe wojny, poszukując najlepszych gości, na których można było zarobić poważne pieniądze.

Gdy więc wieczorny warszawski pospieszny, nazywany przez miejscowych sznylcugiem, wtoczył się, buchając kłębami białej pary, na pierwszy peron, kilkunastu wyrostków rozbiegło się na prawo i lewo, wypadając z różnych dworcowych zakamarków. Wcześniej żadnego z nich nie było widać, bo kryli się przed kolejarzami, którzy jak to w Poznaniu, sumiennie wśród oczekujących na przyjezdnych sprawdzali bilety peronowe. Młodzi tragarze nie przychodzili tu jednak tracić forsy na peronówki, ale by ją zarabiać. W chwili gdy pociąg wjeżdżał na stację, nie musieli się już obawiać kontroli. W tłumie stawali się nieuchwytni, bo natychmiast chwyтали za bagaże,

oferując wysiadającym najlepszą, a w istocie poważnie zawyżoną cenę.

Ten, który upatrzył sobie postawnego mężczyznę o wyglądzie atlety z przetrąconym nosem, musiał się jednak obejść smakiem. Postawił na złego konia i przegrał, bo koń okazał się nieużyty i do tego jeszcze mrukliwy, jakby był z Poznania.

– Puszczaj walizkę, bo dam w łeb – warknął, chwytając chłopaka za ucho, gdy ten próbował wyszarpnąć mu bagaż z dłoni.

– Łe, tej sam się puszczaj! – krzyknął młodzieniec i odskoczył jak oparzony.

– Paszoł won, bo stójkowego zawołam!

– Stójkowy to w Moskwie, ruski ćwoku! – Chłopak odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, bo jak długo żył, a miał już prawie trzydzieści lat, nikt jeszcze nie nazwał go ruskiem. Ruszył w kierunku, w którym podążała cizba ludzka, wiedziony przekonaniem, że strumień ów poprowadzić go musi do wyjścia do miasta. Po chwili znalazł się na obszernym placu przed głównym dworcem. Przystanął, by ocenić architektoniczny rozmach budynku, lecz musiał przyznać, że ten nie robił wielkiego wrażenia. Solidny gmach z czerwonej cegły, ale bez światowego blichtru i przepychu, pomyślał i postawił walizkę na chodniku z betonowych płyt. Wrażenie za to zrobił na nim tramwaj, który zatrzymał się przed budynkiem. Nigdy dotąd bowiem nie widział zielonego tramwaju. To była więc pierwsza prawdziwa osobliwość tego miasta, którą dostrzegł i zanotował w pamięci kierownik Wydziału Śledczego Komendy Powiatowej w Lublinie, podkomisarz Zygmunt Maciejewski.

– Szanowny pan winszuje sobie dorożkę? – zapytał wąsaty mężczyzna, odziany w staromodny surdut i w kraciastym kaszkiecie na głowie.

– A do hotelu „Polonia” to będzie daleko? – zapytał Maciejewski, spoglądając na przysadzistą sylwetkę jakiejś ponurej wieży po drugiej stronie torów kolejowych.

– To jest, panie szanowny, Poznań, znaczy duże miasto. Tu wszędzie jest daleko – wyjaśnił dorożkarz. – A to jest Wieża Górnoszląska – dodał, uchwyciwszy spojrzenie podkomisarza. – Jeszcze szkiebry ją postawili. Ale się ją wyburzy, bo wygląda jak gówno postawione na stole.

– A ile by kosztowało, znaczy przejazd do hotelu, a nie burzenie wieży? – zapytał Zyga, przeliczając w myślach swój niezbyt okazały budżet delegacyjny.

– Za dziesiątaka się pojedzie, jak dla szanownego pana. Ino że płatne z góry.

Maciejewski pomyślał, że dziesięć złotych to fortuna, bo w Lublinie za złotówkę mógł przejechać pół miasta i z powrotem. No ale tu był Poznań, miasto targowe, więc pewnie też i ceny inne.

Podkomisarz przyjechał do Poznania wcale nie po to, żeby zaspokoić tylko i wyłącznie własną ciekawość. Owszem, bardzo był ciekaw tego wszystkiego, co wystawiano na tej wielkiej i już bardzo słynnej Powszechnej Wystawie Krajowej, ale gdyby miał na tę wyprawę wydawać własne pieniądze, zastanowiłby się bardzo mocno, czy jechać. Okazało się jednak, że wcale nie musi podejmować tak trudnej decyzji. Podjął ją za niego jego własny przełożony, nadkomisarz Albin Sobociński.

Miesiąc temu, gdy wieść o PeWuce zdążyła obieć już cały kraj, a z warszawskich central urzędów państwowych popłynęły zachęty na prowincję, żeby pracownikom w miarę możliwości ułatwiać wyjazdy na wystawę, a nawet delegować co lepszych w nagrodę za dobrą służbę, przełożony wezwał go do siebie.

– Pan jesteś nieżonaty i bez poważnych zobowiązań, więc co to dla pana taki wyjazd. Kopsniesz się pan do tego Poznania, trzy dni tam posiedzisz, odpoczniesz, a co zobaczysz, to twoje, znaczy się pańskie, panie podkomisarzu szanowny – objaśnił dokładnie swoją propozycję Sobociński. A Maciejewski ucieszył się bardzo, choć nie miał zamiaru tego w żaden sposób okazywać. Niech nadkomisarz myśli, że wyjazd wcale mu się nie uśmiecha.

– Pociągiem to cały dzień zejdzie pewnie – rzucił tonem naburmuszonego nastolatka.

– Ale pan jeszcze młody jest, panie Zygmuncie. Co to dla pana taki przejazd przez pół Polski. Ale za to co pan tam zobaczy na miejscu? Wszystko, co się da zobaczyć, co najlepsze w Polsce, na wyciągnięcie ręki.

– Bilety drogie, a i jedzenie na drogę trzeba zakupić, no a hotel? Przecież na dworcu człowiek się nie wyśpi...

– Nic się pan nie kłopotz o koszt! Pokryjemy, znaczy urząd pokryje podróż w tę i nazad, a do tego jeszcze noclegi w dobrym hotelu. Wszystko się załatwi. Zaraz zatelegrafujemy do kolegów z Poznania, żeby jaki dobry hotel znaleźli dla naszego przedstawiciela. Co ja mówię? Jaki dobry? Najlepszy, panie Zygmuncie, najlepszy hotel w mieście.

Dorożka zatrzymała się przed ogromnym portykiem ozdobionym czterema kolumnami z jońskimi głowicami. Zyga wyskoczył na chodnik, a dorożkarz podał mu jego tekturową walizkę, która z daleka wyglądała, jakby zrobiona była z autentycznej skóry.

– Niech się szanownemu panu dobrze odpoczywa. – Woźnica uchylił kaszkietu, a potem strzelił z bata i stara chabeta ruszyła żwawo przed siebie.

– A żeby cię nagła jasna cholera trafiła! – mruknął pod nosem Maciejewski, spoglądając za odjeżdżającą dorożką. „Tu wszędzie jest daleko”, powiedział mu dorożkarz, zanim podkomisarz zdecydował się wynająć podwózkę. Co było robić? Skoro to daleko, nie będzie przecież laził pieszo w pierwszy dzień po przyjeździe i zdzierał zelówek, skoro najbliższe dwa dni nic innego nie będzie robić. Kazał się więc zawieźć do hotelu i ledwie wsiadł, dorożka już przystanęła. Jazda nie zajęła nawet pięciu minut. Niestety za kurs zapłacił z góry tyle, ile chciał dorożkarski cwaniak, czyli całą dychę. Nieźle się zaczynał pobyt w Poznaniu. Już na samym początku dał się nabrać...

Wtem gdzieś w pobliżu rozległ się potężny zgrzyt, a potem huk. Maciejewski odwrócił się za siebie. Dorożka, którą przyjechał przed

chwilą, leżała na boku. Obok niej wbita w połamane koło wozu stała ciężarówka Forda. Woźnica z batem w dłoni właśnie wstawał z brukowanej jezdni, a jego kobyła stała nadal w zaprzęgu, tak jakby zupełnie nic się nie stało.

Trzeba uważać z przekleństwami, doszedł do wniosku lubelski policjant i z walizką w dłoni ruszył do hotelowego foyer. Nikt mu nie otworzył drzwi. Widać tu, w Poznaniu, nie znali instytucji hotelowego odźwiernego. W Lublinie nie do pomyslenia.

*

Godzina 11.50 w nocy

Jaki ten świat jest mały, nie sądzisz, Zygmusiu? – Grubas uśmiechnął się niezwykle zadowolony, położył Maciejewskiemu ręce na ramionach i ucałował go z dubeltówki w oba policzki. Zyga ze wstrętem odsunął się od namolnego gościa, ale ten był czujny i zaraz podszedł krok bliżej. – Kto by przypuszczał, że się tu, na tych kresach, odnajdziemy? Taki kawał od naszego kochanego Lublina! My, ludzie z centralnej Polski, to żeśmy się powinni trzymać razem, co myślisz? – Spojrzał na Maciejewskiego z nadzieją w oczach.

Tyle że podkomisarz na urlopie nie miał ochoty trzymać się razem z nauczycielem matematyki Woronieckim, na którego natknął się tutaj zupełnie przypadkiem. A jak już się natknął, to popełnił zasadniczy błąd, bo powinien po przywitaniu natychmiast się pożegnać i wyjść z tej knajpy. Jego coś jednak podkusiło, żeby przyjąć zaproszenie dawnego kolegi z gimnazjalnej ławy, za którym zresztą nie bardzo przepadał, bo z zasady nie lubił wszelkiej maści narodowych żydożerców. Swego czasu z Woronieckim miał nawet poważny zatarg, bo ten próbował zagrozić wejście do szkoły, rosyjskiego jeszcze wówczas gimnazjum, młodszemu koledze Eugeniuszowi Kraftowi, tylko dlatego że tamten był protestantem. Zyga musiał interweniować i pacnął Woronieckiego w narodowy łeb, co sprawiło, że ten nabrał do Maciejewskiego nabożnego wręcz

szacunku. Z protestantem Kraftem do dziś pracował w lubelskiej policji, a Woronieckiego nie widział przynajmniej dziesięć lat. Musiał przyznać w duchu, że nic nie stracił, nie pielęgnując szkolnej znajomości. Przynajmniej nie widział, jak jego kolega rośnie w szerz i miast jednego rosną mu trzy podbródki. No i ów Woroniecki, gdy tylko dostrzegł go wchodzącego do restauracji, od razu zerwał się od stolika i pobiegł w jego kierunku. Pochwycony Zyga nie miał w zasadzie najmniejszej szansy na ucieczkę. Poza tym nie bardzo się opierał, bo raz, że nie wiedział jeszcze, co go czeka, a po drugie, musiał coś zjeść, zaś hotelowa kuchnia była już nieczynna.

– Jak to nieczynna? – zdziwił się, gdy wszedł nieco wcześniej do hotelowego foyer i stanął przed kontuarem recepcji.

– No, normalnie. – Recepcjonista, który trzymał w ustach wykałaczkę, wzruszył ramionami. – Tylko do szóstej wieczorem jest czynna restauracja, a potem szlus. Zamykają, bo jak na razie to jeszcze nie ma u nas nocnej restauracji z dancinikiem. Miała być na PeWuKę, ale nie zdążyli zrobić wszystkiego. Jeszcze ją budują, ha, ha, ha! Powiadają, że ma być na jesień. Ino że póki co nie ma – wyjaśnił, podając Maciejewskiemu klucz. Ten wziął go szybko do ręki, tak na wszelki wypadek, żeby przypadkiem nie okazało się, że jego pokój też będzie czynny od jesieni.

– To gdzie ja mam zjeść kolację? – zapytał z nadzieją, że może jednak coś się w tej sprawie da zrobić. Ostatni ciepły posiłek jadł bowiem w Warszawie ładnych kilka godzin temu, bo w pociągu to szkoda gadać. Przekąsił tylko dwa jajka na twardo i do tego dwie kromki chleba posmarowane masłem. No ale to była tylko przegryzka. Teraz potrzebował czegoś bardziej solidnego i poza wszystkim musiał się napić.

– Jak pan wyjdzie z hotelu, to na drugiej stronie ulicy jest „Willa Flora”. – Recepcjonista wskazał głową kierunek. – Zobacz pan taki ładny domek z ogródkiem z muszlą koncertową i nawet tam mają kort tenisowy...

– Nie gram w tenis.

– Nikt grać nie musi, choć w środku mają też kilka stolików i roletkę, jak kto lubi piniądz stracić. Ale mają i jedzenie, i picie do samego rana.

– No to inna rozmowa. – Zyga chwycił swoją walizkę i rozejrzał się za jakimś hotelowym boyem, co by mu wskazał drogę. Nie było jednak w pobliżu nikogo. Widać oszczędzało się tu nie tylko na odźwiernych, ale i na zwykłych chłopakach od walizek.

– Teraz schodami w górę i potem na lewo. Pana pokój jest 124 – pokierował go recepcjonista. – No chyba że szanowny pan ma życzenie jechać windą, to tam, w drugą stronę.

– O, macie tu windy? – zdziwił się policjant, który jeszcze w życiu nie jechał takim nowoczesnym urządzeniem.

– Nie jedną windę, a dwie, do tego dziewięć klatek schodowych i trzysta sześćdziesiąt dwa pokoje. Najnowocześniejszy hotel w Polsce – dodał z dumą mężczyzna.

I do tego wszystkiego restauracja czynna tylko do szóstej, pomyślał Zyga. Co było robić? Wsiadł oczywiście do windy, w której nie było windziarza, więc trochę się bał, że kabina wywiezie go nie tam, gdzie trzeba. Ale po wciśnięciu przycisku z numerem pierwszym dotarł na pierwsze piętro i zdążył nawet wysiąść, nim winda odjechała. Zostawił walizkę w pokoju, który pachniał jeszcze farbą i wapnem, bo hotel oddano do użytku zaledwie trzy miesiące temu, i zaraz wyszedł z budynku w poszukiwaniu restauracji. „Willa Flora” rzeczywiście była tuż obok. Wkroczył więc zadowolony do środka i od razu wpadł w ramiona swojego dawnego kolegi ze szkolnej ławy.

Chcąc nie chcąc, dał się zaciągnąć do stolika, a później ten wieczór już się jakoś potoczył. Zjadł miejscowy przysmak polecany mu przez kelnera, czyli kaczkę pieczoną w ciemnym sosie z pyzami i modrą kapustą, a wszystko to zapił pierwszorzędną zimną wódką czystą z miejscowej wytwórni o wdzięcznej nazwie Likwowin.

– I co, to jeszcze jedną buteleczkę zamówimy? – Woroniecki mrugnął do niego porozumiewawczo. Najwyraźniej lubelski

nauczyciel zerwał się z łańcucha i teraz odreagowywał lata więzienia u boku żony.

– Ja już raczej do spania się nadaję – stwierdził Zyga nieco niewyraźnie. Pierwsza butelka wódki w połączeniu z całodziennym zmęczeniem dawały mu powoli w kość. Ale belfer nie ustępował...

– No to po seteczce, co, Zygmus? Panie ober, daj no pan jeszcze dwie seteczki i może piwo do tego – zaordynował. – Macie tu chyba jakieś piwo w tym Poznaniu? W końcu Niemcy to słyną w świecie z dobrego piwa, a tu jeszcze niedawno byli Niemcy, cha, cha, cha! – Zadowolony z żartu klepnął Maciejewskiego w ramię.

– Byli, ale my ich pogonili – stwierdził kelner z pięknie ułożonymi do tyłu na brylantynie włosami, spoglądając na żartownisia z Kongresówki z wyraźną niechęcią. – A szanowny pan to tam u was w Kongresówce sam pognał bolszewika czy poznańskie pułki musiały wam pomagać?

– Ja...ja... – Woroniecki zrobił się czerwony na twarzy, bo kelner uderzył celnie. Nie walczył na wojnie, bo odrzuciła go komisja poborowa, gdyż miał platfusa. Zresztą specjalnie nie starał się o przydział, bo przecież nie licowała z jego godnością służba w taborach, którą w zastępstwie frontowej mu zaproponowano.

– Mój kolega, ten oto tutaj, krew przelewał. – Wskazał na coraz bardziej nieobecnego podkomisarza. – A ja, a ja...

– A jakie piwo szanowni panowie se życzą? – zapytał kelner.

– A jakie tu macie piwo? Jakies miejscowe macie? – Zyga ocknął się i od razu przeszedł do konkretów.

– Oczywiście. Miejscowe z browaru Huggera to może być pilzner, koźlak, ale szczególnie polecam grodziskie.

– Grodziskie to z Grodziska – błysnął swoją fachową wiedzą Woroniecki, który już zapomniał o sporach i wojnach.

– Szanowny pan się myli. – Kelner postanowił wyprowadzić go z błędu. – Grodziskie jest nie nazwą piwa, ale gatunkiem, tak jak na ten przykład porter, koźlak czy pilzner. Grodziskie warzy się więc i w Grodzisku, i w Poznaniu czy jeszcze innych browarach.

– Coś takiego? – zdziwił się Woroniecki. – Co za żydowskie wymysły!

– Dawaj pan obojętnie które – mruknął Zyga, który poczuł, że oczy powoli mu się zamykają.

Kelner zrobił obrażoną minę i odszedł od stolika zrealizować zamówienie.

– Widziałeś go – nauczyciel wskazał głową odchodzącego – jaki mądrała? Nas chce tu pouczać. Pewnie jaki Żyd. Tu Żydy poprzebierane chodzą jak Niemcy, że na pierwszy rzut oka nie poznasz, dopiero jak w oczy takiemu spojrzysz... I taki nas chce pouczać, a my przecie z centralnej Polski, a nie z kresów jak oni! A w ruletkę kiedyś grałeś? – Przypomniał sobie nagle o szczególnej atrakcji, którą oferowała „Willa Flora”.

– Nigdy w życiu. – Zyga pokręcił głową, zaprzeczając, bo chciał powiedzieć, że hazard wcale go nie ciągnie, ale mu nie wyszło. Niby jasno myślał, tylko z wypowiedaniem słów było znacznie gorzej.

– No to trzeba nadrobić. Idziemy, żebyś później nie mówił, że stary kolega nic ci nie pokazał w tym zagranicznym mieście. A wystawę już widziałeś? Nie widziałeś! No to trzeba szybko zobaczyć wszystko co się da, bo to fenomenalne jest wszystko, powiadam ci, fe-no-me-nalne! Ale najpierw ruletka. Idziemy, a pan, panie ober, daj to piwo do tej jaskini hazardu! – zawołał w kierunku kelnera podążającego z tacą w ręce ku ich stolikowi i jednocześnie pociągnął za sobą nieco opierającego się Maciejewskiego.

*

Zyga patrzył na na obciążony zielonym sukniem stół i nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Niby wiedział, że ten żeton, który wcisnął mu do ręki Woroniecki, trzeba gdzieś postawić, ale gdzie, nie miał zielonego pojęcia.

– *Faites vos jeux!* – zarządził krupier i gracze natychmiast pochylili się nad stołem.

Maciejewski bezradnie rozejrzał się dokoła. Ludzie kładli żetony w różnych dziwnych miejscach na obrzeżu połaci z numerami, ale co to mogło oznaczać, tego nie wiedział. Na szczęście byli i tacy, którzy kładli je na konkretne cyfry. No więc zachęcony tym widokiem zaryzykował. Wyciągnął dłoń i położył swój żeton na trójkę. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat na trójkę. Tak mu jakoś przyszło do głowy, że to akurat jest jego szczęśliwa liczba. I pewnie nie tylko jego, bo gość w kraciastej marynarce też obstawił trójkę. Tyle że on na tę cyfrę postawił całą wieżę z żetonów, i to nie takich jak ten należący do Zygi, biało-czerwony o wartości pięciu złotych. Facet postawił na trójkę żetony biało-żółte, z których każdy wart był złotych sto. Maciejewski próbował je policzyć, ale mu się nie udało, bo obraz mu się nieco rozjeżdżał. Na pewno było ich przynajmniej dziesięć.

– Pojedyncza cyfra to błąd. – Szkolny kolega pokręcił głową z dezaprobatą. – Małe prawdopodobieństwo. Ja obstawiam parzyste. Mała wygrana, ale i mała przegrana. Trzeba jeść stale, ale małą łyżeczką, a ty raz postawisz i stracisz wszystko. Wiem, co mówię. Wspomnisz moje słowa, wspomnisz...

– *Rien ne va plus!* – powiedział głośno i wyraźnie krupier i wrzucił metalową kulkę w obracający się bęben.

Woroniecki pociągnął łyk piwa, wpatrzony w toczącą się kulkę, jakby chciał ją zaczarować świdrującym spojrzeniem wyłupiastych oczu. Zyga też patrzył w to miejsce, jednak nie widział nic, bo kulka była zbyt szybka dla jego zmęczonego wzroku. Naraz terkot ustał i kulka wpadła w któryś z przedziałów. Na razie jednak nie widać było w który, bo bęben jeszcze się kręcił. Przy stole do ruletki zapadła cisza. Spojrzenia wszystkich graczy wbiły się w okrągłą tarczę.

– *Trois, impaire!* – ogłosił krupier, a nad stołem poniósł się jęk zawodu.

Zyga zdziwiony spojrzał na swój żeton, upewniając się, że na pewno postawił na trójkę.

– Szczęście debiutanta... cholera! – mruknął Woroniecki.

– Wygrałem? – zapytał z niedowierzaniem Maciejewski.

– Jeden do trzydziestu pięciu!

– Jasna cholera...

Po chwili krupier podsunął w kierunku Zygi garść żetonów o wartości stu siedemdziesięciu pięciu złotych. Jednak to było nic w porównaniu z tą drugą wygraną, jaka przesunęła się w kierunku tego jegomościa, który również obstawił trójkę. Wygrana w postaci trzydziestu pięciu tysięcy to jest dopiero coś!, pomyślał Zyga, chowając swoją wygraną do kieszeni.

– Teraz właśnie powinienes obstawić, jak masz dobrą passę! – próbował go przekonać Woroniecki.

– Dzięki za pożyczkę. – Maciejewski podał koledze jeden żeton. – Ja nigdy nie gram w gry hazardowe. A poza tym bardzo się spieszę do hotelu – wyjaśnił i klepnąwszy Woronieckiego w ramię, ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze zatrzymał się jeszcze przy kasie i wymienił swoją skromną wygraną. Nawet bardzo skromną w porównaniu z tym, co właśnie przed chwilą zainkasował ten niepozorny człowiek stojący przy kasie obok. Zyga spojrzał na niego, a ten, podchwyciwszy to spojrzenie, na wszelki wypadek szybko schował pieniądze do kieszeni swojej kraciastej marynarki.

*

Noc była wonna i ciepła. Pachniały lipy, które rosły gdzieś w pobliżu, ale gdzie, tego Zyga dokładnie nie widział, bo w zasadzie mało co widział tego wieczora. Gdyby się obrócił i spojrzał na niski, piętrowy budynek restauracji i kasyna, który właśnie opuścił, może dojrzałby rozłożyste drzewa rosnące za nim w ogródku, rozciągającym się aż do stojącego przy sąsiedniej ulicy oficerskiego kasyna. Na szczęście nie poszedł w tamtym kierunku, ale wybrał ten jedyne właściwy, prowadzący wprost do łóżka. Gmach hotelu „Polonia” stojący po drugiej stronie ulicy był tak okazały, że trudno było go przeoczyć. Rozejrzał się w prawo i w lewo, ale niezwykle szeroka ulica była zupełnie pusta. Na lewo stało tylko kilka dorożek czekających na gości opuszczających „Willę Flora”. Maciejewski na szczęście nie miał

daleko i nie musiał wydawać ciężko wygranych pieniędzy na dorożkę. Był zadowolony, bo nie dość, że się najadł i napił, to jeszcze odrobił z nawiązką stracone dziesięć złotych, które zainkasował chciwy dorożkarz wiozący go z dworca. Dlatego obiecał sobie w duchu, że już więcej żadnych dorożek w Poznaniu zamawiać nie będzie. Tym bardziej że na Powszechną Wystawę Krajową miał dosłownie kilka kroków. Już w drodze z dworca do hotelu ten dorożkarski oszust wskazał mu obszerne wejście ozdobione dwoma strzelistymi kamiennymi obeliskami. Dokładnie rzecz biorąc, dostrzegł tylko czubki tych obelisków, bo wejście znajdowało się na ulicy Focha, powyżej poziomu torów kolejowych i drogi wiodącej z dworcowego placu. Zobaczył za to drugie targowe wejście na skrzyżowaniu z ulicą Grunwaldzką, ozdobione strzelistą wieżą przywodzącą swoim kształtem na myśl lufę od karabinu maszynowego Maxim.

Zyga wydobył z paczki papierosa, zgniótł tekturową gilzę i włożył go do ust. Sprawdził kieszenie marynarki, ale dopiero w spodniach znalazł pudełko zapalek. Pierwsze dwie, na które natrafił, były wypalone, trzecia zapłonęła jasnym światłem i natychmiast zgasła, a czwartej już nie było. Zaklął więc pod nosem i rozejrzał się bezradnie dokoła. Postój dorożek, pomyślał, tam jest ratunek. Ruszył więc w lewo do pierwszej z brzegu, poprosić o ogień...

Już z daleka zobaczył ze zdumieniem, że w dorożce siedzi ten zabawny i niepozorny człowiek w marynarce w kratkę, który przed kwadransiem wygrał fortunę w ruletkę. Było ciepło i nie zanosilo się na deszcz, toteż dorożkarska buda była opuszczona i dzięki temu Zyga dostrzegł natychmiast jeszcze coś. Najpierw dorożkarz, a potem ów szczęściarz podnieśli ręce w górę. Ale dlaczego je unosili, nie miał pojęcia. Zaintrygowany zaczął się szybciej zbliżać w ich kierunku, ale oni go nie widzieli. Dorożkarz patrzył w dół za siebie, a zwycięski gracz w lewo. Obaj jednak spoglądali w ten sam punkt. Tam od strony ulicy musiał stać ktoś, kto sprawił, że obaj unieśli ręce... Zyga był dość mocno zamroczony wypitym alkoholem pomieszanym z ogromną dawką kolejowego zmęczenia, nie na tyle jednak, by nie móc logicznie

myśleć. Myśli spłynęły mu do głowy dość wolno i ślamazarnie, ale były jasne i przejrzyste. Tym ludziom ktoś groził pistoletem!

Natychmiast włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, ale nie natrafił na swój rewolwer. Bo i skąd by miał mieć broń w Poznaniu, podczas służbowo-prywatnej eskapady rozrywkowej? Nie miał broni, jednak wiedział, że musi zareagować. Przecież był w końcu policjantem!

Puścił się więc biegiem w kierunku dorożki, akurat w momencie gdy od strony chodnika podbiegł do niej jakiś mężczyzna, który musiał dotąd ukrywać się w krzakach restauracyjnego ogródka. Człowiek ów miał w dłoni pistolet, na głowie zaś kaszkiet, a twarz zasłonił chustką z wyciętymi otworami na oczy. Wybił się w górę i wskoczył na stopień dorożki.

Pieprzony Zorro, pomyślał Maciejewski i nie zastanawiając się wiele, podbiegł do bandyty, po czym capnąwszy go za kołnierz, z całej siły pociągnął w dół. Zamaskowany człowiek huknął z impetem plecami i głową o betonowy chodnik. Z dłoni wypadł mu nagant. Na wszelki wypadek Zyga kopnął przeciwnika jeszcze w bok, tak żeby pozbawić go tchu i wszelkich chęci do bójki. Bandzior znieruchomiał. Niewiele się zastanawiając, Maciejewski zdarł mu z twarzy maskę, ale ta gęba nieprzytomnego faceta nic mu nie mówiła. Gdyby był w Lublinie, może rozpoznałby klienta, ale tu... Wyprostował się i zaraz spojrzął do dorożki. Facet w kraciastej marynarce siedział przerażony na kanapie, a na stopniu z drugiej strony stał człowiek w kapeluszu przypominającym kształtem melonik, z chustą na twarzy. Podniósł pistolet i wymierzył w Maciejewskiego. Zyga dostrzegł zimne spojrzenie bandyty i mógłby nawet przysiąc, że pod tą jego maską kryje się uśmiech. Niemal odruchowo uskoczył w bok, na ułamek sekundy wcześniej, nim strzał rozdarł nocną ciszę. Uskakując, potknął się o leżącego bandziora. Zakręciło mu się w głowie i straciwszy równowagę, padł na chodnik obok leżącego.

– Ludzie, ratunku! – rozległ się piskliwy krzyk dochodzący z dorożki. To najprawdopodobniej wołał ten gość od wygranej

w ruletkę.

– Zamknij mordę, bo łeb odstrzele! – zawołał bandyta.

Zyga podniósł się na łokciu lewej ręki, a prawą otarł krew zalewającą mu oko. Musiał, padając, uderzyć w płytę chodnika łukiem brwiowym, stąd natychmiast pojawił się strumień krwi. Jako były bokser znał się doskonale na takich kontuzjach. W normalnych warunkach sędzia natychmiast wykluczyłby go z ringu, ale tutaj nie było sędziego ani boksterskiego meczu. Tutaj pojedynek dopiero się zaczynał.

Chwycił leżący obok rewolwer i poderwał się na równe nogi. Złapawszy równowagę, spojrzał na leżącego bandziora. Ich spojrzenia się spotkały. Facet wracał do przytomności. Nie można mu było na to pozwolić, jeśli chciało się pójść na zwanie z tym drugim. Zyga wolał nie mieć przeciwnika za plecami, dlatego niewiele myśląc o kwestiach fair play, z całej siły, jak sprawny futbolista, kopnął faceta jeszcze raz w żebra. Coś gruchnęło, gość jęknął i sapnąwszy chrapliwie, padł znów na chodnik. Wtedy Zyga ruszył wokół dorożki. Ale z drugiej strony nie było nikogo. Zajrzał na wszelki wypadek do środka i zaraz napotkał wystraszone spojrzenie gościa w kraciastej marynarce.

– Gdzie on jest?! – zawołał Maciejewski, wymachując przy tym zdobyczną bronią.

– Ludzie, ratunku! Mordują! – wykrzyknął piskliwym głosem obrabowany mężczyzna.

– Gdzie jest bandyta, do jasnej cholery? – powtórzył znacznie groźniej podkomisarz.

– Matko Boska Ostrobramska, ratujże sługi swoje ze śmiertelnej opresji! A jeśli pozwolisz mi przeżyć, to wszystkie pieniądze oddam na ofiarę... – mężczyzna mamrotał pod nosem solenne obietnice.

Na szczęście woźnica siedzący na koźle miał lepszy ogląd sytuacji i widział dobrze, jak Zyga załatwił jednego z bandytów.

– Tam polecioł, w lewo, w Matejki! – Wskazał skrzyżowanie, to samo, na którym kilka godzin wcześniej nieuczciwy dorożkarz wjechał pod koła ciężarowego auta.

Maciejewski nie zastanawiał się ani sekundy. Ruszył biegiem w tamtym kierunku.

– Ratunku, bandyci, rabują! – Okradziony mężczyzna poczuł się znacznie pewniej, gdy Zyga zniknął, tak że znów zaczął drzeć się wniebogłosy: – Łapać bandytę, ludzie, ratunku!

Tymczasem Maciejewski dobiegał właśnie do skraju wysokiej kamienicy, która stała na skrzyżowaniu dwóch ulic. W oddali słychać było kroki uciekającego bandziora, a za nim podniecone głosy ludzi, którzy wysypali się z „Flory” i być może z hotelu naprzeciwko. Minął narożnik budynku...

Cios wyprowadzony na ringu podczas boksterskiego meczu bardzo łatwo można sparować, można też się ukryć za wysuniętą gardą, a najprościej zastosować zwyczajny unik, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Wszystkie te działania sprawiały, że doświadczony bokser rzadko pozwalał sobie na przyjęcie ciosu wprost na twarz. A Zyga Maciejewski był przecież doświadczonym bokserem. Tyle że podczas meczu bokser może przez cały czas obserwować przeciwnika i reagować na każdy jego ruch. Tutaj natomiast bokser Maciejewski nie widział ani sparingpartnera, ani nawet nie wiedział, że w sparingu bierze udział.

Nim zdążył zareagować, nadział się na żelazną pięść przeciwnika. Nie zobaczył jej nawet, tylko poczuł rozdzierający ból wbijający mu się przez nos wprost do mózgu. Przez ułamek sekundy widział jeszcze oczy przeciwnika i mógłby nawet przysiąc, że pod chustą zasłaniającą twarz mężczyzny majaczy zniekształcony, boksterski nos. Gdyby go ktoś zapytał, ale nikt jakoś do pytania się nie kwapił. Zresztą nawet gdyby się znalazł, to i tak nie byłoby z kim gadać, bo zalany krwią podkomisarz Maciejewski legł na porządnie wybetonowanym poznańskim chodniku, a jego myśli poszybowały gdzieś hen ku centralnej Polsce i miastu Lublin, w którym mieszkała pewna niezwykle sympatyczna pielęgniarzka Róża Marczyńska. Kobieta pochyliła się nad nim, delikatnie pogładziła go po głowie, a potem

chwyciła go silnie za przetrącony nos. Maciejewski ryknął jak zarzynane zwierzę.

– Zamknij cholerny ryj, kurwo bandycka! – warknęła Róża, a on się zdziwił, że kobieta ma taki gruby głos. A w ogóle to skąd ona zna takie przekleństwa? Naraz twarz Róży zmieniła się w wąsatą gębę policjanta w czapce i z paskiem zapiętym pod brodą. Skąd wziął się ten policjant, tego już się nie zdołał dowiedzieć, bo naraz wciągnął go wir ruletkowego stołu, zassał w sam środek i po chwili zamknął nad nim czarną zasłonę.

*

Niedziela, 21 lipca, godzina 1.20 w nocy

No to masz pan szanowny szczęście, że policja w porę się na miejscu zdarzenia pojawiła – stwierdził przodownik Kaczmarek, przyglądając się niezbyt sympatycznej gębie bandyty zatrzymanego przez niego osobiście z pomocą młodego posterunkowego Frączaka.

Ale przecież o Frączaku w raporcie nawet nie musi wspominać. Napisze, jak było, że jako dowódca dwuosobowego patrolu usłyszał podejrzane odgłosy i krzyki i w związku z tym nakazał swojemu podwładnemu szybki bieg we wskazanym kierunku, i gdy obaj przybiegli na skrzyżowanie ulic Grunwaldzkiej i Matejki, wprost na nich wyskoczył uzbrojony w broń krótką bandzior, a on, Kaczmarek Kajetan, używając silnej przemocy, obezwładnił onego, pozbawiając go broni i zarazem przytomności umysłu, że się nie ocknął nawet bandyta, jak go pakowali do dorożki, żeby zawieźć tę łachudrę do aresztu w Dyrekcji Policji. A o tym Frączaku to napisze, że pomagał i jest chętny do pomocy i robotny. Bo przecież nie będzie go chwalił za dużo, żeby któryś z oficerów nie zapytał młodego, jak było z tym zatrzymaniem, boby mógł wygadać, że usłyszawszy krzyki, pobiegli i znaleźli bandziora już leżącego bez przytomności, więc on na wszelki wypadek, żeby czasami to bandyckie nasienie nie uciekło,

walnął go kilka razy w ryło i dobrze zrobił, bo bandzior był unieruchomiony na ament.

– Szczęście to ja bym miał, jakbyście zatrzymali tego drugiego, a nie trzeciego! – zawołał mężczyzna w kraciastej marynarce, któremu bandyci przed chwilą ukradli całą wygraną w ruletkę.

– Jakiego trzeciego?

– No tego, co mnie pieniądze wydarł.

– A to nie ten? – Posterunkowy wskazał na zakutego w kajdanki i leżącego na podłodze dorożki gościa z przetrąconym nosem.

– To ten, ale nie ten konkretnie.

– To znaczy się kto?

– Ten trzeci. A drugi, co leżał na chodniku, o tutaj, gdzie my teraz stoimy, to uciekł przed chwilą i tam poleciał, w kierunku na kasyno wojskowe, a ten pierwszy, co zabrał pieniądze, to w drugą stronę, w Matejki, skądżeście wy nadbiegli. Musieliście go widzieć.

– No żeśmy widzieli i żeśmy zatrzymali, i o, jest on tutaj. W kieszeni ma nawet taką chustkę jak Zorro, z dziurami na oczy.

– Kiedy to nie on – nie dawał za wygraną obrabowany człowiek.

– A pan szanowny to czy aby nie kręci?

– No wie pan co! – oburzył się poszkodowany mężczyzna. – Wy, panie policjancie, sobie za dużo pozwalacie. Zamiast ścigać bandytę, stoicie sobie tutaj jak niby nic i się mnie rozpytujecie, a on z moimi pieniędzmi sobie już gdzieś w mieście hula

– Na co sobie pozwala policja, to nie panu oceniać – warknął przodownik i zaraz wydobył z kieszeni munduru czarny notes. Otworzył go na pierwszej wolnej karcie i chwyciwszy ołówek, zapytał ostrym tonem:

– Imię, nazwisko i data urodzenia.

– Co? – zdziwił się obrabowany.

– To, co powiedziałem, znaczy się dane personalne do zanotowania w notesie, znaczy imię, nazwisko i data urodzenia, wyznanie...

– To oburzające.

– A jak szanowny pan chce, żebyśmy go poinformowali, jak się te bejmy zrabowane znajdą? Mamy pisać list na Berdyczów?

– To zmienia postać rzeczy...

– Panie policjancie, a ja długo mam tu stać?! – zawołał zniecierpliwiony woźnica. Na podłogę jego dorożki wrzucono skutego przestępcę, którego trzeba było dostarczyć do aresztu.

– Jak się zapisze wszystko, to pojedziemy na Ratajczaka.

– Ale długo jeszcze, bo mi się chce łać...

– No to co mi, chłopie, dupę zawracasz, idź se łać w krzaki i zaraz wracać mi tu.

– Melduję, że już idę.

– No to co z tym imiem i nazwiskiem szanownego pana? – Przodownik spojrział na zniecierpliwionego obrabowanego.

– Pisz pan, ino dokładnie, Fryderyk Wiza, zamieszkały w Wągrowcu, przy ulicy Poznańskiej...

Nocną ciszę przerwał warkot samochodowego silnika. Po chwili przy krawężniku zatrzymał się wysłużony ford T, kierowany przez policjanta. Z tylnej kanapy wyskoczył aspirant Oskierko, który akurat tej nocy pełnił dyżur. Gdy podoficer odbierający nocą telefony poinformował go, że w mieście znów doszło do rabunkowego napadu i dodatkowo jeszcze ujęto na miejscu sprawcę, nie zastanawiał się ani sekundy. Skoro zatrzymano jednego z bandytów, to ujęcie drugiego było już tylko kwestią czasu, a to oznaczało koniec kłopotów poznańskiej policji podczas PeWuKi. Oskierko musiał więc sprawdzić wszystko sam, żeby rano móc o sukcesie meldować Fischerowi.

– Gdzie zatrzymany? – zapytał szybko aspirant, rozglądając się dokoła.

– Tam leży, w dryndzie. – Przodownik wskazał stojącą nieopodal dorożkę.

Oskierko podszedł bliżej i zajrzał do środka. Bandzior z zakrwawioną gębą leżał nieprzytomny na podłodze dorożki. Policjant przyjrzał mu się uważnie na tyle, na ile pozwalało światło pobliskiej latarni, i z wyraźną radością pokiwał głową z uznaniem.

Wszystko się zgadzało. To był ten gość, którego szukał. Bandyta miał przetrącony nos.

*

Godzina 6.10 rano

Ruszać dupę i wstawać! – usłyszał jakiś twardy i niezbyt przyjemny głos, więc spróbował otworzyć oczy. Najpierw zobaczył żarówkę, a nad nią metalową osłonkę w kształcie chińskiej czapki i zaraz musiał te oczy zmrużyć, bo światło wbiło mu się w czaszkę, a ból tym spowodowany mało jej nie rozerwał.

Gdzie ja jestem?, pomyślał przestraszony i zaraz uzyskał odpowiedź.

– Nie jesteś, skurwysynu pierdolony, na wywczasach! – wykrzyknął ten sam osobnik, ale tym razem zdecydowanie bliżej. – Wstawaj, gnoju jeden, na baczność, jak dowódca do ciebie gada!

Jaki dowódca, do cholery? Co tu się wyrabia? Znów otworzył oczy i teraz zamiast lampy zobaczył pochylającą się nad nim czerwoną ze wściekłości gębę, ozdobioną czarnym wąsem przypominającym ryżową szczotkę.

– Wyskakuj z wyra, bo zara będzie taki wpierdol, że pożałujesz, że cię matka porodziła!

Tego było mu już za wiele. Co to w ogóle za obyczaje, żeby w hotelu budzić gości w taki sposób? Będzie musiał zejść do portierni i zrobić tam karczemną awanturę, a temu cieciewi trzeba od razu spuścić porządny łomot.

Zebrawszy wszystkie siły, podniósł się gwałtownie i mało brakowało, a krzykacz zostałby staranowany. Na szczęście dla siebie odskoczył w porę i w tej chwili dzieliły ich od siebie nie centymetry, ale przynajmniej metr.

– Ty kurwo niemyta, na mnie bykiem żeś chciał skoczyć? Już ja ci zaraz pokażę, jak się u nas traktuje awanturujących się gości!

Maciejewski najpierw się zdziwił, gdy poczuł, że podłoga, na której stanął, jest zimna i wilgotna, przez głowę przeleciała mu więc myśl, że przez przypadek trafił do niewykończonego jeszcze pokoju. W końcu wczoraj wypił trochę i różne rzeczy mogły się dziać. Ale ta myśl, przeleciawszy, ulotniła się i zastąpiona została bezbrzeżnym zdumieniem. Zdumiał się bowiem na widok człowieka, który dyszał z wściekłości. Twarz była zwyczajna, czerwona z nerwów, a nos fioletowy od pijaństwa. Wąsy niechlujne i niestrzyżone starannie, a więc świadczące, że ich właściciel z kulturą rzadko miewa do czynienia. Nie to wszystko jednak wprawilo go w zdumienie, bo chamskie ryje nie robiły na nim większego wrażenia. Za to zakazana gęba wciśnięta w usztywniony kołnierz z epoletami starszego posterunkowego, do tego kurtka mundurowa i policyjne spodnie wpuszczone w cholewki czarnych butów stanowiły widok iście niezwykły.

– A cóż wy, do jasnej cholery, posterunkowy, robicie w moim pokoju i kto was tu wpuścił?

– Ty gnoju!

– Zamknijcie się, posterunkowy, i posłuchajcie mnie tylko...

– Ty pierdolony gnoju!

– Czy wy macie sieczkę zamiast mózgu! Uspokójcie się i posłuchajcie mnie przez chwilę...

Tego już starszemu posterunkowemu było za wiele. Ten bandyta poczynął sobie, jakby był co najmniej podoficerem w policji.

– A niechże cię jasna cholera chyci, ty chuju niemyty! – ryknął policjant i jego wielka jak bochen chleba pięść wylądowała na twarzy Maciejewskiego. Szczęśliwie ten cios nie dosięgnął nosa, bo wtedy raczej nie zostałoby już po nim śladu. Był jednak na tyle silny i bolesny zarazem, że podkomisarz padł jak rażony gromem i całe jego szczęście, bo nawet nie poczuł kilku dodatkowych kopniaków, które wymierzył mu trzęsący się z oburzenia posterunkowy Gerhardt Glubke. Trząsł się cały, bo dawno już go żaden aresztant nie wyprowadził z równowagi. Wszyscy się go tu bali i mało który miał

czelność podnieść na niego wzrok, a co dopiero odezwać się w nieregulaminowy sposób. A ten bandycki pomiot widać był tu w areszcie budynku Dyrekcji Policji przy Ratajczaka w Poznaniu po raz pierwszy. No ale skoro już się tu dostał, to on, starszy posterunkowy Glubke, nauczy go moresu, tak że w poniedziałek rano, gdy będą go prowadzić na górę do oficerów śledczych na przesłuchanie, ten bezczelny gnój będzie mówił wszystko, co panowie oficerowie będą chcieli wiedzieć. Już on tego dopilnuje.

Na wszelki wypadek kopnął go jeszcze raz w brzuch i splunął na podłogę.

– Wpadnę ja tu do ciebie, gnoju, za jakąś godzinkę i wtedy sobie pogadamy.

Przez piwniczne zakratowane okno i dziury w zbrojonej szybie do celi wsunęły się słoneczne smugi, które oświetliły twarz nieprzytomnego aresztanta.

– Takiego to za sam ryj trzeba by było wsadzić – stwierdził Glubke i wyszedł z celi.

Zapowiadał się przyjemny dzień. Pogoda była słoneczna, jednak u niego, tu na dole, nigdy nie czuło się gorąca. Trzeba będzie któregoś z młodych policjantów wysłać z kanką do baru na plac Nowomiejski po piwo, a jak już przepłucze gardło, zabierze się za tego bandziora. Jedna taka niedziela w poznańskim areszcie wystarczy aż nadto, by mu się na długo odechciało napadania na porządnych ludzi.

*

Godzina 8.20 rano

Przodownik Okoń miał dziś od rana służbę. I to taką, że musiał siedzieć przez pół dnia za biurkiem i odbierać telefony alarmowe. O ile zimą czy późną jesienią taki dyżur był jak najbardziej cenną odmianą od chodzenia po mieście, o tyle teraz wcale nie miał ochoty na takie przesiadywanie w budynku Dyrekcji Policji. Tym bardziej że w Poznaniu działo się tyle ciekawych rzeczy. Większość jego kolegów

policjantów była już od rana na patrolach w okolicach PeWuKi i na samej wystawie, służąc przyjezdnym radą i pomocą. Oni w chwilach przemęczenia mogli zawsze ugasić pragnienie zimnym piwem. Inni, zgodnie z rozkazem komisarza Fischera, uganiaли się po ulicach, knajpach i melinach w poszukiwaniu gości z przetrąconymi nosami, aby dostarczać ich do dzielnicowych komisariatów. Tymczasem on utkwiał tu na pół dnia, zupełnie beczynny. I co miał ze sobą począć? Nic nadzwyczajnego nie przychodziło mu do głowy. Wstał z za biurka, gdzie stał czarny ebonitowy telefon, na który przychodziły rozmowy z miasta, i obok drugi, którym można było się łączyć wewnętrznie. Tyle że dzisiaj nie było z kim łączyć, bo jak to w niedzielę panowie śledczy i inni oficerowie mieli wolne. Obciągnął kurtkę mundurową i wyszedł z pokoju telefonicznego na korytarz. Mógł wyjść na wewnętrzny dziedziniec policyjnego budynku i tam zapalić sobie papierosa, mógł też pójść na drugie piętro, gdzie aspirant Oskierko rozmawiał z facetem, którego wczoraj napadli bandyci na Grunwaldzkiej, i mógł w końcu zejść na dół do aresztu zobaczyć, co słyhać u starego kumpla, starszego posterunkowego Glubke, który był jednym z najdłużej pracujących policjantów w Poznaniu. Swoją karierę zaczynał jeszcze za czasów pruskich w 1905 roku. I dzięki temu wśród kolegów cieszył się ogromnym szacunkiem, bo nikt nie miał takiej policyjnej wiedzy nabytej przez lata jak on. Poza wszystkim Glubke miał jeszcze jedną bardzo przydatną w tym zawodzie cechę. Policjant ów bardzo lubił piwo i zawsze na swoim dyżurze trzymał schowaną pod stołem pięciolitrową kankę wypełnioną zimnym, złocistym napojem. Na myśl o piwie Okoń oblizwał wyschnięte wargi i aż zamruczał pod nosem. Oskierko oczywiście sobie poradzi z tym swoim przesłuchaniem bez jego pomocy, a Glubke z tą kanką piwa może mieć kłopot. Postanowił więc wspomóc kolegę.

W dużym przestronnym holu, za wielką marmurową ladą, która stanowiła pierwszy szaniec na drodze ataku zdesperowanych interesantów, siedział młody policjant i dłuwał w nosie. Ten nie miał

kompletnie nic do roboty, bo od rana nikt do budynku z żadną sprawą jak dotąd nie przyszedł. A nawet jak kto przyjdzie, to odeśle się go na dzień urzędowy, czyli na poniedziałek. Chłopak mógł się więc oddać słodkiemu lenistwu.

– Tak se siedzicie, co! – krzyknął podoficer, podchodząc do lady. Chłopak natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Posterunkowy Madejko Józef melduje się na rozkaz!

– Słuchajcie, Madejko, a odbieraliście kiedy rozmowę przez telefon? – zapytał Okoń.

– Melduję, że odbierałem, jak jedna baba dzwoniła ze sklepu, że jej kto bachora podrzucił w koszyku jak tego Mojżesza.

– Jakiego Mojżesza?

– Egipskiego.

– Aha, no to ja takiego Egipskiego Mojżesza to se nie przypominam. Ale co my tu o Żydach gadamy? Jak telefon zadzwoni w pokoju dyżurnym, to wiecie, co robić?

– Melduję, że wiem! Powiedzieć, że policja i żeby się zgłosili w poniedziałek, bo dziś wszyscy są na wystawie krajowej.

Okoń z uznaniem pokiwał głową. Całkiem bystry chłopak z tego posterunkowego.

– No dobra, będą z was ludzie, Madejko. A jakby co ważnego się stało, to szukajcie mnie na dole w areszcie.

– Tak jest, panie przodowniku!

Okoń odwrócił się i ruszył w kierunku klatki schodowej, na której znajdowało się wejście prowadzące do piwnicy. Madejko tymczasem wyciągnął spod blatu recepcyjnego kontuaru gazetowe wydanie kolejnej części przygód Sherlocka Holmesa. Bo posterunkowy Madejko nie dość, że umiał czytać i pisać, to jeszcze z tego czytania potrafił zrobić użytek i w wolnych chwilach, gdy nikt go nie widział, czytał wszystko, co tylko się dało przeczytać.

Tymczasem dwa piętra wyżej w swoim służbowym pokoju drzemał z głową ułożoną na ramionach opartych o blat biurka aspirant Oskierko. Już kwadrans temu zakończył przesłuchanie

obrabowanego pod „Willą Flora” mężczyzny i teraz próbował złapać odrobinę snu. Po dzisiejszej, pełnej wrażeń nocy zbierał siły przed kolejnymi wyzwaniem. Już cieszył się na myśl o chwili, kiedy w budynku policji pojawi się komisarz Fischer, a on będzie mógł mu zameldować:

– Panie komisarzu, melduję, że mamy złapanego jednego z bandytów napadających z pistoletem na targowych, przyjezdnych gości. Po przesłuchaniach prowadzonych przeze mnie osobiście przez całą niedzielę wzięty w krzyżowy ogień pytań delikwent przyznał się do winy i dodatkowo jeszcze wydał swojego współnika, który już niedługo zostanie aresztowany.

Teraz drzemiąc, zastanawiał się, jak też powinno wyglądać to przesłuchanie bandziora ze złamanym nosem. Niech no tylko facet wytrzeźwieje, to zaraz się go weźmie w obroty...

Naraz ktoś głośno zapukał do drzwi. Tak zdecydowanie pukali tylko podoficerowie, którzy mieli do przekazania coś istotnego. Ale co ważnego mogło się wydarzyć w niedzielny poranek? Pewnie Okoń przyłazł poprosić, żeby go wypuścić na miasto, bo mu się dłuży telefoniczny dyżur. Trzeba by porozmawiać z komisarzem Fischerem, żeby tego starego łazika nie sadzać za telefonem, bo nic z tego dobrego nie wynika, pomyślał Oskierko i uśmiechnął się na myśl o tym, jaką minę zrobi Okoń, chcąc przekonać go, że bardziej przyda się na ulicy.

– Wejść! – zawołał i drzwi natychmiast się otworzyły. Rzeczywiście pojawił się w nich przodownik Okoń, ale minę miał całkowicie inną niż ta, jakiej spodziewał się aspirant. Oficer nawet nie zdążył zapytać, w czym rzecz, bo Okoń odezwał się pierwszy, i to całkiem nieregularnie:

– Panie aspirancie, musi pan iść ze mną do piwnicy, ino szybko!

– A bo co się stało?

– A bo mamy, cholera, kłopot.

– Co?

– Coś mi się widzi, kłopot jak jasna cholera, panie aspirancie.

Tylko kłopotów mi brakowało od rana, pomyślał Oskierko, zapinając pod szyją nonszalancko rozpięty kołnierz munduru. Boże, byle to nie był kłopot z tym naszym zatrzymanym bandytą z krzywym nosem.

Tak to już w życiu bywa, że pobożne życzenia niekiedy się spełniają, ale oczywiście nie wszystkie. To było jedno z tych niespełniających się.

*

Godzina 8.45 rano

Kroki na korytarzu zbliżały się bardzo szybko. A to mogło oznaczać tylko jedno – to idiotyczne *qui pro quo* zaraz się skończy, a ten zasraniec z przerażoną miną na obitej gębie, siedzący naprzeciw niego na sąsiedniej pryczy, za chwilę będzie giął się w ukłonach i prosił o wybaczenie. Minę miał wystraszoną, no ale kto by nie miał w podobnej sytuacji. Ludzie zazwyczaj, gdy mierzy się do nich z pistoletu, robią głupie miny. Zyga widział już nieraz takich delikwentów, których gęby wyglądały tak, jakby za moment mieli narobić ze strachu w portki, a wszystko to można było bez trudu odczytać z ich twarzy. No ale ludzie, do których mierzył z pistoletu Maciejewski, najczęściej byli przestępcami, choć zdarzało mu się również, co prawda trzeba przyznać, że zdecydowanie rzadziej, celować do tak zwanych porządnych obywateli. Pierwszy raz jednak na muszce trzymał policjanta i do tego jeszcze policjanta z obitą gębą.

Zyga wcale nie miał ochoty go bić, ale ten posterunkowy nie dał mu żadnego wyboru. Dał mu za to czas na wytrzeźwienie i przemyślenie wszystkiego. No więc gdy tylko wyszedł z celi, w której pozostawił go samego, dość mocno poturbowanego, podkomisarz Maciejewski z trudem podniósł się z podłogi, położył się na pryczy i zaczął rozmyślać. Od tego myślenia rozboleła go głowa i poczuł natychmiast, że niczego sensownego nie wymyśli, jeśli nie zapali papierosa i nie napije się czegoś mocniejszego, a w ostateczności

choć szkłanki zimnego piwa. Jednak lokal, w którym się znajdował, nie wyglądał na taki, gdzie oferowano by cokolwiek prócz kawy zbożowej, wody albo lania policyjną pałką. Bo Zyga był na tyle byстрым człowiekiem, że mimo poważnych kłopotów z zebraniem myśli potrafił połączyć ze sobą fakty. Dodał więc obraz wściekłego policjanta do obskurnego pokoju z małym zakratowanym okienkiem tuż pod sufitem, dwoma pryzkami, olejną farbą łuszczącą się na ścianach, aluminiowym wiadrem w kącie i solidnymi drzwiami zaopatrzonymi w judasza, i wyszło mu z tej prostej arytmetyki, że jest w policyjnym areszcie. Nie wiedział tylko, dlaczego tu jest. Choć musiał przyznać, że coś mu świtało w głowie. Pamiętał więc z wczoraj hotel „Polonia”, „Willę Flora” i wypitą tam wódkę, a nawet grę w ruletkę i całkiem przyzwoitą wygraną...

Włożył rękę do kieszeni spodni, potem do drugiej. W marynarce też nie było ani śladu po pieniądzach, ale co gorsza nie było też papierosów.

Drzwi jęknęły, potem zaskrzypiały i do środka wszedł znany mu już policjant z czerwoną gębą i szcotołkowatym wąsem pod nosem. Zyga natychmiast poderwał się na równe nogi. Nie zamierzał czekać, aż ten go zaatakuje, bo że taki miał zamiar, przekonał się, dostrzegłszy fałszywy uśmiech na ustach strażnika i schowaną nieporadnie za plecami drewnianą pałkę.

Na początek jednak spróbował sprawę załatwić, jak to miał w zwyczaju, czyli z wrodzoną sobie kulturą.

– Słuchajcie, posterunkowy, rzućcie tę pałkę i wezwijcie jakiegoś mądrzejszego od siebie oficera, bo widzę, że z wami się nie da dogadać i nie jesteście w stanie pojąć, że jestem oficerem policji w delegacji...

– Ożeż ty, gnoju niemyty! Ty chcesz mnie tu wykołować i dać nogę z aresztu. Ale ja ci zaraz pokażę, to ci się odechce ksiutów.

Wyciągnął pałkę i ruszył z nią w kierunku aresztanta. Nie spodziewał się jednak, że ten facet może zachować się w tak nieobliczalny sposób. Zwykle ci, których lał w celi, kładli się na

podłogę albo na pryczę, kulili nogi i zasłaniali głowę rękoma, żeby jak najmniej czułych miejsc wystawić na razy. Ten jednak, zamiast spokojnie czekać na pałowanie, rzucił się szczupakiem pod nogi posterunkowego. Nim policjant zrozumiał, co się dzieje, już leżał na podłodze, a pałka wypadła mu z ręki. Napastnik natychmiast wyslizgnął się spod strażniczych nóg, wskoczył mu na plecy, a potem z całej siły walnął go pięścią w skroń.

Taki cios zazwyczaj pozbawiał delikwenta przytomności, ale starszy posterunkowy był zdecydowanie twardym zawodnikiem. Potrząsnął głową i błyskawicznie odwrócił się na plecy. I to był jego błąd. Zyga był bowiem cały czas nad nim. Teraz mając przed sobą jego buldogowatą gębę, z pewną dozą przyjemności odpłacił mu pięknym za nadobne. Seria czterech szybkich ciosów w policyjną gębę posłała jej właściciela do świata, w którym nikt od rana nie podaje piwa funkcjonariuszowi na służbie.

Zyga odpiął mu pas i z kabury wydobyl doskonale utrzymanego i zadbanego lugera. Był to pistolet, który znajdował się na wyposażeniu armii pruskiej, a także policji. Widać tu, w Poznaniu, policjanci mieli do takich pukawek ułatwiony dostęp. No ale w końcu jeszcze do niedawna były tu Prusy. W wolnej Polsce policja nie dorobiła się jeszcze ujednoliczonego typu broni bocznej, więc funkcjonariusze musieli w tym zakresie radzić sobie sami i nosili w swoich kaburach to, co udało im się we własnym zakresie zorganizować. Sam Zyga na służbie nosił rewolwer, mniejszą wersję naganta, bo uważał, że taka broń jest bardziej niezawodna. Na razie jednak nie mógł wybrzydząć. Grunt, że był uzbrojony, więc teraz musiał pomyśleć o tym, co począć dalej z tym nieprzytomnym idiotą.

Chwycił go pod rękę i zaciągnął na pryczę, sadzając go na niej tak, aby plecy oparły się o ścianę. Policjant jęknął i zaraz zaczął odzyskiwać przytomność. Niepomnie zdumiony spojrzął na siedzącego naprzeciw swojego aresztanta, a potem na wycelowaną w niego lufę jego własnego pistoletu.

– Oj, zapłacisz ty głową za napaść na policjanta – mruknął i chciał coś jeszcze dodać, lecz Zyga uśmiechnął się złowrogo, a jego obita jak befsztyk tatarski twarz nabrała tak upiornego wyrazu, że mundurowy, gdyby mógł, cofnąłby się jeszcze bardziej, ale ściana za nic nie chciała się ugiąć pod ciężarem pleców funkcjonariusza.

– A skąd do policji w Poznaniu biorą takich durniów? – zapytał złośliwie Maciejewski.

– Jakich? – burknął mundurowy.

– Ano takich, co zamiast porozmawiać, biorą się najpierw za bicie? A nie wiem, czy wy wiecie, posterunkowy, że za pobicie oficera to taka dupa wołowa jak wy może nawet na pięć lat do więzienia trafić?

– Za co? – Głubke zdziwił się.

– Bo w polskiej Policji Państwowej jeśli ktoś może kogoś lać, to tylko oficer was, a nie odwrotnie.

I w tym momencie na korytarzu aresztu rozległ się charakterystyczny stukot ciężkich butów podkutych gwoździami. Takich butów, jakie nosili w policji podoficerowie.

*

Godzina 10.20 przed południem

Halo, poproszę o połączenie ze szpitalem garnizonowym! – rzucił do słuchawki ostrym tonem aspirant Oskierko. – Już łączą – wyjaśnił uspokajającym tonem, patrząc na siedzącego w głębokim fotelu podkomisarza Zygmunta Maciejewskiego, który jak twierdził, był ponoć kierownikiem Wydziału Śledczego Komendy Powiatowej Policji w Lublinie.

Najwyraźniej jednak informacja o tym, że ktoś tam kogoś łączy, nie zrobiła na oficerze żadnego wrażenia. Z wielką przyjemnością malującą się na twarzy, pomimo naznaczenia jej licznymi sińcami i zadrapaniami, rozkoszował się kieliszkiem koniaku Martel i cygarem. Delicje te pochodziły z prywatnych zapasów komisarza Fischera w gabinecie, w którym obaj policjanci właśnie się

znajdowali. Oskierko mógł oficera z Lublina zabrać do swojego niewielkiego pokoiku na drugim piętrze, ale pomyślał, że to będzie raczej niezbyt elegancko, gdy posadzi go na krześle naprzeciw swojego starego, zdezelowanego biurka, które zapewne pamiętało jeszcze czasy kanclerza Bismarcka. Postanowił więc szybko, że bez pytania, dla dobra sprawy, skorzysta z pokoju szefa, mając nadzieję, że ten nie weźmie mu tego za złe. Tym bardziej że natychmiast wyczuł, że trzeba zrobić wszystko, żeby zatrzeć niezbyt dobre wrażenie, jakie ów gość mógł odnieść po bardzo bliskim kontakcie z poznańską policją.

– Halo, mówi aspirant Oskierko z policji. Z Dyrekcji Policji przy ulicy Ratajczaka. Proszę natychmiast wysłać lekarza do rannego policjanta. Nie, nie postrzelonego. Rannego od pobicia! Nie od zabicia! Jakby on był zabity, tobym do was nie dzwonił. Pobity policjant. Oficer policji potrzebuje pomocy. Tak, czekamy jak najszybciej! – Z wyraźną ulgą odłożył słuchawkę na widelki i wypuścił z sykiem powietrze.

– Już jadą. Szpital jest niedaleko, bo zaraz za placem Nowomiejskim... A prawda, pan zapewne nie wie, gdzie jest plac Nowomiejski, ale to całkiem niedaleko stąd.

– Nie wiem – mruknął Zyga, zaciągając się tytoniowym dymem.

– A koniak panu smakuje? – zapytał nieśmiało Oskierko.

– Dobry martel – pochwalił alkohol Maciejewski i dopił do końca.

Oskierko natychmiast podszedł z butelką i ponownie napełnił kieliszek. Zyga skinął głową. Aspirant usiadł na drugim fotelu i spojrzał na swój kieszonkowy zegarek.

– O, już za chwilę będzie pół do jedenastej – stwierdził, bo czuł, że musi coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział co. Powinien go przeprosić za to, co się stało w piwnicy i wcześniej w nocy, ale nie miał pewności, czy jego ranga zezwala na takie przeprosiny i czy w ogóle starszy stopniem zechce przeprosiny przyjąć. Na pewno mógł to zrobić komisarz Fischer, ale na razie jeszcze go nie było na miejscu. Po Fischera pojechał sprawca całego zamieszania albo jak kto woli, człowiek, który uratował honor poznańskiej policji, przodownik Okoń.

To on bowiem, wszedłszy do aresztu, natrafił na niecodzienną scenę. Jego kolega, posterunkowy Glubke, siedział na pryczy, a naprzeciw niego stał facet z obitą gębą, mierzący do funkcjonariusza z pistoletu.

Prawdziwy policjant na taki widok uciekłby gdzie pieprz rośnie i wezwał do pomocy kogo się tylko da. Ale nie ten narwaniec Okoń. On lubił sprawy załatwiać po swojemu. Wlazł więc do tej celi i stanąwszy krok od drzwi, wziął się pod boki i groźnie spojrział na uzbrojonego bandytę.

– I na co tobie pogarszać swój los? I tak już siedzisz, a chcesz jeszcze za napaść na policjanta odpowiadać? A chcesz może za napaść na dwóch?

– Najlepiej na trzech, bo tak mi się widzi, że sami policjanci się tu zeszli – odpowiedział gość z przetrąconym nosem i posiniaczoną twarzą.

– Jak trzech? – zdziwił się Okoń i na wszelki wypadek policzył na palcach. Z rachunku wyszło mu, że dwóch.

– Bo ja też jestem z policji. Nazywam się Zygmunt Maciejewski, w stopniu podkomisarza, z Lublina jestem i przyjechałem tu na Wystawę Krajową, alem się wdał w awanturę z bandziorem, co obrabował jednego gościa...

– A ten gość was rozpoznał, żeście bandyta – próbował się jeszcze bronić posterunkowy Glubke, ale już sam czuł, że jest na straconej pozycji. Facet z krzywym nosem niestety gadał jak policjant. Argument najcięższego kalibru zostawił sobie na sam koniec przemówienia.

– A tak w ogóle, to żeby nie gadać za długo, bo mnie gęba boli, to wezwijcie tu przodownika Olkiewicza, bo on mnie dobrze zna, bo żeśmy współpracowali...

Obaj funkcjonariusze spojrzeli po sobie, a Okoń smutno pokiwał głową.

– Pan podkomisarz wybaczy, ale kto to mógł wiedzieć, że pan z naszym kolegą Olkiewiczem Teodorem pracował na posterunku

w Sopotach Zamoyskich.

Maciejewski uśmiechnął się krzywo, na tyle, na ile pozwalała mu na uśmiech rozcięta warga.

– Ja pracowałem w Zamościu, a Olkiewicz Anastazy, a nie Teodor, w Majdanie Sopockim – poprawił Okonia, który spróbował starej sztuczki, by ostatecznie sprawdzić delikwenta.

Usłyszawszy odpowiedź, Okoń rozpromienił się, a potem groźnie spojrzął na swojego kolegę.

– Łe tej, ty żeś całkiem zwariował, żeby pana oficera w celi trzymać? Zaraz no leć po jakieś piwo, żeby można było gardło przepłukać, i wodę z mydłem i ręczniki, żeby gościa szanownego doprowadzić do stanu używalności, bo z taką gębą to się uczciwym ludziom pan komisarz nie może za cholere pokazać.

Posterunkowemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zerwał się z pryczy i natychmiast wybiegł z celi. Widać nie bardzo podobało mu się siedzenie w miejscu, w którym celuje się do niego z jego własnej broni.

– A jest tu gdzie w mieście jaki cyrk? – zapytał gość, ale Okoń tylko uśmiechnął się pod nosem i nic nie odpowiedział. Pomyślał bowiem, że z tym facetem z Lublina nie jest najlepiej. Może trzeba by, żeby lekarz zbadał mu łeb, bo kto wie, czy przez tę pękniętą skórę na czole cały rozum mu nie wyleciał.

– To ja pójde po aspiranta Oskierko, bo on akuratnie jest dzisiaj i przesłuchuje takiego jednego gościa, co jego napadli. – Powiedziawszy to, przodownik wycofał się w tej samej chwili, kiedy jego kolega Glubke wchodził z wiadrem w jednej i kanką w drugiej ręce.

– Jest piwo i woda, panie podkomisarzu! – zameldował tak, jakby nic się nie stało.

Bo i co się miało stać, myślał policjant Glubke. W końcu nie wlał tu oficerowi, ale przestępcy, który przez przypadek okazał się oficerem policji. A mógł się przecież wcale nie okazać policjantem, gdyby na ten przykład tak dostał tą drewnianą pałą, że wyciągnąłby kopyta.

Następnym razem trzeba będzie łać od razu, a nie gadać, bo z tego gadania nic dobrego nie wychodzi, przekonywał sam siebie w myślach Gerhardt Glubke, widząc, jak jego piwo płynie do oficerskiego gardła wprost z aluminiowej kanki.

*

Godzina 10.40 przed południem

A wie pan, że tu u nas w Poznaniu... – Aspirant Oskierko próbował niestrudzenie zabawiać gościa, ale ten ciągle był w niezbyt dobrym nastroju. Tak jakby degustowanie koniaku i pociąganie cygara były dla niego przyjemnościami wystarczającymi za wszystko inne. Mimo to młody policjant nie dawał za wygraną. – Tu niedaleko, o, akuratnie na tym budynku, co pan by zobaczył, jakby się pan odwrócił do okna...

– Tak?

– Tam z drugiej strony od placu Wolności jest taras rozrywkowy, gdzie dają koncerty i można kawę wypić, i ciastko dobre zjeść, i nawet lody włoskie sprzedają. Jadł pan kiedy lody włoskie?

Zyga pokiwał głową.

– Oczywiście – skłamał, bo pomyślał, że ten młodzieniec jeszcze kogo wyśle po te lody, żeby sprawić mu przyjemność. Podczas gdy on niczego od nikogo nie chciał. Miał tylko ochotę położyć się do łóżka i zasnąć. A właściwie już nawet na spanie ochota mu przechodziła dzięki temu doskonałemu koniakowi. O, koniakowi to jeszcze by się napił.

Dopił więc do końca to, co zostało w kieliszku, i odstawił naczynie na niewielki okrągły stolik kawowy. Aspirant natychmiast zrozumiał, w czym rzecz, i znów napełnił kieliszek.

– Bo ten taras to należy do „Café Esplanada”. Bardzo elegancki lokal, jakby pan komisarz miał kiedy ochotę, to polecam.

Zyga skinął głową. Nadgorliwy oficer już go zaczynał męczyć. Rozumiał wszakże, że musi tu siedzieć i się nudzić, a ten biedak musi gadać, żeby go trochę rozerwać. Jednak wcale to nie znaczy, że

powinien młodemu ułatwiać życie i podtrzymywać rozmowę. Jedyne, co musi, to poczekać, aż szef aspiranta, komisarz Fischer, przeprosi go osobiście za zachowanie swoich durnych podwładnych. Mógł w zasadzie wstać i wyjść, ale nie chciał, żeby wzięto go za nieokrzesanego chama. No więc trzeba było siedzieć tu i czekać. Na szczęście był martel i były cygara...

– I niechże pan sobie wyobrazi, że właściciele „Esplanady” postanowili sprzedać miejsce na ścianie szczytowej budynku na zareklamowanie się na czas wystawy. Wiele firm chciało zapłacić za ten przywilej, ale ostatecznie wygrały dwie: Baczewski, ten sam, co produkuje we Lwowie wódki, i producent żarówek Osram. I to ci od żarówek wykonali dwa napisy, niech pan sobie wyobrazi, napisy świetlne z rur neonowych. Piękne napisy, ładnie świecą i cały Poznań się z tych neonów teraz śmieje, cha, cha, cha.

– A dlaczegoż to? – zapytał bez specjalnego zainteresowania Maciejewski.

– Bo na górze jest napis: „J.A. Baczewski”, a pod nim „Osram lampy”.

– Coś takiego! – zawołał Zyga z dość przesadnym entuzjazmem, który wziął się z nadmiaru koniaku. – A jest u was cyrk? – zapytał, zaś aspirant Oskierko spojrzał na niego jak na wariata.

– Jaki cyrk?

– Normalny, taki, w którym się walki organizuje.

– A, boks, wolna amerykanka... No oczywiście, że jest! – ucieszył się Oskierko, bo wreszcie wypłynął jakiś temat, na który można będzie porozmawiać. On co prawda do cyrku nie chodził, ale komisarz Fischer jak najbardziej.

Już zamierzał wytłumaczyć, że w Poznaniu jest nawet stała arena cyrkowa, która znajduje się całkiem blisko budynku Dyrekcji Policji, gdy drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i do środka wkroczył postawny, krótko ostrzyżony mężczyzna z jasnym wąsem pod nosem. Ubrany był w beżową marynarkę z krótkim rękawem i do tego w nieco ciemniejsze spodnie za kolana, zwane knykrami, kończące się

na łydkach odzianych w wiśniowe kolanówki. Gdy Zyga go zobaczył, natychmiast pomyślał, że to musi być jakiś domokrażny sprzedawca sztucców z plateru albo kryształowych kieliszków, ale na pewno nie może to być policjant. Mylił się jednak. Z błędu wyprowadził go drugi mężczyzna, który wszedł do pokoju zaraz za tym pierwszym. Tego ubranego w mundur przodownika, niezbyt wysokiego, o okrągłej twarzy, Maciejewski rozpoznał natychmiast.

– Jak Boga kocham, toż to sam pan aspirant Maciejewski! – krzyknął na jego widok Anastazy Olkiewicz. – To jest on, ja jego rozpoznaję, panie komisarzu, że to jest Maciejewski we własnej osobie. A to jest komisarz Fischer, co był moim dowódcą jeszcze we wojnę bolszewicką i w powstaniu. Widzi pan komisarz, zawsze powiadałem, że aspiranta Maciejewskiego pomylić się nie da, bo po tym przetrąconym kluku idzie onego rozpoznać...

– Witam w naszych skromnych progach drogiego gościa! – zawołał nazbyt głośno Fischer, chcąc zagłuszyć wydzwięk tego niezbyt eleganckiego stwierdzenia swojego podwładnego.

Oskierko też syknął na Olkiewicza, ale ten najwyraźniej nic sobie nie robił z ostrzeżeń. Podczas gdy Fischer potrząsał dłonią gościa, Olkiewicz tłumaczył wszystkim kwestie związane z krzywym nosem swojego znajomego.

– Bo aspirant Maciejewski jest nie tylko szkieł, ale i bokser.

– Już nie aspirant, ale podkomisarz – poprawił go Oskierko, który zapamiętał dobrze, jak przedstawiał mu się Maciejewski.

– No proszę! – ucieszył się gospodarz. – Pan bokser, a ja zapaśnik, jeszcze z czasów szkolnych zapaśnik! No ale co tu będziemy gadać o suchym pysku. Oskierko, daj pan butelkę martela.

– Już dałem, panie komisarzu.

– Aha, bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Mało co zostało. – Dostrzegł opróżnioną flaszkę na stoliku kawowym. – No to wyciągnij pan drugą. Napijemy się, panie kolego?

– Dlaczego by nie. – Zyga wzruszył ramionami. W zasadzie było mu wszystko jedno, bo oczy mu się już powoli zamykały. Nie chciał jednak

okazać się człowiekiem pozbawionym kultury. Musiał się napić z tym Fischerem, skoro ten nalegał.

– A wie pan, ja od rana dziś miałem grać w tenis i dlatego ubrany jestem jak małpa w te krótkie pory, bo moja małżonka grywa i tak sobie wymyśliła, że i mnie nauczy, więc jak przybiegł do mnie przodownik Okoń i powiedział o tym okropnym nieporozumieniu, to ja powiem panu, że mało go nie ucałowałem z radości, że mogę się z tego tenisa wyłgać. No i przyleciałem tutaj, alem się nie zdążył już przebrać. A pan grywa w tenis?

– Nie.

– O, jest i Okoń. No dalej, zamknij drzwi, żeby, jak to mówią, muchy nie leciały.

Przodownik trzasnął drzwiami i podszedł do stolika. Ku zdziwieniu Maciejewskiego postawił na nim pięć prostych, poobijanych i wysłużonych aluminiowych kubków. Natychmiast zabrał też pusty kieliszek. Zyga doskonale znał takie kubki. Podczas wojny bolszewickiej miał taki sam, jako element swojego żołnierskiego wyposażenia. Gdzieś mu ten kubek przepadł i od tego czasu nawet nie pomyślał, że jeszcze kiedyś będzie z podobnego cokolwiek pił. A tu stało naprzeciw niego pięć identycznych. Ciekawe, co ten Fischer sobie wymyślił? Gospodarz tymczasem wyciągnął korek z flaszki i rozlał jej zawartość do wszystkich pięciu.

– No to, panie Maciejewski, Anastazy Olkiewicz powiadał, że z pana jest równy chłop i do tego jeszcze frontowiec. – Fischer uniósł w górę jeden z kubków. – Wybacz pan głupcom pobicie, bo to pomyłka nadgorliwców, wybacz pan noc w pudle, bo jak żeś pan policjant, to wiesz, że tylko ten się nie myli, co nic nie robi, a w nocy wszystkie kociambry są czarne. I wypij pan z nami, panie kolego, z frontowych kubków, bo my wszyscy, jak tu jesteśmy, to frontowa wiara i każdy na wojnie zrobił tyle, że jak nas tu miejscowych czwórka, to powiem tylko, że są tu trzy Krzyże Walecznych i dwa Virtuti...

Dopiero teraz do Maciejewskiego dotarł sens tego przedstawienia z kubkami. Ci faceci w ten sposób musieli zapijać swoje wojenne

wspomnienia. Najciekawsze jednak, że robili to zupełnie otwarcie w policyjnym biurze, oficerowie wraz z podoficerami. W Lublinie jednak coś takiego było nie do pomyślenia. Po służbie, w jakiejś knajpie, owszem, czemu nie, ale w biały dzień...

– W dobrym towarzystwie grzechem byłoby nie wypić – stwierdził Maciejewski, sięgając po kubek i uśmiechając się krzywo. Prosto będzie mógł pewnie za jakiś tydzień, jak mu się pęknieta i opuchnieta warga ładnie zrośnie. – A Krzyże Walecznych są cztery – dodał zadowolony.

*

Godzina 9.10 wieczorem

Widowisko zapowiadało się bardzo obiecująco. Od południa trwały już walki wag lekkich, a teraz, na wieczór, zostały jeszcze te najciekawsze, mistrzów wszechwag o światowej renomie. Tak przynajmniej informowały plakaty oznajmiając wszem wobec, że na ringu zmierzą się ze sobą mistrzowie świata, Europy i nawet Azji. Zyga Maciejewski siedział w łoży tuż przy okrągłej arenie, na której ścierali się ze sobą zawodnicy. Miejsce było rzeczywiście wyśmienite, bo widać było stąd każdy szczegół pojedynków. Już od godziny oglądali wraz z Fischerem walki w stylu wolnoamerykańskim i Zyga musiał przyznać, że wyglądały one niezwykle ciekawie. Dotąd niezbyt często miewał okazję do oglądania takich spotkań. Owszem, chodził na mecze bokserskie, bo boks cenił szczególnie i przede wszystkim znał się na tej dyscyplinie. Wolna amerykanka natomiast była mu niezbyt dobrze znana.

– To tak, jakbyś pan połączył boks z zapasami i do tego jeszcze pozwolił zawodnikom używać nóg do kopania.

– Niehonorowo – stwierdził Zyga, który nade wszystko cenił sobie w boksie sportowego ducha walki.

– Taka dyscyplina. Ale jest na co popatrzeć. A skoro akurat dziś dają wolną amerykankę, to przecie nie będziemy wybrzydzać. Tym

bardziej że Oskierko powiadał, że chciałeś pan iść do cyrku. – Fischer z rozmachem klepnął Maciejewskiego w ramię i roześmiał się zadowolony.

Miał całkowitą rację. Trzeba było brać to, co dają, więc skoro dawali amerykańskie walki, to niech tam, tym bardziej że ponoć Oskierko musiał nieźle się nagimnastykować, żeby dostać bilety na dzisiejszy wieczór. Więc Zyga był zadowolony, bo uważał, że zawsze warto zobaczyć coś ciekawego w obcym mieście. Zwłaszcza że na tę Wystawę Krajową jeszcze nie udało mu się dotrzeć. No bo nie było kiedy. Rano, jak tylko wyszedł z celi, zaopiekowali się nim poznańscy policjanci tak starannie, że nie mógł o nich powiedzieć złego słowa. Najpierw wypili martela z frontowych kubków, później lekarz opatrzył jego rany i założył cztery szwy na rozcięty łuk brwiowy, a potem wydarzenia potoczyły się już jak prawdziwa lawina. Zafundowano mu kąpiel w łaźni miejskiej i przebrano w całkiem elegancki garnitur, który jego nowi koledzy wyciągnęli z policyjnego depozytu. Jego pobrudzona marynarka i nieco podarte spodnie trafiły do pralni i krawca. Jutro mieli mu garderobę dostarczyć do hotelu, a na razie zadawał szyku w dwurzędowym, prążkowanym granatowym garniturze i specjalnie dobranym do tego stroju czarnym, nieco za dużym kapeluszu z szerokim rondem.

Wymytego i ubranego zaprowadzili do restauracji, nakarmili i oczywiście napoili. W tym picciu i jedzeniu pomagał mu dzielnie komisarz Fischer. Nagle ni stąd, ni zowąd okazało się, że już jest wieczór, a więc czas na główną atrakcję, czyli cyrkowe przedstawienie.

Zyga rzeczywiście przypominał sobie, że pytał tego młodego aspiranta o cyrk, ale nie mógł sobie za nic przypomnieć, dlaczego go ten cyrk zainteresował. Pamiętał, że w cyrku chciał coś sprawdzić, coś zobaczyć albo odnaleźć, jednak cóż to miało być, jakoś mu z głowy wyleciało. Na razie więc nie zaprzętał sobie tym uwagi, rozkoszując się ciekawym widowiskiem.

Właśnie skończyła się walka włoskiego mistrza Vitellego z Niemcem Krugerem, w której Niemiec pokonał włoskiego siłacza na punkty. Walka jednak nie wywoływała większych emocji. Niemca znali tu wszyscy doskonale, bo był to poznaniak, podobnie jak Włoch, i wszyscy wiedzieli, że ta walka od początku do końca jest ustawiona, więc nie ma się co tymi zmaganiem podniecać. Wszyscy czekali na gwóźdź programu, walkę podwójną, w której polscy mistrzowie wagi średniej, bracia Filipiakowie z Krakowa, mieli zmierzyć się z dwoma Rosjanami, Iwanowem i Kuropatkinem.

– Od dwóch tygodni są w Poznaniu ci Filipiakowie – tłumaczył gościowi szczegóły spotkania Fischer. – Ponoć codziennie dostają nowych przeciwników i za każdym razem rozkładają ich na łopatki, tacy są spryciarze z nich. Zwinni jak żaby.

– Ja bym powiedział, że jak piskorze, bo trudno ich przytrzymać – odezwał się ktoś z tyłu.

Fischer odwrócił się natychmiast, żeby sprawdzić, kto tam się wtrąca w jego wywód. Maciejewski też by się odwrócił, ale nie bardzo mógł wykonywać gwałtownych ruchów głową, bo miał nieco nadwyreżony kręgosłup.

– O, pan redaktor zmienił branżę? – zapytał policjant, rozpoznawszy swojego natrętnego znajomego, dziennikarza Tomczaka z „Kuriera Poznańskiego”. – Teraz pisze pan o wyczynach sportowców?

– Ależ skąd, szanowny panie komisarzu. Wierny jestem kryminalnym sprawom jak swojej małżonce. A sport tylko dla rozrywki. Jednak korzystając z okazji, chciałem zapytać, jak tam ma się sprawa naszego Zorro, co biega po ulicach z bronią w ręku. Dziś w nocy kolejny napad, znaczy kolejny do kolekcji...

– Śledztwo w toku, panie szanowny, i jesteśmy coraz bliżej ujęcia sprawców. – Fischer uśmiechnął się zadowolony, a Tomczak już wiedział, że nic więcej z policjanta nie wyciągnie. Tym bardziej że musiał się odsunąć od łoża, żeby zrobić miejsce dla przepychającego

się właśnie aspiranta Oskierki, który tym razem był ubrany w najprawdziwszy garnitur, więc wyglądał zupełnie jak ktoś inny.

– Świeże piwo przyniosłem dla panów – odezwał się aspirant, podzwaniając wesoło butelkami.

Obaj oficerowie wyciągnęli ręce po flaszki. Wypity przez cały dzień alkohol przestawał powoli działać, więc piwo było dla wysuszonych gardeł prawdziwym ratunkiem. Z radością i nawet z pewnym pośpiechem otworzyli porcelanowe kapsle i natychmiast przyłożyli otwarte butelki do ust. Zimne piwo spłynęło do podrażnionych nadmiarę przez mocne alkohole gardeł, łaskocząc je kojącym chłodem i mile drapiąc gazowymi bąbelkami.

Zyga wypił pierwszy i postawił butelkę przy nodze krzesła.

– Zapaliłoby się – stwierdził, patrząc na swojego nowego kolegę Fischera.

– To idź pan na zewnątrz. Ja popilnuję miejsc.

Maciejewski wstał i wyszedł z łoży, po czym zaczął przeciskać się w stronę wyjścia. Po chwili był już przed cyrkiem. Czyste, rześkie powietrze, oczyszczone przez gwałtowny deszcz, który przeszedł nad miastem godzinę temu, pachniało lipowym, kwietnym aromatem zmieszonym z papierosowym dymem. Wyjął z kieszeni marynarki paczkę egipskich i włożył do ust papierosa. Nie musiał specjalnie szukać dobrej zapalki wśród całej masy wypalonych. Dopiero co kupił pudełko, więc prawdopodobieństwo, że trafi na już użytą, było minimalne. Oczywiście trafił na taką. Rzucił ją na ziemię, przeklinając pod nosem. Normalnie powinien schować ją do pudełka, ale pomyślał, że skoro ma nowy garnitur, to może warto byłoby rozpocząć nowy rozdział w życiu? Na szczęście następna zapalka okazała się dobra, ale mimo że nie była wypalona, nie zapaliła się. Schował więc ją do pudełka. Dopiero kolejną udało mu się zapalić papierosa. Zaciągnął się dymem i rozejrzał dokoła.

Wokół cyrku kręciło się sporo ludzi. Pełno było tu bukmacherów przyjmujących zakłady i graczy obstawiających wynik najbliższego pojedynku. Inni podobnie jak on palili papierosy, a jeszcze inni

kupowali na straganie kielbaski i piwo. Zyga spojrział w górę. Poznański cyrk to był kawał porządnej budowli z kopulastym okrągłym dachem. Nie była to żadna prowizorka, tylko solidna konstrukcja, która zapewne przetrwa jeszcze całe lata i wiele ciekawych walk.

Naraz dostrzegł budkę, w której sprzedawano piwo. Pomyślał, że może warto byłoby jeszcze jedno wypić przed walką, bo później w gębie może zaschnąć od krzyków i wiwatów. Znał siebie dobrze i wiedział, że o ile powściągliwym bywa na co dzień, o tyle w sportowych emocjach nerwy nieraz mu puszczają i z meczów zazwyczaj wychodzi z obolałym gardłem. Trzeba by je naoliwić trochę mocniej.

Podszedł więc do budki i wskazał na rząd butelek stojących za sprzedawcą.

– Co to za piwo? – zapytał, robiąc minę wytrawnego smakosza.

– Jasne – wyjaśnił młody, może szesnastoletni sprzedawca, który najwyraźniej nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej, bo temat piwa nie bardzo go interesował. Za to facjata Zygi jak najbardziej.

– A pan szanowny to też walczy na ringu?

– Zdarza się. – Maciejewski się uśmiechnął, bo wyobraził sobie siebie stojącego dziś do walki. – Ale teraz mam przerwę.

Odebrał butelkę od chłopaka i podał mu jednocześnie złotówkę.

– No wiadomo, że jak się ma obitą gębę, to trzeba trochę odpocząć, zanim się wróci na ring.

Zyga dotknął opuchlizny pod okiem i uśmiechnął się do chłopaka.

– Do wesela się zagoi.

– Szkoda, że nie dzisiaj. Bo mógłby pan pomóc bratowi.

Popatrzył na chłopaka, który najwyraźniej miał jakiś problem z oczami.

– Co gadasz?

– Nie wiedziałem, że was jest trzech, ale jak pana zobaczyłem, to już teraz wiem. To by dopiero była walka, jakbyście we trzech... No ale

w wolnej amerykance to ino we dwóch można walczyć. Ale na tych patalachów to dwóch Filipiaków wystarczy...

I w tym momencie Zyga przypomniał sobie, dlaczego chciał iść do cyrku. Bracia Filipiakowie, z Krakowa. Widział ich na boksterskim ringu w Lublinie. A dokładniej widział Anzelma Filipiaka pięć lat temu, gdy stanął naprzeciw niego podczas boksterskiego meczu. Zapamiętał ten potężny prawy prosty, który omal nie wyrzucił go za liny już w pierwszej rundzie. Pozbierał się wtedy i stanął znów na ringu. Pamiętał też te ciemne i zimne oczy, bez żadnej iskry ludzkich odczuć. Te oczy widział dzisiejszej nocy.

– Filipiaki to Anzelm i Ewaryst, a pan jak się nazywa? – zapytał sprzedawca.

– Ja? Nazywam się Maciejewski. Zygmunt Maciejewski.

Podkomisarz postawił piwo na ladzie i ruszył szybko w kierunku drzwi prowadzących na widownię. Przepchnąwszy się przez tłum, dotarł do swojej łoży. Fischer i Oskierko powitali go ciepłymi uśmiechami, ale Maciejewskiemu nie było do śmiechu.

– Panie Oskierko, wyjdź pan na zewnątrz i znajdź jakichś policjantów. Obstawcie wyjście dla sportowców, na wszelki wypadek. A pan niech wejdzie tym przejściem i zablokuje zejście z areny do szatni. Ale dopiero jak zacznie się prezentacja i Filipiakowie wyjdą na scenę!

– Ale o co chodzi? – Oskierko spojrzał na Maciejewskiego, a potem na Fischera.

– Nie pytaj pan, tylko rób, co mówię!

Zaintrygowany Fischer kiwnął głową, więc aspirant wstał i zaczął przeciskać się przez coraz bardziej rozgrzany emocjami tłum.

– A bo co się dzieje? – zapytał dziennikarz, który znów pojawił się przy łoży policjantów.

– Nic się nie dzieje! – Zyga wzruszył ramionami i nachylił się do ucha Fischera. Zaczął mu coś szybko tłumaczyć i naraz uśmiechnięta dotąd twarz poznańskiego policjanta stężała, brwi podniosły się

w górę, a na zaciśniętych ustach pojawił się wyraz determinacji. W końcu Fischer pokiwał głową.

– Szanowna publiczności! – Na arenę wkroczył konferansjer we fraku i meloniku na głowie, z metalową tubą w dłoni. – Już za chwilę, już za moment rozpocznie się to, na co wszyscy czekali przez cały dzień. Gwóźdź wieczoru, walka stulecia, dwaj Polacy z żelaza! – Głos prowadzącego momentalnie utonął w głośnym aplauzie i oklaskach. Po chwili komentator mówił znowu – ...i dwaj Rosjanie ze stali...

Teraz arenę zalała fala gwizdów i przekleństw, która jednak nie trwała zbyt długo. Ludzie byli zbyt spragnieni widowiska, żeby tracić czas na niepotrzebne buczenie.

– Za chwilę spotkają się ze sobą, by stoczyć walkę o tytuł mistrza świata w stylu wolnoamerykańskim, gdzie wszystkie chwytów są dozwolone, za wyjątkiem chwytów niedozwolonych!

Znów rozległy się krzyki i gwizdy, jednak te oznaczały wielką radość i pełne napięcia oczekiwanie.

– A oto i oni, mistrzowie Polski i Europy, bracia Filipiakowie!

Tłum zafalował, ludzie zerwali się z miejsc i zaczęli wiwatować. Dwaj mistrzowie ubrani w czerwone stroje ze złotymi pelerynami zarzuconymi na plecy wkroczyli na środek sceny, przy dźwiękach tryumfalnego marsza, granego przez czteroosobową orkiestrę.

Fischer i Maciejewski również wstali z miejsc. Dwaj Filipiakowie ukłonili się nisko publiczności i zaraz ruszyli w takt dźwięków marsza wokół sceny, kłaniając się i zbierając rzucane im pod nogi kwiaty.

Kiedy podeszli do trybuny, gdzie stali dwaj policjanci, spojrzenia Maciejewskiego i jednego z braci spotkały się. Teraz Zyga był już pewny. Wyciągnął w kierunku Filipiaka rękę, a potem zacisnął ją w pięść. Anzelm Filipiak zbladł momentalnie. Jego brat Ewaryst popchnął go lekko, ale ten stał jak zamurowany, wpatrzony w Maciejewskiego. Wtedy i drugi spojrzał w kierunku Zygi. Musiał go rozpoznać, bo uśmiechnął się, szczerząc białe zęby. To był ten facet, któremu Zyga zerwał z twarzy maskę.

Filipiakowie ruszyli dalej, ale ich krok był mniej dziarski. Anzelm co chwilę spoglądał za siebie. Naraz dostrzegł mundurowego policjanta przy jednym z wyjść. Szybko zerknął na drugie wyjście. I tam stał policjant. Trzeci był w wejściu do szatni, a obok niego jakiś młody człowiek w garniturze, trzymający się pod boki i posyłający im obu wyzywające spojrzenie. Jedyne przejście bez policjanta znajdowało się za plecami człowieka, którego Ewaryst widział w nocy. Teraz przypomniał sobie, skąd go zna. To był ten facet, z którym kilka lat temu walczył w Lublinie. Walka była twarda, a mecz zakończył się remisem. Zawodnik z Lublina był sportowcem, ale wszyscy wiedzieli, że sport to tylko dodatek do jego prawdziwego zawodu. Ten człowiek bowiem był policjantem. Teraz stał naprzeciw niego i uśmiechał się wyzywająco. Nie było wyjścia. Musieli zaatakować.

Pociągnął brata w swoim kierunku i szybko mu coś powiedział. Ten rozejrzał się wokół i zapewne dostrzegł policjantów. Skinął głową na znak zgody. Przejście przez tych dwóch osiłków było najprostszym rozwiązaniem. Musieli tylko zaatakować z zaskoczenia, tak jak to robili podczas obrabiania dorożek.

– Szanowni państwo, już za chwileczkę na arenie pojawią się... – Znów głos konferansjera utonął w entuzjastycznych krzykach i gwizdach. Tym razem wywołało je coś niespodziewanego. Obaj bracia pokleпали się po ramionach, podali sobie ręce i naraz ruszyli przed siebie i wcale nie na ruskich przeciwników, ale wprost na trybunę, na której stali dwaj mężczyźni. A ci zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie, wyskoczyli na posypaną trocinami arenę. W mgnieniu oka zrzucili z siebie marynarki i stanęli na wprost biegnących murem, nic sobie nie robiąc z impetu ataku.

Publiczność dosłownie oszalała. Takiej atrakcji nikt się nie spodziewał. Owszem, zdarzały się sytuacje, kiedy jakiś krewki obserwator wskakiwał na arenę, by pomóc swojemu faworytowi, ale czegoś takiego jeszcze nikt tu nie widział. Dwaj zawodnicy ruszyli biegiem na dwóch widzów, a ci stawili im czoła. Zawodowcy dopadli ich niemal równocześnie. Anzelm sprytnie wykorzystał siłę rozpędu,

podskoczył w górę i zaatakował wyciągniętą do przodu prawą nogą. Zyga zdołał to przewidzieć. Cofnął się błyskawicznie w lewo i atak uderzył w pustkę. Gdy napastnik opadł na lewą nogę, Maciejewski skoczył szczupakiem i podciął mu ją. Filipiak runął jak długi, a odgłos padającego ciała utonął w potężnym krzyku wydobywającym się z setek gardeł. Drugi z braci również nie docenił przeciwnika. On rzucił się do przodu, chcąc podciąć nogi Fischera. Policjant jednak podskoczył w górę niemal w ostatnim momencie i zaraz runął na plecy Anzelma. Ale Filipiak był gibki jak węgorz. Natychmiast odwrócił się i poderwawszy się do góry, kopnął komisarza w szczękę. Fischer upadł na plecy, a jego przeciwnik skoczył na niego. Chciał teraz wymierzyć mu cios nokautujący w skroń, lecz stary zapaśnik wiedział, co należy zrobić. Napiął mięśnie brzucha i przyciągnąwszy nogi do siebie, naprężył się jak sprężyna, strącając z siebie Filipiaka. Nim ten zrozumiał, co się dzieje, Fischer już przyciskał go całym ciężarem ciała do ziemi. Złapał jeszcze zapaśnika za prawą rękę i wykręcił tak mocno, że gdyby na sali było cicho, można by było usłyszeć jej niebezpieczny chrzęst.

Tymczasem Zyga kolejny raz uchylił się przed potężnym ciosem Anzelma. Ten był najwyraźniej zdziwiony, że nie może trafić w cel. Maciejewski był szybki jak łasica. Obiegał przeciwnika dokoła, unikając ciosów, a sam zadawał je w każdym sprzyjającym momencie. To była jedyna taktyka mogąca przynieść mu zwycięstwo. Filipiak był bowiem przynajmniej dziesięć kilo cięższy od Zygi. Gdyby go trafił, już byłoby po walce. Tak jak w przypadku drugiej pary, gdzie Ewaryst jeszcze stawiał opór Fischerowi, ale widać już było, że ta walka jest przegrana. Obity Filipiak, który zainkasował już swoje w parterze, teraz słaniając się na nogach, próbował doprowadzić do zwania, które dałoby mu odrobinę wytchnienia. Jednak Fischer był na to za mądry. Widział, że jego przeciwnik nie ma już siły. Trzeba więc było pójść za ciosem. Wyczekał momentu, gdy na sekundę Filipiak spuścił gardę, i uderzył, wyprowadzając prawy prosty jak kulę armatnią,

trafiając Ewarysta w splot słoneczny. Celnie trafiony bokser padł na plecy, a publiczność zawyla ze szczęścia.

Anzelm kątem oka dojrzał, że jego brat został wyłączony z walki. Trudno, musiał sobie poradzić sam. Ruszył na Maciejewskiego szybko i zdecydowanie i naraz zatrzymał się tuż przed przeciwnikiem. Ten, nie wiedząc, co to może oznaczać, odskoczył do tyłu, a Filipiak, przewidując taką reakcję, natarł barkiem na Zyge. Policjant momentalnie stracił równowagę i przewrócił się na plecy. Nie czekał jednak, aż Anzelm go dopadnie. Przeturlał się błyskawicznie w bok i podskoczył na równe nogi. Teraz dwaj bokserzy stali naprzeciw siebie, dysząc i sapiąc. Publiczność zamilkła. W cyrku zrobiło się tak cicho, że słychać było muchy latające wokół lamp.

Maciejewski zaatakował, uderzając Anzelma w bark. Siła ciosu obróciła Filipiaka wokół jego własnej osi. Wykorzystał tę sytuację i wyprowadził błyskawiczny prawy sierpowy, który wystrzelił w skroń Zygi. Na szczęście pięść zsunęła się po kości ciemieniowej, a Maciejewski, podkurczywszy nogi, pochylił się i naraz, jak nagięte do ziemi sprężyste drzewo, wyprysnął w górę. Czoło jak dębowy kafar wbiło się w podbródek Anzelma Filipiaka, a siła uderzenia sprawiła, że jego nogi oderwały się na moment od podłoża, by za sekundę opaść z impetem w dół, ciągnąc za sobą bezwładne ciało, które złożyło się jak szmaciana lalka.

Zdziwiony Zyga spojrział na Filipiaka, a potem na Fischera, który stał dwa metry obok, nad nieruchomym drugim z braci. Obaj policjanci uśmiechnęli się do siebie. W końcu wykonali tu kawał dobrej roboty.

Naraz nieopisany zgiełk gwizdów i okrzyków wypełnił po brzegi cały cyrk. Ludzie darli się jak opętani, fetując zwycięzców. Bo przecież ta wygrana była inna niż zwykle. To dwaj bokserzy stanęli naprzeciwko publiczności i ta publiczność pięściami swoich bohaterów pokonała zawodowych zabijaków. Nikt nawet szczególnie się nie zdziwił, kiedy na arenę wkroczyli umundurowani policjanci, który zakuli w kajdanki nieprzytomnych byłych mistrzów ringu

i areny. W końcu ci dwaj zachowali się nie jak sportowcy, ale jak bandyci, atakując Bogu ducha winnych widzów. Więc teraz należała się im urzędowa kara. A zwycięzcy, których nikt nie znał wcześniej, właśnie stawali się sławni, pozując z wyciągniętymi do góry pięściami do zdjęcia, które robił im gazetowy fotograf. Przysłano go tu dziś, żeby uwiecznił zwycięzcę zawodów, ale to ci dwaj amatorzy okazali się dziś prawdziwymi mistrzami. Dziennikarz Tomczak musiał teraz tylko dowiedzieć się, kim jest ten gość ze złamanym nosem, gdyż musiał go jakoś podpisać w artykule i pod zdjęciem. Bo nazwisko poznańskiego komisarza znał doskonale i tego nie musiał notować.

*

Poniedziałek, 22 lipca, godzina 10.35 przed południem

Maszynista pociągnął za wajchę i para z kotła poszła w gwizdek. Sygnał lokomotywy ostrzegł wszystkich stojących na peronie, że czas się żegnać, a konduktor gromkim głosem nakazał wsiadać i drzwi zamykać. Żegnający posłusznie odsunęli się od krawędzi peronu i w pośpiechu zaczęli szukać po kieszeniach białych chusteczek, bo te najlepiej nadawały się do machania na pożegnanie. W końcu, gdy wszyscy zajęli już swoje miejsca, odjeżdżający w otwartych oknach, a pozostający naprzeciwko nich, jednak w bezpiecznej odległości, zawiadowca stacji w czerwonej rogatywce podniósł w górę czerwony lizak sygnałowy i zawołał najgłośniejszym jak potrafił:

– Oooo-djaaaa-zd!

Pociąg odchodzący z pierwszego peronu Dworca Głównego w Poznaniu do Warszawy Głównej wolno ruszył, ciągnąc za sobą dziewięć wagonów. Trzy pierwszej, dwa drugiej i aż cztery trzeciej klasy. Pasażer przedziału drugiej klasy z obitą i posiniaczoną gębą, do tego jeszcze ze złamanym już dawno nosem, spojrział w lewo, na dwa strzeliste, marmurowe obeliski zdobiące wejście na Powszechną Wystawę Krajową, udekorowane kwietnymi girlandami i biało-czerwonymi flagami. Przyjechał tu wydelegowany przez swojego

szefa, nadkomisarza Sobocińskiego, żeby obejrzeć dokładnie te wszystkie niezwykle osiągnięcia młodego, dziesięcioletniego, odrodzonego państwa... Nie udało mu się jednak dotrzeć na wystawę, bo od pierwszych chwil po przyjeździe do Poznania zaangażowany był w niezwykle ważne śledztwo, które prowadziła miejscowa policja. List w tej sprawie złożył na jego ręce sam naczelnik wydziału śledczego poznańskiej policji komisarz Antoni Fischer. Tak naprawdę był to list gratulujący nadkomisarzowi Sobocińskiemu wybitnego pracownika i jednocześnie dziękujący Maciejewskiemu za nieocenioną pomoc w ujęciu dwóch groźnych bandytów. Jednak ten list, całkiem miły, nie był dla Zygi najważniejszą pamiątką, którą wywoził z Poznania. Tę miał rozłożoną na kolanach i co jakiś czas z uśmiechem na nią spoglądał. Był to dzisiejszy, poranny numer „Kuriera Poznańskiego”, na którego pierwszej stronie bił w oczy wielki tytuł:

PODWÓJNY NELSON, CZYLI BANDYCI W MASKACH SCHWYTANI

Takiej niecodziennej akcji policyjnej jeszcze Poznań nie widział. Dwaj zamaskowani bandyci, którzy swojemi akcjami zbrojnemi terroryzowali zarówno obywateli naszego miasta, jak i przyjezdnych odwiedzających Powszechną Wystawę Krajową, zostali wczoraj ujęci przez policję. Ale sposób ujęcia był niezwykle i niecodzienny. Bandytami okazali się dwaj cyrkowi zapaśnicy w stylu wolnoamerykańskim, którzy podawali się za mistrzów krajowych i od kilkunastu dni występowali w cyrku przy rogu ulic Jasnej i Poznańskiej. Tamże właśnie w trakcie zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań ustalili ich miejsce pobytu policjanci. Podczas wieczornego meczu bokserskiego mundurowi funkcjonariusze otoczyli cały teren, a do akcji weszli dwaj policjanci wyszkoleni w kwestiach obezwładniania szczególnie groźnych przestępców, jako że obaj są byłymi mistrzami boksu i zapasów. Zapaśnik ów to nikt inny jak dobrze znany

poznaniakom komisarz Fischer, którego jest naczelnikiem tutejszego wydziału śledczego. Biegłym w fachu bokserkim okazał się przysłany specjalnie do Poznania z Lublina podkomisarz Zygmunt Maciejewski. Oni to właśnie obaj wkroczyli na arenę cyrkową, by dokonać zatrzymania bandytów. Ci jednak tanio nie zechcieli sprzedać skóry. Ruszyli do walki, jakiej Poznań jeszcze nie widział. Przy aplauzie publiczności wypełniającej cyrk po brzegi dwaj stróże prawa stanęli do pojedynku z bandytami. Podwójny pojedynek wyglądał jak najprawdziwsza walka w stylu wolnoamerykańskim. W ruch szły pięści, nogi i nawet głowy walczących. Walka toczyła się przez dobrych kilka minut ze zmiennym szczęściem, ale w końcu sprawiedliwość zatryumfowała. Pierwszy swojego przeciwnika rozłożył na łopatki poznaniak, komisarz Fischer, potężnym ciosem pozbawiając bandytę przytomności. Wkrótce w jego ślady poszedł lubelski spec od boks, podkomisarz Maciejewski, który uderzył drugiego bandziora głową w podbródek, gruchocząc mu przy tym szczękę. Można powiedzieć, że obaj funkcjonariusze obezwładnili swoich przeciwników, zakładając im zapaśniczego, nie zwyczajnego, ale podwójnego nelsona.

Tak to policjanci, z których cała nasza poznańska społeczność może być dumna, na oczach setek amatorów sportowych walk zafundowali prawdziwą walkę między dobrem a złem. Jakie to szczęście, że spokoju obywateli pilnują tacy ludzie jak Fischer i Maciejewski oraz wielu innych, których nazwisk nie możemy tu wymienić, ale którym kłaniamy się nisko jako swoim obrońcom.

Artykuł ów opatrzony był dwoma fotografiami. Większa przedstawiała Maciejewskiego i Fischera chwilę po walce z podpisem: „Maciejewski i Fischer, policjanci – zwycięzcy”. Druga, podpisana: „Pokonani bandyci leżący bez przytomności na arenie”, ukazywała znokautowanych braci Filipiaków. Zyga musiał przyznać, że o ile to pierwsze zdjęcie wyglądało całkiem interesująco, o tyle drugie

przypominało fotorelację z pola bitwy. Szkoda, bo twarze i przede wszystkim atletyczne sylwetki przestępców były niezbyt wyraźne i nikt nie będzie mógł właściwie ocenić zwycięstwa obu policjantów. Ale co tam. Mówi się trudno. Ważne jednak, że jego niezbyt rozgarnięty szef, nadkomisarz Sobociński, zobaczy, że boks też się może od czasu do czasu przydać policjantowi. Ale co tam Sobociński. Dopiero wielkie oczy, zobaczywszy fotografię i przeczytawszy artykuł, zrobi jego Róża, która – jak to delikatna kobieta – ceni w nim, oczywiście prócz oryginalnej urody, magnetyczną męską siłę.

Marcin Wroński

Złota robota

Lublin, piątek, 9 września 1938 roku

Leon Kmieć cierpiał niekiedy z powodu chamskiego nazwiska i wzrostu był zaledwie średniego, lecz na mieście się z nim liczone. To on stał jak strzelec na warcie przed sklepem jubilerskim Kalickiego, umundurowany w nieskazitelną ciemnobordową kurtkę ze stójką i czapkę ze świecącym daszkiem. Gdy do sąsiedniego kościoła Świętego Ducha schodziły się dewotki, nie reagował, podobnie jak na Żydów z pełnej tandety Lubartowskiej. Z daleka potrafił jednak wyłowić wśród przechodniów dobrego klienta i zawczasu z miłym uśmiechem otwierał przed nim drzwi.

Tak właśnie tego dnia pół godziny przed fajrantem uchylił je przed damą ubraną z warszawska.

– Zapraszam najuprzejmiej szanowną panią prezesową – powiedział, chociaż widział ją pierwszy raz w życiu.

Nie odwzajemniła się nawet zdawkowym uśmiechem. Ministrowa może?, pomyślał Kmieć. Klientka skierowała się wprost do właściciela zakładu.

– Czy pan Kazimierz Kalicki? – zapytała, sięgając do torebki. – Regina Wołkońska, telefonowałam do pana.

– Bardzo mi przyjemnie, proszę szanownej pani. – Przystrzyżony po wojskowemu mężczyzna ukłonił się i zawczasu wyjął z kieszeni okular.

Kolia, którą położyła przed nim na ladzie, wyglądała doprawdy na rodowy klejnot. Wśród złotych kół skrzyły się brylanty od ćwierci karata do dwóch, ułożone w naszyjniku warstwami na podobieństwo ściekających i zamarzających kropli.

– Chciałabym dyskretnie wyzbyc się tego drobiazgu.

– Przepraszam, ale nie szkoda pani? – Jubiler podniósł spojrzenie znad kolia. – Może przejdziemy do biura? Tam będzie nam wygodniej.

– Nie szkoda – zdecydowała dama niecierpliwym tonem. – Daruje pan, spieszę się na pociąg. Dziesięć tysięcy?

Kalicki zauważył, że klientka przebiera nogami jak rasowa klaczka. Był oficerem rezerwy i zapalonym koniarzem, więc takie rzeczy nie mogły umknąć jego uwadze. Przyglądał węża. Lecz był także synem jubilera, toteż znał się na precjozach.

– Daruje pani chwilę zwłoki... Panie Jabłoński – skinął na złotnika, który w rogu sklepu ślęczał nad warsztatem – pan będzie uprzejmy rzucić okiem!

Przygarbiony pięćdziesięciolatek w wykrochmalonej koszuli i z jedwabnym krawatem niepotrzebnie skrywanym pod roboczym kitem podszedł natychmiast. Pryncypał podał mu okular.

– Panie Kalicki, to przecież... – Zdziwiony rzemieślnik podniósł wzrok na chlebowawcę.

– Tak, to kolia po mojej matce, późny empire – przerwała mu klientka. – I gdyby nie pewne okoliczności, proszę mi wierzyć, nie zaoferowałabym takiej sumy.

– Szanowna pani daruje – jubiler uśmiechnął się – ale mistrz Jabłoński miał raczej na myśli, że to żółte nie jest złotem, a te kamienie nawet nie leżały przy brylantach.

– Jak pan śmie!

Dama porwała oczerniony naszyjnik i zaraz opuściłaby zakład Kalickiego, gdyby nie pan Kmiec, czujny na każdy sygnał swego nie tylko szefa, lecz i dawnego dowódcy z drugiego pułku artylerii ciężkiej w Chełmie. Wcześniej giętki w ukłonach, teraz bez skrupułów złapał kobietę za ramię, aż syknęła z bólu.

– Żałuję, lecz szanowna pani będzie zmuszona tu pozostać – poinformował salonowo, jak przystało na pracownika pierwszorzędnej firmy.

Pryncypał wykręcał już na tarczy telefonu numer komisariatu policji.

*

Tymczasem w ekspresie Praha Wilsonovo nádraží–Warszawa Główna

Przedział drugiej klasy nie miał wprawdzie kanap wyściełanych pluszem, lecz starszy pan drzemał w nim rozkosznie od Pardubic. Ubrany był w staromodną, ciasną marynarkę, pod którą odznaczał się wypchany portfel w wewnętrznej kieszeni. Pasażer wyróżniał się dobrym wychowaniem. Zanim pozwolił sobie przymknąć oczy, łamanym czeskim pokonwersował grzecznościowo z panią na oko czterdziestoletnią, jadącą z synem podrostkiem do Sosnowca. Wyraził swoje ubolewanie z powodu tak nieprzyjemnych stosunków politycznych między sąsiadami, a także nadzieję, że mężowie stanu opamiętają się wreszcie i puszcżą dawne urazy w niepamięć. Na koniec samorzutnie przyniósł towarzysze podróży i jej synowi oranżadę z wagonu restauracyjnego. Chłopak wprawdzie patrzył na niego nieufnie, jak każdy uczciwy Czech winien patrzeć na Polaka, lecz wreszcie zajął się *Przygodami dobrego wojaka Szwejka* i nie przeszkadzał uprzejmemu starszemu panu w odpoczynku. Przez uchylone okna pęd pociągu wpuszczał rześkie, świeże powietrze wprost na twarz polskiego pasażera i ten uśmiechał się z lubością przez sen.

Jego niewielka walizka z nalepkami kilkunastu hoteli z różnych krajów spokojnie leżała na półce bagażowej. Drgnęła tylko raz, gdy skład wtoczył się na dworzec w Boguminie tuż przed granicą i maszynista zahamował zbyt gwałtownie. Starszy pan, ocknąwszy się, spojrział wtedy w górę, odsłaniając na szyi potężne zmarszczki jak u wiekowego żółwia, które zaraz opadły mu na kołnierzyk ściśnięty muszką. Usta pasażera już składały się do miłego uśmiechu, gdy drzwi przedziału energicznie otwarła czyjaś ręka i wszedł młody człowiek w sportowym garniturze. Nie przywitał się z nikim, a ledwie rzucił walizkę na półkę, z hałasem zatrzęsął okno.

– Dość nawdychałem się czeskiego smrodu – zakomunikował ostentacyjnie po polsku. – Otworzy się wywietrzyć po naszej stronie.

Podrostek poczerwieniał z wściekłości mimo pacyfistycznej lektury, a matka silnie ścisnęła go za łokieć. Starszy pan zauważył, że popatrzyła na niego z nadzieją jako na dżentelmena, niestety w takiej sytuacji odważył się jedynie na smutny uśmiech i niemą prośbę o zrozumienie. I najwyraźniej było mu z tego powodu nieswojo, bo gdy tylko pociąg ruszył, tchórzliwy pasażer zatoczył się niezgrabnie w jej kierunku, aż upadł na torebkę. Potem, nim wyszedł wreszcie do toalety, przygniótł niechcący całym ciałem ordynarnego młodzieńca.

Tymczasem, chociaż Polska była niemal na wyciągnięcie ręki, tory zawróciły na południowy wschód, pozostawiając po lewej szachownicę pól nad graniczną Olzą. Stojący na szeroko rozstawionych nogach starszy pasażer, nim sobie ulżył, uśmiechnął się nad klozetem. Wróciwszy jednak do przedziału, znów unikał spojrzeń i pozorował drzemkę. Otworzył oczy dwadzieścia minut później, kiedy pociąg stanął, a w drzwiach przedziału pokazali się celnicy czeski i polski. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, zanim zażądali dokumentów. I zamarł w przestkach.

– Mój portfel! – wykrzyknął w mowie ojczystej. – Przecież miałem go przed chwilą tutaj, w kieszeni! – Poklepał się bezradnie w miejscu, gdzie jeszcze niedawno jego marynarka była wypchana, aż niemal pękała w szwach.

– I ja nie mam swojego! Ani biletu, ani paszportu! – rozpaczła po czesku towarzyszka podróży. – Okradziono nas!

Młody Polak skrzywił się pogardliwie, a jego starszy rodak, dotąd ustępujący niczym noc przed dniem, przy celnikach nabrał odwagi. Rzucił się na szczeniaka i złapał go za klapy marynarki.

– Nikt więcej tu nie wsiadał. Przeszukajcie tego Polaka, *prosím was!*

Komu jak komu, ale czeskiemu celnikowi podobnych rzeczy nie trzeba było powtarzać dwa razy. Dokładne sprawdzanie sąsiadów z za północnej granicy mieli w żelaznym repertuarze, podobnie jak Polacy rzetelne trzepanie Czechów. I celnicy nawet nie musieli otwierać

młodemu byczkowi walizki, portfele współpasażerów miał w kieszeniach, amator!

– *Přijďte s námi!* – Czech stanowczo złapał młodzieńca pod ramię, a jego polski kolega nie protestował. Zaskoczony podróżny nie był już tak pewny siebie jak wcześniej, gdy zamykał okno.

– *Děkuji!* – Staromodny pasażer odetchnął z ulgą, widząc swój portfel w nienaruszonym stanie. – Moja walizka jest tam. Zaraz zdejmę do kontroli.

– Nie ma potrzeby. – Polski celnik uśmiechnął się życzliwie, a czeski przytaknął. Zerknęli tylko na paszporty i zasalutowali na odchodnym. – *Šťastnou cestu! Szcześliwej podróży!*

Zażywny pan z ulgą otworzył okno, patrząc, jak jego rodaka wyprowadzają z pociągu i ciągną do budynku stacyjnego.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – powiedział. – I niech wywietrzy się po tym złodzieju.

– Polskim złodzieju – zauważył w języku Mickiewicza nastoletni czeski patriota, na co rodzicielka zgromiła go wzrokiem, choć bez przekonania.

– Tak mi przykro... – Ich towarzysz podróży bezradnie rozłożył ręce i by uniknąć kłopotliwych tematów, wkrótce znów zapadł w drzemkę.

W Sosnowcu matka i syn wysiedli więc jak najciszej, chociaż dobry wojak Szwejk na ich miejscu nie powstrzymałby się przed jakąś głośną, życiową puentą.

*

Lublin, sobota, 10 września 1938 roku

To ty? – zapytał naiwnie w ludzkim odruchu.

– Nie, to nie „ty”, ale pani Regina Wołkońska, ty łajdaku, bydlaku, ty chamie zbuntowany! – wrzasnęła. – Umyślnie, przez złośliwość, kazałeś mnie trzymać z kryminalistkami!

Komisarz Zygmunt Maciejewski sądził, że to wczoraj miał ciężki dzień. Zabita służąca inżynierostwa Stanowiczów, jej chlebodawca, który z uporem maniaka obracał mord z lubieżności w sprawę polityczną, no i wreszcie przełożeni, patrzący krzywo na Zygę, karnie przywróconego na stanowisko kierownika wydziału śledczego, chociaż jeszcze niedawno był oficerem inspekcyjnym. Kto by uwierzył, że odetchnął z ulgą! Nie po to został policjantem, żeby patrzeć kolegom na ręce. Zawsze chciał po prostu robić swoje, czyli porządek w ojczyźnie, odrodzonej zbrojnym zrywem tylko po to, by teraz dręczyli ją politykierzy. Dlatego wstając rano, codziennie był gotów na wiele nieprzyjemności, jednak nie na stryjecną szwagierkę.

– Nie pochlebiaj sobie, miałem na głowie ważniejsze sprawy – najspokojniej w świecie odparł ten gbur, za którego pod koniec dwudziestego szóstego wyszła jej kuzynka nieboszczka. – Daj mi przejrzeć akta! Im bardziej będziesz mnie denerwować, tym dłużej to potrwa – zagroził, więc zamilkła.

Mundurowy, który przyprowadził zatrzymaną, zasalutował i wyszedł zniesmaczony. Również dzielący z Maciejewskim gabinet podkomisarz Kraft uznał, że nie będzie potrzebny.

– Zygmunt, spróbuj mnie zrozumieć. Nerwy... – Dopiero gdy zostali sami, Wołkońska odezwała się ludzkim głosem, chociaż nie była to Wigilia. – Przepraszam, że się uniosłam. Jestem w rozpaczliwej sytuacji, Zyguncie...

– Panie komisarzu – poprawił ją wrednie. – Jeśli jaśnie pani będzie grać komedię, posiedzi czterdzieści osiem godzin. To mi nawet na rękę, bo nikt mi nie zarzuci kumoterstwa. A tak między nami, waszej rodziny nigdy nie lubiłem. Więc bez kręcenia, o co chodzi z tym fałszywym naszymnikiem?

– Uwierz mi, proszę, nie wiem...

Rozłożyła ręce tak bezradnie jak jego żona nieboszczka, kiedy zapytał, dlaczego zdradzała go nawet nie z ułanem, ale z oficerkiem od aut pancernych. Widocznie u pań Wołkońskich to było rodzinne, a mimo to Zyga uwierzył szwagierce. Z kwitów też biła jej bezradność,

nieprzystająca do roli oszustki, za jaką wziął Reginę pan Kalicki. Zaszkoziła sobie wyłącznie krewkim temperamentem, wrzeszcząc na policjantów, którzy za cholere nie potrafili zrozumieć, że rodową kole wyjęła z rodzinnego sejfu, a zatem nie mogło być mowy o sztucznym złocie ani podrobionych brylantach. Takich nie włożyłaby przecież na szyję sportretowana w 1859 roku z tym samym naszyjnikiem jej babka Justyna Wołkońska!

– A od kiedy to ty jesteś spadkobierczynią klejnotów po babce? – spytał komisarz, zapalając papierosa.

– Jeżeli nawet, to chyba inny paragraf i nieścigany z urzędu – zauważyła całkiem sprytnie Regina. – Miałam klucz do sejfu. I mam długi, Zygmuncie, potworne długi...

Maciejewski skrzywił się. Po pierwsze, był przyzwyczajony, że na przesłuchania w wydziale śledczym trafiali najuczciwsi z uczciwych, którym złośliwy los postanowił podstawić nogę. Po drugie, chociaż z nieboszczką żoną przeżył ledwie kilka burzliwych miesięcy, jej kuzynkę zdążył poznać jak zły szeląg.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – burknął.

– Nie wiem, może mnie oczerniono przed tobą? – jęknęła. – Ale posłuchaj, bardzo cię proszę.

Skinął głową. Słuchanie było jego obowiązkiem i dawno już myślał, aby z psychiatrami i księżmi spowiednikami założyć wspólny związek zawodowy. Nie sądził jednak, że nagle jego zdawkowe notatki rozrosną się na dwie strony. A już całkiem nie przypuszczał, że na koniec zdecyduje:

– Dobrze, podpiszesz protokół i jesteś wolna.

– Anna nie zasługiwała na ciebie, Zygmuncie – powiedziała Wołkońska z takim przydechem, jakby w istocie pytała, czy szwagier życzy sobie, aby rozpięła bluzkę.

– Pewnie dlatego Pan Bóg miłosierny pokarał ją galopującymi suchotami – warknął Maciejewski. – Podpisz i nie chcę cię więcej widzieć.

*

Boomerang wynaleźli krajowcy australijscy, a w ich aborygeńskim narzeczu słowo to oznacza „kij, który wraca”, zapamiętał Zyga Maciejewski z sobotniego „Expressu”. Lubił takie ciekawostki ze świata. A teraz czuł się tak, niestety, jakby któryś z owych Aborygenów rzucił mu swym wynalazkiem prosto w łeb i z dzikim uśmiechem znów trzymał ów bumerang w dłoni gdzieś na antypodach, poza zasięgiem wzroku komisarza.

Mieszkanie prezesostwa Szpindlerów á Donau przy zastawionej reprezentacyjnymi kamienicami ulicy Szopena całe było w nieładzie. Złodzieje zdjęli też obraz Fałata przysłaniający solidny sejf firmy Wiener Cassen, lecz w tym jednym miejscu poza kilkoma niewprawnymi rysami od łomów nie pozostawili żadnego nieporządku.

– Amatorzy... – Wywiadowca Fałniewicz pokręcił głową, pisząc ogryzkiem ołówka w swym małym notesie, niewystającym poza krawędź wielkich jak patelnie dłoni.

Maciejewski z kolei nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już coś podobnego widział. Być może w archiwum Urzędu Śledczego m. st. Warszawy przetrwał wykaligrafowany cyrylicą protokół oględzin policyjnych z włamania do warszawskiego mieszkania rodziców Reginy Wołkońskiej w 1912 roku, lecz Zyga nie potrzebował go czytać. Szwagierka zrelacjonowała mu zdarzenie wystarczająco plastycznie, by do jego głowy oprócz broni rdzennych Australijczyków zakradło się francuskie *déjà vu*.

Według jej relacji przyjęcie było wyjątkowo nieudane. Wyróżniała się spośród dzieci przy osobnym stole niczym Alinka w Krainie Cudów, bo była wśród nich jedyną trzynastolatką, za młodą na dorosłych, ale i za dorosłą na te bachory. Upokorzenie zniosła wprawdzie z godnością, jak przystało na pannę Wołkońską, lecz myślała tylko o tym, że po powrocie do domu jako najstarsza z rodzeństwa będzie mogła przed snem przeczytać choć jedno

opowiadanie o śledztwach Szerełoka Holmesa¹. Niestety, strasznie było wrócić do domu, w którym przestępcy wybebeszyli nie tylko zawartość szaf, lecz także książki z biblioteczki, w poszukiwaniu ukrytych za nimi skrytek.

– Nie trzeba było dawać wychodnego służbie – jęknęła matka.

Regina spojrziała na ojca, oczekując drogowskazu. On jednak sprawdził tylko sejf, a zastawszy go nienaruszonym, zaśmiał się z włamania jak z dobrego dowcipu.

– I czyż nie miałem racji? – zapytał, wskazując kolię na szyi żony. – Lamentowałaś, tymczasem nasze towarzystwo nie odróżnia wcale prawdziwej biżuterii od czeskich kopii. Dobrej kasy ogniotrwałej byle złodziej nie sforsuje, a że sobie nakradli bielizny czy sreber...

Panna Wołkońska pamiętała także, że przed północą zjawił się policmajster z agentami śledczymi i wszyscy chwalili zapobiegliwość głowy rodziny, który zamknął w solidnej kasie najcenniejsze rodowe klejnoty, a dla towarzyskiego poloru małżonki kazał w Jabloncu sporządzić falsyfikaty.

– Czesi są w tym wyśmienici – mówił po rosyjsku, zaś ajenci policyjni skwapliwie przytakiwali. – W zaufaniu mogę rzec panom, że żartuje się nawet w towarzystwie: jak któraś z dam obnosi się na mieście z diamentami, to musi być, z przeproszeniem, robota na Czecha.

Sejf, oczywiście, otwarto, by uzupełnić protokół. Uczynił to kluczem pan Wołkoński, radując oczy zebranych ułożonymi równo banknotami, papierami wartościowymi i biżuterią, jaskrawo odbijającą niedawno założone światło elektryczne.

– Amatorzy, panie kierowniku – powtórzył Fałniewicz i Maciejewski wreszcie spojrział na niego przytomniej, wyrwany z historycznych myśli. A może tylko, jak uznał tajniak, wyswobodzony z bańki często dręczącego go kaca.

– Mimo wszystko wyjąć zawartość sejfu i dać rzeczoznawcy, na przykład panu Kalickiemu – polecił komisarz. – A wcześniej zdjąć odbitki palców prezesostwa, służących i każdego, kto wam przyjdzie

do głowy. Równolegle zrobić daktyloskopię biżuterii i porównamy sobie.

– Tak jest. – Fałniewicz skrupulatnie zapisał w notesie to zupełnie zbędne polecenie.

*

Pan Kalicki śmiał się długo i paskudnie, ale mógł na to sobie pozwolić. Nie było klientów, tylko on, mistrz Jabłoński, przeszło kilogram biżuterii i komisarz Maciejewski, który paląc papierosa, czekał na werdykt. Poza tym Kalicki jako oficer frontowy doskonale rozumiał, czym jest *Schadenfreude*.

– Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie? – zapytał burkliwie Zyga. – Falsyfikaty?

– Co do jednego! – Kalicki aż klepnął się w udo i osuszył usta chustką. – Pan wiedział? – upewnił się, gdy jego radość z cudzej głupoty już zelżała.

– Teraz wiem. – Maciejewski zdusił papierosa w popielniczce i stanął za mistrzem Jabłońskim, który wciąż z niedowierzaniem oglądał pod lupą świecidełka państwa Szpindlerów. – Wcześniej tylko się domyślałem, ale nie chciałem wpływać na panów osąd. Więc ile to warte?

– Sto złotych? – zaryzykował właściciel zakładu.

– Ze trzysta, panie szefie. – Mistrz Jabłoński był bardziej życzliwy. – Tombak i szkiełka, ale trzeba przyznać, robota artystyczna.

Teraz dla odmiany zarechotał Maciejewski. Sam trzema setkami by nie pogardził. By tyle zarobić, musiał walczyć z przestępczością prawie dwa miesiące, lecz bywał po knajpach i wiedział, że takim ludziom jak dyrektor banku podobne sumy zdarzało się puścić nawet w jeden wieczór. Jak na lokatę rodzinnego kapitału, wynik mizerny.

– A tego pana pan zna? – Komisarz wyjął z teczki polisę ubezpieczeniową na ruchomości dyrektorostwa z ujętą w zgrabny owal nazwą firmy: B. Marmurowski i S-ka, agencja celna i ubezpieczeniowa.

– Podobno jest tani i nader rzutki, ale szczęśliwie nie potrzebowiałem mieć przyjemności z tym panem.

Zyga uśmiechnął się półgębkiem i pożegnał. Z tym panem miał przyjemność już kilkukrotnie, i to coraz większą. Pierwszy raz, gdy niejaki Berel Marmur zeznawał w Wydziale Śledczym, przesłuchiwany na okoliczność posługiwania się fałszywymi dokumentami. Drugi, trzeci i bodaj piąty, kiedy ten sam człowiek, już jako Bernard Marmurowski, nie śmiał odmówić komisarzowi podzielenia się poufnymi informacjami. Po każdym z tych spotkań w gabinecie agenta pozostawał swąd taniego tytoniu, zaś w jego umyśle przerażające poczucie niespłacalnego długu. Podobnie jak Kalicki w mig umiał ocenić wyrób jubilerski, Marmurowski potrafił przekalkulować każde ryzyko. Z jednym wyjątkiem: nie sądził, że jego tak potrzebne do koncesji świadectwo niekaralności tyle będzie kosztować...

Jednakże na widok Maciejewskiego jak zawsze zrobił dobrą minę do złej gry.

– Pan komisarz! Bardzo przyjemnie mi pana widzieć! – Zaraz poderwał się zza biurka i chciał podać rękę, lecz Zyga najpierw z hałasem zatrzaskał drzwi gabinetu agenta, a potem zapalił papierosa. – Czym mogę panu... służyć? – dodał zupełnie niepotrzebnie, bo glina położył przed nim polisę państwa Szpindlerów à Donau.

– Powiedzieć panu, co przeczyta pan jutro w gazecie?

– Dziękuję. – Marmurowski otarł czoło wyszarpniętą z górnej kieszonki marynarki białą jak śnieg poszetką. – Domyślam się.

Wykrochmalona chustka w mig poszarzała, rumiana twarz ubezpieczyciela pozieleniała jak po przepiciu, natomiast komisarz Maciejewski z satysfakcją wyjął z kieszeni notes i wieczne pióro.

– No! – zachęcił.

– Nie będzie mnie już dzisiaj dla nikogo – zakomunikował do słuchawki telefonu agent celny i ubezpieczeniowy.

*

To się robiło od lat i wszystko jest legalne na sto procent, panie komisarzu. – Marmurowski mógłby to przysiąc na kodeks karny z komentarzem, Biblię, Torę, nawet na Sienkiewicza. Nie był bibliotekarzem i między grubymi książkami w twardej oprawie nie widział większej różnicy. – Powiedzmy, że jest pan w posiadaniu kosztownej szpilki do krawata... Pan, oczywiście, takich nie nosi, ale teoretycznie... Szkoda byłoby taką szpilkę na przykład zgubić, ale też szkoda nie nosić, skoro ładna. Tu wkraczają tacy ludzie jak ja, panie komisarzu, którzy chętnie ją ubezpieczą, niestety procent od wartości cennego klejnotu nie jest mały... Szczęśliwie, sam pan komisarz wie to najlepiej, z niejednego pieca chleb jadłem, nie zawsze mi się powiodło i znam dobrze sposoby minimalizowania ryzyka. Czescy złotnicy to w tym wypadku kluczowa sprawa!

– Czescy... – zanotował Zyga i z wyrzutem stuknął palcem w swój pusty kieliszek do koniaku.

Marmurowski natychmiast sprostował to nieporozumienie. Opróżnił też popielniczkę do kosza na papiery.

– Sztuczną biżuterię robią w Jabloncu już od dwustu lat, więc sam pan rozumie, potrafią produkować takie cuda, że dobrze oszlifowane szkiełko z rozbitej butelki po pilznerze będzie wyglądać jak brylant! Już za cara arystokracja zamawiała sobie balowe imitacje kolii, pierścionków czy innych precjozów, tymczasem rodowe skarby ani na chwilę nie opuszczały kas pancernych. Dlatego z przekonaniem podpowiadam to samo klientom, bo proszę zauważyć, panie komisarzu, samo posiadanie sejfu na kosztowności to już znaczący upust w polisie, a gdy do tego dochodzą zamki patentowe w drzwiach mieszkania... Państwo dyrektorostwo posiadali jedno i drugie, a ja ze swojej strony pozwoliłem sobie tylko zarekomendować im odpowiedniego czeskiego złotnika, który zdejmie im z głowy wszystkie zbędne kłopoty.

Według jego słów faktycznie kłopotów nie było żadnych. Czech przyjechał do Lublina, na miejscu sfotografował wszystkie klejnoty i sporządził kilkadziesiąt stron rysunków oraz dokumentacji, a kilka miesięcy później kurier przywiózł idealne kopie biżuterii małżonki pana dyrektora.

– Zwróciłem im uwagę, żeby przypadkiem nie położyli oryginałów obok falsyfikatów, bo nie odróżnią! – Marmurowski wypił pół lampki i aż się zaśmiał. – Wziąłem swoją prowizję, ale pan dyrektor był mi wdzięczny, bo w perspektywie lat opłacania obniżonych składek to czysty zysk. Ubezpieczenie wypłaci się co do grosza, słowo honoru, chociaż moja strata! Oszacowanie wartości klejnotów z sejfu trochę potrwa...

– Nie zrozumiał mnie pan. – Komisarz zamieszał trunek w niewygodnym kieliszku. Wolałby czystą wódkę, lecz opijanie konfidenta z droższych alkoholi pasowało mu operacyjnie. – Sejfu nikt nie ruszył, natomiast wyjęliśmy z niego wyłącznie tombak i paciorki. Pan zostawi wiadomość sekretarce, że w pracy nie będzie pana przynajmniej czterdzieści osiem godzin.

– Jak to mnie nie będzie?

Maciejewski wyjął z kieszeni na blat biurka najpierw brudną chustkę do nosa, potem skasowany bilet autobusowy, nareszcie kajdanki.

– Bo chociaż bardzo pana lubię, to mam zwierzchników. I jest pan zatrzymany.

Każdy cwaniak z okolic placu Bychawskiego, gdzie Marmurowski miał swoje biuro, w mig by ocenił, że ten podpity glina nie zdąży go schwycić, jeśli zaraz szurgnie do drzwi, ile sił zbiegnie po schodach, a następnie zanurkuje w labirynt bram i podwórek bandytówki. Agent opadł jednak w fotel, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

– Pozwoli pan telefon? – Maciejewski sięgnął po słuchawkę. – Dowiem się tylko, kto z naszego miasta ostatnio spędzał urlop w Czechosłowacji, a potem pojedziemy na komendę.

– Niech się pan nie trudzi, panie komisarzu – poprosił agent celny i ubezpieczeniowy. – Ja wiem kto.

– Dlatego tak pana lubię. – Zyga wyjął kolejnego papierosa i zaczął grzebać w pudełku zapalek, do którego miał maniakalny zwyczaj chować z powrotem te ze spopielonymi łebkami. – I wie pan, jeśli znajdę za trzecią próbą, to może dam panu ostatnią szansę...

Marmurowski w mig usłużył mu zapalniczką.

*

Lublin, niedziela, 11 września 1938 roku

Ledwie z biedniutkiego kościółka Świętej Teresy dobiegło ciche dzwonienie na poranny Anioł Pański, pan Myszkowski zaczął przygotowywać sobie śniadanie. Gdy zaraz po dzwonach rozbrzmiało walenie do drzwi, wcale się nie zdziwił, chociaż na tę porę nikt nie zaprasza gości. Był gotów.

– A pan komisarz tym razem o co ma do mnie pretensje? – pytał dwie godziny później w wydziale śledczym.

– Że znamy się tyle lat, a pan nie przysłał mi widokówki. Co pan robił w Czechosłowacji, panie Myszkowski? – Zyga uśmiechnął się, częstując starego złodzieja papierosem.

– Dziękuję – pokręcił głową tamten – ale w urzędach państwowych nie wolno palić. Zresztą wolę egipskie od tych pańskich. A w Czechosłowacji? Najwyższy czas zwiedzić kawałek świata, bo w moim wieku to Bóg wie, czy później zdrowie pozwoli...

Tym samym flegmatycznym tonem odpowiadał wcześniej na pytania tajniaków i mundurowych, którzy rewidowali mu skromne mieszkanie. Pokój z kuchnią, więc szybko poszło.

– Widział pan może jakieś zabytki albo urocze krajobrazy? – spokojnie ciągnął komisarz. Koniec końców kulturalni ludzie nie przechodzą do interesów bez wymiany grzecznych uwag o pogodzie i nowinek towarzyskich.

– Nie zwróciłem uwagi, bo głównie piłem tamtejsze piwo. Zdrowe na nerki, a w moim wieku nerki to podstawa.

– I podobno chcieli pana okraść w pociągu powrotnym.

– Podłość ludzka nie zna granic, panie komisarzu. – Myszkowski filozoficznie pokiwał głową. – Miło, że chociaż pan się zatroskał.

Wtedy Zyga przeszedł do rzeczy. Sięgnął pod biurko, gdzie stał niedawny bagaż podróżny carskiego jeszcze wyrokowca, któremu od kilkunastu lat policja niczego nie zdołała przypiąć.

– Pańska walizka?

– Prawda, że ładna?

– Wyjątkowa. – Maciejewski położył ją na biurku, otworzył i stanowczym ruchem rozdarł podszewkę. – Ma podwójne dno.

– To dopiero! – Stary doliniarz zrobił minę jak dziecko na występie magika. – A ten facet, od którego ją kupiłem na targu, nic mi o tym nie mówił.

– Jaki facet?

– Jak to na targu, nieznajomy. Wzrost średni, budowa przeciętna, znaków szczególnych nie miał. I wie pan co, aż się dziwię, że w dzisiejszych czasach takie łajzy biorą na celników. Powinni to wykryć, prawda? Pan to co innego, pan to jest klasa funkcjonariusz i oby więcej takich, oby więcej!

– Pan bardzo mnie drażni przy świętej niedzieli, panie Myszkowski.

– Bardzo mi przykro, panie komisarzu. Może kefiru powinien pan się napić? Na kaca najlepszy.

Zyga uśmiechnął się ze zrozumieniem. Faktycznie jego szara gęba i wory pod oczami mogły świadczyć o wesoło spędzonym wieczorze. W rzeczywistości spędził go nad aktami sprawy zabójstwa, więc ta, ze słabszego paragrafu, irytowała go tym bardziej, zwłaszcza że zaczęła się od rozmowy z byłą szwagierką.

– Musi pan przyznać, panie Myszkowski, że byłem wobec pana w porządku. I teraz też będę, na świadka w procesie nie zapraszam. Nazwiska!

– Jakie nazwiska, panie komisarzu?

– Falszerzy, pośredników, włamywaczy pozorantów i tych, co otworzyli sejf dyrektora Szpindlera.

– Przepraszam, ale pan komisarz musi być w błędzie. O tym włamaniu, owszem, zdążyłem przeczytać w popołudniowej gazecie, tyle że tam stało jak byk: przestępcy nie zdołali otworzyć sejfu.

– Przeciąga pan strunę, panie Myszkowski... – warknął Zyga.

– Ile razy mam powtarzać panu komisarzowi, że już emeryt jestem? – Stary złodziej rozłożył ręce. – I przepraszam, mówimy o drobnej kradzieży czy o napadzie rozbójniczym, że mnie pan tak niepokoi, jakby szło o jakąś zbrodnię? A to wygląda tylko na występpek, panie komisarzu, niech pan zapyta sędziego śledczego.

O to akurat Maciejewski pytać go nie musiał. Każdy mógł sobie pojechać za granicę i każdy miał prawo posiadać walizkę z podwójnym dnem. Zupełny brak odcisków palców na fałszywej biżuterii świadczył wprawdzie, że właściciele nigdy jej nie dotykali, ale też nie wskazywał nikogo, kto zamienił im rodowe złoto na czeskie podróbki. W przekonaniu komisarza sprawa była jasna: włamanie upozorowano tylko po to, by ktoś artystycznie, bez śladów otworzył sejf i zamienił złoto oraz brylanty na tombak i szkiełka. Ostatecznie skoro czeski jubiler zrobił jeden falsyfikat, co mu szkodziło za dobrą opłatą sporządzić drugi, dla całkiem innego klienta... Faceta, który łączył wszystkie nitki, śledczy właśnie cisnął. W kwitach miał jednak tyle, co państwo Szpindlerowie á Donau w swojej skrytce za Fałatem.

– Dlatego Myszkowskiego trzeba będzie zwolnić – kilka godzin później powiedział wisielczym tonem sędzia śledczy Rudniewski. Zyga siedział w jego gabinecie i chociaż popijali kawę przyniesioną od Samadeniego, smakowała im gorzej niż zbożowa. – To nie jest pańska porażka, panie komisarzu, to tylko zasłużony sukces tej szajki.

– Łatwo mówić panu sędziemu, bo nie panu ten cwaniak będzie się śmiał w oczy. – Maciejewski spojrzał z żalem w głąb filiżanki. Niestety Rudniewski był człowiek z zasadami i nie przyszło mu do głowy dolać

koniaku, ostatecznie wódki. – Ale ja go z oka nie spuszczę i prędzej czy później wpadnie, choćbym miał skonać!

– Była u mnie poskarżyć się pańska szwagierka – zmienił temat pan sędzia.

– A pańska młoda żona nie skarży się jeszcze, że niedzielne popołudnia spędza pan ze mną? – Zyga też potrafił odwrócić kota ogonem. – I skoro jestem, chciałbym pomówić o morderstwie służącej na Zielnej...

Obaj panowie zanurzyli się w powoli pączkujące akta w sprawie śmierci Anieli Biernackiej, ale to zupełnie inna historia...

*

Lublin, sobota, 31 maja 1952 roku

Pięćdziesiąt, sto, sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt sześć i sześćdziesiąt sześć groszy. Następny!

Przedwojenny komisarz obrócił w dłoniach swoją dawną książeczkę oszczędnościową, teraz przedziurawioną i z dwoma ohydnyimi stemplami zarejestrowano oraz wypłacono gotówką. Kiedyś za oszczędności mógłby kupić samochód albo tyle wódki, że nawet jemu wystarczyłoby do końca życia.

– Następny, powiedziała! – Kasjerka obruszyła się na klienta, który tkwił przy okienku, chociaż został już fachowo i grzecznie obsłużony, a murem za nią stanęła kolejka interesantów.

Dochodziła szesnasta i jak to w sobotę banki oraz urzędy pracowały krócej. Tym szybciej zatem upływał ostatni dzień, gdy oszczędności sprzed wojny można było zamienić na dwudziestozłotowe banknoty z babą, pięćdziesiątki z rybakiem czy jeśli ktoś był w czepku urodzony, to nawet i na stówy z przodownikiem pracy. Wyższych nominałów nie wypłacano, bo aż tacy kapitaliści nie stali w ogonku w PKO przy Krakowskim Przedmieściu. Nie stali, bo na ogół siedzieli. Jeżeli nie siedzieli, to byli za granicą. A jeśli sprytnie ukryli się pośród nowego, zdrowego

społeczeństwa, przelicznik trzy socjalistyczne złote za sto sanacyjnych nie był dla nich wart zachodu.

Z banku Maciejewski powlókł się najpierw sparszywiałymi pryncypialnymi ulicami, potem minął znacjonalizowane fabryki za rzeką, wreszcie kawałek za dworcem kolejowym pchnął drzwi mordowni ozdobione kiedyś przesadnym szyldem Wykwintna, a teraz bardzo adekwatnym: lokal gastronomiczny PSS nr 13. Tam na widok wchodzącego z miejsca podniosły się kufle.

*Bo Maciejewski to był komisarz srogi,
był facet z ikrą, choć bydlę, jak to pies.
Całą mentownię postawił on na nogi,
wokół Antosia się zaciskała sieć...*

– zaśpiewał fałszywie na melodię znanego tanga jakiś młody podskakaniec, który za czasów świetności bohatera piosenki dopiero uczył się celować w nocnik.

Zyga skrzywił gębę. Chciał wyjść, ale od stolika wstał sapiący staruszek z muszką na niewyprasowanej koszuli. Po męsku chwycił Maciejewskiego za ramię i zamknął drzwi za jego plecami.

– Panie Leonie! – warknął na kelnera. – Tu nie przedwojna i nietrzeźwych nie obsługuje się.

– Przepraszam, panie Myszkowski, ja żem nie wiedział, że pan... – Muzykalny młodzieniec podniósł się, grzecznie zapinając guzik kraciastej marynarki.

Zanim dokończył zdanie, stary złodziej zdążył puścić Maciejewskiego i podejść do stolika, gdzie gówniarz siedział z kumplami. Wziął jego kufel z ciepłym piwem, po czym wylał szczeniakowi na spodnie.

– Panie Leonie, upił się i obszczał się! – Podniósł głos na całą salę. – Co to za porządki, do cholery jasnej, że obrzydliwość bierze?! Won, gówniarzu, zanim ci więcej wstydu narobię! – syknął młodemu do ucha, chociaż musiał w tym celu stanąć na palcach.

I mimo że gdzie indziej dla przedwojennych bohaterów czasy były ciężkie, tu grzesznik posłuchał proroka i w knajpie naraz nastąpiła cisza oraz kulturalna konsumpcja, zupełnie jak na weselu w Kanie Galilejskiej. Myszkowski posadził Maciejewskiego przy swoim stoliku, po czym na początek zaordynował płyny. Słusznie, bez jedzenia człowiek wytrzyma do kilku tygodni, bez picia najwyżej parę dni.

– Co pan raczył zainkasować tytułem długich lat pracy w służbie państwowej?

– Akurat żeby przepić. – Maciejewski położył na brudnym blacie trzy banknoty po pięćdziesiąt złotych. – Przyłączy się pan?

– Z panem komisarzem? Z największą przyjemnością! Panie Leonie, korzenie pan zapuścił?! – zawołał w stronę szynkwasu emerytowany złodziej. – A ja już przed wojną wszystkim powtarzałem, że jak odkładać oszczędności, to tylko w złocie, tylko w złocie, panie Maciejewski.

– Byle nie z Jabłoneksu, co? – mruknął były glina.

– Pan, panie Maciejewski, jest bardziej pamiętliwy niż moja nieboszczka, świeć Panie nad jej duszą! – Stary złodziej z wprawą wybił korek z butelki.

– Przecież już może pan powiedzieć prawdę, przedawniło się – mruknął Zyga.

– Skoro zna pan prawdę, panie komisarzu, to po co pan pyta? – Myszkowski rozlał wódkę do szklanek. – A poza tym sam pan powie, czy ja się kiedyś prulem w śledztwie? To niby dlaczego teraz, skoro w moim wieku człowiek ma pełne prawo do sklerozy?... Panie Leonie, i jeszcze te... jak im tam... zakąski!

Leon Kmiec kiwnął głową. Przed wojną szacował klientów u jubilera, więc i teraz rozumiał, komu podać ze starej beki, a komu śledzika jak złoto.

Andrzej Pilipiuk

Sejf

Komisarz Maciejewski czuł się tak fatalnie, jak można czuć się tylko w szewski poniedziałek. Bolała go głowa, w ustach miał pustynię. Dwie mocne kawy pozwoliły mu przetrwać poranek, ale teraz, koło południa, sflaczał niczym przekłuty balon. W dodatku, jak na złość, przed rozmową musiał wbić się w służbowy mundur. Spojrzał z niechęcią na siedzącego przed nim chłopaka. Z akt wynikało, że ma dwadzieścia lat, ale wyglądał na nieco więcej. Twarz jak twarz. Oczy, nos, uszy, usta... Łatwo taką raz zobaczyć i zaraz zapomnieć, ale Zyga przeczuwał, że w tym wypadku nie może sobie na to pozwolić. Ihor Urwanko, przedterminowo zwolniony. Z wykształcenia ślusarz, z zawodu włamywacz, choć w ankiecie spisu powszechnego, którą wypełniał podczas odsiadki, odnotował dumnie, że jest kasiarzem. Dłonie oparte na blacie też były zwyczajne. Palce ani grube, ani cienkie. Brud wżarty w spękaną skórę, ale pazury nawet czyste i w miarę równo przycięte. Koszula solidnie sprana, lecz odprasowana i bez widocznych plam. Wytarta marynarka najlepsze lata miała już za sobą, ale nie pożałowano jej tego dnia mokrej szczotki. Butów z miejsca, w którym siedział, nie było widać, Maciejewski mógł się jednak założyć, że są nieco schodzone, ale wyglancowane na wysoki połysk.

Próbuje zrobić dobre wrażenie, przeszło mu przez myśl. W Lublinie jest masa biednych studentów, cwaniaczek łatwo zgubi się w takim tłumie. Chyba że to pokazówka specjalnie na mój użytek... Wyszorował się, odwiedził fryzjera i dopiero tak odszykowany przyszedł na posterunek.

– No i co powiecie? – burknął.

– Kazali meldować się na komisariacie co czterdzieści osiem godzin, więc się stawilem. – Chłopak odpowiadał spokojnie,

uprzejmym tonem. – To trochę jak za carskiego reżimu, ale się nie uchylam.

– A co wy tam pamiętacie z carskich czasów – burknął poirytowany policjant. – W pieluchy szczaliście jeszcze. Tu w papierach napisano, że wstąpiliście na drogę poprawy i w związku z tym zwalniamy was przedterminowo...

Klepnął dłonią teczkę z aktami. Właściwie to na blacie spoczywały trzy tecki, sumienny Kraft wyciągnął bowiem z archiwum także papiery krewnych przesłuchiwanego gagatka, wujaszka i ciotecznego brata.

– Podczas odbywania kary starałem się zasłużyć na dobrą opinię...
– Znów ta sama spokojna odpowiedź.

Bez służalczego uśmiešku, bez kpiącego spojrzenia. Maciejewski westchnął ciężko.

– I zatrzymaliście się u swojego kuzyna Jefima Urwanko, który też wstąpił na drogę poprawy, aczkolwiek poprawa ta nastąpiła w trakcie odsiadki z innych paragrafów – zakpił.

– Tak jest. Kuzyn dobry człowiek, przygarnął mnie.

Jak na człowieka urodzonego na wsi, w dodatku sądząc po nazwisku, Ukraińca z pochodzenia, mówił bardzo dobrze po miastowemu, bez chachłaczenia i prawie bez kresowego zaśpiewu.

– I obaj mieszkacie u swojego krewniaka...

– Wujaszek to też dobry człowiek.

– I też na drodze poprawy. – W ustach policjanta zabrzmiało to jak wyrafinowane szyderstwo. – Ście się dobrali jak w korcu maku – warknął. – Szkoła Techniczna w Chełmie... Świetna uczelnia, jak słyszałem. A tu trzy czarne owieczki nam do Lublina wysyła. Dwaj absolwenci, którzy zamiast uczciwie robić grosz jako ślusarze czy technicy w fabryce, chcieli w życiu iść na skróty. Kasiarz przyłapany na gorącym uczynku włamu i fałszerz pieniędzy, który szkołę państwową niby skończył, ale nawet nie zna ortografii. A do tego były nauczyciel od konstrukcji maszyn, który podprowadzał parę lat

pieniądze ze szkolnej kasy, aż wpadł, bo dyrekcja ruszyła głową i spisała numery banknotów...

– Rodziny się nie wybiera, panie komisarzu. Ale my dobrzy ludzie, tylko czasy ciężkie, trafiło się nam w życiu kilka zakrętów.

– I powiadacie, wszystko z nędzy?

– E, w taką gadkę raczej pan nie uwierzy... Rozumiem, że nie jesteśmy mile widziani w Lublinie. Ale tu po pradziadku chatka. Gdzieś trzeba przecież mieszkać.

Maciejewski odruchowo sięgnął po papierosa.

– Słuchajcie, Urwanko, jest takie polskie powiedzenie, że garbatego tylko grób wyprostuje. Może i w papierach stoi, żeście przemyśleli swoje życie i chcecie zacząć na nowo, ale... – Zawiesił głos.

Włożył papierosa do ust, odpalił zapalną i po chwili zaciągnął się dymem.

– Wiem, co będzie dalej. Odczekacie kilka tygodni i zaczniecie kombinować, jak by tu dobrać się do pieniążków, które należą do waszych bliźnich. Jak już się włamiecie, to oczywiście ja będę musiał się z tą sprawą użerać. Że to akurat będzie wasza robota, zgadnę bez trudu. Ale zdobycie dowodów, wyeliminowanie innych podejrzanych, odnalezienie łupu... Tydzień zbierania zeznań, łażenia po mieście, zdzierania zelówek. A potem jeszcze protokoły do napisania, sprawozdania, raporty. Masa papierów, których nikt wprowadzie nigdy nie przeczyta, ale które to ja będę musiał pisać. Narobicie mi nieziemskich kłopotów, Urwanko, czuję to przez skórę. A jak mi ich już narobicie, to zapowiadam, ruski miesiąc popamiętacie. Wszyscy trzej, ty, twój kuzyn i wujaszek.

– Postaram się nie zawieść pokładanego zaufania.

– Nie zawiedziecie, bo ja wam za grosz nie ufam. – Maciejewski uśmiechnął się kpiąco. – Tu pokwitować i widzimy się we czwartek. No chyba że wpadniecie wcześniej...

– W środę – sprostował kasiarz.

– W środę wpadniecie!? – Obolały łeb komisarza z trudem przetworzył usłyszane słowa.

– Nie, w środę mam się znów zameldować. Co czterdzieści osiem godzin. Dwie doby miną w środę.

– Mnie tam rybka, ale niech będzie...

Pożegnanie było chłodne i krótkie. Gliniarz zdusił niedopałek w popielniczce. Westchnął ciężko. Rozpiął guziki i haftkę pod kołnierzem. Przeciągnął się w fotelu. Podwładny pojawił się cicho jak duch i postawił na biurku dwa kubki świeżo zaparzonej kawy.

– Dziękuję, Gienek, jesteś aniołem... – powiedział komisarz.

– Robiłem dla siebie, no to przy okazji... – Kraft dosiadł się, zajmując zwolnione krzesło.

Jak na komendę pociągnęli po łyku.

– Słyszałeś gnojka?

– Owszem. I powiem, że tak na mój nos to masz rację. Ten chłopak oznacza kłopoty. Mamy to jak w banku. No i jeszcze ta jego rodzinka z piekła rodem. Cwane szczury. Szczególnie ten jego kuzyn... Jefim.

– Nie słyszałem o nim wcześniej, ale dopiero od miesiąca mieszka na naszym terenie... W aktach odnotowali „fałszerz ortograf”. O co, do cholery, chodzi z tą ortografią? – zirytował się Maciejewski.

– Idiotyczna sprawa... Na swój sposób dzieciak bardzo sprytnie to rozegrał... Trzy lata odsiedział. Za fałszowanie monety, i to w warunkach recydywy, dają przeważnie osiem – wyjaśnił Kraft. – Ale on się wykpił sianem, i to dwa razy. Za pierwszym razem podrabiał srebrne ruble. Ale nie dostał wyroku za fałszerstwo, tylko za oszustwo. Cara już nie ma, pieniądze carskiej Rosji nie są chronione prawnie. Młodociany, niekarany. Odsiedział rok. Po wyjściu z uła, można powiedzieć, udoskonalił metodę. Robił srebrne dychy z Piłsudskim. Miał naprawdę dobry klocek i prasę miał jak trzeba, balansową. Równiutko tłoczyła. Tylko że w napisie po drugiej stronie pominął dwie litery.

– I co z tego, że pominął? – zdziwił się komisarz, pociągając łyk kawy.

– Moneta nie była identyczna z rządową, no to nie mogli go skazać za fałszerstwo.

– Że niby co?!

– Nie da się podrobić czegoś, co nie istnieje. Wedle ustawy moneta musi mieć na rewersie napis „Rzeczpospolita Polska”. A nie „Rzeczposplita Plska”.

– Jaja sobie robisz?

– A gdzieżbym śmiał! W każdym razie dali mu wyrok tylko za naruszenie praw autorskich do wizerunku „Dziadka”, bezprawne posłużenie się godłem państwowym do celów produkcji prywatnej oraz obrazę władz państwowych dokonaną poprzez tłoczenie godła i portretu marszałka w podłej jakości surowcu, co nie gwarantowało ich trwałości.

– O, cwane bydlaki z tych prawników... – syknął Maciejewski. – Najpierw wymyślą, że kogoś nie można skazać, a potem szukają metody, żeby go jednak posadzić, i jeszcze dostają za tę zbędną gimnastykę pieniądze! Ten gnojek sam to wymyślił?

– Trudno powiedzieć. Ale nie słyszałem dotąd o podobnych przypadkach... Może sam na to wpadł, a może podsunął mu pomysł ten wujaszek eksbelfer... Swoją drogą mamy w archiwum teczkę jeszcze jednego Urwanki, Mitrofana. To był dziadek tego łobuza. Włamywacz. Synów próbował na ludzi wykierować, ale jak widać, natura ciągnie wilka do lasu.

– Cała bandziorska dynastia, znaczy... Tak czy inaczej, mamy tu dwu młodych wyrywnych, a przy tym uważających się za wielkich spryciarzy. I trzeciego, który już pewnie namaścił się na mózg szajki. Pierwsza odsiadka niczego ich widocznie nie nauczyła... Naszykujemy blankiety protokołów, żeby potem nie szukać. A, i jeszcze jedno...

– Trzeba wyciągnąć z archiwum teczkę Mitrofana Urwanki? – domyślił się Kraft. – Obawiam się, że on już od dawna nie żyje.

*

Chata po starym Mitrofanie Urwance ozdabiała Podzamcze niczym grzyb ścianę. Nawet na tle otaczających ją żydowskich ruder wyróżniała się wyjątkowo obrzydliwą barwą tynku, płótem

łuszczącym się z farby i upaskudzonymi szybami dwu niewielkich okien. Drzwi od dołu wygniły, słońce wytopiło z nich drobne łożki smoły... Podwórko otoczone wspomnianym ogrodzeniem mieściło wrośnięty w glebę wrak chłopskiej furmanki, niewyobrażalnie cuchnącą sławojkę oraz budę, przy której na krótkim łańcuchu drzemało bydlę o imieniu Bryś. Wewnątrz chaty znajdowała się jedna izba łącząca funkcje kuchni, salonu i sypialni. Z sieni strome schodki prowadziły jeszcze do maleńkiego pokoiku na poddaszu. Ihor, jego kuzyn Jefim i wujaszek Kazimierz zasiedli do stołu. Na porzniętym nożem blacie królowała litrowa butla podłego samogonu i trzy musztardówki. Za zagrychę posłużyły solone śledzie spoczywające w obtłuczonej emaliowanej misce.

– W dawniejszych czasach była zasada, że złodziej nie włamuje się w tej okolicy, w której mieszka... Potem ci bardziej honorowi faktycznie nie włamywali się przy swojej ulicy. Dziś? Czasy upadku, złodzieje czasem nawet swojego sąsiada nie uszanują – burknął Kazimierz.

– My tacy nie będziemy. – Ihor wydał wargi. – Sąsiad rzecz święta. Zresztą tu nie ma co kraść.

Jego kuzyn Jefim kiwnął poważnie głową.

– To się cieszę, żeśmy się tak w pół słowa zrozumieli. – Stary belfer pociągnął niewielki łyk wódki i wzdrygnął się mimowolnie, gdy alkohol dotarł do zniszczonego wrzodami żołądka. – Jest sejf do zrobienia. Na Starym Mieście.

– Sejf?

– Myślałem o Jefimie, ale on uczył się na gisera. Do prawdziwej kasy pancernej trzeba jednak odpowiedniego fachowca. I gdy łamałem sobie głowę, skąd takiego wytrzasnąć, zjawiasz się ty. Dobry znak.

– Do usług, wujaszku. – Złodziejaszek ukłonił się grzecznie. – Dla ciebie otworzę każdą kasę.

– To rozwiązuje jeden z głównych problemów. Niestety będzie też problem z tym cholernym Maciejewskim – westchnął. – Wie, że jesteś

w Lublinie.

– Moim zdaniem to tępy glinowina, który w dodatku lubi sobie wypić. Mówił ze mną, to widać było, że kac morderca go nie oszczędza...

– Wiele o nim gadają. Że mocny w pięści, że wypić, owszem, lubi, jednak nawet pijany jednym strzałem zdejmie muchę ze ściany. Ale że glina, to niemal ustawowo szczególnie mądry być nie może. Tam nie biorą takich, którzy umieją myśleć. Z drugiej strony kilka spraw ponoć rozwikłał, na których ci bystrzejsi sobie zęby połamali. A tu jak na złość sejf, o którym myślę, jest na jego terenie. I to on wsiądzie nam na kark jakby co. Dlatego trzeba rozważyć, czyby jednak nie odpuścić...

– Potrzebujemy tych pieniędzy – zaproponował Jefim. – Wszystko zaplanowane... Od tygodni. Czekał tylko na Ihora...

– Wiem, że potrzebujemy, ale nie wiem, czy brać je z tej właśnie skrzynki... Choć kusi... Oj, kusi. Druga taka szansa raczej się nie trafi.

– Wuj się nie boi jakiegoś tam gliniarza, tylko opowie o tym sejfie – zaproponował Ihor.

– Widziałem go kilka razy, gdy przyciśnięty nędzą zastawiałem różne drobiazgi. Skrzynia odlana przez Lilpopa w Warszawie. Mechanizm nie byle jaki, bo roboty firmy Julius Schuller. Stara, niezawodna szwabska robota. Ale opisany cyrylicą, znaczy robiony na rynek rosyjski. No i data złocona: 1859. Dobry to on był pół wieku temu, mam rację?

– Tak starego schullera otworzę w najwyżej pół godziny...

– Oto zuch, jakiego nam trzeba! – Kazimierz polał wódki. – Teraz uważaj. Na Starym Mieście jest teraz trzech głównych lichwiarzy. Był czwarty, Izaak Natanson, ale kilka lat temu wycofał się z zawodu. Od przyjaciół wiem, że wiosną sprzedał dużo różnych fantów, zapewne z dawnych zastawów. Odwiedził też bank państwowy, gdzie zbył sporo złotych monet... Od innych znajomków dowiedziałem się, że chce kupić kamienicę, w której wynajmuje mieszkanie. Ładny budynek, przy tym placu po dawnej farze. Drogi. Wiem też, że na koncie w banku ma nędzne gorsze. Z tego by wynikało, że pieniądze

może mieć u siebie. Kilkanaście, a co bardziej prawdopodobne, kilkadziesiąt tysięcy złotych. To jedyna taka okazja. Ogromna kwota poza bankiem i w mocno przestarzałym sejfie.

Ihor gwizdnął przez zęby.

– Skoro chce kupić i ma pieniądze, dlaczego jeszcze nie sfinalizował transakcji?

– Na razie nie może, bo właściciel od dawna mieszka w Szwajcarii, ale ponoć ma wrócić przed Bożym Narodzeniem uregulować resztę swoich polskich spraw. Wtedy zapewne dojdzie do sprzedaży.

– Jak wejść do środka?

Wujaszek ściągnął z półki atlas geograficzny. Między stronicami tkwił plik papierów. Wręczył je bratankowi. Jefim rozłożył na stole kartkę ze schematem.

– Na dole są dwa sklepiki. Na pierwszym piętrze mieszkanie właściciela, puste. Na drugim mieszkanie lichwiarza i jeszcze jedno. Na trzecim mieszkają na stacji jakieś małe Żydki. Jest też cieć w bramie, któremu lepiej nie wpaść w ręce. Lichwiarz mieszka z żoną i służącą. Powiadają, że sypia z rewolwerem pod poduszką. Psa w domu nie ma – zreferował kuzynowi, wskazując omawiane elementy końcem ołówka.

– Wejścia, jak widzę, są dwa, od frontu i z podwórza – mruknął krewniak. – Jakie zamki?

– Od ulicy patentowy niemiecki, a do tego stary jak świat rygiel na klucze jak pogrzebacze. Drugiego nie udało się sprawdzić. Kamienica, w której mieszka Natanson, łączy się ścianą szczytową z sąsiednim budynkiem – wyjaśniał wujaszek. – Jest od kilku lat opuszczony i czeka na remont. Musicie tylko dostać się do środka.

– Przejdziemy po dachu i zrobimy dom od góry?

– Nie. Żydki na strychu i poddaszu wszczęłyby alarm... Ale jest sposób. Widzisz, w dawnych czasach mieszczanie Lublina mieli taki zwyczaj. Na wypadek pożarów w umówionych miejscach były drzwi prowadzące do sąsiednich kamienic. Zamurowane, ale na jedną cegłę, i to nie zaprawą, ale samą gliną. Jeśli pożar odciął drogę ucieczki po

schodach, można się było ratować, wybijając dziurę do sąsiada. Wchodzicie do opuszczonego budynku, wspinaliście się na drugie piętro, kilkanaście minut pracy nożami i jesteście wewnątrz. Zamurowane przejście jest w osi korytarza. Znajdziecie bez trudu. Trzeba jedynie wyskrobać zaprawę spomiędzy cegieł, obłuzować je i wyjąć. Tylko ostrożnie, żeby się cały mur nie wysypał. Pokój, w którym stoi sejf, zapewne jest zamknięty na klucz.

– To już najmniejszy problem. – Ihor uśmiechnął się krzywo.

– Światła lepiej nie zapalajcie. Noce księżycowe, powinniście sobie poradzić...

– Wuj niech nie traktuje nas jak dzieci – obruszył się Jefim.

– Teraz tak: ukraść to nie problem. Ale łup jest jak gorący kartofel. Nie tak łatwo go utrzymać w ręce. Są dwie możliwości – burknął stary. – Albo lichwiarz, zobaczywszy włamanie, od razu poleci na policję, albo i nie poleci...

– Bo musiałyby się przyznać, ile mu rąbnięto? – domyślił się kasiarz.

– Ano właśnie. A to kwota, która może wzbudzić u urzędników niezdrowe emocje, które z kolei popchną ich do zadawania szeregu niewygodnych pytań. Z drugiej strony, jeśli nie zechce pomocy policji, to w pewnym sensie nawet gorzej. Bo tej kwoty nie odpuści i zacznie węszyć, kto mu tego psikusa wyciął. Wcześniej czy później dogrzebie się, że jesteście w mieście. A niestety lichwiarze mają swoich ludzi od rozwiązywania takich problemów.

– Gdyby dało się sejf otworzyć, a potem zamknąć bez zostawiania śladów... Wbiłbym w zamek klinik. Nie sądzę, by lichwiarz codziennie sprawdzał, ile ma w środku. A jakby zechciał sprawdzić... To zamek się zaciął. Znajdzie oczywiście ludzi, żeby mu go otworzyli, ale to potrwa może i kilka dni. Przez ten czas będziemy już daleko – zaproponował Ihor.

– Jak znikniemy, to tak jakbyśmy napisali farbą na murze, że to nasza robota. – Pokręcił głową eksbelfer. – Lepiej, żeby nikt nas nawet nie podejrzewał. Myślę, że pieniądze trzeba będzie dobrze schować i powoli szykować się do wyjazdu. Mam pomysł... Poczekamy, aż

sprawa przyschnie. Niech śledztwo się rozpali, niech przygaśnie bez efektów... A wtedy spokojnie pożegnamy sąsiadów i wyjedziemy na drugi koniec kochanej ojczyzny, gdzie nikt nas nie zna, i tam zaczniemy nowe spokojne życie. Życie emerytów, rentierów...

– Ale jak to zrobić, żeby nikt nas nie podejrzewał? – zirytował się Ihor. – Wy dwaj to przynajmniej nie jesteście kasiarzami, wasza chata z kraja. Ja będę pierwszym podejrzanym. Ten cały Maciejewski, sądząc po minie, już by mnie najchętniej zamknął. Tak profilaktycznie. Jeszcze nic nie zrobiłem, a on już ma na mnie oko. Nawet jeśli dacie mi alibi, to kto w to uwierzy? Dla glin i sądu wasze słowo niewiele warte!

– Mam i na to pewien pomysł. Czy coś ci mówi nazwisko Kabanow?

– Eee... To był ten dziadkowy kumpel z katorgi, słynny kasiarz, jeszcze z carskich czasów. Słyszałem o nim różne historie od świętej pamięci ojca... Podobno zostawiał w otwartym sejfie kwiat... Raz go złapali tu, w Lublinie. Zawalił mu się na głowę podkop pod bank, gliniarnia go wygrzebała z zapadniętego trawnika jak kreta. Co on niby ma do naszych spraw?

– Mówiło się różne rzeczy. Że wypuścili go z więzienia i poległ w czasie ofensywy w piętnastym roku, że bolszewicy go porwali, by dla nich pracował, że rozstrzelali go petlurowcy w Kijowie... Albo że żyje w Polsce lub w Argentynie czy też Francji pod zmienionym nazwiskiem jako człowiek bogaty i szanowany, właściciel kilku kamienic. Ale nikt nie wie nic pewnego. A to dobrze.

– Dlaczego, wuju?

– Mój pomysł jest taki, że to nieboszczyk Ałmaz Fiodorowicz Kabanow obrobi ten sejf. W towarzystwie dryblasa o wielkiej stopie i kobiety. Szajka z daleka, może nawet od Sowietów. A przynajmniej tak to będzie wyglądało...

– Zatem mamy zostawić fałszywy trop... – Kasiarz mlasnął, jakby smakował ten pomysł. – Zaciekawiasz mnie, wuju. A konkretnie?

– Na początek musimy zdobyć kilka rekwizytów... I wykorzystać to, co po nim zostało na stryżku...

– Widzisz, mówiłem ci, wuj to ma łeb. Nie na darmo był profesorem – napuszył się Jefim.

Ihor miał ochotę wyjaśnić kuzynowi, że belfer ze szkoły średniej to nie jest taki prawdziwy profesor, ale w porę ugryzł się w język.

*

Już czwartek..., pomyślał leniwie Maciejewski, wdrapując się po wąskich schodach na piętro.

Tyle dobrego, że mógł się ubrać po cywilnemu.

Z dołu dobiegały lamenty okradzionego lichwiarza. Były głośne, ale zbyt teatralne, by wzruszyć policjantów. Ekipa dochodzeniowa zrobiła już swoje, teraz buszowali w przyległej ruinie. Na poddaszu ktoś przesłuchiwał chłopców zamieszkujących stancję. W pokoju, w którym doszło do włamania, czekał tylko wywiadowca Fałniewicz.

Zyga stanął w progu, ostrożnie, by nie zdeptać śladów... Pokoik był niewielki i praktycznie nieumeblowany. Sądząc po pajęczynach w oknach, nieczęsto tu sprzątano. Za całe wyposażenie robiły krzesło, piecyk typu koza i sejf drzemiący w kącie. Drzwiczki były uchylone. Wewnątrz leżały tylko czerwone kwiaty. Obok sejfu parkiet znaczyła wielka brązowa kałuża przyschniętej krwi.

– Co wiemy o tym Natansonie? – burknął Zyga, szukając w pudełku niespalonej zapalniczki.

– Lichwiarz. Może też paser i alfons, ale tego akurat nigdy mu nie udowodniono. Wedle jego zeznań, gdy rano wyszedł z sypialni, spostrzegł dziurę wybitą w ścianie oraz ślady krwi na podłodze – zreferował podkomendny. – Krwi, jak widać, jest dużo. Dlatego posłano po pana. Zachodzi podejrzenie morderstwa. Natanson zawiadomił nie tylko nas, to śledztwo prowadzi się niejako dwutorowo... – dodał, podając szefowi ogień. – Dziś rano Zielny usłyszał na mieście, tak kątem ucha, że za wskazanie, kto go obrobił, lichwiarz obiecał dwa tysiączki...

– Powiedz, co wykryła nasza dzielna ekipa dochodzeniowa.

– Po wnikliwym zbadaniu pozostawionych śladów oceniono, że włamania dokonały trzy osoby – zameldował wywiadowca. – Dwaj mężczyźni i kobieta. Prawdopodobnie po otwarciu sejfu doszło między nimi do sprzeczki albo i bójki zakończonej śmiercią lub poważnym zranieniem...

– Fakt, kałuża krwi, że hipopotam by się utopił – mruknął komisarz, kontemplując podłogę i odbite w posoce odciski butów. – Kurwa ich mać, ale fleje, ładny parkiet tak zapaskudzić! – burknął.

Trop prowadził do drzwi, przez korytarzyk do dziury w murze...

– Dlaczego sądzą, że było ich trzech, skoro ślady należą do dwu osób? – zapytał Zyga.

– Bo na korytarzu znaleziono jeszcze jeden but, jego podeszwa nie była powalana krwią, a właściciel domu go nie rozpoznał, więc wydedukowano, że spadł z nogi rannego lub nieboszczyka, gdy go wynosili. Bo ciała brak.

– Czyli nasze orły i sokoły wydedukowały, że kasiarze pokłócili się o podział łupów – zauważył leniwie Maciejewski.

– Fakt, czterdzieści tysięcy, jest o co... I któryś dostał nożem pod żebro. Ale potem złodzieje stwierdzili, że trupa trzeba usunąć. Albo może dychał jeszcze. Kobieta poszła przodem, niosąc nogi rannego, mężczyzna z tyłu... Krew ciągle kapiała... W opuszczonym budynku obok znaleziono jak do tej pory monetę trzykoplejkową oraz przy samej dziurze dwa niedopałki sowieckich papierosów Prima – uzupełnił Fałniewicz. – Moneta leżała na kolejnej plamie krwi, ale awers był czysty, znaczy nie mogła leżeć tam wcześniej. A wewnątrz buta odkryto nieco wytarty podpis „A.F. Kabanow”. Cyrylicą. Przy sejfie leżało zawiniątko z chromowej skóry, a w nim narzędzia. Cążki, szczypczyki, dłutka, wszystko sygnowane carskim orzełkiem.

– Kojarzysz, kim był Ałmaz Fiodorowicz Kabanow?

– Taki kasiarz, złapali go w Lublinie jakoś grubo przed wojną... Podkopywał się pod bank czy jakoś tak. Słyszałem o nim jakieś legendy, ponoć w wyczyszczonym sejfie zostawiał kwiat... Tu też znaleziono różę.

Maciejewski potwierdził, kiwając głową.

– Kontynuuj.

– Znaleziony but też był stary, z carskich czasów, dobra szewska robota. Szpikowana podeszwa. Mało kto teraz szpikuje... – mruknął Fałniewicz. – A szkoda, bo to dobra technika. – Wywiadowca spojrzał na półbuty Maciejewskiego jakby z pewną ironią.

– Dlaczego sądzicie, że aż tak stary?

– Bo na wkładce była wytłoczona sucha pieczęć odbioru z dwugłowym orłem. Przymuszczałnie po rewolucji Kabanow trafił w ręce Sowietów i jako cenny dla nich fachowiec był i nadal jest wykorzystywany do włamań za granicą. Oczywiście pod ścisłą kontrolą pary agentów NKWD...

Komisarz łypnął groźnie na podwładnego.

– A tak poważnie?

– Tak poważnie to oczywiście włamali się Ihor Urwanko i jego kuzyn, no bo któż by inny. Przybili do zelówek swoich buciorów podeszwy oderwane z zupełnie innych butów. Jeden z jakichś trepów, drugi z babskich trzewiczków. Jak otworzyli kasę pancerną, wylali tu litrową butelkę krwi, pewnie świńskiej albo cielęcej kupionej w jatce, odbili w niej ślady, podrzucili but rzekomo Kabanowa, niedopałki, narzędzia i sowiecką monetę... To co? Idziemy ich aresztować?

– Na razie trzeba nakaz rewizji. I tak muszę wdepnąć na posterunek i wbić się w mundur. Chcę wpaść w odwiedziny do pewnego – Maciejewski się skrzywił – znajomego. Przy okazji poproszę Krafta, niech podskoczy do sądu i załatwi oficjalny nakaz. Spotkamy się o czternastej przy Bramie Grodzkiej. Będziemy potrzebowali do rewizji i aresztowania ptaszków, hm... Dziesięciu ludzi. Zorganizujesz to? Mamy adres?

– Jest w aktach.

*

Maciejewski zapukał do odrapanych drzwi jednej z zapyziałych kamieniczek na Starym Mieście. Smród gotowanej kapusty kręcił go

w nosie. Jednocześnie stwierdził, że jest głodny... Dociągnął pas o dwie dziurki, ale to niewiele pomogło.

Legendarny carski śledczy Iwan Zajcew nie miał szczęścia. Gdy w dwudziestym roku ostatkiem sił dotarł z rodziną do Lublina, zaproponował swoje usługi świeżo utworzonej polskiej policji. Spotkało go jednak gorzkie rozczarowanie. Odrodzona Rzeczpospolita nie była zainteresowana usługami ekszaborcy. Jechać dalej na zachód nie miał już siły... Osiedlił się zatem w Lublinie. Komisarz poznał go zupełnie przypadkiem, ale zapamiętał... Zachrobotał łańcuch i drzwi uchyliły się. W przedpokoju stała niebrzydka dziewczyna, zapewne wnuczka gospodarza.

– Dzień dobry – burknął, unosząc palce do daszka czapki. – Chciałbym porozmawiać z panem Zajcewem. Służbowo...

– Proszę wejść i rozgościć się. – Dziewczyna gestem zaprosiła go do wnętrza. – Zaraz poproszę dziadka... To dla niego wielki dzień, od piętnastu lat czekał, kiedy wreszcie przyjdziecie prosić go o pomoc.

Zyga zmełł w głowie piętrową wiązaną. Wszedł do małego saloniku i już w progu skrzywił się mimowolnie. Vis-à-vis drzwi na honorowym miejscu wisiał portret cara Mikołaja. Poniżej umieszczono dwie skrzyżowane szable. Rozpoznał kozacką szaszkę i nagrodową dragonkę. Pod nimi w ramce ze szkłem wypatrzył trzy order, Krzyż Świętego Jerzego, medal za długotrwałą pracę w carskiej policji oraz popularne odznaczenie „za usierdzie”. Skrzywił się ponownie. Wróciły do niego wspomnienia z dzieciństwa. Te najbardziej niechciane... Przez chwilę wahał się, czy nie wyjść, ale akurat w drzwiach sypialni stanął gospodarz we własnej osobie...

– Pan komisarz... Czym mogę służyć dzielnej polskiej policji? – zagadnął uprzejmym tonem.

Przybysz otaksował go wzrokiem. Były śledczy Zajcew dawno już przekroczył osiemdziesiątkę. Przygarbił się, jedna źrenica mu zmętniała. Mówił po polsku doskonale. W głosie pobrzmiwały tylko ślady rosyjskiego akcentu.

– Komisarz Zygmunt Maciejewski. – Zyga ukłonił się odruchowo. – Zaszedłem do pana jako do... starszego kolegi po fachu. – Słowo „kolegi” z trudem przeszło mu przez gardło. – Potrzebuję porady. A może raczej informacji...

– Niebawale. – Wargi starca wygięły się w uśmiechu. – Proszę, pan spocznie. – Wskazał miejsce przy stole. – A jakież to problemy nurtują moich, jak pan to łaskawie określił, kolegów po fachu?

Maciejewski z trudem utrzymał kamienny wyraz twarzy. Wszystko się w nim gotowało. Zdjął przyciasną czapkę i od razu poczuł się lepiej.

– Ałmaz Fiodorowicz Kabanow... – rzucił. – Kasiarz. Aresztował go pan w Lublinie, po tym jak po serii gościnnych występów uszczuplił aktywa kijowskich banków o jakieś dwieście tysięcy rubli.

Na twarzy starca odmalowało się głębokie zdumienie.

– Nie słyszałem tego nazwiska dobre trzydzieści lat... Byłem przekonany, że nie żyje.

– A jeśli powiem, że zmartwychwstał?

Wnuczka wniosła herbatę i ciasteczka.

– I na miejsce zmartwychpowstania wybrał sobie Lublin? To chyba raczej mało prawdopodobne... Człowieka na starość ciągnie raczej ku miejscom, gdzie odniósł zwycięstwa, a nie ku tym, gdzie powinęła mu się noga. Proszę, pan się częstuje.

– Czemu sądzi pan, że to mało prawdopodobne?

– Po pierwsze był starszy ode mnie. Miałyby teraz około setki na karku. Ja wiem, bywają ludzie, którzy tyle żyją, a nawet i więcej... Wszak w setną rocznicę bitwy pod Borodino cara Mikołaja prowadzał weteran tamtych walk... Po drugie nawet gdyby żył i był na tyle sprawny, by wywinąć jakiś numer, to przecież nie w takiej zapyziałej dziurze jak Lublin! Tu nie ma obecnie nic, co mogłoby go zainteresować. To był wielki kasiarz. Łup poniżej pięćdziesięciu tysięcy rubli w ogóle go nie obchodził...

– Znaleźliśmy w rozprutym sejfie czerwoną różę...

– Tak naprawdę nigdy nie zostawiał kwiatów. To wymyślili dziennikarze, żeby było bardziej romantycznie. Nie prostowaliśmy tego. Dla nas to wygoda, od razu wiedzieliśmy, których kas nie otworzył.

– Jaki on był? Mam na myśli posturę i rozmiar buta.

– Tak z sylwetki to podobny do pana. No i nogę miał niczego sobie. Pamiętam, jak go wyciągali z podkopu, najpierw dokopali się do buciorów. – Stary zachichotał na to wspomnienie.

– Te by pasowały?

Maciejewski wyjął z torby trzewik. Starzec wziął go w trzęsące się dłonie i zbliżył do widzącego oka.

– Nie powiem ani tak, ani nie – westchnął wreszcie. – Minęło tyle lat... Wydaje mi się, że mógłby należeć do niego. Ale z własnego doświadczenia powiem, że złodzieje wolą buty, które trudno zgubić podczas ucieczki... Te mogły być do chodzenia po mieście, a do roboty mógł mieć drugie... Znaleźliście go na miejscu włamania?

– Owszem. Podejrzewam jednak, że został nam celowo podrzucony. Nawet jak to prawdziwy but prawdziwego Kabanowa, to nie chce mi się wierzyć, że ktoś przez dwadzieścia lat chodzi w tych samych...

– Zupełnie słusznie. Ten bucior długie lata leżał na strychu, popatrzcie, jak twarda jest skóra. Ktoś go wyczyścił i pociągnął oliwą, by nabłyszczyc, ale wszystko suche i sztywne jak egipska mumia. Nogi by obzarło do mięsa i pokruszyło się w marszu.

Stary dłuższą chwilę oglądał nazwisko wytłoczone po wewnętrznej stronie cholewki.

– Miał tu w Lublinie współnika. Może on to przechował przez lata jak relikwię, na pamiątkę spotkania z legendą złodziejskiego cechu. – Zadumał się.

– Wspólnika? – podchwycił Maciejewski.

– Raczej powinienem powiedzieć „domniemanego współnika”. Rewizja nic nie dała, nasi śledczy nawet knutem niczego nie wycisnęli... Ot tyle, że kasiarz wynajmował sobie pokoik na poddaszu

rudery tego całego Urwanko... O, widzę, że to nazwisko nie jest panu obce.

– A i owszem. Jeszcze jedno pytanie. Pan przyjechał za Kabanowem z Kijowa. Śledził go pan w Lublinie przez kilka tygodni. Nie odpuszczał, aż wpadł... Wszystkie akta sprawy przesłano do Kijowa. Tam go przewieźliście po schwytaniu i tam toczył się proces. Dostał dwadzieścia lat katorgi, co w jego wieku było nieomal wyrokiem śmierci. Ten podkop w Lublinie to była tylko wisienka na torcie. Skoro dostał tak surowy wyrok, to znaczy, że udało mu się udowodnić kilka włamań. Jeżeli wcześniej carskie sądy nie miały przeciw niemu dowodów, to oznacza, że w końcu, zapewne zaraz po powrocie z Lublina, odnalazł pan jego łupy. Pieniądze z kilku wcześniejszych skoków, w których był podejrzany, ale brakło dowodu...

– Jest pan bardzo domyślny, panie komisarzu. – Stary wywiadowca popatrzył na swojego gościa z nieoczekiwanym szacunkiem. – Faktycznie. Znalazłem skrytkę, w której trzymał łupy. Cztery duże szklane słoje pełne zwiniętych banknotów. Niemal pół miliona, łupy z dwu banków w Kijowie i jednego w Odessie. Na dzisiejsze pieniądze trzeba by to pomnożyć przez pięć albo i sześć. Kupa pieniędzy. Nie była to cała kwota, rzecz jasna, bo Kabanow miał gest, połowę oddawał pomocnikom. No ale do rzeczy. Jak znam życie, chciałby pan wiedzieć, jak i gdzie były ukryte? No cóż, zatem w imię tego naszego niechcianego koleżeństwa...

*

Listopadowe popołudnie było zaskakująco ciepłe i świetliste. Po niebie wiatr przetaczał białe obłoczki. W promieniach jesiennego słońca nawet rozciągające się wokoło rudery „unsere sztetl” wydawały się mniej pokraczne.

A może Gienek Kraft się zlituje i napisze protokół za mnie?, pomyślał nieoczekiwanie Zyga i też poweselał.

Siedmiu policjantów wmaszerowało na podwórko. Bryś szarpnął łańcuch i rozszczekał się jak oszalały. Komisarz podszedł do drzwi

rudery i zastukał urzędowo kolbą rewolweru. Z dziurek po kornikach uniósł się złocisty pył... Obawiał się, że trzeba będzie wyważać, jeden z posterunkowych dźwigał nawet pięciokilowy młot kamieniarski, ale narzędzie okazało się zbędne. Zaraz drzwi otworzono.

– Pan komisarz Maciejewski we własnej osobie! Jesteśmy doprawdy zaszczytzeni. – Stary eksbelfer uśmiechnął się krzywo. – Kazimierz Urwanko, do usług. Kawy, a może herbaty? Ale co tak będziemy w sieni stali, zapraszam panów na pokoje... To znaczy do pokoju.

Dwaj młodzi cwaniaczkowie siedzieli przy stole i pałaszowali szarlotkę. Na widok wchodzących wstali i ukłonili się grzecznie. Posterunkowi rozstawili się po wnętrzu. Dwaj, łomocząc buciorami na schodach, wbiegli sprawdzić pokoik na poddaszu. Domek nie nosił śladów płądrowania, a wszyscy trzej złodzieje wyglądali zupełnie normalnie, to znaczy nie byli obici na gębach. Maciejewskiego niepomrotnie ucieszył ten widok. Wyglądało na to, że policja dotarła do podejrzanych wcześniej niż zakapiory pracujące dla lichwiarza Natansona.

– Przerwali nam panowie podwieczorek – burknął stary jakby z naganą. – Ale nie mam prawa się obrażać, w końcu wykonujecie tylko swoją zaszczytną służbę...

– Mamy nakaz rewizji, a także aresztowania w razie odnalezienia obciążających dowodów – odparł Zyga, poirytowany tym przedstawieniem. – Pan tu jest gospodarzem? W takim razie na pańskie ręce. – Wręczył papier, z daleka straszący czerwienią prokuratorskich pieczęci.

– A o jakież to straszliwe zbrodnie jesteśmy podejrzani? – Gospodarz uśmiechnął się drwiąco.

– Na przykład o morderstwo popełnione na waszym wspólniku, legendarnym rosyjskim kasiarzu Ałmazie Fiodorowiczu Kabanowie – zażartował ponuro komisarz. – Jest to czyn tym bardziej paskudny, że był to wasz wspólnik niejako dziedziczny, po waszym ojcu jeszcze...

Z satysfakcją spostrzegł nagle zaniepokojenie trójki podejrzanych.

– ...no ale dopóki nie znajdziemy jego ciała, to będziecie odpowiadali jedynie za rozprucie sejfu tak zwanego szanowanego obywatela Izaaka Natansona.

Kazimierz otaksował komisarza spojrzeniem. Spostrzegł przetrącony niegdyś nos, łapy jak u murarza, źle dopasowany przyciasny mundur, schodzone oficerki. Maciejewski wprowadził jakimś cudem powiązał Urwanków z Kabanowem, ale nie wyglądał na groźnego przeciwnika. Ot, parobczak ze wsi, który dostał się do policji i za jakieś zasługi stopniowo awansował. Stary złodziej odetchnął z ulgą, a krzywy uśmiech powoli wrócił mu na wargi.

– Panie komisarzu drogi – odezwał się pobłażliwym tonem. – Za cara policja nie miałaby problemu, za kilka rubli konfidenci zeznaliby, co potrzeba. Gdyby przypadkiem chciano dojść do tego, jak było naprawdę, to siekliby nahajami, ażby wydusili całą prawdę. A teraz panuje praworządność. Policji w demokratycznym kraju po prostu nie wypada katować podejrzanych dla wymuszenia zeznań. Nie ma pan przeciw nam żadnych dowodów. Każdy z nas ma dwu pełnoletnich świadków, którzy zapewniają mu alibi. Pan nas aresztujesz, a sąd wypuści. Kto wie, może nawet przeprosiny dostaniemy... Fakty są, jakie są, ale jakichkolwiek dowodów naszej winy brak.

I naraz spostrzegł, że komisarz w ogóle go nie słucha. Maciejewski patrzył za okno. Jeden z policjantów obłaskawił Brysia kawałem kiełbasy i teraz czochrał bydlę po brudnym, kudłatym brzuchu. Bestia, która od dawna nie zaznała podobnego traktowania, patrzyła na gliniarza jak na najlepszego przyjaciela. Dwaj inni odsunęli już budę z kąta podwórza. Szpadle tylko śmigają w ich dłoniach. I w jednej chwili wszyscy trzej złodzieje zrozumieli, że jednak się nie wywiną...

Marcin Wroński

Trzej przyjaciele z budowy

W maju 1953 roku

WRE ODBUDOWA!

Całe Stare Miasto jeszcze rok wcześniej przypominało lublinianom o bezprzykładnym barbarzyństwie hitlerowców. Straszły szkielety wypalonych budynków, wygrażały przechodniom kikuty belek stropowych, złowrogim bielmem spoglądały okna bez szyb. Rozumieli jednak lublinianie, że pierwszym zadaniem była odbudowa stolicy, uruchomienie stoczni na Pomorzu i rozruch przemysłu socjalistycznego. Teraz robotnicy podniesionej z ruin Warszawy i odzyskanego piastowskiego Szczecina spieszą na pomoc miastu, w którym ogłoszono Manifest PKWN, w którym zrodziła się Polska Ludowa.

Już na całej długości Bramowej i Grodzkiej, przy Rynku i Złotej kamienice zburzone bombami najeźdźcy w oczach odzyskują dawny blask. Uwijają się na rusztowaniach murarze i kamieniarze, a mieszkańcy patrzą zadziwieni, jak z dnia na dzień przynosi owoce czyn brygad robotniczych, realizujących wskazania IX Plenum KC PZPR. Na swoją kolej nie mogą się doczekać artyści malarze i sztukatorzy, których robota przywróci zabytkom dawną świetność i budynki zaczną przemawiać jak księgi naszej historii. Tu umarł wielki polski poeta Jan Kochanowski po nieprzyjętej przez króla i nieczułych magnatów skardze w sprawie śmierci szwagra. Tu urodził się Sebastian Klonowic, piszący przed wiekami o doli oraz pracy chłopca polskiego. Tak wyglądał Biernat z Lublina, który drwił z możnych i słaWił mądrość ludu, a tak Mikołaj Rej, który zerwał z reakcyjną

łaciną i pisał w ojczystym języku o tym, jak pan i pleban wspólnie wyzyskiwali wieś. A tam dalej, zobacz, wymalowana jest opowieść o biednej wdowie, sprzedajnych sędziach i o słynnej Czarnej Łapie, bo według tej lubelskiej legendy nawet diabli wydali bardziej sprawiedliwy wyrok niż reakcyjny sąd feudałów.

Tak właśnie 22 Lipca przyszłego roku, wracając z hucznych obchodów X-lecia Polski Ludowej, matki będą mogły mówić dzieciom, pokazując na kolorowych elewacjach prace artystów, przodowników sztuki socjalistycznej.

Zygmunt Maciejewski przeczytał to tylko dlatego, że akurat sobotnim „Sztandarem Ludu” przykryto stół w barakowozie, a flaszka, musztardówki i talerz z zakąską nie zasłoniły akurat artykułiku podpisanego: *M. Szlachetka*. Przedwojenny komisarz dziwił się przez chwilę, że komunistyczna propaganda wzięła faceta z tak reakcyjnym nazwiskiem, lecz nie miał czasu dociekać. Jako dozorca na odcinku budowy spełniał teraz ważniejsze obowiązki.

– Żeby chłopakom ręce nie latały na boki. – Stuknął się z robotnikami.

Milkliwy szczeciniak, Tadek Żukowski, podniósł szkło i burknął coś pod nosem. Nawet robociarskie ubranie wyglądało na nim jak garnitur wizytowy, dlatego towarzysze pracy ochrzcili go Lordem.

– Dobrze Lord mówi! – wyrwał się Stefek Brzozik przezwany Puculem, chociaż z ust kolegi nie padło ani słowo. – Żeby dobrze bili kacapów!

Krępy i żyłasty Mietek Wąsik z Warszawy wypił w skupionym milczeniu. Raz, że w życiu mężczyzny są jakieś priorytety i najpierw jest wódka, potem sport. Dwa, akurat o radzieckich zawodnikach lepiej było nie mówić nic złego. Lubliniaka Pucula, gdyby nie poprzestawiało mu się w głowie po śmierci siostry, wszyscy mieliby za wtykę bezpieczeństwa. W czterdziestym dziewiątym podczas zamieszek po cudzie w katedrze, gdzie Matka Boska zapłakała krwawymi łzami nad losem Polski, dziewczyna dostała kamieniem

w głowę od jakiegoś prowokatora. O szczegóły nikt nie pytał, głównie z delikatności, poza tym na samo wspomnienie Brzozik robił się czerwony i aż nim telepało.

Zygę z kolei telepało, gdy zaglądał do „Przeglądu Sportowego”. Ulubiona przed wojną gazeta komisarza od tygodni piała z zachwytem nad klasą i wyszkoleniem Sowietów. „Trybuna” z kolei serwowała ludowi anegdotki na przykład o czekoladkach, którymi radzieccy bokserzy częstowali dzieci w pociągach. „Może wasz syn będzie kiedyś pięściarzem i będzie dobrze walczył z moim synem”, tak według partyjnej szmaty miał powiedzieć Anatolij Bułakow. Gazeta nie dodała, oczywiście, co pomyślała sobie matka tego chłopca: „Ale jeśli mój syn będzie żołnierzem, to wam obu odstrzeli wasze kacapskie łby”. Bardzo plastycznie wyobraził to sobie jednak przedwojenny komisarz policji, regulując prowizoryczne radio, aż odezwał się czysty głos spikera:

Z warszawskiej Hali Gwardii rozpoczynamy transmisję ćwierćfinału X Mistrzostw Europy w Boksie! Tradycyjnie zmierzą się najpierw zawodnicy najlżejszej wagi muszej: Włoch Giacomo Spano, František Majdloch z Czechosłowacji, znakomity Anatolij Bułakow z ZSRR oraz Henryk Kukier, Polska!

Zyga usiadł i czekał. Przed wojną wcale nie potrzebował radia, miał gazety. Gdyby jednak chciał, mógłby pójść do sklepu i wybrać sobie odbiornik pod kolor mebli. Teraz, z ideologiczną słuszością utracony z etatu trenera w Zrywie Zamość, był lumpenproletariuszem, a radio... Radia w ludowej ojczyźnie tylko do świetlic uświadomionej politycznie młodzieży trafiały za półdarmo.

I znowu w natarciu Henryk Kukier, nie przypadkiem zwany maszynką do bicia Lublinianki... To nie jest ta piękna, zahartowana jak stal technika uniku i ataku, jaką prezentuje Anatolij Bułakow, nie, to jeszcze przedwojenna szkoła, niestety... Kukier w natarciu... Zdaje się

nie czuć ciosów Anatolija Bułakowa, atakuje! Radziecki bokser w narożniku!... Nie zapominajmy, że sukcesy polskiej drużyny są w dużej mierze wynikiem przyswojenia metod radzieckiej szkoły boksu, że dzięki kontaktom z pięściarzami ZSRR weszliśmy na nowe, słuszne drogi w szkoleniu pięściarzy oraz...

Niestety, cieć Maciejewski i trzech robociarze nie dowiedzieli się, co jeszcze sport polski ma do zawdzięczenia radzieckiemu i dlaczego Kukier, chociaż tłuł Bułakowa, w gruncie rzeczy technicznie przegrywał ten pojedynek. Nie dowiedzieli się, bo za oknem barakowozu coś trzasnęło, zasyczało wściekle i na chwilę zrobiło się jasno jak w dzień. Głos z radia urwał się, zgasła też lampa. Magiczne oko odbiornika świeciło jeszcze przez chwilę zielonkawą poświatą.

– Co jest, kurwa? Teraz?! – Pucuł rzucił się do drzwi. – Poczekaj, skurwysynie jebany! – ryknął, wygrażając komuś pięścią.

Maciejewski zaraz znalazł się za nim.

Na zewnątrz słup elektryczny, który przed meczem stał jak należy, pionowo, teraz pochylał się coraz niżej, trzymany jeszcze przez kilka pękających po kolei kabli. Pozostałe, sypiąc snopami iskier, zmijowymi ruchami pełzały po nieutwardzonym jeszcze placu. Szczęście w nieszczęściu, od tygodnia nie padało.

Zawarczał silnik i Zyga zobaczył ruszającą ciężarówkę. Nie miała świateł, ale jedno w szarej majowej nocy było jasne: słup elektryczny, do którego przypięli kabel od radia Maciejewski z pozostałymi, zawadzony, właśnie upadł na ziemię i znów iskry błysnęły jak flesz aparatu. Wtedy powinni byli dostrzec chociaż tablicę wozu, który pozbawił ich radości kibicowania. Niestety trzymającemu latarkę Maciejewskiemu zasłonił rejestrację Pucuł. Przygłup puścił się biegiem, jakby naprawdę miał nadzieję dogonić auto.

Szofer dodał gazu, jak zrobiłby każdy na jego miejscu. Że zawadził o słup, nie było w tym nic dziwnego, bo źle ustawiony, nawet w dzień przeszkadzał transportowcom i kierowcy klęli go najwulgarniej. Tyle

że nikt nieuprawniony nie miał prawa tu wjeżdżać, a Maciejewski przecież zamknął szlaban na łańcuch i kłódkę.

Pucuł wrócił zasapany i już całą czwórką podeszli bliżej. Pod przewróconym słupem ziała jama. Zyga doskoczył do niej pierwszy z latarką w ręce i gestem powstrzymał pozostałych.

– Że niby co? – Brzozik jednak się zbliżył. – O, Jezus Maria! – wykrzyknął, gdy Maciejewski poświecił.

Słup wkopano niby niedawno, ale solidnie. Wrósł w ziemię niczym drzewo i teraz, obalony, odsłonił wykrot jak w lesie wiekowy dąb wyrócony przez wichurę. Między fundamentami nowych kamienic a świeżo wytyczoną trasą W-Z robotnicy zaglądali do nory pozostałej tu po dawnych piwnicach getta, zburzonego przez hitlerowców, ale wyrównanego spychaczami po wojnie. Wewnątrz tkwiła bomba lotnicza, sądząc po korozji i porastających ją pajęczynach, ponemiecka.

– Matko Święta... – wyjęczał Pucuł.

*

Głucha detonacja szarpnęła lekko Maciejewskim, mimo że leżał na ziemi. Nad Górkami Czechowskimi uniósł się tuman pyłu i liści, a przerażone ptaki rozprysły się we wszystkie strony jak piszczące i świszczące odłamki. Zyga podniósł głowę. Kordon wojska okalający teren za strzelnicą powoli powstawał, podobnie jak saperzy.

Poprzedniego dnia na komisariat MO pobiegł głupi Pucuł, ledwie kable przestały sypać iskrami. Pozostali trzej w świetle latarki przyjrzeni się bombie i wystającym z niej drutom. Zyga nienawidził elektryki. Jesienią trzydziestego roku w ostatniej chwili ocalił świadka przed porażeniem prądem. W domu wykrecał korki, zanim zmienił spaloną żarówkę. A tamtego wieczoru stał jak kołek.

– Niepotrzebna ta milicja – powiedział poniewczasie Wąsik. – Trzeba było to zasypać, słup postawić i koniec pieśni.

Prowok czy prorok? Maciejewski przyjrzał się koledze. Na zdrowy rozum, oczywiście, miał świętą rację, bo im mniej uczciwy człowiek

ma do czynienia z organami władzy ludowej, tym lepiej dla niego. Jednakże gdyby nawet zdołali zatrzeć ślady niechcianego znaleziska, to niby dlaczego mieliby sobie ufać? Kto zagwarantuje, że któryś, jeśli wcale nie donosił wczoraj i nie donosi dziś, nie będzie donosił jutro?

– Boisz się czegoś? – burknął były policjant.

– Szwabska setka, burząca. We wrześniu były tu bombardowania?

– spokojnie i jakby z naukową ciekawością zapytał Maciejewskiego Żukowski.

Zyga skinął głową. Nie dał poznać po sobie zdziwienia, że szczeniak tak dobrze zna się na bombach lotniczych. Nawet jeśli bombę istotnie zrzuciło tu Luftwaffe, później przy niej grzebano, o czym wymownie świadczyły kable wychodzące z obudowy. Były tylko lekko przykurzone, a ktoś, kto je wmontował, nie zatroszczył się o zalepienie styków jakąś taśmą. Gdyby padła iskra...

To nie mieliby już więcej żadnych problemów. Rano koledzy łyżkami by ich zbierali, ale do tego czasu Pan Bóg Wszechmogący zaznajomiłby już nowych gości z przebiegiem pojedynku Kukiera, ba, z wynikami mistrzostw i wszystkich kolejnych na wieki wieków! Tymczasem po kwadransie przyjechała milicja i mało nie zesrała się w gacie. Podziękowała jednak i zaczęła zabezpieczać teren. Kiedy dotarły odwody i oficerowie bezpieczeństwa, robociarzy wepchnięto na ciężarówkę i zapuszkowano.

– Nie ma się czego bać, kurwa jego mać – pocieszył ich składnym rymem mundurowy, upchawszy całą czwórkę w pojedynczej celi. – Wy za świadków tak z grubsza.

Tyle że świadków to się przesłuchuje, i to od razu. Tymczasem oni spędzili w celi całą noc. Rano dostali tylko kawy zbożowej i czarnego chleba, a przed południem zapakowano ich do więźniarki z zamalowanymi na matowo szybami, by otworzyć wóz na poligonie na obrzeżach miasta. Maciejewski wysiadł pierwszy i nawet on, który na Zamku przeszedł przez piekło, teraz zmartwiał.

Przed więźniarką stał szpaler żołnierzy z karabinami. Jak za okupacji, tylko w mundurach gorszego sortu i z orłami na czapkach

zamiast hitlerowskiej gapy. To nie były ubeckie metody, oni nawet jeszcze za Stalina likwidowali ludzi ciszej i oszczędniej, ale... Ale co by powiedział towarzysz Bierut, gdyby mu doniesiono, że na przyszłym placu Zebrań Ludowych, do którego projektu wtrącił swoje trzy grosze, cokolwiek przebiegło niezgodnie z planem?! Żadnej bomby przecież nie mogło być, a skoro nie mogło, to nie było. Logicznie i dialektycznie.

Już teraz czy dopiero pod lufami powinien zakrzyknąć: „Niech żyje wolna Polska!”? Zanim otworzył usta, zza kordonu wybiegła postawna kobieta, ubrana w obszerne spodnie i białą koszulę z szerokim kołnierzem. I to ona krzyknęła:

– Niech żyją przodownicy pracy socjalistycznej! – Po męsku uścisnęła dłoń przedwojennego komisarza. Spod beretu wysypywały jej się jasne włosy. – Czujecie się przodownikami?

Maciejewski zgłupiał. Przodownik to był przedwojenny stopień w policji. Powojenna propaganda zożydziła go. W gazetach każdy dawny przodownik był kolaborantem.

– O co pani chodzi?

– Panie i panowie to byli za sanacji! Redaktor Szlachetka jestem, ze „Sztandaru Ludu”. A wy będziecie świadkami zdetonowania hitlerowskiej bomby, która dzięki wam nie zagroziła odbudowie nowego socjalistycznego Lublina. Powiecie kilka słów, zanim się ją wysadzi? Jak to było, że mimo fajrantu postanowiliście doglądnąć placu budowy?

Zyga nie wątpił, że Polska Ludowa niejednym go zaskoczy, ale że redaktor Szlachetka okaże się kobietą, i to nawet w jego typie?

– Nie wiem, proszę towarzyszki redaktorki, co to znaczy „doglądnąć” – burknął. – Może „dojrzeć” mieliście na myśli?

– Jesteście po szkołach, brygadzisto? – rzuciła zaraz z nadzieją, widząc w rozmówcy cień wykształcenia.

– Ciec jestem.

– No to czemu podeszliście pierwsi? Nie tak było umówione.

– Nie wiem, co było umówione, ale czytam „Sztandar” i modłę się codziennie w katedrze przed cudownym obrazem, żeby towarzyszkę redaktorkę Najświętsza Panienka błogosławiła! – syknął jej do ucha. Aż cofnęła się niczym diabeł przed kropidłem.

– Wy będziecie brygadziwą! – Redaktor złapała pod ramię durnego Brzozika i ustawiła bliżej aparatu, oczekującego na trójnogu przybycia bohaterów. – Obejmijcie kolegów za ramiona, bo to są wasi wypróbowani ludzie, przodownicy pracy. – Podstawiła mu Wąsika i Żukowskiego. Przygłup uśmiechnął się, dumny z wyróżnienia. – Tylko z wami co ja mam zrobić? – Przyjrzała się krytycznie Maciejewskiemu. – Gdzie mieszkacie?

– Pani, na Rurach mieszka! – wyrwał się awansowany właśnie Pucuł. – Nora taka, że lepiej nie mówić!

– Bardzo dobrze! – Dziennikarka wyjęła z kieszeni ołówek i napoczętą paczkę belwederów. – Napiszecie tutaj swój adres.

– A towarzyszką przyjdzie do mnie z wizytą? – Zyga ślinił się jak stary pies nad świeżą kością.

Ledwie fotograf pstryknął zdjęcie, redaktor Szlachetka odebrała mu papierosy i przestała się nim interesować.

– A teraz wy, towarzysze! No, proszę nie zaciskać szczęk przed aparatem! – fuknęła. – Nie boicie się już przecież, bo właśnie ta bomba, którą z narażeniem życia zabezpieczyliście przed przybyciem milicji i wojska, wybuchła pod fachowym nadzorem saperów, wzorowo wyszkolonych przez sowieckich instruktorów! Co się czuje w takiej sytuacji? Ulgę czujecie, towarzysze! Jak na swym froncie robót po dobrze wykonanej pracy, zakończonej przed terminem. Jakież pytania?

– Pani, a Kukier złomotał Bułakowa?! – wyrwał się Pucuł.

– Co wy mi tu?... – Redaktorka zachnęła się oburzona, lecz machnęła ręką. Pełne uświadczenie ideowe klasy robotniczej nie było zadaniem na pięcio- ani nawet dziesięciolatkę, przecież ją tego uczono. – Wygrał w sportowej rywalizacji... ale radziecki bokser popisał się o wiele lepszą techniką – dodała natychmiast.

Robotnicze mordy rozdziawiły się w takim uśmiechu, jakby nie tylko wyrobili trzysta procent normy, lecz w dodatku Bolesław Bierut o tyle samo obniżył cenę wódki.

– Wszystko jedno, tylko bez zaciśniętych szczęk – ustąpiła dziennikarka.

Fotograf dał znak zza aparatu. Zastygli na tle przygotowanej do detonacji bomby i grzebiących przy niej saperów.

TOWARZYSZE PRACY WALCZĄ O POKÓJ!

W miejscu wojennych gruzów rośnie lubelski Mariensztat nie ustępujący pięknem stołecznemu, istny wieniec budownictwa socjalistycznego okalający przyszły plac Zebrań Ludowych. Tu odbędą się wielkie uroczystości X-lecia PKWN, tu na wiecach będą gromadzić się tłumy mieszkańców Lublina, miasta Manifestu Lipcowego. A jednak, tak jak za granicą, nie milkną porykiwania zachodnioniemieckich rewizjonistów i w pierwszej stolicy wyzwolonej Polski widmo wojny okazało się żywe.

100-kilogramową bombę zrzuconą we wrześniu 1939 r. przez hitlerowskiego barbarzyńcę odkryli na placu budowy robotnicy. Każdego z nich doświadczył wojenny los, każdy z nadzieją mnoży trud w walce o pokój. Trzej przodownicy pracy (zdjęcie z lewej) mimo fajrantu obeszli front swych robót i o znalezionej bombie natychmiast poinformowali organa, a MO saperów Ludowego Wojska Polskiego.

– Teren budowy został szczegółowo przebadany aparaturą saperską, tak jak uczyli nas instruktorzy radzieccy. Nic nie zagraża odbudowie Lublina – zapewnił kpt. Roszek z dow. garnizonu, frontowiec od Lenino do Berlina.

Bohaterowie pracy uczestniczący w odbudowie Lublina byli świadkami wysadzenia hitlerowskiej bomby (zdj. z prawej). Różni ich wiek i pochodzenie, ale koleżeńską więź cementuje robotnicza czujność. Gdyby nie ona, na najważniejszej budowie

w naszym mieście mogłoby dojść do zrujnowania planu i ofiar w ludziach.

- To nic takiego - mówi skromnie brygadzysta Brzozik. - Każdy uświadomiony klasowo robotnik polski dba o swoje miejsce pracy jak o własny dom. Tak mówimy kolegom, bo to rozumie każdy. Po wojennej pożodze wciąż przybywa domów i mieszkań dla pracowników, chociaż braki wciąż istnieją.

Wie o tym najlepiej dozorca budowy Maciejewski, mieszkający w grożącej zawaleniem chałupie na przedmieściu Lublina. Odwiedzający budowę Sekretarz Generalny PZPR tow. Bolesław Bierut podarował dozorcę paczkę papierosów Belweder i poprosił napisać, czego mu potrzeba (zdj. u dołu).

- Po wojnie byłem aresztowany przez organa bezpieczeństwa, ale ludowa Ojczyzna mi zaufała - przyznaje dozorca Maciejewski. - Mam tę paczkę papierosów od tow. Bieruta i napiszę na niej to, o co chciałbym poprosić. Najbardziej pragnę pokoju międzynarodowego, wiecznego sojuszu z bratnim Związkiem Radzieckim, odbudowy demokratycznej Polski Ludowej oraz elektryfikacji miast i wsi. O to chcę prosić partię i rząd, a co nam poza tym trzeba, to sami wykonamy wytężonym czynem robotniczym! (M. Sz.)

Wytężony czyn robotniczy wyśmienicie wyglądał w gazecie, za to na przyszłym placu Zebrań Ludowych był bajzel. Już dawno gruzinki przestały ciągać klientów z prowincji na dawne getto, zaś ich koleżkowie po ostrej fandze opróżniać kieszenie tych naiwniaków. Już dawno przestano grzebać w rumowisku, bo żydowskie skarby okazały się legendą. Buldożery wyrównały plac, opodal Bramy Grodzkiej zrzucono trylinkę, rosły kamienice, ale słup elektryczny, wyrównany do pionu i prowizorycznie umocowany gruzem, stał w dawnym miejscu.

Były komisarz policji Maciejewski popatrzył z odrazą, jak spychacz unicestwa ostatni krawężnik z Szerokiej, i cisnął pod nogi „Sztandar

Ludu”. Nie zamierzał być bohaterem tej szmaty, ale zdecydowała za niego. Siedząc na schodkach barakowozu, widział harujących w milczeniu robotników, bo pod rusztowaniami przechadzali się smutni panowie w ciemnych marynarkach i co rusz wyławiali kogoś, rozpytywali i spisywali. Późnym przedpołudniem zajechał czarny citroen i wysiadło jeszcze dwóch. Kierowca postury zapaśnika rozejrzył się, czy wszystko gra, drugi otworzył tylne drzwi auta. Przedwojennemu glinie papieros o mało nie wypadł spomiędzy palców, bo Zyga rozpoznał człowieka, który w czterdziestym piątym katował go w śledztwie, a potem złożył propozycję nie do odrzucenia... Wtedy nosił mundur majora, teraz miał na sobie garnitur, lecz jego czerwonej, wiecznie owrzodzonej gęby nie sposób było zapomnieć.

Jakub Grabarz też zauważył starego znajomego i podszedł niespiesznym krokiem.

– Maciejewski, wy jesteście bohater lokalnej prasy! I co? Na mój widok nie cieszy się?

– Przepraszam obywatela majora, ale od marca nic mnie nie cieszy. Stalin umarł.

Zyga po aktorsku wytrzymał dłuższą chwilę ze skupioną żalobnie twarzą. Tylko dlatego, że towarzysz Stalin kopnął w kalendarz, bezpieka tak się ze wszystkimi cackała. Przed rokiem całą załogę zapędziliby na górą nad oczyszczonym placem Zamek i upchnęli po celach jak sardynki. I nie byłoby siły, ktoś by pękł. Znalezliby się świadkowie, wskazaliby winnych spisku zbrojnego, a przy okazji rozbito by nawet tajną organizację terrorystyczną powiązaną z UPA lub Werwolfem, zależnie od ideowej fantazji śledczych.

– A ja sobie myślę, Maciejewski, że wtedy z radości upiliście się w trupa. Jak połowa tego reakcyjnego miasta.

– Upiłem się, istotnie, ale z powodu żałoby. Proszę, wciąż noszę czarny garnitur. – Były komisarz klepnął się po kłapach marynarki, która ostatni raz przypominała wyjściowe ubranie może za Hitlera. Innej zresztą nie miał.

– A co wy właściwie tu robicie? Pracowaliście przecież w Zamościu, byliście trenerem boksterskim...

– Byłem, dopóki nie zapoznałem się z tamtejszym szefem Urzędu Bezpieczeństwa. Nie przypadłem mu do gustu, niestety. Tym bardziej cenię sobie wdzięczną pamięć obywatela majora.

– Moją wdzięczną pamięć, tak? No to czemu nie prosicie na pokoje?

– Ubowiec wskazał barakowóz i władował się do niego pierwszy. Krytycznie ocenił czystość ławy, ale usiadł. – No to mówcie, co i jak tutaj było, żebym i ja nie zmienił zdania co do was.

– Słuchaliśmy radia... – zaczął Zyga.

– Jakiego?!

– Polskiego, oczywiście. Nadawali ćwierćfinał Mistrzostw Europy. Akurat Kukier walczył z Bułakowem...

Grabarz wstał i pokręcił gałką. Z szumów bezpieczniak wyłowił pierwszy i drugi program. Na chwilę odezwało się Radio Moskwa, ale zaraz przepadło. Wolnej Europy odbiornik nie łapał.

– I? – Ubowiec dalej kręcił gałką.

– I radziecki zawodnik szlachetnie dawał mu wygrywać – powiedział Zyga.

– Nie pierdolcie mi o radzieckim zawodniku! – Grabarz odwrócił aparat i zobaczył amatorsko połączone przewody. – Radio niezarejestrowane?

– Nie wiem, przecież nie moje.

– No to dostaniecie kolegium za radiopajęczarstwo! – Oficer bezpieczeństwa rozsiadł się za chybotliwym stołem. – Abonament trzeba płacić, Maciejewski! Ale to później. Z kim słuchaliście? Jacy to ludzie? Co wiecie o bombie? No, mówcie! I lepiej, żeby wasze zeznania zgodziły się z tym, co już wiemy...

– Byłem gliną, dozorcą, trenerem boksterskim, teraz znowu cieciem. Sinusoida, proszę obywatela majora. Gównu wiem.

– A jak ja was sinusoidalnie wezmę do karceru? – Grabarz walnął pięścią w stół i nadwątłona noga pękła. – I już podpułkownika, nie majora, Maciejewski!

Popielniczka, butelka po piwie i cerata spadły na podłogę. Zyga popatrzył na straty, po czym zapalił papierosa.

– Teoretycznie obywatel pułkownik może wszystko, ale praktycznie nie macie już tamtej woli mocy, obywatelu pułkownika. Chociaż awansu winszuję. A przy okazji, zarzuty mam jakieś czy tylko odnawiamy znajomość?

Grabarz najpierw spojrzał mu w oczy z udawanym niedowierzaniem, a potem roześmiał się szyderczo.

– Chodźcie, chodźcie, do okna chodźcie! – Ogarnął go ramieniem. Wskazał przez szybę Zamek, jakby mniej złowrogi niż kilka lat wcześniej, ale wciąż ze strażnikiem na bramie. – Wy, Maciejewski, jak zwykle nie pojęliście, co chciałem wam powiedzieć. No to uściślę! Rzecz w tym, że w kraju jest spokój, zadowolenie i rozwój, nie może być więc mowy o żadnych zamachach. To nie jest rok 1905, a PPS zjednoczyła się z PPR-em w PZPR. Dlatego tak sobie myślę, że o tych drutach, co to niby wystawały z bomby, to nie trzeba głośno mówić. Wyście, klasa robotnicza, odnaleźli i zabezpieczyli niewybuch z czasów wojny. Ale to wcale nie znaczy, Maciejewski, że możecie napić się wódki i zapomnieć. Nie, nie, wy macie o tym pamiętać... Zresztą nie przyjdzie wam to trudno, bo z natury jesteście pamiętliwym skurwysynem! – Ubowiec klepnął ciecica serdecznie i znów go objął. – Pytania macie?

– Jedno i to samo. Skoro jestem niewinny, to po co mam pamiętać?

– Zyga poruszył barkami, żeby strącić z pleców przyjazną rękę Grabarza.

Nie pomogło, on jednak go kochał. Taką samą czułą miłością, z jaką strażnik zamkowy za oknem barakowozu przemierzał swoją ścieżkę przy murze w lewo, w prawo i znowu w lewo.

– Ano po to, że towarzysz Bierut, który tutaj przyjedzie w przyszłym roku na 22 Lipca, jest wielkim przyjacielem dzieci. – Podpułkownik bezpieczeństwa zabrał rękę, za to uśmiechnął się jak sutener do niewinnej panny. – Już wybraliśmy mu do wręczania kwiatów i towarzyszenia na trybunie odpowiednią dziewczynkę, tylko

głowiliśmy się nad chłopczykiem do towarzystwa... Ale wiecie co, Maciejewski, właśnie sobie pomyślałem, że to mógłby być wasz Olek. Chociaż syn wroga Polski Ludowej, to wychowywany przez milicjanta i członka partii. I to będzie ładnie wyglądać, nie sądzicie? Władza ludowa nie jest pamiętliwa, my wychowanie stawiamy wyżej niż biologię, my myślimy dialektycznie, nie deterministycznie. No i nie muszę wam chyba mówić, Maciejewski, że jeśli na tym placu jest jeszcze jakiś niewybuch i jeśli on nieszczęśliwie pierdolnie, to nie tylko z towarzysza Bieruta nie będzie co zbierać. Prawda, że nie muszę?

– Nie musicie – przyznał cieć. Poczul się jak w najgorszych momentach śledztwa zimą z czterdziestego czwartego na piąty, gdy całą siłę wkładał wyłącznie w to, aby Grabarz nie odkrył jego największej słabości. A i tak w końcu odkrył. – Co mogę zrobić, żeby mój syn był od tego z daleka?

– Nic, bo to już postanowione. Zapalcie! – Ubowiec otworzył paczkę belwederów i poczęstował Zygę. – Za to bardzo wiele, żeby nic mu się nie stało. *Poniał?* – rzucił i wyszedł, nie czekając odpowiedzi. Ta była przecież pewna.

Były glina dopalił papierosa i wynurzył się na świeże powietrze. W majowym słońcu szła robota. Po prawej rosły kamienice, po lewej schody dla Bieruta, proszące się jeśli nie o hollywoodzki musical, to przynajmniej fresk Eisensteina. Nad nimi jednak wciąż górował Zamek z bramą, szlabanem i czerwoną tablicą: Więzienie Karno-Śledcze.

*

Kiedy zabrzmiał dzwonek, dzieciarnia wysypała się z dwóch kamienic przy Sławińskiego i kilka matek zaczęło łapać swoje młodsze pociechy, zanim zdeptają je piąto- czy szóstoklasiści. Lecz była to wyłącznie babska, by nie powiedzieć: przedwojenna nadopiekuńczość. Przed wojną na tej spokojnej ulicy, wówczas Niecałej, mieszkania rzadko miały mniej niż cztery albo sześć pokoi;

tu mieszkał wojewoda i jego urzędnicy. Teraz każde z nich zostało podzielone przez kwaterunek na trzy lub cztery mniejsze i lokatorzy też byli zadowoleni, chociaż jedni nie mieli kuchni, a inni łazienki. Nie minęło wiele, by ulica stała się podejrzana z racji kilku melin i chuligaństwa, lecz matki odbierające dzieci ze szkoły – porozrzucanej klasami na kilku piętrach w dwóch kamienicach – nie miały powodów do niepokoju. Na środku jezdni stał kapitan Zdzisław Świdroń w milicyjnym mundurze, prawie tak przystojny jak ten nowy aktor Stanisław Mikulski, w którym kochały się wszystkie podfruwajki biegające do Teatru Osterwy.

Matki połapały swoje dzieci, starsze rozbiegły się do domów albo na łąki, a Świdroń został sam jak palec. Olek, syn jego konkubiny Róży Maciejewskiej, nie wybiegł z tornistrem wraz z innymi trzecioklasistami. Milicjant zanurzył się najpierw w wąską sień z obtłuczonym „1881” na frontonie, a potem skręcił prosto do pokoju nauczycielskiego w dawnej służbówce. Wszedł bez pukania. Wychowawczyni Olka zdążyła wymalować sobie szminką tylko połowę ust, akurat tę, w którą był przekrzywiony czerwony krawat na zgniłozielonej bluzie.

– Towarzysz kapitan! Dzień dobry! – Jej uśmiech chciał być zalotny. – Wy pewnie niepokoicie się... – Szybko zrobiła sobie usta w trzech czwartych i odłożyła szminkę do torebki, bo dłużej uprawiać tej burżuazyjnej kokieterii nie śmiała. – Ale ja mam dla was dobrą wiadomość. Olek został wybrany.

Świdroń spojrział na zegarek. Jedyna dobra wiadomość mogła być taka, że zabierze chłopca ze szkoły, odgrzeje zupę, którą rano ugotowała Róża, zjedzą i dzieciak zajmie się odrabianiem lekcji, zaś kapitan wróci na komendę. Tak było zawsze, gdy jego służba zająłaby się z dyżurami pielęgniarki Maciejewskiej.

– Do czego wybrany?

– Nie wiecie? Też nie marzyłam, żeby któryś z moich uczniów... – Przydech jak z przedwojennych melodramatów nie pasował do

ideowej nauczycielki. – Będzie na dziesięciolecie wręczał kwiaty towarzyszowi Bierutowi!

Ostatnie słowa prawie wypiszcziała. Świdroń uśmiechnął się blado.

– Jeśli mogę wiedzieć, komu zawdzięcza ten zaszczyt?

– Oczywiście, towarzyszu kapitanie! Usiądźcie, proszę.

Młoda wychowawczyni zakręciła się najpierw przy regale z dziennikami, potem sięgnęła do szuflady. Był też jakiś moment, który milicjant przeoczył, na rozproszanie palcem szminki, bo kiedy podała Świdroniowi pismo, była równo umalowana, a czerwony krawat nauczycielki pieścił guziki jego munduru. Kapitan ledwie zwrócił na to uwagę.

Podobny dokument, jaki trzymał w rękach, wystawiała zapewne każda szkoła dla swych prymusów, o tej detalicznej wiedzy milicjant nie miał. Rekomenduje się takiego a takiego, ucznia lub uczennicę klasy tej a tej, w związku z celującymi wynikami w nauce i pracy społecznej. Olek wcale nie miał samych piątek, a nawet miano mu obniżyć stopień ze sprawowania, bo podarł pończochy koleżance. Nie obniżono tylko dlatego, że Świdroń poszedł do kierownika szkoły i wręczając bułgarską plisnę, zapytał jak mężczyzna mężczyznę, czy koleżanka jest ładna. Kierownik nie miał powodu się odgrywać. Jednakże teraz na kwicie na Olka oprócz podpisów pracowników szkoły znalazły się też pieczęcie komitetu wojewódzkiego oraz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Przy tej ostatniej widniał ręczny dopisek: *Rekomenduję, ppłk J. Grabarz.*

– Gdzie jest chłopiec? – zapytał milicjant cicho, jakby uszło z niego powietrze.

– Razem z dziewczynką z innej szkoły. Wandzia, Wandzia... – Nauczycielka zaczęła kartkować swój notatnik w czerwonej okładce.

Razem z dziewczynką! Zabrzmiało to, jakby Olek urwał się po szkole na randkę, pierwszą w swoim życiu. I w innej sytuacji kapitan zażartowałby, lecz teraz nie było mu do śmiechu. Róża, chociaż rozwiedziona z Maciejewskim, nie zmieniła nazwiska i ani myślała zostać Świdroniową. Milicjant rozumiał, że łączy ją z nim nie miłość

do mężczyzny, ale miłość do syna, który potrzebował normalnego domu i bezpieczeństwa, jakiego nie mogłaby zapewnić samotna matka. Nie przeszkadzało mu to, bo wciąż bardzo mu się podobała, lecz był z nią również ze względu na Olka. Pokochał go? Raczej nie, nie da się przecież pokochać cudzego dzieciaka. Wiedział to jak mało kto, bo sam był przybranym synem. Natomiast polubił go bardzo, szczególnie gdy Olek wszedł w wiek, kiedy chłopiec patrzy na kochankę swojej matki jak na bóstwo, nie rywala, i we wszystkim chce naśladować.

Grabarz domyślił się tych uczuć czy miał to być tylko hak na Maciejewskiego? Tak czy owak były mąż Róży i jej obecny konkubent stali się jak dwaj skazańcy, którym założono ten sam stryczek.

– Nie pytałem z kim, tylko gdzie jest mój... – Świdroń odchrząknął.

– Oczywiście w komitecie. Tam od dziś oboje będą mieli dodatkowe lekcje po szkole – z powagą oznajmiła wychowawczyni.

Milicjant pożegnał się, a gdy doszedł do skrzyżowania z dawną Radziwiłłowską, teraz noszącą imię sekretarza Międzynarodówki Komunistycznej Dymitrowa, nagle uprzytomnił sobie, że nie wie, gdzie pójść. Mógł skręcić w prawo, w stronę komitetu, wparować tam i wyciągnąć chłopca z matni. Wybrał drugą drogę: w stronę pobliskiej komendy.

– Co to jest, że ja detalicznie nie wiem, jakie samochody jeździły po mieście przedwczoraj wieczorem?! – wrzeszczał do telefonu przez najbliższą godzinę. – Ile jest w mieście samochodów?! No chyba bardziej sto niż tysiąc! Co was obchodzi, że dochodzenie prowadzi Urząd Bezpieczeństwa?! To mnie ma obchodzić, a nie was! Do roboty!

W tym samym czasie Olek wraz z nową koleżanką Wandzią uczył się, jak ważyć słowa, starannie odmierzać kroki i ładnie uśmiechać się do pierwszego sekretarza. „Poza tym Wandzia fajna jest”, powiedział później w domu. „Jak na dziewczynę”.

*

Socjalizm, towarzysze, to nie imieniny u cioci! – zagrzemiał sekretarz Wiśniak, a Maciejewski pierwszy zaczął klaskać.

Miał Wiśniaka za kretyna, tyle że obdarzonego małym sprytem. Dzięki temu instynktowi za sanacji można było latami zajmować miejsce na państwowej posadzie, a za demokracji ludowej rozwinąć skrzydła jak piastowski orzeł. Niemniej tym razem sekretarz, oddelegowany na odcinek odbudowy Starego Miasta, powiedział coś rozumnego. Socjalizm istotnie nie przypominał imienin u cioci: ciotki dobrze karmią.

Mówca nadał się niczym Mussolini, a potem ojcowskim gestem, podpatrzonym chyba u Stalina, wygasił aplauz. Świńskie oczka szukały wśród zgonionych na masówkę robotników prowokatora, bo oklaski były przewidziane, wiadoma rzecz, jednak nie w tym momencie. Nie znalazł, bo Polska Ludowa nauczyła Zygę, aby nie pchać się do przodu. Jak zaczął klaskać pierwszy, tak i pierwszy przestał, kiedy zaraził kolegów zebranych przed barakiem kierownictwa budowy, siedzących na belkach albo ławach z desek na kilku betonowych płytach trylinki.

– Socjalizm, towarzysze, rządzi się uświadomioną klasowo prawdą i nie ma w nim miejsca na plotki, chlapanie ozorem i inne takie tam – ciągnął Wiśniak. – A tymczasem słyszy się, że wy, klasa robotnicza, wygadujecie niestworzone historie o tej bombie, to jest idące na wodę na młyn reakcyjnego wstecznictwa i wrogiej agentury. Idę ja dziś na ten przykład do sklepu po chleb i co słyszę? Że Urząd Bezpieczeństwa aresztował tych z was, co znaleźli tę bombę. Jak aresztował, kiedy skład załóg robotniczych jest kompletny?! Toż na waszych oczach towarzysze z bezpieczeństwa dwoili się i troili, żeby zebrać informacje potrzebne do śledztwa, a nawet w gazecie pisano o waszej cennej na każdym odcinku czujności proletariackiej. O, nawet o takim tam Maciejewskim pisali... – Tu na chwilę zapowietrzył się, więc podniósł zwinięty „Sztandar Ludu” i wycelował gruby paluch w klasę robotniczą. – Maciejewski, pokażcie się!

Zyga z papierosem w ustach powoli wstał.

– I co powiecie towarzyszom pracy?

Maciejewski usiadł z tyłu nie tylko po to, by rzucać się w oczy sekretarza. Chciał dyskretnie poobserwować kolegów, skoro Grabarz nie po raz pierwszy złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Wtedy nie myślał o tym tak po gliniarsku, a teraz zastanawiał się, dlaczego Pucuł pierwszy ruszył do drzwi, gdy tylko zgasło światło. Czyżby się czegoś spodziewał? I dlaczego pobiegł za ciężarówką? Równie dobrze mógł chcieć ją zatrzymać, jak i do niej wsiąść. Przez niego Zyga nie zdołał odczytać numerów. Dlaczego Warszawiak wyrwał się z zasypywaniem bomby, a Lord wiedział o niej tyle... Sekretarz zepsuł mu plan. – Że nawet jako klasowo nieświadomiony cieć jestem wdzięczny za ofiarną służbę funkcjonariuszy bezpieczeństwa oraz za ich zrozumienie dla naszych napiętych planów odbudowy Lublina na dziesięciolecie Polski Ludowej?

To miał być dowcip, lecz nikt się nie uśmiechnął. Poza Wiśniakiem.

– Sami widzicie, towarzysze, co mówi dozorca budowy z perspektywy swego odpowiedzialnego przecież stanowiska... Siadajcie, Maciejewski! I takie tam... Albo na ten przykład, dlaczego kiedy moja służą... znaczy się moja pomoc domowa, z racji żony ciężarnej idzie na targ, to tam jedna baba plotkuje o jakichś kablach, rzekomo połączonych z bombą celem jej uzbrojenia i dokonania zbrodniczego sabotażu, a inna przysięga, że słyszała od kogoś z was, że była i bomba, i jeszcze zasypywany trup? Dlaczego, towarzysze? Ano z tego powodu, że jeden z drugim najpierw miele ozorem, a potem dopiero pomyśli. A w szczególności w socjalizmie trzeba odwrotnie. No przecież jakie mogą być kable, ja na to, kiedy bomba jest niewybuchem? I jaki trup? Gdyby był trup, mówię, napisaliby w gazecie i takie tam. „Aaa, eee”! – Wykrzywił się jak mała, naśladując baby z targu, chociaż aż tak wstrętne nie mogła wyglądać żadna. – Ale te szkodliwe plotki, te wrogie nastroje nie biorą się znikąd, towarzysze! Podsycają je z nudów albo z nieświadomości ofiarni przecież budowniczo wie Polski Ludowej, którym chciałbym z tego miejsca oddać partyjne podziękowania oraz...

Oraz strzał w potylicę, pomyślał Maciejewski, paląc papierosa.

– ...oraz słowa konstruktywnej krytyki – dokończył Wiśniak. – Czy wy jesteście przekupki, towarzysze, żeby gadać, co ślina na język przyniesie? Jakie wasze uświadomienie, że nie myślicie, na czyj młyn taka zatruta woda? Ja z tego miejsca do was, towarzysze, apeluję w imieniu partii...

Zyga dopalił i zdeptał peta buciorem. To, że mógł to zrobić nie w ciemnej celi, ale na świeżym powietrzu, niewątpliwie zawdzięczał Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Bądźcie wdzięczni, Maciejewski, że się nam sprzykrzyło was torturować. I jak tu nie być?

– Apeluję do was tym bardziej, że liczymy na was przecież. Sami wiecie, jak jest, towarzysze! – Sekretarz rozejrzał się po przyszłym placu Zebrań Ludowych.

A tam wciąż gówno było, i to rzadkie! Jeszcze rano Zyga siedział na stopniu barakowozu i paląc papierosa za papierosem, obserwował ciężarówkę. Potężny lublin, którego kabina i maska wydawała się większa od skrzyni ładunkowej, i lżejszy star, z ukośnie ściętym przodem, kursowały między budową a dworcem, zwożąc trylinę do wybrukowania placu. Za każdym razem szoferzy musieli wychylać się i patrzeć w lusterko, żeby nie zawadzić o słup. „Żeby ja dorwał tego sukinsyna, co go tu postawił!”, pomstowali. „W dupę niechby sobie wbił i wołał «kuku!»”.

Zyga był na tej budowie od początku i miał szersze horyzonty niż kierowcy. Kiedy elektromonterzy osadzali słup w ziemi, było tylko wiadomo, że plac Zebrań Ludowych przyjmie kształt jaja, ale nie że Zamek i Stare Miasto zostaną wzięte w kleszcze przez arterie Wschód–Zachód i Północ–Południe. Wprawdzie póki co obie należały do najkrótszych ulic w mieście i nawet nie zostały wyasfaltowane, jednak nadrabiały to szerokością i przez to słup, chociaż kiedyś stał dobre półtora metra od planowanego krawężnika, teraz znajdował się na jezdni. I jeżeli w dzień łatwo było o niego zaczepić, to co dopiero po zmroku. O przestawieniu na razie nie mogło być mowy, bo wszystkich monterów zjednoczenie wysłało na elektryfikację wsi.

Nawet w dobrych przedwojennych latach, gdy nosił w kieszeni znaczek Służby Śledczej, Maciejewski nie był lepszym tajniakiem. Teraz jako cieć miał widok na wszystko, a na niego nikt nie zwracał uwagi. Obrzucał więc obojętnym wzrokiem tych robotników, którzy w przerwie na piwo przychodzili zobaczyć, gdzie leżała bomba. Kręcili głowami, że jakby wybuchła, z wjazdu na plac zrobiłby się wielki pierdolnik, „a gdyby tak buchła, kiedy po otwarciu będzie pełen ludzi...”. „Byliby zabici i ranni, jak Boga kocham, a drugie tyle luda potratowałyby się”. Oczywiście tych, którzy byli z Zygą w barakowozie, a potem wybiegli, kiedy brak prądu przerwał transmisję z mistrzostw, brano za ekspertów. Pucuł nadymał się przy tym, jakby sam miał eksplodować, i malowniczo machał łapami we wszystkie strony.

Czasu na plotki faktycznie mieli od cholery, bo jak przywieziono trylinkę, to nie było piasku, a jak dojechały wreszcie cegły, skończyło się wapno. Pięknymi i wzniosłymi słowami opisywano bohaterstwo czynu robotniczego, nie wspominając o rodzącej defetyzm, chujowej nudzie czekania godzinami. Choćby na piasek, którego przecież na Lubelszczyźnie nie brakuje.

*

A skoro ja wiem, jak jest – sekretarz powiódł wzrokiem po klasie robotniczej – to wy jeszcze lepiej wiecie, towarzysze, że może być lepiej i takie tam...

Że może być lepiej, nikt nie ważył się nawet marzyć. Wszystkie oczy wbiły się w ziemię, na której wyrośnie plac po wieki przypominający Lublinowi o podniosłej roli w tworzeniu powojennego ładu. Tymczasem na tej ziemi spoczywały niedopałki, flaszki po piwie i wilgotne ślady żółtobrazowych charknięć.

Robociarze spojrzeli jednak po sobie, żeby ktoś coś powiedział. Jak nikt nic nie powie, będą tu siedzieć do usranej śmierci.

– Nie będę pił! – Maciejewski niespodziewanie podniósł się. – Nie będę pił, dopóki nie wypełnimy naszego robotniczego zobowiązania

odbudowy śródmieścia Lublina.

– Takie zobowiązania to wy powinniście składać raczej w kościele z takimi tam. – Wiśniak uśmiechnął się życzliwie. – Niemniej widzicie, towarzysze, tak na miarę uświadomienia... Można? Można!

I jedno po drugim zaczęły padać zobowiązania robotnicze. Bruk na placu zostanie położony nie na 22 lipca, ale na 22 czerwca przyszłego roku. Kamienice tu i na Furmańskiej staną trzy miesiące wcześniej. Schody wiodące na Zamek... Jeśli wyprowadzi się stamtąd więzienie i w czynie społecznym urządzi się trawniki – robotnicy nie byli tak głupi, aby nawet kretynowi obiecywać gruszki na wierzbie – będą gotowe na przyszłe święto 1 Maja. Wiśniak kwitował każde zobowiązanie kłapnięciem dłoni o mównicę, jakby tu wcale nie szło o socjalizm, ale o licytowanie niewypłacalnego dłużnika.

Tymczasem Zyga obserwował swoich najbliższych kolegów, swoich podejrzanych. Lord nie odzywał się ani nawet nie poruszał; można by go odlać w betonie i postawić na schodach zamkowych jako figurę robotnika frasobliwego. Pucuł przysypiał, jak to Pucuł, jeśli nie było nic do wypicia albo go coś nie wkurwiło. Mietek Warszawiak czemuś wiercił się, jakby masówka zepsuła mu życiowe plany.

Maciejewski pomyślał, że zepsuje mu je jeszcze bardziej.

*

Zyga nachylił się w sławojce, płosząc opalizujące muchy. Złożył palce, jakby chciał zaszalutować, lecz zamiast przyłożyć do daszka czapki, wetknął je sobie do gardła. Po pierwszym wymuszonym rzygu drugi popłynął już sam. Były komisarz chciał grać fair, ale trafił na zbyt mocnego przeciwnika, by położyć go na deski bez faulowania.

Pojedynek rozpoczął się kilka godzin wcześniej, od wyjścia Warszawiaka z Poczty Głównej przy Krakowskim Przedmieściu, jedynej czynnej dłużej. Mimo przeciągającej się masówki zdążył. Była ósma za pięć, tak przynajmniej wskazywał zegar na dachu budynku, gdy Mietek wpadł akurat na Zyge. Wąsik burknął coś, zmieszany,

a Maciejewski odchylił poły marynarki. Z obu wewnętrznych kieszeni niczym piskłeta z gniazd wystawiały dzióbki dwie litrowe butelki.

– Wypijesz ze mną, Warszawiak? – Były komisarz uśmiechnął się. – Za plan sześćioletni i moje zobowiązanie robotnicze?

Wąsik, chociaż zaskoczony, wybuchnął śmiechem. Zyga serdecznie klepnął go w plecy.

– Tylko daj na ćwiartkę!

– Masz dwa litry. – Mietek nerwowo poprawił czapkę. – A ja jestem bez forsy.

– Ćwiartka jest dla Pucuła, bo pocieciował za mnie. A ty, jak nie masz forsy, skoro byłeś na poczcie? No chyba wypłacałeś z książeczki, bo gdybyś chciał posłać widokówkę, tobyś się tak nie spieszył, nie? Dobra, sam kupię! Cholera... Warszawiak, a skąpy jak z Krakowa! – Maciejewski zarechotał i pociągnął go za sobą. Zbyt dużo pytań naraz, a nie chciał spłoszyć Mietka.

Zakąska była przemyślana. Tego dnia rano wszystkie handlary na targu klęły na Zygę, bo chciał tylko kiszone ogórki, a przebierał jak przed wojną. Potem śmiały się z niego, bo kupił same przesolone i niedokwaszone. Chemik umiałby wyjaśnić, dlaczego właśnie takie wywołują w układzie pokarmowym pijaka istną Etnę, zamiast przyjemnie neutralizować wszystko to, co w alkoholu zdradliwe i niepożądane. Maciejewski nie był chemikiem, praktykiem jednak niezłym. I śledząc Wąsika przez Stare Miasto i Krakowskie Przedmieście aż do poczty, upewnił się z satysfakcją, że robotnik po drodze nie kupił nawet bułki, chlać będzie zatem na pusty żołądek. I dobrze! Sam zeżarł dwie kanapki, grube pajdy czarnego chleba ze smalcem. Kondycyjnie był więc przygotowany, jakby szło o mistrzostwa Europy. Innych podstępów Zyga używać nie zamierzał, pamiętając, że jest cięższy od Wąsika.

A jednak gdy zaczęli polewać, pić i psioczyć na cholerną robotę, Warszawiak okazał się nieczuły na ciosy alkoholu. Zupełnie jak Kukier na pięści Sowietów. Miał wprawę jak diabli; wiadoma rzecz, stolica! Poszła w kąt opróżniona pierwsza flaszka, do połowy wyschła

druga, a ten pił równo i nie widać było po nim żadnego zmęczenia. Co gorsza, zaczął odczuwać je Zyga, a pili jeden na jednego, nie było więc jak ukradkiem wylać ze szklanki albo pominąć kolejkę.

– Warszawiak, a po co ty tak biegasz na pocztę? – zaryzykował.

Jeszcze jako policjant podczas przesłuchań stosował wymiennie dwie metody prowokowania zwierzeń. Można było gadać o dupie Maryni i naraz zaatakować, licząc na błąd zdezorientowanego przeciwnika. Wolał jednak zacząć od faktów niezaprzeczalnych, jak teraz, i pracowicie ciągnąć nitkę, aż podejrzany zacznie się pruć. Tyle że trafił na węzeł.

– A czy ja ciebie, Maciejewski, o coś pytam? Wypijmy! – zaproponował Mietek. Jeszcze prawie trzeźwy. I wciąż niegotowy, żeby mówić od serca.

Dlatego właśnie Zyga sięgnął po środki ostateczne. Wyjął zza obluźowanej deski rezerwowego litra, ukrytego tam przed Puculem. I z czknięciem przeprosił Warszawiaka, że musi wyjść się odpryskać. Idąc do klozetu, udawał bardziej chwiejny krok, a potem dzięki klasycznemu rzymskiemu sposobowi opróżnił żołądek z miazmatów i zyskał przewagę trzeźwości.

Kiedy wrócił, zobaczył bez satysfakcji, że miał sporo szczęścia. Mietek trzymał się w rozmowie, lecz pozostawiony sam sobie na kilka minut, zaczął przysypiać. Może chlapanął sobie w międzyczasie, żeby mu się nie nudziło? Jeżeli nawet, Maciejewski nie miał pretensji, przeciwnie.

– Trzeba się było ciebie posłuchać – zaczął, nalewając. – Trzeba było tę bombę zasypać i zapomnieć. Łebski z ciebie facet... Ale skąd wiedziałeś?

– Maciejewski, czego ty ode mnie chcesz? – burknął Wąsik i Zyga wystraszył się, że znów wyprowadził cios za wcześniej.

Szczęśliwie wódka i kiepska zakąska działały. Zmogły wreszcie tytana. Oczy Mietka stały się mętne, a on sam popadł w zgubną zadumę.

– Pewno, szkoda, żeśmy to znaleźli. Niechby pierdolnęło! Ty nie uważasz, że bomby atomowe na Japonię to było jakieś... eee?... Na nas powinni je zrzucić, na nas! Może by ktoś wreszcie zauważył, że na tym świecie istniała jakaś Polska, jakieś Polen albo Poland. I na tyle zasługujemy, jak tamci z Sodomy i Gomory! – Warszawiak poderwał się. Złapał Zygę za fraki i przytrzymał, jakby chciał walnąć go z bańki. Byłemu glinie ani drgnęła powieka, więc się rozmyślił. – Cała moja rodzina, wiesz, w powstaniu, na Woli... Rodzice, żona, dziecko... – Oklapł znowu. Niezgrabnie jakoś otarł łzę.

Popłynęły urywane zdania; rzygał nimi tak jak Maciejewski dopiero co kanapkami. Co tylko Wąsik odłożył, posyłał bratowej. Rzeź Woli to jedno, ale Warszawiakowi został się jeszcze młodszy brat, i to on właśnie w powstaniu rzucił Mietka na gruz, zasłaniając własnym ciałem. Z plecami w odłamkach, ale przeżył, chociaż nie wszystkie z niego wyciągnięto. Zaczęły przemieszczać się w ciele już po wojnie i brat pewnego dnia obudził się bez czucia od pasa w dół. Nieprzyjemna historia. A jeszcze bardziej nieprzyjemna, bo brat miał żonę, taką cud-miód, i Wąsik któregoś wieczoru, podpity, uznał, że ktoś ją powinien przelecieć. Jeden wspólny pokój, brat wyglądał, jakby spał. I następnego dnia, kiedy Mietek był w robocie, on dokolebał się jakoś swoim prymitywnie skleconym wózkiem na UB, żeby wyliczyć po kolei, co jego rodzony ukradł z budowy. Ubowcy wysłuchali opowieści o czynie podstępnie godzącym w plan odbudowy stolicy.

Ta wyprawa do urzędu zaszkoziła inwalidzie bardziej niż bratu, bo paraliż poszedł dalej. A Mietek rozkleił się przy ubowcach zupełnie jak przed Maciejewskim. Nawet nie zaczęli bić, a on już ryczał i błagał, żeby go wykończyli, bo na nic lepszego nie zasługuje. Niezbadane jednak było okrucieństwo organów. Skopali go we trzech, ale lekko, jakby się brzydzili. Podarli protokół i kazali wypierdalać z Warszawy, bo takiego gówna jak Mietek Wąsik nie chcą widzieć na oczy.

– I co ja mam robić ze sobą, twoim zdaniem? – Kolega z budowy zastygł oparty łokciem o blat chybotliwego stołu. W dłoni trzymał musztardówkę, a jego dłoń drżała.

– Powiesić się chyba – zaproponował Zyga.

Potępić go nie umiał, chłop pokutował jak mało kto. Tylko po jaką cholere wyrwał się nad bombą z podejrzaną propozycją?! Przez niego Maciejewski zmarnował forszę na to picie, a gównu zyskał. Wyeliminował jednego podejrzanego, lecz takim kosztem?!

– Powiesić się, masz rację... – Mietek rozejrzał się po barakowozie.
– Tylko na czym?

– Na pasku, sznurówkach... Podrzyj i zwiąż ubrania, bo ja wiem? Ludzie na różnych rzeczach się wieszają, jeżeli im naprawdę zależy, mówię ci.

– A skąd wiesz? Ty tylko cieć jesteś!

– Swoje widziałem. Można sobie wypruć żyły, ot, chociażby takim zastruganym ołówkiem albo... – Maciejewski rozbił musztardówkę o kant stołu – ...takim szkiełkiem można się pochlastać, a nawet urznąć sobie jaja, jeżeli się naprawdę chce. Widziałem takie rzeczy. A czego ty naprawdę chcesz, Wąsik?

Robociarz mętym wzrokiem zapatrzył się na szkło w ręku Zygi, potem rzucił się do okna i przewieszony przez nie, wyrzygał przesolone ogórki na świeżo przywiezioną trylinkę. Później, już nie spiesząc się, osłabły, dobry kwadrans wyrzucał z siebie żółć. Maciejewski zdążył w tym czasie wypić, zapalić i przeszukać mu kieszenie. W portfelu znalazł załamane w kilku miejscach zdjęcie trzypokoleniowej rodziny, zrobione na jakiejś majówce. Starszy mężczyzna w podkoszulku był kubek w kubek jak Wąsik, tylko z większymi zakolami. Dzieciak też podobny do tego pijaka. A odcinek z przekazu pocztowego rozstrzygał wszystko.

Maciejewski wytarł Mietkowi gębę szmatą i położył go nieprzytomnego na ławie. Pochował jednak wszystkie ostre przedmioty i potencjalne stryczki. Sam wyszedł w noc i spojrzał na zrytą dawną dzielnicę żydowską. Oparty o koparkę, rozkołysany wódką, znów zapalił, wręcz marząc o tym, aby przyszły straszyć go jakieś duchy. Powinny, właśnie skrzywdził człowieka, wsadzając mu brudny paluch w rozpapraną ranę. Duchów nie było, niestety.

Pewnie gówniane ze mnie medium, uśmiechnął się do siebie Zyga, zmierzając do sławojki. Już teraz naprawdę za potrzebą.

*

Nadając Lublinowi wielkomiejski charakter – realizujemy wskazania IX plenum K.C. P.Z.P.R. Tak stało na plakacie powieszonym przed szlabanem, lecz patrząc na gębę komendanta miejskiego milicji, kapitana Świdronia, Zyga Maciejewski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Lublin spadł do rangi powiatu.

Facet, owszem, mógł się podobać kobietom, a lekka siwizna na skroniach dodawała mu poloru. Niemniej nawet najgorsi z jego przedwojennych zwierzchników mieli odrobinę sznytu. Przynajmniej nie palili papierosa, trzymając go pod daszkiem ze złożonej dłoni, jakby w obawie, że z jasnego nieba spadnie naraz deszcz. Jednakże licealistki, pocące się w czynie społecznym na stokach Wzgórza Zamkowego, a także ich młoda nauczycielka, co raz spoglądały na oficera milicji niczym przedwojenne gimnazjalistki na fotosy Dymszy albo Bodo. Tyle że przed wojną uczennice gimnazjum Arciszowej nosiły zalotne białe czapeczki z czerwonym sznurkiem, a nie coś w rodzaju letnich budionówek. Wtedy takie panny chodziły na wagary, piły wino i grały na gramofonie. A te o ósmej rano wmaszerowały na budowę z pieśnią na ustach:

I znów się pieśń na usta rwie:

SP, hej, SP!

Nieodłączne siostry dwie: młodzież i SP!

Szumem wabi morza siny brzeg,

wzywa pieśń Warszawy.

Rytmem łopat rozdzwonimy wnet

lubelskie szlaki sławy.

Przesadzały. Nie miały w rękach łopat, tylko grabie, ale Zyga nie dlatego się skrzywił. Świdroń już raz dostał od niego po mordzie,

a teraz znowu się napraszał, i to przy ludziach.

– Rozumiem, oficjalnie obywatel kapitan osobiście sprawdza stan zabezpieczenia placu budowy i dlatego jak już obsobaczył kierownictwo, to przyszedł porozmawiać z cieciem – wycedził Maciejewski. – A naprawdę o co chodzi obywatelowi komendantowi?

– O to, że mamy wspólny osobisty kłopot – powiedział Świdroń i chyba sprawiło mu to ulgę. Widocznie w resorcie funkcjonariusze przemawiali ludzkim głosem rzadziej niż przed wojną w Policji Państwowej.

– Drugi raz w tej samej dziesięciolatce. – Zyga zapatrzył się na wypięty tyłek jednej z dziewczyn pracujących na stoku. – Prawie jakbyśmy byli szwagrami. No, mów pan! – Sadystycznie zdeptał papierosa. – Moja żona znudziła się panu? Mój syn sprawia kłopoty wychowawcze?

– Nasz niejako wspólny syn jest w niebezpieczeństwie – powiedział milicjant i Maciejewskiemu odechciało się gierek.

Z daleka zapewne wciąż wyglądali jak władza i mierzwa klasy robotniczej. Bezkształtny powojenny mundur leżał na Świdroniu prawie jak ten dawny granatowy. Marynarka Zygi, kiedyś wizytowa, teraz dobrze pasowała do roboczych gumiaków. Stali też w przyzwoitej odległości, aby nikt nie pomyślał, że się znają.

– Wiem. Wejdźmy lepiej do środka. – Maciejewski otworzył drzwi barakowozu, a kiedy usiedli na stołkach, nie było już zbędnego pieprzenia. Był raport.

Świdroń nie tylko potwierdził pogróżki Grabarza, mówiąc o jego podpisie, wskazującym Olka na jedno z lubelskich dzieci, które podczas całej przyszłorocznej lipcowej rocznicy mają pałętać się za Bierutem. „Co to za wymysł?! Przed wojną dzieci wręczały kwiaty dostojnikowi i szły w cholere, a teraz co? Mają sypać przed nimi kwiatki jak w Boże Ciało?!”. Bolesława Biernackiego pseudo „Bierut” Maciejewski miał w kartotece jeszcze przed wojną, a nabrał do faceta żywej niechęci, gdy prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa jego

kuzynki. Kiedy zaś pojawił się w Lublinie w czterdziestym czwartym jako sowiecki pacholek, to była tylko kropka nad i.

– I sprawdziłem tę ciężarówkę, którą prawdopodobnie widzieliście. Długo to trwało, bo nocny patrol zatrzymał stara z uszkodzonym zderzakiem i prawym reflektorem, ale okazało się, że to samochód bezpieczeństwa, i nie włączono tego z notatki do raportu. Nie mam jak wyciągnąć, po co do was przyjechał i rozwalił ten cholerny słup. Jedno pewne, nie przyjechał na wycieczkę.

– Patrol dodał coś istotnego? – rzucił Maciejewski jak glina do gliny.

– Że pokazali legitymacje i kazali spierdalać w podskokach. Ładunku nie sprawdzono. Pańskie hipotezy?

Od tych w głowie dawnego komisarza aż się zaroilo. Przede wszystkim dlaczego dwa dni wcześniej Grabarz przyszedł szantażować, skoro logicznie rzecz biorąc, sam powinien najlepiej znać zadania swoich ludzi. Z czystej złośliwości? Nie, zbytek złej woli... Oznaczało to raczej, że jak w czterdziestym piątym ktoś w partii albo bezpieczeństwie rozgrywał własny scenariusz, do którego Grabarza nie dopuszczono. Nic dziwnego, że po śmierci Stalina komuniści biorą się za łby; gensek przewidział przecież, że wraz z postęпами socjalizmu walka tylko się zaostrza... Że nie miał do tego dostępu Świdroń, to dla Maciejewskiego było oczywiste. Natomiast po co przyjechała ciężarówka? Zabrać bombę? Uzbroić ją? Kto był w zмовie z tamtymi ubowcami?

Zanim zdążył coś powiedzieć, do barakowozu zapukano i w drzwiach pokazała się dziewczyna, na oko licealistka z drugiej klasy. Nie miała jednak szkolnej czapki, tylko czerwony krawat na zielonkawej bluzie.

– Wskażecie nam nowy odcinek pracy? – Młodziutka nauczycielka niby zapytała o to ciecica, ale robiła maślane oczy do Świdronia. Ładniutka była, jej biust wiele obiecywał.

– Wskażemy. – Zyga kiwnął głową i oboje wyszli na plac budowy.

Tam zarumienione dziewczyny uśmiechały się do robociarzy i wydajność pracy wyraźnie słabła. Świadczyły o tym zachęcające do

nierządu gwizdy, dobiegające i od murarzy warszawskich, i od brukarzy ze Szczecina. Skoro jednak w przyszłym roku plac Zamkowy musiał wyglądać jak bierutowe cudeńko, potrzebny był czyn ochotniczy. Fachowcy mieli dość roboty ze stawianiem kamienic i brukowaniem, a ktoś musiał jeszcze przygotować pod trawniki i kwietniki stok, na którym wznosiło się złowrogie więzienie. Stamtąd już od miesięcy patrzyli z góry klawisze; im też nie zostało wiele czasu. Wywiezienie osadzonych to najmniejszy problem, przede wszystkim musieli posprzątać. Maciejewski, który sam kiblował na Zamku, wiedział najlepiej, z ilu ścian, posadzek, a nawet sufitów trzeba wywabiać ślady krwi, a tylko mógł się domyślać, ile bałaganu jest w aktach.

– Tam, po drugiej stronie, od Zamkowej. – Maciejewski szerokim gestem ogarnął nowy front robót.

– A ja bym chciała jeszcze zapytać obywatela kapitana, czy nie zechciałby do naszej szkoły jako oficer milicji...

– Zajęty jest. I żonaty. – Zyga zatrzasnął jej przed nosem drzwi barakowozu i sięgnął do swojej skrytki z bimbrem. – Dobrze, zastanówmy się, chyba że wam jebać pilniejsza ochota, jak by powiedział Grabarz.

*Wara od Odry, od Nysy wara,
od naszych granic precz!
Ziemia to nasza piastowska stara,
Zachód – to nasza rzecz.
Nie papież nam wybrzeże dał,
ni Śląsk biskupów był.
Ziemię tę polski żołnierz krwią zlał,
na niej praojciec żył*

– odezwał się z placu śpiew dziewcząt z grabiami.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytał poważnie Świdroń.

– Śledztwo na miarę możliwości, a pan? – Maciejewski nalał mu ćwierć szklanki.

– To samo. – Milicjant wypił. – Chodzi o dziecko.

– Tak, wszystkie dzieci są nasze. – Zyga przechylił butelkę i zagulgotało pięć razy. – I póki nie będę musiał, nie życzę sobie pana widzieć.

*

W niedzielę o dziewiątej rano na lubelskim dworcu cisnął się tłum jak w czterdziestym czwartym albo piątym, gdy przez miasto przelewały się tłumy powracających albo szukających sobie nowego miejsca. Nie było tylko natrętnych żebrzących kalek. Jeżeli w powojennych miesiącach ktoś w chrześcijańskim miłosierdziu otworzył przy nich portfel, mógł być pewien, że widzi swoje pieniądze po raz ostatni. Za dnia został zaraz ulotnym gestem wskazany przez żebraka doliniarzom, nieróżniącym się niczym od reszty nerwowych podróżnych, może poza licznymi tajnymi kieszeniami wszytymi w ubranie. Po ciemku, zwłaszcza gdy miłosierny samarytanin spotkał nieszczęśliwców w zaułku między budynkiem dworca a torami, nie było żadnym kłopotem dla sprawnych jednak bandytów walnąć go pod kolano protezą, a potem dokończyć robotę drewnianymi kulami.

Lecz po dziewięciu latach wolnej Polski żebraków wymiotło. Naiwniak mógł przeczytać w gazetach o postępach na froncie opieki społecznej, rozsądny człowiek wiedział, że perz żebractwa w pszenno-buraczanym mieście peła milicyjna pałka, a funkcjonariusze nie żalowali jej, biorąc przecież udział w socjalistycznym współzawodnictwie pracy. Warszawski pociąg wtoczył się na peron, a ludzie zaczęli wypatrywać po oknach. Kiedy w drugiej klasie mignęła szczupła twarz dwudziestoparoletniego chłopaka z cwaniackim uśmiechem, podniósł się ryk głośniejszy niż ten w warszawskiej Hali Gwardii, najpierw po zwycięstwie z Rosjaninem, a potem z Czechem (koniec końców dobry powojenny Polak pepików nie cierpiał tylko trochę mniej niż kacapów i szkopów):

– He-niek Ku-kier! He-niek Ku-kier!

Chłopak pomachał ręką i zapytał o coś trenera Zalewskiego. Ten kiwnął głową, sięgając po walizkę podopiecznego, a mistrz Europy precyzyjnie się do drzwi i tam uległ przemocy.

– Do domu, Heniu? Jaka dorożka, po co?! Zaniesiemy cię, na rękach zaniesiemy!

Chciał się wyrwać, jednak i Herkules dupa, kiedy ludzi kupa, jak mówi przysłowie. Zaś Kukier nie był wcale Herkulesem, tylko ważącym pięćdziesiąt jeden kilo zadziornym chudzielcem. Najpierw obsypały go kwiaty, potem ktoś rzucił w jego kierunku coś cięższego. Tak pod hajrem, to Heniek wystraszył się wtedy, ale tylko na chwilę. Kiedy odwinął starą gazetę, jego oczom ukazały się spracowane, pachnące byczą skórą i męskim potem przedwojenne rękawice bokerskie. Podniósł się w ramionach gości przewyższających go o pięć wag i na chwilę wyłowił w tłumie wysokiego faceta z krzywo zrosniętym nosem. Tamten uniósł łokieć na znak, że jest git. Zaraz się odwrócił, niestety, by zniknąć z peronu.

„Z tego co mówisz, to Maciejewski, mistrz okręgu w dwudziestym czwartym”, powiedział mu później trener Zalewski. „Ale to niemożliwe, Heniek! Ten facet siedzi albo nie żyje”, dodał zaraz.

*

Tymczasem Zyga spoglądał niecierpliwie na okna „Wuzetu”. Tłuste szczury wylegiwały się jak zwykle przed otwarciem na parapetach knajpy. Przedpołudnie było słoneczne. Na oczekującego gościa nawet nie podniosły oczu. Zakończyły sjęstę dopiero na widok bufetowej Michasi Kociuby, gdy powoli, ciutkę wczorajsza, weszła od zaplecza i spojrzała na malutki zegarek na pulchnej dłoni. Maciejewski i reszta oczekującej klienteli zaraz odwrócili wzrok, zupełnie jakby czekali tutaj na trolejbus. Inaczej gotowa była unieść się honorem i nie otworzyć lokalu jeszcze przez godzinę. Czekano zatem, aż pokryje stoły świeżymi obrusami, przystroi je niczym panny młode oczekujące rozdzwienienia.

Michasia po kilku minutach znów spojrzała na zegarek, potem w okno. Nikt z nachalnością nie ślepił przez szybę, nikt nie ośmielił się uczynić bufetowej afrontu. Westchnęła i otworzyła. Ponad dwudziestka facetów wsypała się do wnętrza, z każdej ferajny starsi zajęli stolik, młodszy ustawili się karnie w ogonku przy bufecie. Słodka poicielka bez pośpiechu stanęła za szynkwasem, przetała go ścierą i zapytała rytualnie:

– Czego?

„To, co wczoraj, królowo! Pół litra chleba naszego powszedniego pod jaja, za przeproszeniem pięknej pani!”. „Flaczków trzy porcje, sześć piwek od razu, żeby nasza przodowniczka pracy nie musiała się przemęczać, i trzy ćwiartki na trawienie, bo lekarz zalecił”. „Żeberka z kaszą i to, co przy niedzieli należy się ludowi roboczemu, pani kierowniczo”, płynęły uniżone prośby, a Kociuba nalewała, oszukując tylko trochę. Każdy był tu swój i rozumiał, że zbliża się moment, gdy będzie musiała walnąć kolejnego klina.

Czasem tylko, co zupełnie zrozumiała na jej stanowisku, wydarła się na całą knajpę:

– I co z tego, że bitki są w meńju, kiedy na kuchni bitków ni ma?! Nie będzie się meńju codziennie na nowo pisać, bo to są straty dla gospodarki. Rozumi? Kluski dam ze skwarkami jako ekwiwalent tak zwany. Czy szanowny pan naprawdę winszuje sobie książkę życzeń i zażeń?!

Nawet niewtajemniczony rozumiał groźbę kryjącą się w jej rozciągniętym na wydechu „naprawdę”. Nikt w „Wuzecie” nie wziął do ręki książki, to nie był wucet ani biblioteka! No i na okazję do wyświadczenia drobnej uprzejmości pani Michasi czekał cały Kośminek, do tego pół Piask i Bronowic. A na dzielnicowego już czekał stolik z kartką rezyrwacja.

Maciejewski wypił setkę na dwa razy niczym koniak. Bufetowa niewiele obchodziła byłego komisarza, bardziej ciekawili go koledzy od wódeczki, których przebrał starannie.

Obok Zygi siedział Warszawiak. Wódka wódką, lecz obaj pamiętali słowa, które padły między nimi w cztery oczy, i Mietek był zdrowo zaskoczony, gdy Maciejewski następnego dnia w robocie podał mu rękę jak gdyby nigdy nic. Były glina wiedział, że po czymś takim ma w nim albo wroga, albo warunkowo zaufanego człowieka. To już zależało od delikatności. Naprzeciwno pił wódkę Żukowski, jak zawsze po lordowsku zdystansowany, ale widać głodny, bo kluski ze skwarkami wtrącał po robociarsku samym widelcem, chociaż pani Michasia podała także nóż.

*Najlepiej nam było przed wojną,
bo mniej mieliśmy lat.
Gdyby nie Ruski i Niemiec,
do nas należałby świat...*

– zaintonował garbus akordeonista, lecz nikt nie dołączył do śpiewu, za wcześnie było. Zmienił zatem tonację i popłynęła sama melodia na trzy czwarte: nalej, wypij, odstaw, zakąś. Zyga zrobił dysonans, bo zamiast zakąsić, zapalił papierosa.

– Skąd tak od razu wiedziałeś, Lord, że to była setka? – rzucił.

– A kto by nie wiedział, co to setka? – Żukowski podniósł stugramowy kieliszek wódki.

Maciejewski zaśmiał się nieszczerze, nie pokazując po sobie złości. Nie bał się już Grabarza. Rozrośnięta kadrowo bezpieka za chuda już była w uszach, żeby wystraszyć kogoś, kto przesiedział zimę i wiosnę czterdziestego czwartego na piąty. Może gdyby zeszło dłużej, daliby radę zrobić z niego cień człowieka, który boi się nawet bufetowej, tego nie wykluczał. Był jednak dzieckiem szczęścia, tylko zahartowali stal. Mimo to przestraszył się snu, który oblekł go w noc po przesłuchaniu w barakowozie.

Był letni dzień, tłum ludzi wypełnił plac i błonia pod Zamkiem, matki kupowały dzieciom lody i watę cukrową, a bachory wyrzywały się oglądać występy i kramy. Fakt, sen Zygi był mocno przedwojenny,

bo widział w nim dawno zagazowanych Żydów, sprzedających słodycze i oranżadę. A potem zobaczył swojego synka i wybuch, który targnął całym miastem tak, że Maciejewski otworzył oczy na podłodze, bo wierząc się, spadł z łóżka.

*Najlepiej nam było po wojnie,
choć przybyło lat.
Wszyscy jeździmy na szaber
i do nas należy świat!*

– spróbował akordeonista i znów nie znalazł wdzięcznej publiki. Muzyk powinien poczekać z godzinę na podróżnych, którzy już podpici na trasie, dotrą do „Wuzetu”, by zabić czas oczekiwania na przesiadkę z pociągu chełmskiego albo rzeszowskiego na warszawski. Pijący tu robotnicy z szabrem mieli niewiele wspólnego, bo gdyby się tym zajmowali, albo kiblowaliby, albo pili w lepszych lokalach.

Obserwując knajpiany folklor, Maciejewski nie mógł opędzić się od myśli, że przed wojną nawet w takiej mordowni Polska kipiała od indywiduów, a teraz stopniowo wszyscy zaczęli wyglądać i pić tak samo. Wcale nie z biedy i przygnębienia, tylko żeby przetrwać. Sardynki dlatego przecież nie różnią się jedna od drugiej, bo chcą zmylić większą rybę, żeby zgłupiała i nie wiedziała, którą chwycić. Jeszcze dziesięć, najwyżej dwadzieścia lat demokracji ludowej, a to samo stanie się z Polakami; zatrą się wszystkie różnice jak kanty nieprasowanych spodni. UBP będzie musiał urządzać łapanki wzorem hitlerowców, którzy często byli za głupi, nawet by wyłowić z tłumu Żyda. Polacy mieli do tego większy talent, ale sardynki też pewnie jakoś się rozpoznają.

A ja? Zyga wlał w siebie setkę. Zupełnie zardzewiałem.

*Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się ukrył jak szczur...*

– Garbus tylko to wyszeptał i nie naciskał nawet przesadnie na miech akordeonu, lecz dźwięki zelektryzowały pijanych. Cały „Wuzet” poderwał się, szurając krzesłami, i wszyscy stanęli względnie na baczność. Jeden Żukowski był po wojskowemu wyprężony jak struna i też on jeden nie wyciągnął otwartych dłoni wzdłuż spodni, tylko zacisnął je w pięści. Może był tylko wyjątkowo wściekły na ludową ojczyznę, która żołnierzy Andersa z miejsca pozamykała. A może stał jak należy, tylko zgodnie z angielskim, a nie polskim drylem?

Maciejewski uśmiechnął się półgębkiem i pierwszy sięgnął po portfel. Chociaż nie miał nikogo u Andersa, to *Czerwonymi makami na Monte Cassino* muzyk nieoczekiwanie wyświadczył mu w niedzielę wielką śledczą uprzejmość.

*

Szanowny pan zechce mnie poinformować, która już godzina? – Maciejewski wypatrzył tego faceta zaraz po *Czerwonych makach*, a spodobał mu się z kilku powodów. Raz, że był rozmowny, gęba nie zamykała mu się jak przekupce. Dwa, nosił zegarek nie na pasku, ale w kieszeni spodni na rzemyku. No i wreszcie mimo robociarskiego sznytu miał poważny wyraz twarzy, jakby pił tutaj służbowo. Dlatego Zyga tak wycyrklował, aby znaleźć się przy drzwiach klozetu, akurat gdy tamten będzie wychodził, załatwiwszy sprawę.

– Proszę szanownego pana uprzejmie. – Gość sięgnął do kieszeni, ale nim podniósł zegarek do oczu, były glina cofnął się pół kroku.

– Nie, jednak nie chcę tego wiedzieć! – zaprotestował. – Do domu i tak nie mam po co wracać. Stara mi da... Przepraszam bardzo, że fatygowałem.

– Niech się pan nie martwi! – Facet klepnął serdecznie w ramię Maciejewskiego. – Z babami nie ma lekko, ale bez baby jeszcze gorzej, nie?

– Mojej pan nie zna. – Zyga pokręcił głową.

– Ano nie – przyznał poważnie nieznajomy. – Jakoś to będzie, do widzenia.

Wróciwszy do stolika, Maciejewski łyknął piwa z taką miną, jakby dopiero co wyłowił z kufła wielkiego karalucha. Koledzy nie zwrócili na to uwagi, bo Warszawiak akurat wzniósł toast za Kukiera. Zyga trącił ukradkiem Lorda.

– Zrywamy się – syknął mu do ucha.

– A co jest?

– Widziałeś tego faceta, który mnie zaczepił przy klozecie? On cię obserwuje.

– On? – Żukowski rzucił okiem na gościa, który w najlepsze gadał ze swoimi kolegami dwa stoliki dalej.

– To ubowiec jest, Lord. Widziałeś, jak sięgał przy mnie do kieszeni? Po legitymację. I kazał powiedzieć, co przed chwilą mówiłeś. Aż mnie cofnęło!

Maciejewski nie spodziewał się oczywiście, że kolega będzie śledził wszystkie gesty, w końcu knajpa nie teatr. Coś jednak zobaczyć mógł, więc Zyga wolał, aby jego wersja była spójna.

– I pytał, czy cię dobrze znam. Pokręciłem głową, no bo co? Czy ja cię znam, Lord? Czy ja wiem, kto ty naprawdę jesteś? Nie spodobało mu się i on do mnie, żebym był mądrzejszy, jak zapyta następnym razem.

W miarę jak cię opowiadał swoją legendę, Żukowski pospiesznie trzeźwiał. Zaczął czujnie rozglądać się po knajpie, gęba mu stężała.

– Zrywamy się! – powtórzył Maciejewski, a Lord już nie dyskutował. – Wychodzimy osobno, ty pierwszy. Idziesz bocznkami i za dziesięć minut widzimy się pod mostem. Jasne?

Warszawiak nie zadawał zbędnych pytań. Wyraźnie wolał zostać sam na sam z wódką niż z Zygą. Ten zaś po chwili zaciągnął się powietrzem. Z Żabiej jechało gnojówką, znad Czerniejówki bagnem, z treningowego toru Ogniwa doleciał go zapach żuźla, gumy i oleju silnikowego. Nie pachniały też perfumą dwie dziewczyny na przystanku, plotkujące zawzięcie, podczas gdy ich wypici chłopcy spali oparci o słup. Maciejewski wsunął do kieszeni pół litra kupione na wynos i przeciął puste skrzyżowanie. Przeszedł most, by zanurzyć

się w strzelającą w górę, pachnącą trawę, której nikt nie kosił. Żukowski czekał na niego pod filarem, nerwowo paląc.

– Nie śledził mnie. – Zyga odbił korek z monopolki. – Wypijemy. I na wszelki wypadek pójdziemy wzdłuż rzeki, nie ulicą.

Poszli. W niedzielny przedwieczór żaden wędkarz nie moczył kija, dokazywały tylko w wodzie puszczone samopas dzieciaki. Maciejewski czekał, aż po kilku łykach i kilku papierosach spojrzenie Lorda znowu zmętnieje. Miał nadzieję, że sam wytrzyma to kondycyjnie.

– Który dywizjon? – rzucił od niechcienia, kiedy minęli Kąpielową i Bystrzyca rozdziwiła im się na koryto i kanał.

– Co? – Żukowski niespokojnie rzucił okiem na boki, lecz teraz drogę ucieczki miał tylko wpływ.

– Nie bój się, Lord. – Zyga podał mu flaszkę. – Pytam z ciekawości. Przed wojną znałem paru lotników. – Tu przesadził, bo znał raptem dwóch: jednego, który bał się latać i dlatego służył w kontrwywiadzie, oraz prawdziwego bohatera, wręcz szaleńca, odsuniętego od służby, bo irytował przełożonych. Na Żukowskim zrobiło to jednak wrażenie. – Pomyślałem, Lord, że może trzysta trzeci, ale na pilota myśliwca ty mi nie wyglądasz. Pozory czasem mylą, to prawda, jednak mało wrywny z ciebie człowiek. Transportowy? Nie sądzę, zbyt kawaleryjsko ci z gęby patrzy. A zatem bombowy, nie myślę się? I pierwszy bez pudła rozpoznałeś, jaka bomba leżała nam pod brukiem na placu. Oficer pewnie jesteś, a zapierdalasz za robola.

– Ubowcu pierdolony! – Lord rzucił się na Maciejewskiego, lecz jako lotnik w walce wręcz nie był doświadczony.

Zyga bez kłopotu zakleszczył mu ramię w bolesnym uchwycie.

– Biją... się? – Jakiś chłopiec w opadających kąpielówkach chciał zawołać innych, lecz celny kopniak w dupę zaraz go przegonił. Owszem, mogłoby się zdarzyć, że gówniarz wróci tu za kwadrans ze starszymi braćmi, ojcem i połową Stolarskiej, lecz Maciejewski planował załatwić swoją sprawę o wiele szybciej.

– Jaki ubowcu, Lord? – wysyczał do ucha obezwładnionemu koledze. – Byłem policjantem. Jeżeli chcesz mi pod nosem odpalić bombę i wysadzić ludzi...

– Ja? Jaką bombę, Zyga? Jakich ludzi?! – Żukowski zrobił tak zdziwioną minę, że Maciejewski rozluźnił chwyt. – Pierwszy raz ją zobaczyłem wtedy.

Dawny glina pociągnął go na łąki. Po drodze w czyimś ogródku narwał młodej dymki i zakąsili nią pod resztę wódki.

– No to kto podłączył do niej kable?

– Szukaj sapers, nie lotnika. A właściwie dlaczego szukasz?

Pytanie było wcale nie złośliwe. Dwaj mężczyźni, którzy przed chwilą skakali sobie do oczu, teraz mówili już otwarcie. Aby coś podobnego osiągnąć z obtańcowywaną kobietą, Zyga potrzebowałby więcej czasu. No i musiałby umieć tańczyć.

– Mam syna, który jakby co... – Maciejewski puścił kolegę. Zaraz poczęstował go papierosem i zaczął grzebać w pudełku zapalek, wypełnionym głównie spalonymi. – To osobista sprawa. Przepraszam cię, Lord, nie miej żalu.

Żukowski żalu nie miał. Nawet postawił kolejne pół litra, które wypili w barakowozie. Dzięki koledze Zyga dowiedział się, że w dniu śmierci Stalina młody polski lotnik uciekł MIG-iem na Bornholm, ryzykancko zniżając lot, żeby uniknąć sowieckiego pościgu. To były czyny zbrojne ekscytujące szczeciniaka.

– Ale zabijać niewinnych ludzi? Z bombowca nie widziałem krwi, flaków i urwanych kończyn, tylko eksplozje. Cieszyły mnie, tak było. Tyle że potem mija rok, drugi... Ten, który zrzucił bombę na Hiroszimę, podobno próbował się zabić. Ale co ty możesz o tym wiedzieć! – Lord rozlał do musztardówek.

– Może na tobie nie robi to wrażenia, ale przeżyłem kilka bombardowań na ziemi, w tym dwa, które powinny mnie zabić – powiedział Maciejewski. – Jakby co, mogę na ciebie liczyć?

– A jakby co, to kim ty naprawdę jesteś?

Kim on nie był?! Komisarzem policji, majorem AK... Wychylił resztkę wódki i otrząchnął musztardówkę na podłogę. Dla umarłych.

– Sam widzisz, że cieciem – skwitował. – I ojcem, kolego.

– Ojcem? – Żukowski pokręcił smutno głową. Sięgnął pod koszulę i wyjął spory medalik, właściwie ryngraf z Matką Bożą. – Ja byłem mężem i tyle mi zostało po całym tym kramie. Gdy wróciłem z wojny, moja żona też miała syna, ale domyślasz się, że raczej nie ze mną. Podobno ktoś jej powiedział, że nie żyję. No bo nie żyję, Maciejewski. A już całkiem będzie kiepsko, jak ubecja się dowie, kim naprawdę jestem.

Chciał schować ryngraf, ale Zyga przytrzymał mu dłoń.

– Cudowny obraz – powiedział bez związku, myśląc na głos.

– Może dlatego mnie parzy... – Lotnik zaśmiał się smutno.

*

W katedrze pachniało starym drewnem i wapnem po niedawno zakończonym remoncie. Maryja już nie roniła łez, zresztą jej cudowny obraz wyglądał Maciejewskiemu na kopię Matki Boskiej Częstochowskiej. Taką samą miała jego ciotka, taką samą gospodyni Kapranowa, ta była tylko większa. Mimo wszystko uklęknął i przeżegnał się. Jednakże oczy wzniósł nie w modlitwie, bardziej ciekawiły go dary wotywnie, których pod obrazem w ciągu paru lat powieszono całkiem sporo. Przeważały ryngrafy z cyny i aluminium. Na takich intencje łatwo wydrapać nawet końcem noża albo napisać ołówkiem i Zyga wiele by dał, aby móc je przeczytać. Niestety nie miał na to sposobu, w świątyni dyżurowały czujne staruchy, klepiące dziesiątkę za dziesiątką.

– Przepraszam, w którym konfesjonale spowiada ksiądz Forkiewicz? – zapytał z pobożną miną.

Niechętnym machnięciem różańca baba wskazała mu prawą nawę, gdzie na wyznanie grzechów czekała dziewczynka w szkolnym fartuszku i młoda kobieta skrywająca twarz pod chustką. Jak Maciejewski mógł się domyślić, pierwsza spowiedź przebiegła raz,

dwa, kolejna ciągnęła się i zdążyłby wyjść na papierosa. Nie chciał jednak zwalniać swojego miejsca w kolejce, bo zaraz ustawiło się za nim grube, sapiące przez nos babsko.

– Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi, synu? – zapytał wreszcie zza kratki duchowny. Młoda kobieta, co Zyga dostrzegł kątem oka, odeszła od konfesjonaułu ze łzami w oczach, ale na jej ustach malował się uśmiech.

– Tylko nie synu! – warknął Maciejewski. – Jestem od księdza starszy wiekiem. I stopniem. Major „Garda”, pamięta ksiądz takie pseudo?

Spowiednik drgnął gwałtownie, stare siedzisko w konfesjonale zaskrzypiało. Pamiętał dobrze oficera AK odpowiedzialnego za konspiracyjne wyroki w okręgu lubelskim. To mogła być jednak prowokacja! Lecz przypominał sobie również ten głos, chociaż słyszał go tylko raz w podobnej sytuacji. Wówczas w konfesjonale u kapucynów na Krakowskim Przedmieściu „Garda” przyszedł po informacje na przodownika Sikorę, granatowego policjanta wysługującego się gestapo. Ksiądz Forkiewicz był dobrym kontaktem, bo jako kapłan administrował katedrą w Zamościu i dzięki temu miał *passierschein* na podróże po całym gubernatorstwie.

– Pamięta ksiądz – padło zza krat. – Wiem, że ksiądz pamięta. Wtedy nie wiedziałem, do kogo przychodzę, teraz, szczerze mówiąc, też nie miałem pewności, ale głos księdza bardzo się nie postarzał i poznaję.

Forkiewicz miał ochotę zdjąć stulę i wyjść z konfesjonaułu. Za łyzy Madonny z lubelskiej katedry przesiedział w śledztwie rok i wcale się nie dziwił, że bezpieczeniakom śpiewali jak z nut nawet ci, którzy przeszli przez tortury w gestapo. Komuniści nie spieszyli się, oni mieli czas, całą wieczność niczym Bóg, jak nieraz powtarzał księdzu jeden szczególnie perfidny śledczy nazwiskiem Grabarz. „Ja pana nie znam!”, tak właśnie chciał teraz powiedzieć duchowny. Wiedział dobrze, ilu żelaznych ludzi złamano i teraz są konfidentami bezpieczeństwa.

– Dlaczego przyszedł pan do mnie?

– Po starej znajomości. Bo obaj służyliśmy Polsce. Dobrze, powiem księdzu prawdę, w końcu to prawie spowiedź. Chodzi o mojego syna... Tak, mam chłopaka, dziewięć lat... – Maciejewski musiał odchrząknąć.

– I o to też mi chodzi, że pewien skurwysyn...

– Panie majorze, nie w tym miejscu!

– Dobrze, moja вина. A może ksiądz opowie mi o dziewczynie, która wychodząc z katedry, dostała kamieniem w skroń. Musi to ksiądz pamiętać, w końcu za to ksiądz siedział.

Duchownym zatrzęsło zupełnie jak Puculem, ile razy ktoś powiedział przy nim „katedra” albo „cud”.

*

Maciejewski spojrział na pozostałych. Siedzieli w barakowozie we trzech i to przypomniało mu jedną z ulubionych powieści kryminalnych Róży. Sherlock Holmes powiedział w niej, że gdy wszystko, co trzymało się kupy, koniec końców jest pomyłką, prawdziwe musi być to, co wcześniej wyglądało na czysty idiotyzm. Albo na idiotę, jak Pucul. Dlatego jemu właśnie dał pieniądze i posłał po flaszkę.

– Wiem, czyja to robota, ta bomba – powiedział, ledwie tamten minął bramę budowy. – I wiem już, kto doniósł na mnie, że wciąż piję, i na was, że nie przykładacie się do czynu robotniczego. A wy, zanim on wróci, macie się dobrze zastanowić, czy jesteście ze mną.

– Pucul? – Lord tylko prychnął, zapalając papierosa. – Z byka spadłeś?!

– Pucul może i coś chlapnął, ale na prawdziwe donoszenie jest za głupi, sam wiesz. – Warszawiak pokręcił głową.

– No to patrz! – Zyga wyjął zza pazuchy złożoną na czworo kartkę, zapisaną równym drobnym pismem: *Ja, niżej podpisany ks. Władysław Forkiewicz, na prośbę p. mjra Z. Maciejewskiego ps. „Garda”, przed Bogiem i Ojczyzną na jego ręce składam poniższe oświadczenie...*

– Maciejewski, z ciebie jest cieć, nie major! – wypalił Wąsik i spojrzał na Żukowskiego.

– A z ciebie robot, nie powstaniec – powiedział poważnie lotnik. – Ładnie z pańskiej strony, majorze, że mamy na pana haka. To dowód zaufania?

– Powiedzmy.

Śp. Lucynę Brzozik l. 23 poznałem podczas posługi kapłańskiej w Katedrze Lubelskiej jako osobę religijną i prawdziwą Polkę patriotkę o dużym poczuciu moralności. Z jej ust wiem również, iż brat jej Stefan, którego widziałem tylko kilka razy stojącego z rodziną podczas Mszy Św., pod wpływem propagandy komunistycznej wykoleił się. Powszechnie mówiło się o nim jako o donosicielu UB, czego jednak siostra jego nie chciała przyjąć do wiadomości. Od dnia 3 VII 1949 r., tj. od dnia uroczystości odnowienia aktu poświęcenia diecezji Niepokalanemu Sercu Maryi, kiedy wierni dostrzegli krwawe łzy na obrazie Matki Bożej Częstochowskiej, do dnia 13 lipca 1949 r. śp. L. Brzozik codziennie modliła się pod Cudownym Obrazem w intencji nawrócenia brata, co wiadomo mi z jej ust, zaś w dniach, gdy na polecenie Ks. Biskupa Katedra nie była otwarta, klęczała przed jej drzwiami. W dniu 13 lipca 1949 r. wierni zostali obrzuceni cegłami przez robotników prowokatorów z rusztowań będących w remoncie kamienic nieopodal Katedry. Wówczas, słysząc przeraźliwe krzyki i wołania pomocy, wybiegłem, zastając śp. L. Brzozik leżącą na ziemi z rozbitą głową i włosami zlepionymi krwią. Na rusztowaniu rozpoznałem z postaci i twarzy jej brata St. Brzozika. Widziałem też wśród wiernych agentów MO lub UB, którzy kredą dyskretnie znakowali ubrania zebranych, by później ich wylapać i wyaresztować. W dniu 17 lipca 1949 r. w Lublinie miały miejsce zamieszki, po których zostałem zatrzymany przez UB na ponad rok. W śledztwie usiłowano wymusić na mnie przyznanie się początkowo do spowodowania śmierci śp. L. Brzozik, a wobec mojej determinacji, do zarzutu nieudzielenia pomocy. Moje zeznania o tym, iż widziałem wśród osób

odpowiedzialnych za jej śmierć brata ofiary St. Brzozika, były przez śledczych wykpiwane i nieumieszczane w protokołach przesłuchań i z tego powodu konsekwentnie odmawiałem ich podpisania.

– Co pan zamierza, majorze? – Lord zapytał po chwili ciszy. Mimo robociarskich łańców gładko wszedł w wojskowy sznyt.

– Tu jest jeszcze o tobie: „Pana mjra Gardę-Maciejewskiego upoważniam do przechowania mojego oświadczenia w imię prawdy i historii lub zniszczenia go, jeżeli będzie zagrożeniem dla bezpieczeństwa innych osób” – doczytał Warszawiak ostatni akapit. Jako były powstaniec mniej przejmował się tytułami. – No właśnie, co zamierzasz z tym zrobić?

– Z tym? Wiadomo co. – Zyga sięgnął do pudełka zapalek i wygrzebał niespaloną. – Przeczytaliście? Zapamiętacie? No to do piekła! A Pucułowi zrobię przesłuchanie nie gorsze niż na ubowni. Któryś chce wyjść, to teraz, zanim ta gnida wróci!

Pozostali obaj. Stefan Brzozik wrócił z wódką ze swym zwykłym uśmiechem i zasiadł za stołem. Maciejewski zaczął rozlewać do musztardówek, by naraz złapać go za obie ręce i przygwoździć do blatu. Twarz Pucuła w jednej chwili zmieniła się z maski kretyna na całkiem rozumne oblicze faceta, który poniewczasie zrozumiał swój błąd. Już jakiś przedwojenny aktor powiedział w wywiadzie, że grać doktora albo profesora potrafi byle idiota, lecz żeby zagrać idiotę, na to potrzeba inteligencji. Kto to jednak był, Maciejewski nie pamiętał.

– Obszukaj go! – rozkazał Warszawiakowi i ten po chwili aż gwizdnął. Pucuł w kieszeni kufajki melinował pistolet. – I co teraz nam powiesz, Brzozik?

– Jesteście skończeni, wszyscy trzej. I ty, powstańcu jebako, i ty, angielski szpiegu! – wycedził. – A ty, glino granatowa, to lepiej powieś się sam, mniej zaboli – poradził z wrednym uśmiechem Maciejewskiemu.

Jednakże kwadrans później, wstępnie obity i wleczony przez jajowaty plac Zebrań Ludowych, zmienił ton:

– Panowie, posłuchajcie! Posłuchajcie, wam też się to opłaci! Bierut to człowiek Stalina, a Stalin... wiadomo. W radzieckim Komitecie Centralnym teraz przecież jatka! Malenkow ile go pozastępował? Półtora tygodnia. Tylko patrzeć, jak wykończą Berię, a potem posypią się głowy pierwszych sekretarzy we wszystkich krajach. My możemy wyręczyć radzieckich towarzyszy, od razu inaczej spojrzą na ten kraj, na nasz kraj! Wy byście chcieli, żeby było jak przed wojną, nie tak? I jak Boga kocham, będzie jak przed wojną, tylko bez Żydów i z naszą partią zamiast kliki Rydza-Śmigłego. Ludzie, czego w dzisiejszych czasach można więcej chcieć?

– A mnie się zdaje, skurwysynu, że chcecie pokazać, jak temu krajowi potrzebna jest ubecja – powiedział Maciejewski. – Stalin jeszcze nie ostygł, a już reakcja łeb podnosi i wysadza w powietrze towarzysza Bieruta, pierwszego budowniczego Polski Ludowej, wraz z tłumem przodowników pracy socjalistycznej. Nie, towarzysze radzieccy, może u was da się poluzować śrubę, ale nie w tej Polsce, bo tu, gdyby nie niezłomna postawa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, już dawno wszyscy komuniści wisieliby na latarniach, a na wszystkich placach stałyby pomniki Andersa. Nie pierdol!

– Ratunku! Funkcjonariusza mordują!!! – wydarł się Brzozik z nadzieją, że krzyk zwróci uwagę strażników więziennych. Ci jednak już od miesiąca mieli w dupie wszystko, co działo się za bramą.

Żukowski gestem arystokraty wskazał rów, który zgodnie z planem powinien być zasypany już tego dnia. W wykopie widać było urwany strop piwniczny i fragment pobielonej izby, chyba kuchennej.

– A może skurwysyna ukamienować? – zaproponował.

– Będiesz się, kurwa, męczył, Lord? – prychnął Warszawiak. – Sam mu łeb ukręcę jak kurczakowi.

Zyga sprawdził pistolet konfidenta. Był sprawny i z pełnym magazynkiem. Gdyby nie zaskoczyli Pucuła, mógłby w barakowozie wszystkich ich powystrzelać. Maciejewski uśmiechnął się i zaczął metodycznie owijać broń szmatą zabraną z barakowozu.

– Nie narobimy hałasu. A wy, Brzozik, pewnie po moskiewskiemu chcecie w potylicę? Raz a dobrze?

– Daruj, bądź Polakiem!

Maciejewski był Polakiem, więc nie podarował. Wystrzał był tak cichy, że żaden z wałęsających się kundli nie zaszczeakał. We trzech harowali do późnej nocy jak przodownicy pracy.

– Co mu tam wrzuciłeś? – zapytał Zyga Lorda, kiedy już wracali do barakowozu. Zasłużyli na kielicha jak rzadko kiedy.

– Matkę Boską. Mnie już niepotrzebna, ale niech czuwa, żeby się nie wydało, majorze.

*

W maju 1992 roku

Olek Maciejewski nienawidził swojego biura zwłaszcza w letnie popołudnia, kiedy w otwarte okna jechało zapachami z baru z zapiekankami i z knajpy. Od frontu wyglądała jak miliard złotych, od tyłu śmierdziała spaloną tłuszczem. Wnętrze żona zrobiła mu tip-top na biel, aż się bał, czy klienci nie będą mieli wątpliwości, czy to aby agencja detektywistyczno-ochroniarska. Wcześniej był funkcjonariuszem państwowym przy odrapanym biurku, teraz prywatnym przedsiębiorcą przy lustrzanym. Zleceniodawców przyjmował tylko niekiedy. Głównie straszył pracowników („Na twoje miejsce, Romuś, mam, kurwa, pięciu chętnych”) i zachęcał potencjalnych klientów („Powieś uczciwie, znajdzie pan co najmniej pięć tańszych ofert, ale tylko my zatrudniamy gliniarzy z doświadczeniem”). W późne piątkowe popołudnie nie miał jednak ani kogo opierdolić, ani do kogo się uśmiechnąć, więc przeglądał gazety.

Krajowe co dzień straszyły przesileniem rządowym, bo premier Olszewski faktycznie robił bokami, a Macierewicz odgrażał się swoją listą agentów. Olek wolał lokalne. O ekspansji lublinów z Fabryki Samochodów w Lublinie na Międzynarodowych Targach Poznańskich

doniosła „Wyborcza”. To już było coś, paru bezrobotnych mniej. Zakaz noszenia broni podczas wizyty papieża Jana Pawła II, ostrzegął „Dziennik Wschodni”. Olek był ciekaw, co na to powiedzą właściciele kantorów, którzy tylko dzięki gazowym pukawkom nie bali się chodzić po ulicy. „Wampir z Bytowa” zgwałcił i zamordował przed rokiem studentkę UMCS-u? „Kurier” rzucił śmiałą hipotezę i Maciejewski trzymał za nią kciuki. Chociaż policja nie płakała, gdy odchodził, mimo wszystko dobrze życzył dawnym kolegom, więc kibicował, aby Pękalskiemu przyszyto i ten zarzut. Nierozwiązana sprawa się zamknie, statystyka będzie jak złoto. „Nie zabiegamy o rozgłos, rozmowa z rzecznikiem Delegatury Urzędu Ochrony Państwa”... Wiadomo, towarzysze z Urzędu Bezpieczeństwa też nie zabiegali! Gustaw Herling-Grudziński podczas wizyty w Lublinie powiedział, że przestał być pisarzem emigracyjnym. Olka głównie to obchodziło, bo gdyby nie cenzorski zapis na faceta, nawet nie wiedziałby, co to za jeden. Już chciał cisnąć gazety do kosza, kiedy w oczy rzucił mu się jeszcze jeden artykuł w lokalnej „Wyborczej”.

**Prokurator J. Zętar z Okręg. Kom. Badania Zbrodni
przeciw Narodowi Polskiemu:**

SZKIELET SPOD ZAMKU ZIDENTYFIKOWANY!

Szkielet wykopany 11 kwietnia podczas prac remontowych na alejkach przy Zamku wzbudził szereg domysłów. Tomasz Pietrasiewicz z Teatru NN (Brama Grodzka) widział w nim żydowską ofiarę z getta. ZKRPiBWP jeszcze jedną ofiarę ostatniej masakry SS dokonanej 22 lipca 1944 na więźniach Zamku. Legenda miejska połączyła makabryczne odkrycie z prowadzoną w szybkim tempie budową placu Zebrań Ludowych, która za wszelką cenę musiała być zakończona przed 22 lipca 1954 i wystawnymi obchodami 10-lecia PRL.

Prok. Joanna Zętar, współpracująca z OKBZpNP-IPN w Lublinie, na konferencji prasowej miażdży plotki również

sensacyjnymi faktami:

- Mężczyzna w chwili śmierci miał ok. 35-40 lat, wzrostu 165-170 cm, nie przeszedł ciężkich chorób ani nie wykryto oznak niedożywienia, co było udziałem większości mieszkańców getta żydowskiego. Przy zwłokach znaleziono resztki cywilnej odzieży pochodzące z lat 40.-50., podczas gdy w masowych mordach SS regułą było rozbieranie ofiar. Znaleziono również skorodowany ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej, na którym badania laboratoryjne ujawniły zatarty grawerunek: „Tadeuszowi Żukowskiemu - czekająca Twego powrotu Krystyna”. Podpor. Żukowskiemu, urodzonego 28 maja 1914, odnaleziono w rejestrze oficerów 300. Dywizjonu Bombowego Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Wiadomo o nim, że walczył w bitwie o Anglię, a w 1946 zdecydował się wrócić do Polski. Od tego momentu danych o jego losie nie odnaleziono. Na zwłokach już wstępne oględziny wykazały ślad po kuli na potylicy, co jest charakterystycznym znakiem mordów dokonywanych przez NKWD i UB. Wskazuje to zatem, że polski lotnik został zamordowany przez komunistów w ostatnich miesiącach funkcjonowania więzienia na Zamku. Dlaczego zgodnie z praktyką oprawców nie pogrzebano go w anonimowym grobie na cmentarzu przy Unickiej, tego na dzień dzisiejszy nie potrafimy ustalić.

- Różne sprzeczne pogłoski o zwłokach zakopanych pod placem Zamkowym rzeczywiście pojawiły się w Lublinie wiosną lub latem 1953 - komentuje Marta Denys, przewodnicząca i autorka wielu pozycji regionalistycznych.

Olek nie po raz pierwszy w życiu poczuł się wystawiony do wiatru. W ogóle z tymi zwłokami wiązał spore nadzieje, bo nie brak nawiedzonych histeryków, którzy w każdym powojennym trupie chcą widzieć swojego niezłomnego dziadka, ojca albo wuja. Na tym niejedynym prywatnym detektywie zarobił, bo mało który prokurator był

taką błyskawicą jak pani Zętar. Ekspertyzy ślimaczyły się, biegli nie mogli dojść do porozumienia, a w sądach były kolejki jak w mięsnym za stanu wojennego. Tyle że akurat podporucznika Żukowskiego to niestety Maciejewski poznał osobiście. I to grubo po jego śmierci, bo była co najmniej połowa lat siedemdziesiątych.

*

Dzień dobry, przepraszam, jeśli nie w porę – powiedział szpakowaty facet z tekturową walizką, widząc zamieszanie w biednym domku Zygi Maciejewskiego na Rurach.

Wandzia robiła minę wielkiej damy, ile razy mieli tam iść, lecz córki to uwielbiały. W ruderze była graciarnia z nieprzebranymi skarbami, a niedaleko cuchnąca rzeka, gdzie pod okiem dziadka dziewczynki łapały żaby i ślimaki. Olek zaś coraz bardziej lubił napić się z ojcem, lecz jako milicjant niekoniecznie z jego znajomymi.

Tymczasem tamten mężczyzna nie zamierzał odpuścić.

– Nie pamięta mnie pan? Żukowski. Razem budowaliśmy plac Zebrań Ludowych.

– Z tym panem, dziadziu? – zapytała starsza wnuczka Małgosia, lecz zakochany w niej Zyga Maciejewski burknął coś i odsunął dziewczynkę.

A wcześniej przecież Olek i Wanda ledwie wytrzymywali jego opowieści z tamtej budowy. Tylko wnuczki uwielbiały słuchać o wielkiej wystawie rolniczej na 10-lecie Manifestu Lipcowego. O wielkich akwariach, w których pływały sumy, menażerii zwierząt gospodarskich, z którymi mogły bawić się dzieci, i innych pierdołach, jakby występował w Teleranku. A raz dziadek dodał jakby niechcący: „Tysiące ludzi i nikomu nic się nie stało”, i zaraz zmienił temat:

– A wiecie, dziewczynki, ile lat miał tata, kiedy poznał waszą mamę? Dziewięć, tak jak ty. – Potargał ostrzyżoną na pazia Małgosię.

– Razem jako dzieci wręczaliśmy kwiaty Bierutowi – dodała z uśmiechem Wanda. – Pamiętasz, pokazywałam ci jego pomnik niedaleko Zamku.

– I Bierut dał wam ślub? – wypaliła dziewczynka.

– Gorzej! – Dziadek nie mógł powstrzymać się od rechotu. – Dał im demokrację ludową.

– Tato, nie przy dzieciach, proszę! – ofuknęła go pedagogicznie synowa, lecz wówczas nawet to nie zepsuło atmosfery w tym stopniu, co później niespodziewany gość.

Maciejewski zabrał go do izby i demonstracyjnie zatrzasnął drzwi, chociaż latem zawsze były otwarte. Olek, Wanda i dziewczynki mimo pokoleniowych różnic w uświadomieniu byli równie zdziwieni. Zanim dziadek zamknął okno, zdążyli usłyszeć:

– Mieliśmy się nie znać, to co robisz?

– Czego się boisz, Zyga? Czasy się zmieniły.

– Czasy może, ale nie kodeks karny – warknął Zyga Maciejewski. – A jak cię wzięło na sentymenty, to idź i obejrzyj sobie nasz plac Zebrań Ludowych. Na PKS masz stamtąd dwa kroki.

O co mu właściwie szło, Olek nie rozumiał. Tamten plac jako milicjant znał od najgorszej strony: w dzień Cyganki wróżące z kart, doliniarze, młodociana łobuzeria ze Starówy kradnąca torebki na wyrwę, wieczorem menelstwo pijące po krzakach, w nocy szczanie po klątkach schodowych, włamania do sklepów i rozprawy nożowe przed „Stylową”. Po Bronowicach i Kośminku trzeci Trójkąt Bermudzki na planie operacyjnym. Do tego tynki położone na wyścigi zaczęły się sypać, ledwie Bierut z Cyrankiewiczem i Rokossowskim wyjechali do Warszawy. Nic dziwnego, że kto tylko mógł, jak chociażby aktorzy z Teatru Osterwy, przenosił się z tamtejszych mieszkań do bloków, nie czekając, aż po dwudziestu latach założą w kamienicach kaloryfery. Zaś ojciec, chociaż Olek nie znał bardziej zaciętego wroga Polski Ludowej, miał do tego miejsca jakiś sentyment.

Dziewczynki odprowadziły wzrokiem starszego mężczyznę z walizką. Siedząca na kocyku Małgosia pomachała mu, międląc w dłoni zerwany za płotem czerwony kwiat maku, lecz nagle coś ją tknęło i podniosła się. W samych majtkach i sandałkach uchyliła

furtkę i pobiegła za niechcianym gościem, zanim dorośli zdążyli ją powstrzymać.

– Wujek powiedział, że takie śliczne maki rosły na Monte Cassino – pochwaliła się, ledwie wróciła. – Co to jest Monte Cassino?

– Była tam bitwa... Jak pod Lenino, ale mało ważna – pierwsza, jak przystało nauczycielce, odezwała się Wanda.

Zyga Maciejewski, który właśnie wyjął z paczki papierosa, zmiażdżył go w dłoni i bez słowa wrócił do domu. Olek poszedł za nim, by w kuchni zastać ojca rozjuszonego jak nigdy.

– Zabierz tę swoją żonę tak zwaną – wysapał. – Bardzo cię proszę, zabierz, bo powie jeszcze słowo, a nie wytrzymam i uduszę.

– Kim był ten facet, tato?

– Tato?! – Stary Maciejewski złapał Olka za koszulkę polo. – Nigdy tak do mnie nie mówiłeś, to i teraz nie wpierdalaj się ojcu w uczucia! A kim był ten facet, to nie twoja sprawa.

Podporucznik T. Żukowski zostanie pochowany z asystą kompanii honorowej na Cmentarzu Wojskowym przy ul. Białej obok poległych w obronie miasta we wrześniu 1939, zapowiedział prezydent Lublina Sławomir Janicki.

Olek Maciejewski odłożył gazetę. Pamiętał, że po tej nieudanej majówce w połowie lat siedemdziesiątych córeczki marudziły i trzeba było ciągnąć je przez pół Nadbystrzyckiej i prawie całą aleję PKWN-u, bo wieczorem w wakacje na trolejbus nie można się było doczekać.

Po pracy zaparkował swojego szarego caro pod cmentarzem obok Polskiego Radia i kupił lampkę na straganie przed bramą. Przeszedł obok kwatery, na której miał wkrótce spocząć szkielet podający się za podporucznika Żukowskiego, a potem skręcił w lewo.

– Ojciec – mruknął cicho, zapalając znicz – o co ci wtedy szło, kiedy z nim rozmawiałeś?

Zygmunt Maciejewski milczał. Matka przepatrzyła wszystkie nieliczne zdjęcia, aby znaleźć nadające się na nagrobek, mimo to stary

minę miał wstrętną. Zupełnie jakby chciał każdego przechodnia prosić nie o modlitwę, ale żeby pocałował go w dupę.

Robert Ostaszewski

Ten cholerny wrzesień

Prolog

Od kilkunastu dni wciąż się bała. Tak ogólnie. Że nie dadzą sobie rady z rannymi, których wciąż przybywało. Że już jest źle, a jak wejdą Niemce, będzie jeszcze gorzej. Wprawdzie tutaj, w Lublinie, większy strach wzbudzali Sowieci – z trwogą pamiętano rok 1920 – ale przecież okupant to okupant. Wiadomo, nic dobrego. Tak więc bała się, lecz próbowała tego nie okazywać. Była przecież siostrą przełożoną.

Jednakże teraz bała się jakby bardziej. Miała wrażenie, że ktoś za nią idzie. Obejrzała się nagle. To tylko przemknęła któraś z sióstr. Odetchnęła głęboko, wygrzebała z kieszeni fartucha klucz i zaczęła majstrować przy zamku, który – cholera – znowu się zaciął. W końcu puścił i pchnęła drzwi do składziku z lekami. A wtedy ktoś ją popchnął.

Upadła na kolana, jęknęła. Zanim zdążyła krzyknąć, poczuła potworny cios w głowę. Potem nie czuła już nic.

1. Trup w rzece trupów

15 września 1939 roku

Zyga zdziwił się, że kiosk jest otwarty. Cóż, wojna wojną, ale handel handlem.

– Dla szanownego pana komisarza to, co zwykle? – zagadał kioskarz.

– Tylko papierosy – burknął Maciejewski.

Na gazety nawet nie spojrział. Nie zamierzał czytać o mocarnych sojusznikach, którzy zbierają się do ataku, ale jakoś zebrać się nie mogą. A tym bardziej o kolejnych pomysłach naszego, pożałuj Boże,

dowództwa, jak nie oddać Niemcom kolejnego guzika od munduru. Niedługo zabraknie guzików nawet w księżowskiej sutannie, pomyślał gorzko. Wyjął papierosa, pogrzebał w pudełku z zapalnikami i – o dziwo – znalazł jedną niespaloną. Zaciągnął się głęboko i trochę uspokoił. Tylko na moment.

Od rana był poirytowany. Przy śniadaniu Róża żaliła mu się, że już nie wytrzyma, nie może patrzeć na kolejne ofiary nalotów. A szczególnie na dzieci. Temat dzieci ciągle powracał i Zyga wiedział dlaczego. Zaniepokoiło go jednak roztrzęsienie Róży, które mogło sprawić, że się złamie i sięgnie po morfinę. Czy to takie trudne dla pielęgniarki? Zamiast wstrzyknąć całą ampulkę rannemu, część zostawi dla siebie. I nieszczęście gotowe! Nie po to przez osiem lat pomagał jej wyjść z nałogu.

A do tego jeszcze sprawa Anieli... To znaczy wciąż NN, ale Zyga był pewien, że na imię jej było Aniela. Robota zboczeńca, który pierwszy raz zaatakował 9 września 1938 roku. Ten sam wzór – podobna z urody do zamordowanej rok temu służącej, również zgwałcona i uduszona. I jeszcze charakterystyczne ślady ni to śluzu, ni to ropy na piersiach. Jak podpis mordercy, którego komisarz bezskutecznie ścigał od roku. Teraz chciał prowadzić śledztwo, ale nie za bardzo miał możliwości. Wokoło zamęt, ewakuacja, policjanci nie wiedzą, co robić. Do tego niemal każdy, kogo prosił o pomoc, pukał się w czoło. Ojczyzna w potrzebie, przez miasto płynie rzeka trupów, a on się trzęsie nad jedną ofiarą. „Oczywiście, że nad tą jedną, bo jestem gliną”, odpowiadał.

Zawyły syreny. Znowu nalot? Maciejewski przyspieszył kroku, chcąc ukryć się na komisariacie, a warkot silników narastał. Nadleciały dwa messerschmitty, siejąc pociskami raczej na postrach niż w stronę konkretnego celu. Zyga padł na chodnik, sypnęło kawałkami tynku. Brzęknęło tłuczone szkło. Myśliwce odleciały, nie robiąc nawrotu. Komisarz wstał i popatrzył na wymiętą, pokrytą kurzem marynarkę. Niepotrzebnie dał się namówić Róży dziś rano na czyszczenie garderoby.

– Jezusie Nazareński, zamordowali mnie!!! – darł się ktoś niedaleko.

Kiedy opadł pył, Zyga zobaczył starszą kobietę w czerni, teraz raczej w szarości, bezradnie siedzącą na chodniku. Podszedł do niej, kucnął i powiedział:

– Jak pani tak krzyczy, to raczej nie zamordowali. Zobaczą tylko ranę.

Krzyk urwał się. Kobieta spojrzała niepewnie na krzywy nos i zakazaną gębę komisarza, ale nie protestowała, kiedy oglądał jej głowę.

– Spokojnie, to nie od kuli. Musiała pani dostać kawałkiem cegły albo tynku. Ale rana spora. Opatrzyć trzeba.

Podał staruszce rękę.

*

W szpitalu Dzieciątka Jezus było inaczej niż przez ostatnie dni. Zyga widział obandażowanych pacjentów i biegające z obłędem w oczach harcerki ze służby pomocniczej. Na jednej zawiesił wzrok, a dokładniej na jej pęcinach klaczki. Nie dostrzegł jednak nikogo z personelu. Przykazał staruszce, aby poczekała na pomoc przed dyżurką, a sam wyruszył na poszukiwanie lekarza czy choćby pielęgniarki.

– Zmobilizowali wszystkich czy co – mamrotał pod nosem.

Wreszcie na końcu jednego z korytarzy dostrzegł grupę białych fartuchów, jakby właśnie tam postanowili odbyć zaimprovizowane konsylium w sprawie ciekawego, acz skomplikowanego przypadku medycznego. Zanim tam dotarł, podbiegł do niego brzuchaty doktor Gilanowicz. Nie był to sprint na miarę Walasiewiczówny.

– Wreszcie, panie komisarzu! Tak dawno już dzwoniłem na komendę! – W wąskim korytarzu zadudnił tubalny głos medyka.

– Jaką komendę? – Maciejewski był jak pytajnik.

– No przecież że nie na Komendę Uzupełnień.

– Aha. A co się stało?

- Nasza siostra przełożona zabita!
- Jak to zabita? – Zyga osłupiał.
- Normalnie, na śmierć.

*

Na środku niewielkiego pomieszczenia, zastawionego szafkami z przeróżnymi medykamentami, leżało ciało kobiety w średnim wieku. Maciejewski nie kojarzył jej, a jeśli już, to tylko ze słyszenia, z opowieści Róży. Wokół głowy martwej pielęgniarki tężała kałuża krwi. Tuż obok był przewrócony taboret. Część szafek stała otwarta, na podłodze wały się leki.

– Co zginęło? – Zyga spytał doktora Gilanowicza, który chwiał się w drzwiach ze wzrokiem wbitym w zwłoki.

Medyk odpowiedział po chwili milczenia:

– To siostra Kwiatkowska miała pieczę nad magazynem leków, więc... – Zobaczył uniesione brwi komisarza i doprecyzował: – Siostra przełożona, Halina Kwiatkowska. Zniknęło sporo morfiny. Na szczęście nie cały zapas.

Maciejewski ostrożnie zrobił krok, aby ogarnąć wzrokiem pomieszczenie. Na lamperii tuż przy drzwiach zobaczył ślady krwi i odciski dwóch palców. Bardzo wyraźne. Żeby to w sprawie Anieli trafiły mi się takie, westchnął w duchu. Nie był to jednak czas na rozpamiętywanie porażek, tylko na działanie.

– Dobrze. – Maciejewski zaczął wydawać polecenia. – Państwo rozchodzą się do swoich zajęć, bo pacjenci czekają, a druhny same sobie nie poradzą ze wszystkim. Pan, panie doktorze, niech tu dokładnie pozamyka i trzyma klucz przy sobie. To jedyny?

– Tak – potwierdził medyk.

– A ja idę do dyżurki, żeby zadzwonić na komisariat.

*

Faktycznie, Maciejewski chciał ściągnąć do szpitala wywiadowcę Witolda Fałniewicza, który ze swoim notesem, ogryzkiem ołówka kopiowego, skrupulatnością i cierpliwością był najlepszy w oględzinach miejsc zbrodni. Bardziej jednak zależało mu na czymś innym.

– Chodź ze mną – powiedział do Róży, zbliżywszy się do niej.

Weszli razem do dyżurki, a Zyga poprosił siedzącą tam pielęgniarkę, aby zostawiła ich samych. Stanął przed kobietą, z którą żył jak mąż z żoną, choć jego żoną nie była, i popatrzył jej w oczy.

– Róża – zaczął łagodnie.

Jej broda zadrżała.

– Choćbym nawet wierzył w niepokalane poczęcie i wszystkich świętych, nie uwierzyłbym, że mogłabyś kogoś zamordować, ale czy ty, no wiesz – trochę się plątał – ta morfina. Nie zwinęłaś przez przypadek czegoś dla siebie?

Nerwowo zaczął szukać po kieszeniach papierosa i zapalek. Oczywiście takiej z niespalonym łebkiem nie było ani jednej.

Róża westchnęła. Potem pokręciła energicznie głową, aż zafalowały jej blond loki aniołka, w którym jednak tkwił cień diabelskiego nałogu.

– Wiem, Zygu, dlaczego o to pytasz. Ja tam nie wchodziłam. Ani dzisiaj, ani w ogóle nigdy. Choć nie przeczę, kuśiło mnie czasami.

*

Doktor Gilanowicz krążył po swoim gabinecie jak lew w klatce, choć na dobrą sprawę ledwie dreptał, bo miejsca nie było za wiele.

– Ale jak to tak? Rozumiem, panie komisarzu, jest wojna, ludzie wariują, ale żeby pielęgniarkę mordować?!

– Jak dla mnie to nie ma związku z wojną.

– Ale to może jakiś szpieg albo dywersant pielęgniarkę mi zaciukał?

– Panie doktorze, na pana też już z za każdego węgła zerka piąta kolumna?

– No tak, tak...

Zyga nie wiedział, jak to rozumieć. Gilanowicz wciąż dreptał, targając brodę bujną jak u patriarchy.

– Pan siądzie z łaski swojej, bo mnie pan denerwuje.

Lekarz opadł na stanowczo za małe dla niego krzesło, które zaskrzypiało ostrzegawczo.

– Uporządkujmy fakty, panie doktorze. Kiedy znaleziono ciało siostry Kwiatkowskiej?

– Tak jakoś koło dziewiątej rano.

– A dokładnie?

– Nie wiem, na zegarek nie patrzyłem. O ósmej rozmawiałem z siostrą przełożoną. Zaczynał się dzienny dyżur, Kwiatkowska niby kończyła nocny, ale i tak zostawała na następny. Zdała mi relację z tego, co działo się w nocy. Rozmawialiśmy może dziesięć minut. Potem poszła do swoich zajęć i już jej nie widziałem, aż do...

– Wróćmy do czasu odnalezienia.

– Zajmowałem się dwoma rannymi, jeden z paskudnie poszarpaną raną od odłamka...

– Panie doktorze, darujmy sobie medyczne historie.

Gilewicz sapnął i znowu potargał brodę.

– Ale to, panie komisarzu, wszystko ważne jest. Nie mogłem przy nich spędzić więcej niż godzinę, no może jeszcze kilka minut na dokładkę. Usłyszałem krzyk. Pomyślałem, że to któryś pacjent wrzeszczy. Potem krzyk się powtórzył. I był jakiś taki, wie pan komisarz, inny, jakby nie z bólu. Na korytarzu zaczęła się bieganina. Wyszedłem. Przy składzie z lekami stało kilka pielęgniarek. A potem to już pan komisarz wie.

– Kto znalazł ciało?

– Siostra Stanisława Wajszczuk.

– Pytał pan doktor, co tam robiła?

– Kwiatkowska miała przynieść siostrze Stanisławie leki dla pacjenta, długo nie wracała, więc ta zaczęła jej szukać.

– Nie zauważyła czegoś podejrzanego?

– Nie mam pojęcia, nie pytałem. Zresztą ona jest cała roztrzęsiona.

Zyga wyciągnął papierosy i zapalki. Otworzył pudełko, ale zaraz cisnął je na biurko.

– Ma pan doktor ognia?

Medyk wyciągnął z kieszeni fikuśną zapalniczkę benzynową. Damską.

– Prezent od wdzięcznej pacjentki? – Maciejewski zaśmiał się.

– A żeby pan komisarz wiedział.

Przez chwilę palili w milczeniu, w końcu Maciejewski powiedział:

– Wie pan doktor, co musimy zrobić?

Gilanowicz chrząknął i zakasłał, jakby nie palił sokoła, lecz machorkę.

– Wiem. I nie będzie to miłe.

– Ano nie.

Ktoś załomotał do drzwi i zanim doktor Gilanowicz zdołał rzucić: „Proszę”, do gabinetu wpadła zziębiona druhna.

– Jakiś policjant szuka policjanta – wysapała.

– To szybko nie znajdzie – skomentował Zyga ze śmiechem.

– A jakiego to niby policjanta, dziecko? – spytał medyk.

– Komisarza Maćkowskiego.

Teraz obaj śmiali się w głos, jakby nagle zeszła z nich groza śmierci siostry przełożonej.

*

Szkoda kobiety.

– Ano szkoda, Fałniewicz, ale pożałujesz jej sobie wieczorem nad kieliszkiem. Albo lepiej zmów w jej intencji paciorek czy co tam zwykle odmawiasz.

Wywiadowca tylko westchnął.

– Mów, co widzisz – zarządził Maciejewski.

– Spieszył się, jasna sprawa, i raczej tego nie planował, bo inaczej miałby już coś przy sobie i nie atakował tym, co znalazło się pod ręką.

– Fałniewicz pochylił się nad zwłokami. – Nie zamierzał się nad nią

znęcać, pewnie chciał tylko ogłuszyć. Ale potężnie ją walnął, zobaczy kierownik, czaszka wgnieciona.

– A co ty, lekarz?

– Nie, ale raczej nikogo bardziej kompetentnego do obdukcji kierownik teraz w Lublinie nie znajdzie. – Wywiadowca pozwolił sobie na złośliwość.

Maciejewski patrzył przez chwilę na zwłoki siostry Kwiatkowskiej. Za dużo widział trupów w ostatnich dniach, za dużo nawet jak na niego.

– To co dalej, panie kierowniku?

– Przede wszystkim zabezpiecz odciski palców. Skocz na komisariat po folię sznajderowską i wszystko, co tam trzeba.

– Się wie. – Wywiadowca wskazał na ślady. – Jak dla mnie to wskazujący i środkowy.

Zyga przyjrzał się uważniej krwawej smudze na lamperii.

– Pewnie masz rację. Popytaj, kogo się da, lekarzy, pielęgniarki, nawet harcerki, czy nie widziały kogoś podejrzanego.

– Ale...

– Jakie znowu „ale”, Fałniewicz? Wiem, że do pogaduszek z siostrzyczkami lepiej nadałby się Zielny. Swoją drogą, gdzie on się podziewa?

– Poszedł coś sprawdzać w sprawie tej NN, to znaczy niby nowej Anieli.

– Oby coś znalazł. Bierz się do roboty.

– Ale to, z przeproszeniem pana kierownika, robota głupiego z tym przepytywaniem.

– Co to masz dziś z tym „ale”? – Maciejewski wściekł się.

– W szpitalu jest zamieszanie, wszyscy latają jak kot z pęcherzem, ludzie wchodzą i wychodzą. Małe szanse, że ktoś zwrócił uwagę, nawet jeśli typ był z wyglądu podejrzanym.

– Trzeba to zrobić, więc to po prostu zrób.

*

Właściwie Maciejewskiemu przesłuchanie nie było do niczego potrzebne, urządził jedynie teatrzyk dla doktora Gilanowicza. Medyk wiedział o nałogu Róży, więc gdyby Zyga w sprawie, w której chodziło również o skradzioną morfinę, nie odpytał jej, mógłby w doktorze wzbudzić poważne podejrzenia.

Róża jednak nie wiedziała o zagrywce komisarza, siedziała więc na brzegu krzesła i wyglądała jak pensjonarka przyłapana na lekturze romansu o grzesznej miłości.

– Widziałaś dzisiaj siostrę przełożoną? – spytał Zyga.

Głośno przełknęła ślinę, jakby szykowała się do odpowiedzi w trakcie egzaminu pielęgniarstwa.

– Tak, jak tylko przyszedłam na dyżur. Powiedziała mi, co mam dzisiaj do zrobienia.

– A później?

– Nie było kiedy. Najpierw uspokajałam chłopca, ciągle popłakuje, że chce do mamy, siostra Kwiatkowska kazała mi się nim zająć, powiedziała, że mam rękę do dzieci. – Co ona dzisiaj ciągle z tymi dziećmi!, pomyślał Maciejewski ze złością. – A potem pilnowałam autoklawu.

– Dla jasności, nie widziałaś już potem siostry przełożonej?

Oczy Róży zaszklily się lekko.

– Nie.

– Jak się dowiedziałaś o jej śmierci?

– Jak wszyscy. Usłyszałam krzyki, poszłam zobaczyć, co się dzieje, przed składzikiem z lekami stało kilka sióstr. Tylko zajrzałam i nogi się pode mną ugięły.

– Które pielęgniarki tam widziałaś?

– Ja... – zawahała się – ...nie jestem pewna. Oczy jakby mi mgłą zaszyły.

– Skutek szoku, panie komisarzu – objaśnił doktor Gilanowicz.

Maciejewski spojrział na medyka z politowaniem. Jakby on, doświadczony policjant, nie wiedział, co to takiego. Widział wielu

mężczyzn i wiele kobiet w szoku. Faceta zwykle wystarczyło plasnąć w pysk, a kobietę... Z kobietą gorsza sprawa. Sole trzeźwiące?

– Wchodziłaś do składziku?

– Nie, tak jak mówiłam, tylko zajrzałam.

– I nie zauważyłaś, czy ktoś tam wchodził przede mną?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, chyba nie.

Ramiona Róży opadły, rozmowa najwyraźniej dużo ją kosztowała. Zyga nie chciał męczyć Marczyńskiej.

– Dobrze, to tyle. – Po chwili dorzucił: – Dziękuję.

Zwykle przesłuchiwanym nie dziękował, ale też nigdy nie przesłuchiwał osoby tak sobie bliskiej.

*

Ulicą maszerował pododdział piechoty. Mundury mieli czyste, broń świeżo naoliwioną. Pewnie z odwodów, pomyślał Maciejewski. Zrobiło mu się ich żal, bo wiedział, że idą bronić sprawy i miasta, których obronić się nie da.

Wcześniej wyszedł na zewnątrz, aby odpocząć trochę od szpitalnych wyziewów. Zapalił, bo udało mu się zwędzić zapalki z dyżurki. Zapach tytoniu nie drażnił go nigdy.

Nie podobała mu się historia z siostrą przełożoną. Raz, że odciągnęła go od sprawy Anieli, dwa, że dotyczyła miejsca pracy Róży. Ale co było robić, zbrodnia nie wybiera. Postanowił, że w szpitalu zostawi Fańiewiczza, a sam poszuka Zielnego, żeby dowiedzieć się, czy wywiadowca nie wywęszył czegoś nowego. Poszedł oznajmić to doktorowi Gilanowiczowi. Już zbierał się z jego gabinetu, kiedy medyk rzucił:

– Jest coś jeszcze, panie komisarzu.

– Tylko szybko, bo mi się spieszy.

– Jak tak pan przesłuchiwał siostrę Różę... – Imię wymówił jakby miękko.

Czy ten cap podkochuje się w mojej Róży?, przemknęło Zydze przez myśl.

– To?

– No to przypomniałem sobie, że pracuje tutaj jeszcze jedna była morfinistka, więc może i z nią należałoby porozmawiać.

– Pan doktor to chyba tu sobie założył ochronkę dla narkomanów – skomentował Zyga złośliwie.

Medyk zmarszczył krzaczaste brwi.

– Akurat pan komisarz z takich rzeczy nie powinien żartować.

Przez chwilę Maciejewski poczuł się jak winowajca klęczący na grochu w kącie.

– Przepraszam, panie doktorze. Nerwy, człowiek czasami coś palnie.

Doktor Gilanowicz tylko machnął ręką.

– I która to? – spytał Zyga.

– Stanisława Wajszczuk. Ale już od dwóch lat ona nic...

– Zaraz, zaraz, to ta, która znalazła ciało siostry przełożonej? – dopytał komisarz. – I dopiero teraz mi pan doktor o tym mówi?

*

Ile to się będzie za mną ciągnęło, no ile? – jęczała siostra Stanisława.

– Do śmierci, droga pani – pocieszył ją Maciejewski.

Wajszczuk była wysoką, bardzo szczupłą brunetką o końskiej twarzy. Zdecydowanie nie w typie Zygi. Ale to nie jej wygląd irytował komisarza, lecz sposób mówienia, płaczliwy, jakby cały czas była na granicy hysterii.

– Proszę dokładnie opowiedzieć, w jakich okolicznościach znalazła pani ciało siostry przełożonej.

– Ale ja już naprawdę nie wstrzykuję sobie morfiny, od dawna. – Pielęgniarka zafiksowała się na jednym.

– Nie obchodzi mnie to. Pani życie, pani sprawa. Do rzeczy!

– No tak, dobrze. Siostra Kwiatkowska miała mi przynieść morfinę... – Przerwała na chwilę, uświadamiając sobie, co powiedziała. – To znaczy nie, nie mnie, tylko temu młodemu mężczyźnie po amputacji przedramienia, wie pan doktor?

Szukała potwierdzenia u doktora Gilanowicza. Brodacz tylko skinął głową.

– Siostra nie wracała, pacjent wył z bólu. Poszłam do składzika z lekami... Drzwi były otwarte. Wydało mi się to dziwne, bo siostra przełożona zawsze dbała, żeby je zamykać, nawet jak była w środku. Wchodzę, siostra leży na podłodze, wszędzie porozwalane leki. Myślałam, że zasłabła, serce albo coś. Chyba zawołałam do niej, potem uklęknęłam i podniosłam jej głowę.

– I nie widziała pani wcześniej krwi? Przecież siostra miała rozbitą głowę.

– Nie widziałam. Chociaż może trochę. Nie wiem, nie pamiętam, naprawdę. – Głos pielęgniarki wszedł na wysoki ton.

– A potem wypchała sobie siostrzyczka kieszenie morfiną, tak? – zaatakował Maciejewski.

– Nie, ja nigdy... Po co miałabym...

– Żeby później zrobić sobie dobrze.

– Nie, nie, nie – powtarzała jak w transie.

– Co siostra zrobiła z morfiną? Gdzie ona jest?

Wajszczuk łkała bezgłośnie, kręcąc głową, jakby w szyi nagle ruszył ukryty tam mechanizm. Po chwili zaczęła mówić:

– Nigdy... Nie mogłabym... Siostra Halina była dla mnie jak matka... To ona... no, pomogła rzucić morfinę... Zaufała... Nie mogłabym.

– A wie droga pani, że morfinista jest w stanie zabić matkę z ojcem na dokładkę, żeby tylko mieć narkotyk?

Siostra Stanisława zawyła.

– Wystarczy, panie komisarzu – powiedział doktor Gilanowicz. – Dam jej coś na uspokojenie.

Maciejewski nie miał w sobie spokoju i mieć go nie chciał. Wpadł za to na pewien pomysł.

*

Siostra Stanisława wyglądała na zubożniałą, bo doktor Gilanowicz zaaplikował pielęgniarce coś mocnego. Za to zdenerwowana była

Róża.

Do gabinetu bez pukania wszedł Fałniewicz.

– Masz? – spytał Maciejewski.

– Ma się rozumieć, panie kierowniku.

– To teraz pana doktora poproszę o poduszkę pod pieczętę i papier.

Medyk zrobił wielkie oczy.

– Mam zwolnienia wypisywać czy jak?

– Nie, pobierzemy odciski palców. Fałniewicz, czyń honory.

Wywiadowca powoli, skrupulatnie przyciskał do kartki natuszowane palce, najpierw Wajszczuk, potem Róży. Siostra Stanisława przyjęła to obojętnie, Róża zeszywniała.

– Zygu, co ty robisz? – niemal wyszeptała.

– To, co muszę.

Obok kartki z odciskami palców pielęgniarek Fałniewicz położył zabezpieczone na folii sznajderowskiej ślady z lamperii. Policjanci długo porównywali odciski, wreszcie komisarz spytał:

– Widzisz?

– Na moje oko jest zgodność. Trzeba by to jednak technikowi z wojewódzkiej pokazać.

– A gdzie ty go teraz znajdziesz?

Fałniewicz tylko pokiwał głową.

– Panie komisarzu, co się dzieje? – zaniepokoił się doktor Gilanowicz.

– Róża, wyjdź, proszę – powiedział Zyga.

Kiedy zostali we czwórkę, Maciejewski przesunął kartki w stronę Wajszczuk.

– Proszę zobaczyć, sostro. To są pani odciski palców, a te były na lamperii w składziku. Są takie same. Jak to pani wytłumaczy?

Pielęgniarka spojrzała na opuszki swoich palców, potem na odciski takim wzrokiem, jakby zobaczyła chińskie piktogramy.

– Ja... ja nie wiem.

– Mówiła pani, że na ciele siostry przełożonej nie było krwi, tak?

- Chyba nie było. Nie wiem.
 - To skąd krwawa smuga na ścianie z pani odciskami palców?
 - To może jednak jakaś krew była. Może oparłam się o ścianę, jak wychodziłam.
 - Jakie „może”? Nie wie pani, co robiła?
 - Nie pamiętam dokładnie.
 - To może jednak siostra ją zamordowała?
 - Nie wiem, nie wiem, nic już nie wiem.
- Wajszczuk zaczęła się kiwać na krześle.
- Chyba nie sądzi pan komisarz, że siostra Stanisława... – Gilanowicz nie dokończył.
 - Ja nic nie sądzę, ale za to wiem, że mamy trupa, odciski palców i podejrzaną, która niewiele pamięta. Albo nie chce pamiętać. Może na dołku sobie przypomni.

*

Policjanci wyprowadzili siostrę Stanisławę ze szpitala, choć właściwie potulnie szła z nimi, jakby nie do końca wiedziała, co się dzieje. Róża dawała Zydze znaki, ale zignorował ją. Na pogaduszki przyjdzie czas w domu.

Długi czas szli w milczeniu. Pierwszy odezwał się Fałniewicz:

- I faktycznie pan kierownik chce ją przymknąć?
 - Tak, co w tym dziwnego?
 - Ale u nas na dołku jest teraz schron.
 - Daj już spokój z tym „ale”. – Komisarz zdenerwował się. – To się wyłączy ze schronu jedną celę. Kraft się tym zajmie.
 - Będzie kierownik jeszcze raz ją przesłuchiwał? W takim stanie?
 - Tak – odpowiedział automatycznie Maciejewski.
- Zaraz jednak poczuł, że ogarnia go lęk z rodzaju tych, nad którymi nie da się tak łatwo zapanować. Trzeba go zdusić w zarodku.
- Dobra, zrobimy, Fałniewicz, inaczej. Sam zaprowadzisz siostrzyczkę na komisariat i powiesz Kraftowi, żeby jej znalazł wolną celę.

- Tak jest. – Wywiadowca wstrzymał się z kolejnymi wątpliwościami. – Mam Wajszczuk przepytac?
 - Zostawimy ją do jutra. Niech ma czas na przemyślenia.
 - Tylko że jutro mogą tu być Niemcy.
 - Na Niemców i gradobicie nie mamy wpływu. Rób, co ci każe.
 - A pan kierownik?
 - Muszę natychmiast coś sprawdzić.
- Nasadzając mocniej na głowę zdefasonowany kapelusz, Maciejewski puścił się gdzieś biegiem.

*

Zyga siedział w kuchni mieszkania przy Szpitalnej, lokalu należącego do Róży, w którym od lat mieszkał, zostawiwszy na pastwę wścibskiej sąsiadki Kapranowej i pajaków swój zapuszczony dom na Rurach Jezuickich. Odpalił papierosa od niedopałka, w ustach czuł niesmak.

Kiedy wyszedł z Fałniewiczem i podejrzaną ze szpitala, zaczął się bać, że Róża wróciła do nałogu, że przeoczył jakieś sygnały, że przestał na nią uważać. Jakby przy nałogowcu można było kiedykolwiek stracić czujność, wyrzucał sobie. Pognał na Szpitalną i zaczął przeszukiwać mieszkanie. Sprawdził wszystkie skrytki, w których kiedyś ukrywała ampułki z morfiną i strzykawki, przeszukał miejsca, w których sam schowałby alkohol, gdyby musiał, przeszperał szuflady, szafki i szafę, obejrzał każdą szparę w podłodze. Nie znalazł nic. Kamień spadł mu z serca, ale jednocześnie Zyga był zły. Na siebie i na nią.

– Nie ufam jej. Ale czy mogę jej ufać? – zapytał na głos sam siebie.

Nie znalazł jasnej odpowiedzi, więc poszukał jej w monopolce. Wyciągnął butelkę i kieliszek z kredensu, nalał sobie setkę, wypił, zaciągnął się papierosem raz i drugi, nalał znowu. Odstawiając flaszkę na stół, dostrzegł, że na nalepce jest kreska, która teraz znajdowała się zdecydowanie powyżej poziomu cieczy.

– Taaa. Właściwie kto tu kogo pilnuje?

2. Na kłopoty Marczyńska

16 września 1939 roku

Kiedy Róża wróciła późno z dyżuru, Zyga spał snem sprawiedliwego. Inaczej być nie mogło, bo wieczorem po dwóch setkach wypił kolejne jedynie pod papierosa. Rano postanowił wynagrodzić Róży wczorajsze nieprzyjemności i zrobić jajecznicę, choć zazwyczaj garów się nie tykał, uważając, że inni, to znaczy jego niby żona, radzą sobie w kuchni lepiej. Nie znalazł jednak jajek, tylko suchy chleb i marmoladę.

– No to będzie marmolada – mruknął.

Zaparzył kawę, zapalił papierosa i zaczął kroić chleb, co szło mu niesporo.

– Niezły kuchcik, z kiepem w zębach – powiedziała Róża, stając w drzwiach kuchni.

– Siadaj, śniadanie robię.

– No co ty nie powiesz!

Zignorował naburmuszoną minę, postawił na stole talerz z pajdami maźniętymi marmoladą. Róża zaczęła skubać kromkę. Zyga zadowolili się kawą.

– Posłuchaj – odezwała się niepewnie. – Nie powinieneś zamykać Stanisławy.

– Kochana – zaczął i na chwilę zamilkł, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio powiedział do niej „kochana”. – Ja cię przepraszam za to przesłuchanie i odciski, tak trzeba było zrobić. Ale do śledztwa mi się nie wtrącaj.

– Tylko to nie ona, jestem tego pewna.

– A niby skąd?

– Miała swoje problemy, tak jak i ja, ale wyszła już z tego. Rozmawialiśmy o tym wiele razy na dyżurach. Stanisława jest niezwykle dobrą osobą, oddaną pielęgniarką. Nie mogłaby nikogo skrzywdzić.

– Mogła, nie mogła, sama wiesz, jak głód narkotyku może namieszać ludziom w głowie.

Nie powinien tego mówić, ale stało się, powiedział.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Poza tym – kontynuował – jej odciski palców są na miejscu zbrodni, nie umie wyjaśnić, co robiła po znalezieniu zwłok...

– Przypominam ci, że mówisz o świętej pamięci siostrze Kwiatkowskiej – syknęła.

– Dobra, ciała siostry przełożonej. Przynajmniej muszę całą tę Stanisławę porządnie przesłuchać, a w szpitalu nie było jak.

– Zygu...

Rozległo się pukanie do drzwi, Maciejewski poszedł otworzyć. Róża odłożyła kromkę, jedzenie puchło jej w ustach.

Do kuchni wszedł wywiadowca Fałniewicz, uklonił się Róży.

– Co się urodziło? – spytał komisarz, dopinając koszulę.

– Zielny namierzył faceta, który podobno widział naszą nową Anielę.

– No to lecimy.

– To nie będziesz teraz przesłuchiwał Stanisławy? – spytała Róża.

– Nie ucieknie.

Wyszli, a Róża, dopijając kawę, zastanawiała się, czy Zyga zawsze jest taki nieczuły, czy jedynie czasami.

*

Do budynku komisariatu Marczyńska weszła cała w nerwach.

W mieszkaniu, kiedy na szybko układała plan pomocy Stanisławie, wszystko wydawało jej się łatwiejsze. Róża była wielbicielką powieści detektywnych, szczególnie lubiła książki W. Rońskiego; spośród nich najbardziej ceniła *Zabójczą piękność nocy* z postacią prywatnego detektywa, a wcześniej ułana, niejakiego Zawistowskiego, niezwykle przystojnego blondyna z kwadratową szczęką, który złamał niejedno kobiece serce. Jakże on był niepodobny z wyglądu i sposobu bycia do Zygi! Niestety. Zaczęła się zastanawiać, co na jej miejscu uczyniłby

Zawistowski. Oczywiście, zrobiłby wszystko po swojemu. Tylko co to, u licha, znaczy? Przede wszystkim detektyw zająłby się tym, czego nie chcieli zrobić inni. I wtedy doznała olśnienia. Aż klasnęła z emocji w dłonie. Zyga nie chciał na razie przesłuchiwać Stanisławy, więc ona to uczyni, nie za niego, tylko po swojemu. Zyga pewnie potraktował wrażliwą Stanisławę jak zbirów, z którymi zwykle miał do czynienia, przestraszył ją i dlatego zaczęła się płatać. A ona porozmawia z koleżanką na spokojnie, jak kobieta z kobietą, i może razem uda się ustalić coś, co pomoże w ujęciu zabójcy siostry Kwiatkowskiej. Szybko ubrała się wyjściowo, pakując do torebki pierwszą lepszą bluzkę, którą wyciągnęła z szafy.

Mundurowemu z długą bronią powiedziała, że jest żoną komisarza Maciejewskiego i że musi pilnie z nim porozmawiać. Okazało się, że Zyga nie pojawił się jeszcze na komisariacie. Pierwsza część planu poszła jak z płatka. Róża oznajmiła, że w takim razie chce się widzieć z podkomisarzem Kraftem. Mundurowy nie wnikał dlaczego, w końcu żona komisarza to żona komisarza, poprowadził ją od razu na dołek. I już druga część planu odhaczona. Róża nie była pewna, czy dobrze usłyszała od Zygi, że policjanci pracują teraz w celach zamienionych na schron przeciwlotniczy. Nie myliła się.

– Ooo, pani Róża. – Kraft, który w jednej z cel urządził całkiem schludne biuro, zdziwił się. – Zygmunta nie ma.

– Wiem, ale ja nie do niego.

Wyciągnęła z torebki bluzkę.

– Przyniosłam koleżance, którą wczoraj Zyga kazał zamknąć, ubranie na zmianę, bo ją wyprowadził prosto ze szpitala.

Twarz podkomisarza posmutniała, choć przecież nigdy do pogodnych nie należał.

– Ponura sprawa, wojna i takie jeszcze kryminalne historie na dokładkę – podsumował Kraft. – Proszę zostawić ubranie, to jej dam.

– A nie mogłabym sama przekazać i chwilę porozmawiać? Ona jest naprawdę porządną osobą i na pewno niewinną.

– Oczywiście, że niewinną. Dopóki nie skaże jej sąd.

Róża nie była pewna, czy to żart, czy stwierdzenie stanu formalnoprawnego.

– W innych okolicznościach to by było niemożliwe, ale teraz mogę przymknąć oko.

Kraft wziął pęk kluczy, poprowadził Różę na koniec aresztu i otworzył celę.

– Proszę tylko dać mi znać, jak będzie pani wychodziła.

*

Stanisława siedziała na pryczy ze wzrokiem wbitym w zakratowane okienko. Nie zareagowała na szczęk zamka. Dopiero kiedy Róża stanęła przed nią i położyła dłoń na jej ramieniu, drgnęła, jakby obudziła się ze snu. Spojrzała na przybyłą.

– Różyczka – wyszeptała, wstała i z całych sił przytuliła się do koleżanki.

Wajszczuk łkała, a Róża próbowała ją uspokoić, gładząc po włosach.

– Ciii, już dobrze, ciii, wszystko się wyjaśni. Tylko musisz się wziąć w garść.

Marczyńska posadziła ją na pryczy i sama usiadła obok.

– Ubranie ci przyniosłam, ale to tylko pretekst.

– Dziękuję ci, Różyczko, bo już myślałam, że wszyscy mnie osądzili i skazali...

– Daj spokój i skup się, musimy to jakoś same rozwikłać. Nie wierzę, że skrzywdziłaś siostrę Halinę.

W oczach Stanisławy znowu stanęły łzy.

– Jakżebym mogła, ona tyle dla mnie zrobiła, wyciągnęła do mnie rękę, jak było ze mną bardzo źle.

– To najpierw opowiedz, jak odnalazłaś... – Głos uwiązał Różę w gardle. – Bo Zyga mówił, że coś kręcisz.

– Nic nie kręcę, mogę przysiąc na Matkę Boską Krasnobrodzką, tylko jak ten twój Zyga zadawał te straszne pytania, nagle miałam pustkę w głowie.

– Nie musisz mi mówić, jaki Zygu potrafi być nieprzyjemny.

– Jak ty w ogóle z nim wytrzymujesz?

Róża nie chciała na to pytanie odpowiadać, nawet nie zamierzała nad tym się zastanawiać. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Mówimy o tobie.

– Tak, tak, Halina poszła po morfinę dla pacjenta, długo nie wracała, więc zajrzałam do składziku, a ona tam leżała... Podbiegłam, padłam na kolana, przyłożyłam palce do szyi i już wiedziałam, że jest po niej. Wczoraj nie potrafiłam powiedzieć temu twojemu, czy widziałam krew. A teraz już wiem. Krew tam była, dużo krwi, ale w pierwszej chwili jej nie widziałam, bo widzieć nie chciałam. A Halina, tam na podłodze, wyglądała jak biały anioł z czerwoną aureolą. – Stanisława zadygotała, ale dotyk Róży uspokoił ją. – Dalej to było, jakbym śniła na jawie, wstałam, zatoczyłam się i oparłam o ścianę. Musiałam mieć na dłoniach krew Haliny, stąd pewnie te ślady czy tam odciski, co wczoraj policjanci pokazywali. Wiem, że wyszłam ze składziku, krzyczałam, ale tego krzyku nie słyszałam, rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?! – wykrzyknęła.

– Są rzeczy, które trudno zrozumieć, ale nie myśl o tym. Zastanówmy się, kto to mógł zrobić.

Wajszczuk wyprostowała się na pryczy i wbiła wzrok w koleżankę.

– Bo wiesz, całą noc nie spałam, jak tu spać w więzieniu, i to jeszcze po tych wszystkich nieszczęściach, i myślałam, w kółko myślałam. I coś mi się przypomniało, ale nie wiem, czy to ma sens, czy na kogoś bezpodstawnie nie rzucę oskarżenia.

Cała Stanisława, pomyślała Marczyńska, siedzi za kratkami i martwi się o innych.

– Po prostu mów.

– Był taki pacjent, Kamil miał na imię, nazwiska nie pamiętam, przyjęliśmy go jakieś trzy, cztery dni temu, w rejestrze na pewno zapisywałam. I on ciągle błagał o morfinę.

– Co mu było?

– Ranny w nalocie, miał dużą, ropiejącą ranę na udzie.

- No to mogło go boleć.
 - Oczywiście, tylko on był taki chudy, trząsał się jak osika, łyzy mu ciekły i kichał, choć nie był przeziębiony. Sama wiesz...
 - Był na głodzie?
 - Jak dla mnie na pewno.
 - Dałaś mu zastrzyk?
 - Pierwszego dnia, gdy doktor mu tę ranę wyczyścił, to tak, dałam. Potem, jak już zobaczyłam, co się z nim dzieje, nie chciałam mu podawać morfiny. A on ciągle jęczał, jak mnie tylko zobaczył: „Siostró, morfiny, siostró, tylko trochę”.
 - A on chodzący był?
 - Już tam na drugi dzień w szpitalu trochę kuśtykał.
 - Widziałaś go wczoraj?
 - Tak, rano do niego zaglądałam i znowu zebrał o morfinę.
 - A widziałaś, żeby się kręcił koło składziku?
 - Nie, ale też nie zwracałam na to uwagi, nie było po co. Róża chwyciła Wajszczuk za rękę.
 - Widzisz, to już jest coś. Muszę to sprawdzić.
- Marczyńska podniosła się z pryczy.
- Ale Różyczko, jak to nie on? Jak to tak oskarżać człowieka?
 - Najwyżej się z tego wypowiadamy.

*

Marczyńska odnalazła w rejestrze Kamila Lewickiego, lat dwadzieścia jeden, bez trudu, bo w ciągu ostatnich dni tylko jeden pacjent o tym imieniu trafił do szpitala. Za to sam Lewicki ulotnił się jak kamfora. Na jego łóżku leżał już inny nieszczęśnik, żadna z zagadniętych koleżanek nic na jego temat nie wiedziała, mówiły, że pewnie został wypisany. Tyle tylko że Róża wypisu nie znalazła.

Zastanawiała się, co robić. Na początku chciała o wszystkim powiedzieć Zydze, ale po pierwsze, pewnie by się wściekł, że zajmuje się jego śledztwem, po drugie, mógł to być fałszywy alarm, a wtedy Zyga wściekłby się podwójnie. Postanowiła sama sprawdzić tego

Lewickiego, tym bardziej że mieszkał niedaleko. Właśnie miała wyjść ze szpitala, kiedy usłyszała tubalny głos doktora Gilanowicza:

– Siostró Marczyńska!

Jezu, nie teraz, jęknęła w duchu. Odwróciła się do lekarza z uśmiechem.

– Gdzie się siostra podziewała? Dyżur dawno się zaczął.

– Po drodze wstąpiłam do siostry Stanisławy. Wie pan doktor, znajomości w policji. – Puściła do niego oko.

Odniosła wrażenie, że się zmieszał. Od dawna podejrzewała, że ma do niej słabość.

– I jak się trzyma?

– Kiepsko.

– Trudno się dziwić. – Westchnął i potargał patriarchalną brodę. – Mam nadzieję, że pan komisarz szybko wyjaśni całą sprawę.

– Z tego co wiem, pracuje nad tym – gładko skłamała.

Dopiero teraz Gilanowicz zauważył, że Róża ma na fartuch narzucony żakiet.

– Siostra się gdzieś wybiera? Mamy dużo roboty.

– Muszę podejść do jednego pacjenta, który samowolnie oddalił się ze szpitala. A był poważnie ranny.

– No tak, istny, za przeproszeniem delikatnych uszu kobiecych, burdel tu mamy. A który to?

– Kamil Lewicki, młody z paprzącą się raną na udzie.

– Aaa, ten, co się tak darł jak zarzynana świnia?

– Tego to nie wiem, siostra Stanisława się nim opiekowała. Blisko mieszka, na Szewskiej, podskoczę na jednej nodze i zobaczę, co z nim.

– Jak o sobie nie zadba, to też mu tylko jedna noga zostanie! – Doktor zaśmiał się.

*

Wspinając się wąskimi schodami kamienicy przy Szewskiej, Róża zastanawiała się, co na jej miejscu zrobiłby detektyw Zawistowski. Pewnie wymyśliłby jakąś legendę, powiedział, że jest inkasentem albo

handlarzem lub jeszcze kimś innym. Detektyw Zawistowski miał bujną wyobraźnię i był świetnym aktorem. Ona zaś nie, a poza tym nie miała czasu.

Stała przed drzwiami z numerem 7, wzięła głęboki oddech i zapukała. Bez odzewu, ale wydawało jej się, że coś za drzwiami zaszurało. Zapukała raz jeszcze, bardziej natarczywie.

Drzwi się uchyliły.

– Taaak? – powiedział wychudzony mężczyzna.

Źrenice miał jak łebki szpilek, reakcje spowolnione. Róża była pewna, że niedawno wstrzyknął sobie narkotyki.

– Jestem ze szpitala. Wyszedł pan bez wypisu.

– Nie mogłem już znieść tych krzyków.

– Ja pana rozumiem. Ale muszę obejrzeć ranę, zmienić opatrunek.

– Uświadomiła sobie, że nie ma w kieszeni nawet kawałka bandaża, żeby uprawdopodobnić swoją opowieść. – To rutynowa czynność.

– Nic mi nie jest.

– Tylko zerknę, zajmę panu chwilę.

Niemal wepchnęła się do środka, nim Lewicki zatrzasnął drzwi. Wymamrotał coś pod nosem, czego nie zrozumiała.

– Proszę do kuchni.

Wskazał drzwi po lewej stronie małego, ciemnego korytarza, ale Róża patrzyła w drzwi po prawej. Na środku pokoju znajdował się niewielki stół, a na nim mnóstwo opakowań morfiny. Patrzyła chyba zbyt długo, bo nagle usłyszała:

– Przyszłaś na przeszpiegi, wywłoko.

Lewicki pchnął ją na ścianę. Róża nie zdołała się uchylić. Jęknęła, była oszołomiona. Morfinista złapał ją za poły zakietu i zaczął raz po raz uderzać głową Róży o ścianę.

*

No i gdzie ten Zielny? – Maciejewski zniecierpliwił się.

Zaraz pojawił się dozorca z nieodłączną miotłą.

– Panowie z policji? – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Do tego pana ładnego?

– Pewnie, że do ładnego. – Zyga zaśmiał się.

– A to on w prawej oficynie pod dwójką czeka u tego, co to...

– Porozmawiamy o nim, jak będzie trzeba – przerwał cieciewi Fałniewicz.

Komisarz na razie wiedział tylko tyle, że dzięki portierowi z „Wiktorii” Zielny miał adres boya hotelowego, ponoć łebskiego i spostrzegawczego chłopaka, który mógł coś wiedzieć na temat domniemanej Anieli i jej tajemniczego towarzysza.

Nie pukając, weszli pod dwójkę. Było to mieszkanie właściwie tylko z nazwy, ledwie jedna izba, nieprzesadnie umeblowana.

– A co, tobie, Zielny, nie chciało się po nas ruszyć tyłka?

Wywiadowca przeciągnął dłonią po włosach sztywnych od brylantyny.

– Trzy dni za nim łąziłem, nie chciałem, żeby mi zwiął, więc nie spuszczałem go z oka.

Na barłogu siedział młody, pucułowaty chłopak, wyraźnie sponiewierany kacem. Zielny powiedział, że po zbombardowaniu hotelu boy tak się przestraszył, że poszedł w długą i zaczął pić, sam nawet nie wiedział gdzie. Nie miał też pojęcia, jak trafił do domu, w którym dziś rano przydybał go Zielny.

Chłopak wciąż ledwie artykułował słowa, ale zdawał się myśleć trzeźwo. Potwierdził, że zwrócił uwagę na dziwną parę.

– Dlaczego wydała ci się dziwna? – Komisarz chciał wiedzieć.

– A bo, proszę szanownego pana, ona była całkiem do rzeczy, blondyneczka, owszem, apetyczna, a on taki mydłek, bez wyrazu. Ciągle naburmuszony chodził. I do tego w rękawiczkach.

Naburmuszony w rękawiczkach, fraza wprost do policyjnego raportu, przemknęło przez myśl Maciejewskiemu.

– Nadal nie widzę w tym nic dziwnego.

– No i pomyślałem, że życie jest niesprawiedliwe...

– Słuchaj – Zyga się zirytował – nie interesują mnie twoje przemyślenia życiowe. Mów o tej parze.

– Przecież mówię – obruszył się boy. – Życie jest niesprawiedliwe, bo taki fagas z wypchanym portfelem zawsze sobie gładką cizię przygrucha. Tylko że ona była w niego wpatrzona jak w obrazek. I to mnie zdziwiło. Lafiryndy, którym tylko na forsie zależy, inaczej się zachowują. W hotelu pracuję, to i życie, i takie lafiryndy znam. A ta blondyneczka wyglądała na zakochaną.

– Dobra, ty mi tu romansu prosto z kina nie opowiadaj – przerwał mu komisarz. – A wiesz może, jak się nazywali?

– On to nie bardzo. A do niej „Anielciu” mówił.

Więcej skacowany chłopak nie pamiętał, ale to już było coś, mały krok w ciągnącym się od roku śledztwie. Ich NN zamieniła się w AN.

*

Nie było niczego do sprawdzania w sprawie Anieli, więc Maciejewski postanowił przesłuchać pielęgniarkę. Czas najwyższy. Zszedł na dół. Kraft uparcie urzędował, porządkując papiery.

– Gienek, daj spokój, pewnie i tak część trzeba będzie niedługo spalić.

– Może, ale spłoną uporządkowane.

Zyga był pewien, że podkomisarz powiedział to z absolutną powagą.

– Aha, Róża tu rano była.

– Chciała czegoś ode mnie?

– Nie, przyniosła ubrania na zmianę tej pielęgniarce.

Maciejewski poczuł ukłucie niepokoju.

– I pozwoliłeś jej? Długo gadały?

– A miałem nie pozwalać? Przecież to koleżanki.

– Dawaj klucz – warknął.

Pobiegł, otworzył zamek trzęsącymi się rękami i wpadł do celi. Na jego widok siostra Stanisława skuliła się i odsunęła w kąt.

– Spokojnie. – Zyga nie chciał przestraszyć pielęgniarki. –
Rozmawiałaś dzisiaj z Różą?

Skinęła głową bez słowa.

– O czym?

– O tym, co... O tej tragedii wczoraj. I już sobie przypomniałam,
panie komisarzu, że faktycznie widziałam krew, kiedy weszłam do
składziku. Była plama wokół głowy siostry przełożonej.

– To akurat wiadomo bez twojego przypominania sobie. Coś
jeszcze Róża z ciebie wyciągnęła?

– No tak...

– Mów wreszcie! – huknął.

– Był u nas ranny pacjent, morfinista. Na imię miał Kamil.
Nazwiska nie pamiętam. Pomyślałyśmy, że to może on siostrę Halinę...
Róża miała z nim porozmawiać.

– Coś ty, kobieto, najlepszego zrobiła – jęknął i wypadł z celi, jakby
go ścigali Niemcy z Sowietami razem wzięci.

*

Zgarnął Zielnego i pognali do Dzieciątka Jezus. Kiedy Zyga dopadł
doktora Gilanowicza, niemal wytrząsnął z przerażonego lekarza, że
Róża poszła na Szewską sprawdzić, co się dzieje z pacjentem, który
zwiął ze szpitala. Odnalazł w rejestrze adres chorego i ruszyli biegiem
z Zielnym. W głowie komisarza zawodził alarm głośniejszy od syren.

Nie kryli się, wbiegli z tupotem po drewnianych schodach. Zyga nie
kłopotał się pukaniem, z rozpędu ramieniem wywalił drzwi.

Po prawej w korytarzu stanął wychudzony mężczyzna.

– Co jest, do cholery?

Zyga nie odpowiedział. Odepchnął mężczyznę i wpadł do pokoju.
Nieprzytomna Róża leżała na łóżku. Była tylko w bieliźnie.

– Czego ode mnie chce... – zaczął chudzielec.

Nie dokończył, bo Maciejewski wyprowadził prawy prosty. Jak za
swoich najlepszych bokerskich dni.

*

Noc z 16 na 17 września 1939 roku

Patrzył na pobladłą, okoloną blond lokami twarz. Róża wyglądała, jakby spała, nie, poprawił się w myślach, po prostu spała. A on siedział obok jej łóżka już którąś godzinę.

Nagle otworzyła oczy.

– Zyga – powiedziała miękko.

– Jestem, potrzebujesz czegoś? Wody?

– Nie. I nie musisz przy mnie czuwać. To tylko wstrząśnienie mózgu. Trochę mnie mdli, ale poza tym czuję się dobrze.

– Wolę mieć cię na oku.

– Kochany. – Rozczuliła się i pogłaskała go po rękę.

Nie zamierzał przyznawać się, że tkwi przy łóżku nie tylko dla niej, ale też dla siebie. Po znokautowaniu chudzielca i szybkim rozejrzeniu się po mieszkaniu, w którym pełno było morfiny, kazał Zielnemu zatargać podejrzanego na komisariat, a zwolnić siostrę Stanisławę. Sam chwycił Różę w ramiona i potruchtał z nią do szpitala, wyrzucając sobie, że nie dba o kondycję. Doktor Gilanowicz zaraz zbadał Różę i na szczęście okazało się, że nie ma zagrożenia życia. Gdy odzyskała przytomność, nie chciała zostawać w szpitalu i zajmować miejsca bardziej potrzebującym opieki. Odprowadził ją do domu i został z nią.

Zalewały go czarne fale wściekłości. Zdawał sobie sprawę, że gdyby od razu poszedł na komisariat i dopadł Lewickiego, stałaby się tragedia. Odpłaciliby zwyrodnialcowi z nawiązką za to, że pobił Różę i zamierzał ją zgwałcić. Teraz chciał odczekać, uspokoić się. I dlatego siedział przy jej łóżku.

Z oddali słyhać było pomruk artylerii. Za oknem już dawno zrobiło się ciemno. Spojrzał na zegar. Dwadzieścia na pierwszą w nocy. Róża zapadła w płytką drzemkę.

Maciejewski wstał, włożył do ust niezapalonego papierosa i wycedził:

– Najwyższy czas na pogaduszki od serca.

*

Na dołku było prawie pusto, kręcili się tam tylko wartownicy. Maciejewski wszedł do celi i ciężko opadł na pryczę naprzeciw aresztanta.

– Pan żeś mi zęby wybił – zaseplecił chudzielec, z trudem poruszając rozbitymi wargami.

Trochę mi jeszcze pary w łapie zostało, ucieszył się Zyga. Wyjął papierosy i zapalki, długo, ale jak na niego bardzo cierpliwie, szukał niespalonej. Znalazł. Zaciągnął się głęboko.

– Późno już, nie będziemy się więc certolić, Lewicki. Wczoraj zabiłeś siostrę przełożoną w szpitalu Dzieciątka Jezus.

– Nikogo nie zabiłem.

– To skąd nazbierałeś sobie, żuczku boży, tyle morfiny?

– Kolega mi zostawił swój zapas.

– Kto to taki, aptekarz?

– Lekarzem jest.

– Podaj mi jego nazwisko, chętnie sprawdzę.

– Już się ewakuował z miasta.

– Wiesz co, gnojku, kłamać to trzeba umieć.

Zyga cisnął niedopałek na podłogę i przydeptał.

– Powiem ci, jak jest – zaczął komisarz. – Na pewno prędzej czy później znalazłbym dowody, że to ty zabiłeś siostrę Halinę. Tyle że nie mam czasu, bo niedługo będą tutaj Niemcy. Ty zresztą też nie masz czasu. Raz, że chyba nie chciałbyś, żeby znaleźli cię zamkniętego tutaj. Oni nie głaszczą przestępców po głowach. Dwa, że pocisz się jak wieprz, ręce ci latają. Głód się zaczyna, co? Trochę się na tym znam. Niedługo będzie cię bardzo bolało. Nie jestem złym gliną, więc mam dla ciebie propozycję.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Zyga wyjął blaszane pudełko, położył na kolanach i otworzył. Lewicki skupił wzrok na jego

zawartości. Komisarzowi wydało się, że morfinista zaczął trząść się jakby bardziej.

– Jest tu strzykawka i dwie ampułki morfiny. Na trochę wystarczy. Przyznasz się do zabójstwa i kradzieży, dostaniesz to.

Maciejewski popukał palcem w pudełko.

– I wtedy pan mnie puści?

– O puszczaniu na razie nie ma mowy.

– Ale ci Niemcy...

– Niemcami, synku, nie zaprzataj sobie głowy. To co? Przyznajesz się?

Lewicki opuścił głowę. Milczał.

– Jak tam sobie chcesz. Będę tu jeszcze kilka minut, ale nie za długo, bo muszę wracać do mojej żony, którą pobiłeś, skurwysynu – ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

Maciejewski wyszedł i zamknął celę. Przeszedł do innej, którą na biuro zamienił Kraft. Podkomisarz zorganizował sobie nawet maszynkę naftową, żeby robić kawę. Zyga miał ochotę na coś zdecydowanie mocniejszego. Pewnie zostało co nieco na piętrze w jego biurku, ale nie chciało mu się wspinać po schodach. Długi dzień wyczerpał komisarza.

Musiał na chwilę przysnąć, bo ocknął się z niezapalonym papierosem między palcami. Do uszu Maciejewskiego dotarło miarowe łomotanie. Aha, skruszał.

Otworzył drzwi celi. Lewicki stał przy pryczy, kołysał się, z jego oczu ciurkały łzy.

– Przyznaję się, przyznaję, to ja tę pielęgniarkę – seplenił, w kącikach jego ust nabrzmiewały bąbelki śliny.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Maciejewski, choć znał odpowiedź.

– Nie mogłem już tego wszystkiego znieść, bólu, tego szpitala, tych wrzasków...

– Nie – przerwał mu komisarz. – Zabiłeś siostrę przełożoną, bo jesteś wszawym morfinistą.

– Tak, przyznaję, zabiłem, ale nie chciałem. Ogłuszyć tylko chciałem, nie zabijać. Mogę już dostać? – zaskamlał.

– A pewnie.

Maciejewski powoli wyjął pudełko, otworzył i nagle odwrócił do góry dnem. Strzykawka i ampułki upadły na podłogę. Zyga zmiażdżył jeszcze szczątki butem, patrząc na szeroko otwarte usta Lewickiego, w których faktycznie brakowało przynajmniej trzech zębów.

3. Cholerny wrzesień, cholerne papiery

17 września 1939 roku

Przed oczami Maciejewski ciągle miał przodownika Prokopczuka, któremu na stare lata zamarzyło się zostać obrońcą ojczyzny. No i został. Rozerwał go szwabski szrapnel. Zyga nawet nie przepadał za policjantem, który w koło Macieju gadał, jaki to jego piękny Lwów jest lepszy od zapyziałego Lublina. Ale szkoda chłopca, niech mu ziemia lekką będzie.

Na dole z policjantów został już tylko Kraft.

– Fałniewicz poszedł? – spytał Zyga. – Zielnego zwolniłem, niech robi, co chce.

– Poszedł.

– Ty też już, Gienek, zniszcz, co masz do zniszczenia, i idź zająć się żoną i dziećmi.

Huknęło, z sufitu posypał się tynk. Obaj policjanci odruchowo się skulili.

– Zygmunt, Sowieci weszli, co będzie?

– Raczej źle niż dobrze.

Kraft wziął naręcze dokumentów.

– Spalę to i znikam. A co z tamtym? Wyje od rana.

– Na głodzie, to i wyje. Nie wiem jeszcze, co z nim pocznę.

– Tylko nie rób głupot.

Maciejewski wzruszył ramionami. Poszedł pod celę Lewickiego, wyjął papierosa. Tym razem trafił na niespaloną zapalniczkę za

pierwszym razem. Dobra wróżba? Akurat.

Z wnętrza dochodziło pojękiwanie. Mógł Lewickiego wypuścić, obiwszy mu mordę. W końcu niejednemu przestępcy się upiekło. Mógł go zabić, ale czy chciał sobie plamić ręce krwią? Przypomniał sobie, co Lewicki zrobił siostrze przełożonej. I co zrobił Róży, i zrobić chciał. W Zydze nie buzowała już czarna wściekłość tak jak wczoraj. Uspokoił się, bo wpadł na pewien pomysł.

*

Siedział w swoim zrujnowanym gabinecie. Pod stopami chrzęściło szkło z rozbitych szyb, meble pokrywały pył i kawałki tynku. Zaterkotał karabin maszynowy, blisko, jakby strzelał ledwie kilkadziesiąt metrów od komisariatu.

– Trzeba się pospieszyć – powiedział Maciejewski sam do siebie.

Przetarł rękawem marynarki blat biurka, co nie przyniosło efektu. Sięgnął do szafki i namacał flaszkę monopolki, która o dziwo przetrwała strzelaninę i wybuchy. Były w niej jeszcze ze dwie setki. Pociągnął łyk, zapalił. Przysunął do siebie maszynę do pisania, wkręcił między wałki w miarę czystą kartkę. Nie znosił sporządzania dokumentów, ale tym razem postanowił się poświęcić i napisać ten cholerny raport w ten cholerny wrześnieowy dzień. Z papierosem w ustach, nie kłopotząc się spadającym na spodnie popiołem, mozolnie wystukiwał kolejne słowa. Grube palce nie zawsze trafiały w klawisze, czcionki się zacinały, Zyga kłął jak szewc, odblokowując je.

Wypalił trzy papierosy, dopił wódkę i w końcu wyciągnął zapisaną kartkę z maszyny. Wkoło nasilała się strzelanina. Szperał po półkach i szafkach, nie mogąc znaleźć teczki. Wreszcie mu się udało. Koślawymi drukowanymi literami napisał na wierzchu: MORFINISTA, schował do środka raport i położył obok maszyny do pisania. Na teczce postawił pustą flaszkę.

Wstał. Z dołu usłyszał wycie Lewickiego. Nie przystanął. Kiedy wyjdzie z komisariatu, zapomni o tej sprawie. O wszystkim. Raz na

zawsze.

Marcin Wroński

Gliny z innej gliny

I

W maju 1968

Kierowniczką lokalu drżącą ręką odstawiła kawę na spodek i zdusiła w popielniczce oblepionego czerwoną szminką papierosa. Bez słowa wskazała salę, gdzie pracowała ekipa kryminalna.

Denatka leżała na brzuchu na niedużym orkiestrowym podeście. Zadarta krótka spódniczka, majtki wiszące na kostkach, stopy w czarnych pantoflach na płaskim obcasie, jak to u studentek i kelnerek. Najwyraźniej dała się poderwać jakiemuś klientowi, zostali sami w kawiarni po zamknięciu, wtedy zbok zaatakował. Tym jednak powinien zająć się ktoś z komendy miejskiej, nie Aleksander Maciejewski, protegowany naczelnika Świdronia. Skrzywił się, gasząc ekstra mocnego.

Zrobił dwa kroki w głąb sali i zrozumiał, dlaczego komenda miejska narobiła w pory. Martwa dziewczyna miała na gołym pośladku wypalone znamię, jakby ktoś klepnął ją w tyłek żelaznym, rozpalonym do czerwoności łapskiem. Kolejna ofiara „Ognistego”, kukułcze jajo. Maciejewski nie miał niestety pojęcia, kto mu je podrzucił.

– Dzień dobry, obywatelu poruczniku – przywitał się sierżant Leśniak. – Z torebki najwidoczniej nic nie zginęło. Jest portfel i jakieś pięćdziesiąt złotych, dowód, legitymacja studencka KUL-u, szminka i inne babskie duperele.

Śledczy nachylił się nad ciałem.

– Dobrze, spiszcie, ale dlaczego wydzwoniliście właśnie mnie? Sprawę „Ognistego” prowadzi przecież kapitan Wiejak.

– Ja zawiadomiłem oficera dyżurnego, a kogo on posłał, to nie moja sprawa. Lat dwadzieścia trzy, Zamorzyk Janina. – Milicjant podał mu

legitymację studencką w czarnej plastikowej okładce. – Kierowniczkę zatrzymać?

Maciejewski odwrócił się i zerknął na korpulentną brunetkę przy bufecie. Właśnie próbowała zapalić kolejnego carmena, ale płomień zapalki za nic nie chciał się zetknąć z papierosem.

– A co ona ma do rzeczy?

– No jak to co, obywatelu poruczniku?! – Leśniak wyduł wargi. – Ona zamykała kawiarnię wczoraj w nocy i otwierała dziś rano.

Flesz błysnął na bladej skórze martwej dziewczyny. Śledczy zbliżył dłoń do wypalonego śladu.

– To nie była ręka kobiety. To był facet wyższy ode mnie – stwierdził.

– A z czego *towarzysz* podporucznik wnosi, że to ręka? – odezwał się zjadliwie gruby technik w ortalionowym płaszczu, ani myśląc grzecznościowo podciągnąć mu szarży do trzech gwiazdek. – Dlaczego na przykład nie takie ustrojstwo jak do znakowania bydła? *Towarzysz* podporucznik obejrzy sobie jakiś western.

Towarzysz podporucznik spojrzał na niego spode łba. Nie znał człowieka. Szlag, a więc zaczęło się! Wcześniej nikt nic do niego nie miał, a przez to niedawne przejście do komendy wojewódzkiej z miejsca narobił sobie wrogów. Tylko czego bardziej zazdrościli, cholera, perspektyw przyjęcia do pionu bezpieczeństwa czy trzypokojowego mieszkania w nowym budownictwie?

– Nie jesteście tu od hipotez – warknął, wyciągając z kieszeni marynarki paczkę ekstra mocnych.

– Ja tam nawet nie wiem, co to hipoteza. Ze wsi jestem. – Technik wzruszył ramionami. – Ślad igły pod lewym przegubem łokciowym jak poprzednio. A tak w ogóle, jak chcecie palić, to wyjdźcie. Zanieczyścicie ślady.

Młody śledczy dobrze wiedział, że to tylko pretekst. Gdyby rzeczywiście na podłodze zostały jeszcze jakieś ślady, ci wszyscy milicjanci tutaj już dawno je zdeptali. Wrócił do bufetu i ciężko oparł

się o ladę. Pierwsza zapałka trzasnęła mu w palcach, druga tylko syknęła...

– Panie kapitanie... – Kierowniczką podała mu ogień.

Piła kolejną kawę, brzeg szklanki był w kilku miejscach czerwony, podobnie jak filtry carmenów w popielniczce, ale szminki na ustach i tak sporo jeszcze zostało.

– Ja naprawdę nie mam pojęcia, skąd ona tu się wzięła. Kiedy zamykałam, lokal był pusty. Pierwszy raz ją widzę, panie kapitanie! – Kierowniczką chciała chyba położyć rękę na sercu, ale przy jej gabarytach mogła tylko złapać się za biust.

– Nie jestem kapitanem – odparł. – Złóży pani zeznania na komendzie i pójdzie do domu. Lokal trzeba będzie zamknąć, przynajmniej dziś.

Wyszedł na ulicę i zaraz wpadł na jakąś wycieczkę szkolną. Nauczycielka, pokazując szyld kawiarni „Czarcia Łapa”, opowiadała dzieciom o diabelskim sądzie sprzed wieków:

– ...a wtedy biedna wdowa, oszukana przez magnata i przekupnych sędziów, zawołała: „Nawet diabeł wydałby sprawiedliwszy wyrok!”. I rzeczywiście nocą przed trybunał zajechały czarne karoce, wysiedli z nich szatani i na nowo rozpatrzyli proces, biorąc w obronę umęczoną wdowę. Na dowód zamiast podpisu jeden wypalił swoją łapę na stole, co zobaczymy w muzeum. Taką łapę jak na tym szyldzie. A szyldy, co wiecie już z lekcji, przed wiekami, kiedy panował analfabetyzm, wieszano...

Zaciągnął się i z papierosem przyklejonym do wargi poszedł w stronę Bramy Krakowskiej. W wąskich uliczkach Starego Miasta jego szeroka warszawa ledwie brała zakręty, więc zostawił ją pod budynkiem Miejskiej Rady Narodowej.

Zamyślony o mało nie wpadł na wariata, który wymachując rękami, kierował ruchem na skrzyżowaniu. Całą zimę był z nim spokój, ale w marcu znowu się pojawił. Widocznie w psychiatryku w Abramowicach o nim zapomnieli.

*

Wyście się, kurwa, przedwojennych kryminalów naczytali! – warknął komendant Grabarz.

Podporucznik Maciejewski zerknął ostrożnie na majora Świdronia, naczelnika Wydziału Śledczego. Ten jednak nawet nie podniósł oczu znad papierów. Udawał, że szuka czegoś w ściśle tajnych aktach opatrzonych kryptonimem „Ognisty”. A przecież znał je na pamięć.

Sprawa od początku była delikatna, a teraz zaczęła śmierdzieć. Olek już od półgodziny powoli pojmował, dlaczego właśnie jego wysłano do sztywnej w „Czarnej Łapie”: bo kapitana Wiejaka, który forsował hipotezę o seryjnym zabójcy, nie ma i nie będzie, a żaden ze starszych oficerów nie chciał iść w jego ślady. Oficjalnie Wiejak poprzedniego dnia złożył podanie o możliwie pilne przeniesienie do komendy powiatowej w Biłgoraju z przyczyn rodzinno-zdrowotnych. Grabarz, ludzki pan, rozpatrzył je w kwadrans i z miejsca poszedł mu na rękę. Nieoficjalnie Maciejewski wiedział, że kapitan, owszem, miał rodzinę na prowincji, ale pod Włodawą, czyli po drugiej stronie województwa. Oraz że zdrowy był jak koń, wyniki w resortowych zawodach pływackich świadczyły o tym najlepiej.

– Wam się wydaje jak Wiejakowi, że jesteście w Katowicach? – dodał pułkownik Grabarz. – Czy tylko ambicja ponad chuja sterczy?

Już Katowice to była zbyt duża kropka nad i. Olek, choć rzeczywiście odczuł chwilowy wzwód ambicji, to właśnie wszystko mu opadło. Był młody, ale nie głupi, po studiach. Całe katowickie od kilku lat huczało od plotek o „Wampirze” z Zagłębia, a kapitan Wiejak ośmielił się zaraportować, że w Lublinie zaczął grasować lepszy zawodnik. Nie żaden chamski cios tępym przedmiotem w głowę, tylko zastrzyk trucizny zwieńczony wypalonym na ciele ofiary odciskiem dłoni. I o jednym, i o drugim, tyle że na dwóch różnych krańcach Polski Ludowej, powszechnie opowiadano w kolejkach, autobusach i zakładach pracy, zaś gazety pisały jedynie o zamieszkach w Paryżu oraz imperialistycznej polityce Izraela. W kwitach dochodzeniowców

ten z katowickiego zwany był „Rybą”, a lubelskiego niefortunny oficer prowadzący niewygodną sprawę ochrzcił dla odmiany „Ognistym”. Podporucznik Maciejewski, wróciwszy z miejsca zdarzenia, naiwnie nawiązał do tego w raporcie, mimo że dysponował tylko śladem wkłucia bez ekspertyzy toksykologicznej. Teraz już rozumiał, co miał na myśli komendant miejskiej, mówiąc mu na odchodnym: „Więc ambitni jesteście, tak? Dobrze, to się chwali, może mnie przeskoczycie. Ale żadne drzewo nie łamie się tak łatwo jak topola, Maciejewski. Za szybko rośnie. Zatęsknicie jeszcze za pocziwymi włamaniami do kiosku. Zobaczycie, że zatęsknicie, ale to już nie moja sprawa”.

– W Polsce Ludowej – ciągnął Grabarz – a w Lublinie, mieście Manifestu Lipcowego w szczególności, można zarębać po pijaku szwagra, zrobić manko na kasie, okraść magazyn spółdzielni albo zwędzić komuś syrenkę. I to jest, zapamiętajcie sobie, kompletna lista przestępstw, jakie mam ochotę widzieć i o których społeczeństwo ma prawo czytać w „Kurierze”. Żadnych wampirów z czarcią łapą! Młody *poniał*?

Maciejewski wyglądał jak ostatni ćwok! W niejednym śledztwie przydarza się taki moment, kiedy faktycznie społeczeństwo powinno zostać powiadomione i poproszone o współpracę z milicją. Nie należy jednak tego nadużywać, o ile nie występują szczególne powody natury operacyjnej lub operacyjno-politycznej, tego uczyli w Szczytnie. Niestety Olek nie tylko powołał się na dotychczasowe ustalenia odsuniętego poprzednika, lecz jeszcze go przebił falstartem. Te zaś są niepolityczne i on, skoro marzył o przejściu z pionu kryminalnego do Służby Bezpieczeństwa, jak nikt inny musiał o tym pamiętać. Podporucznik posłusznie wykreślił w notatkach punkt o apelu w prasie. Rzucił okiem na podpułkownika Gozgawę, zastępcę komendanta do spraw esbeckich, który nie odezwał się ani słowem. Wyraz jego twarzy powinien być niczym papierek lakmusowy, natomiast Gozgawa miał predyspozycje do tej funkcji: na jego nalanej gębie wszystko rozpływało się równie szybko jak w błotnistym bajorze. Gryzmolił coś w notatniku – może w związku ze sprawą,

a może planował sobie nowy krój munduru galowego. Esbek, chociaż tęgi, z krótką szyją i bulwiastym nosem, nosił szyte na miarę garnitury i białe krawaty do ciemnych koszul, po włosku. Ktoś kiedyś znalazł w koszu jego szkic białego munduru milicyjnego z admiralskim akselbantem. Projektant niespełniony, mógłby chociaż dać znać, co myśli!

– *Poniał*, obywatelu pułkowniku! – Olek Maciejewski poderwał się na baczność, mimo to wciąż wydawał się sobie za mały na ten obszerny gabinet ze stołem konferencyjnym. Komendant umyślnie kazał mu usiąść na końcu, daleko od swojego biurka. Znaj, gówniarzu, swoje miejsce! Za szybko idziesz w górę.

– Czy również mogę się odmeldować? – Świdroń chrząknął.

Znacząco?, zastanowił się podporucznik. A może tylko przez te trzy paczki papierosów dziennie?

– Tak, idźcie, roboty jest od cholery – powiedział Grabarz jakby pojednawczym tonem.

Milczący major Świdroń i młody podporucznik pół kroku za nim szli, mijając kolejne okna na świat i drzwi do spraw poufnych. Komenda wojewódzka, choć niczym dobry esbek dyskretnie schowana za kamienicami przy Narutowicza, niebijąca w oczy swym ogromem jak warszawski Pałac Mostowskich, była imponującym gmachem. Tak wielkim, że nawet z jej piwnic aresztowany miał widok na Syberię. I dość obszernym, aby idąc jej korytarzami z gabinetów komendantury do Wydziału Śledczego, mijając obite gąbką i skórą pomieszczenia pionu bezpieczeństwa, mieć po drodze czas na wewnętrzną samokrytykę.

Maciejewski jeszcze wczoraj dałby się posiekać, żeby być w grupie Wiejaka, teraz pomyślał o tych włamach do kiosków, które rozpracowywało się w ciągu dnia czy kilku i człowiek miał wyniki. Lecz chociaż nie uprawiał sportu, był tylko kibicem, wciąż nie mógł pojąć, dlaczego komenda lubelska nie chce się ścigać z katowicką, kto pierwszy zatrzyma swojego wampira. Czy był jakiś powód, dla którego Grabarz bał się centrali? Katowice miały wśród ofiar Gomółkę

i Gierek. Pierwsza tylko brzmiała z nazwiska jak pierwszy sekretarz KC, ale pisała się przez „ó” zamknięte i nie miała z nim nic wspólnego, natomiast druga faktycznie była krewną sekretarza wojewódzkiego na Górnym Śląsku. A ta Zamorzyk? Nic to porucznikowi nie mówiło, nikt istotny w partii ani administracji nie nosił również nazwisk poprzednich ofiar.

Może więc szło o politykę? Dziewczyna z katolickiego uniwersytetu w marcu mogła brać udział w ekscesach. Zresztą gdyby nawet, to zabójstwo reakcyjnej dziwki dobrze im zrobi. Nie boją się esbecji jak należy, gnoje, ale wampira powinni się przestraszyć.

– Obywatelu majorze... – zaczął cicho Maciejewski.

– Tak? – Naczelnik odwrócił się.

Dopiero teraz śledczy zauważył jego napięte mięśnie twarzy i to, że wciąż zwisał mu z ust niezapalony papieros. Błąd, tak oczywiste sygnały trzeba zauważać od razu!

– Pozwolicie, obywatelu majorze... Dziesięć minut dosłownie.

– No to wejdz, Olek. – Świdroń wskazał drzwi gabinetu. – I przestań, ja cię proszę, z tym obywatelem majorem, jesteśmy u siebie.

*

Podporucznik kulił się nad niskim stolikiem na obitej skajem kanapie. Ktokolwiek ją tu postawił, zapomniał, że ludzie mają na ogół więcej niż metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Albo przeciwnie, pamiętał o tym dobrze... Wuzetkę z żółtawym kremem i śledzia w oleju śledczy odsunął jak najdalej, ale zamówić musiał, bo do kawy należy się ciastko, a do wódki zakąska. Kawiarnia „Trojka” nie robiła wyjątków.

– Jeszcze raz to samo, proszę pani! – Skinął na kelnerkę w czepku mającym chyba przypominać ludowe nakrycie głowy któregoś z bratnich narodów Związku Radzieckiego.

Baba podeszła powoli, ale czego można wymagać od kogoś, kto proporcjami przypomina matrioszkę. Po dwóch papierosach

przyniosła czarną lurę i setkę wódki, a do tego kolejnego śledzia i kolejną wuzetkę.

Śledczy zapalił. To, co powiedział mu Świdroń, początkowo nawet go pocieszyło: słusznie typował sprawę jako polityczną. Jednak o suchym pysku trudno mu było myśleć o wnioskach z ich nieoficjalnej narady.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, Olek, z tego może być prowokacja antysemitcka – szepnął mu Świdroń, jeszcze bardziej pogłaśniając radio, w którym Niemen zawodził, że dziwny jest ten świat. I miał rację, hipis cholerny.

– No ja rozumiem, panie Zdzisławie, że ekstrema, syjoniści, Kuronie i inna reakcja. Ale co ma taki zboczeniec do Żydów?

– Rok temu to byłaby raczej tylko robota zboczeńca, ale dzisiaj to równie dobrze może być mord rytualny. Historia kołem się toczy, Olek, i znowu jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o Żyda. – Naczelnik uśmiechnął się. – Wystarczy puścić w miasto plotkę. Aktyw robotniczy nie śpi.

– A kto by coś takiego zrobił?

– A skąd mam wiedzieć kto? – Major wzruszył ramionami.

W jego oczach błysnęło na moment coś takiego jak dawniej, gdy jadali śniadania w piżamach, a mały Olek nie bardzo rozumiał, dlaczego musi mu mówić „wujku”, a nie „tato”. Zrozumiał w pięćdziesiątym szóstym, kiedy Gomułka został pierwszym sekretarzem, a matka przestała dygotać na każde niespodziewane pukanie do drzwi i rozstała się z milicjantem. Zgodnie i kulturalnie.

– Grabarz już raz miał coś takiego w gardle i wypluł. Ba, mało nie wyrzygał! – Świdroń zaśmiał się. – W czterdziestym piątym. Ale ktoś mu pomógł i Grabarz wkrótce awansował. Moja rada, Olek, idź z tym do ojca.

– Co?! – Podporucznik poderwał się z krzesła. – Nawet nie pamiętam, jak wygląda!

W szkole Olek musiał iść w zaparte, kiedy koledzy pytali, kim jest jego prawdziwy ojciec. Bezbłędnie recytował wersję wbity mu do

głowy przez wujka Zdzisia; mało kto wiedział, że granatowy policjant, faszystowski kolaborant, tkwił jak drzazga w jego papierach. Gdyby nie protekcja Świdronia, nie trafiłby po studiach i wojsku na kurs oficerski do Szczytna. On mu pomógł. Ojcu, prócz kłopotów, nie zawdzięczał niczego.

– A ja myślę, że jednak pamiętasz. I lepiej dla ciebie, żebyście porozmawiali. – Naczelnik pokiwał głową. – *Aluzju poniał?* To on wtedy rozwiązał sprawę za Grabarza.

– Jest jakieś inne wyjście? – Podporucznik opadł na krzesło i sięgnął po papierosa.

– Praktycznie nie ma, Olek. Sam jesteś jeszcze za cienki na tę historię, a jeśli sądzisz, że ci pomogę, to wybacz... Chciałbym dociągnąć do emerytury za tym biurkiem. Zresztą jeśli ja teraz spadnę w dół, ty polecisz razem ze mną. – I nie czekając, aż młody Maciejewski cokolwiek powie, kontynuował: – Drugie wyjście to tylko Warszawa, bo nasz pion bezpieczeństwa najwyraźniej nie chce wziąć tego na siebie. Przyślą kogoś, kto rozstawi wszystkich po kątach, i głowy polecą. Oj, poturlają się jak cholera! Ty wylądujesz na jakimś zapyziałym posterunku pod Chełmem. Na stanowisku kierowniczym, oczywiście – pocieszył go Świdroń, gasząc papierosa. – Przy okazji, jak ci się mieszka z Wandzią na LSM-ach? Nowe osiedle, ładna okolica, dużo zieleni, szkołę budują, podobno i przedszkole. A skoro z Wandzią spodziewacie się dziecka...

Olkowi ekstra mocny naraz przestał smakować, chociaż to z pewnością nie była żadna felerna partia. Ani nie palił się jak lont, bo dorzucano słomy, ani nie eksplodował fajerwerkami, bo ktoś w fabryce podebrał liści tytoniu i braki wagowe uzupełnił pociętymi lodygami. Papieros był, jak się należy, tylko wiedza przełożonego ponad kartotekę personalną. Akurat Świdroniowi o spodziewanym potomku Olek powiedziałby pierwszemu, tylko chciał poczekać, aż brzuch żony będzie wyraźny jak dobry dowód rzeczowy.

– Dobrze, pójdę już, panie Zdzisławie. – Młody oficer westchnął.

Bez błędnie trafił pod rozpadającą się rudę z zaśmieconym podwórkiem, tyle że nikogo nie zastał. Postanowił więc trochę się wzmocnić przed rozmową z wrogiem Polski Ludowej. „Trojka” była najbliższej.

II

Zyga Maciejewski, komisarz przedwojennej policji, wypił dwa duże jasne przy budce na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Lipowej, a teraz szedł sobie lekko w stronę Konopnickiej, gdzie jego przedwojenny podwładny, Witek Fańiewicz, prowadził mały sklep zoologiczny. Zyga najbliższej miał przez Szopena, lecz wybrał dłuższą trasę. Nie chciał oglądać dawnej siedziby NKWD i Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Wprawdzie z kamienic dawno zniknęły złowróżbne czerwone tablice, ale w nim te miejsca wciąż budziły jak najgorsze wspomnienia. Choć ostatecznie wywinął się, wystarczyło tylko wstawić sobie sztuczne zęby. Fańiewicz też wyszedł żywy, niestety ze sztywną nogą.

Po drodze Zyga wstąpił do monopolowego i z dwiema setkami wódki w kieszeniach marynarki zanurzył się w bramę starej kamienicy. W drzwiach suterenu przywitał go charakterystyczny zapach jak z gołębnika.

– Witek, kontrola skarbową! – zawołał, pchnąwszy drzwi.

Kanarek zaświergotał i zaczęły wrzeszczeć papugi. Poruszyła się kotara oddzielająca zaplecze.

– To ty, Zyga. – Fańiewicz oczy miał tak czerwone od wódki, że chyba tylko cudem poznał, kto przyszedł.

Na zapleczu siedział nad flaszką jeszcze jeden człowiek, zupełnie rozkrochmalony.

– Pan Feldbaum? – zdziwił się Maciejewski. Dopiero teraz sobie uświadomił, że gdy mijał jego zakład krawiecki, drzwi były zamknięte na kratę. No tak, i brakowało szyldu! – Przecież pan nie pije.

– Panie Maciejewski, ja już tam nie mieszkam, ja już tu nie pracuję. Można powiedzieć, że mnie już w ogóle nie ma. To co mam się nie napić? – Krawiec podniósł na niego szkliste oczy. Choć zawsze chudy, teraz wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z obozu.

– Stało się coś, panie Feldbaum? – Zyga podszedł bliżej. Jedna z flaszek brzęknęła ostrzegawczo, gdy poła marynarki zawadziła o blat.

– Nic, zupełnie nic! – Stary Żyd wychylił niemal pełną szklanekę.

W wypadku abstynenta to było niczym samobójstwo, jednak Feldbauma, o dziwo, nawet nie zatkało.

– Jakoś nie zabili mnie w lagrze, szczęśliwie nie pojechałem do Kielc w czterdziestym szóstym, za to wczoraj z rana przyszło do mnie dwóch panów. Też powiedzieli „kontrola skarbową”, tak jak pan przed chwilą, tylko nie na żarty. I nie ma mnie, panie Maciejewski! Nie trzeba było tak długo myśleć nad tą jesionką, bo już jej panu nie poprawię.

– A w dupie tam z jesionką! – mruknął Zyga.

Jednak Feldbaum go nie słyszał. Zmęczony walnął głową o stół i zasnął kamiennym snem.

– Daj mu na klina, jak się ocknie. – Maciejewski wyjął z kieszeni setkę. – Chciałem wyciągnąć cię dziś na ryby, ale może przyjdę innym razem.

Do domu wracał długo. Trolejbus gubił pałaki na każdym zakręcie i kierowca wychodził je zakładać, przy okazji wypalając papierosa z konduktorem. Za socjalizmu Lublin stał się obrzydliwym miejscem: najpierw stolicą Polski PKWN-owskiej, a potem nieoficjalną stolicą polskiej prowincji. Dawniej położony na środku mapy, zmienił się w tonące w brudzie Kresy, gdzie kiedyś wyrzucało się na boczny tor niewygodnych oficerów policji. Mijając LSM, Zyga widział przez zasmarowane okno krowy pasące się na trawnikach obok nowomodnych bloków, bo prowadzali je tam co twardsi chłopcy z pozostałych tu i ówdzie maleńkich gospodarstw obok dawnego folwarku świętoduskiego; póki żyli, nie dawali sobie odebrać chałupy,

kurnika i obórki pod budownictwo socjalistyczne. Nie brakował też świń łązących po chodnikach jak przed wojną w Tarnopolu. Tylko te lubelskie dla niepoznaki nosiły koszule non-iron i płaszcze z ortalionu. Nawet za okupacji nikt by czegoś podobnego nie włożył.

Jedno się wszakże nie zmieniło: gdy przed domem czekał potężnie zbudowany typ w skórzanej marynarce, a obok niego walało się kilka niedopałków, mogło to wróżyć wyłącznie kłopoty.

– Pan władza się zgubił? – mruknął Zyga, podchodząc bliżej. Gdy jednak facet spojrzał mu prosto w oczy, papieros wypadł byłemu komisarzowi z ust. – To ty? Co ty tu robisz? Coś z matką?!

– Niby co cię może obchodzić moja matka! – warknął młody Maciejewski. – Mam interes do ciebie.

– No to przyślij mi wezwanie przez dzielnicowego – warknął dawny glina – bo ja do ciebie nie mam interesu.

Nie widzieli się od matury Olka. W tym samym czasie, gdy on poszedł do Liceum Zamoyskiego jak niegdyś ojciec, matka rozstała się ze Świdroniem, ale w zgodzie, nawet załatwił jej mieszkanie. Zamieszkali przy Ogrodowej, całkiem blisko szpitala, w którym była już pielęgniarką oddziałową, i niestety za blisko nowej szkoły Olka. Chłopak nie miał nawet gdzie zapalić papierosa, żeby sąsiedzi od razu nie donieśli jak nie starej, to dyrowi. Za to poznał wreszcie swojego prawdziwego ojca i powoli przekonywał się do tego oschłego faceta z krzywo zrosniętym nosem, zapraszanego raz w miesiącu na niedzielny obiad. Olek wyczuwał, że chętnie widywałby syna częściej, lecz matka zawarła z nim jakiś tajny kontrakt, jak wcześniej z „wujkiem Zdzisławem”. Układało się powoli, aż do matury właśnie. Olek powiedział, że będzie zdawał na prawo na UMCS, a potem pójdzie pracować do milicji. Matka przyznała, że to niezły pomysł; chociażby stanął na uszach, nie dostanie się przecież na aplikację, bo nie jest z prawniczej rodziny. Po medycynie albo stomatologii może dałaby radę coś dla niego uprosić, lecz skoro prawo... Ojciec natomiast się wściekł. Przypomniawszy matce, że ona za sanacji zdobyła zawód, chociaż była z domu dziecka, a teraz oboje kombinują jak w Rosji

Sowieckiej. Tak, sama jest jak Sowietka i jeszcze wychowała *jego* syna na człowieka radzieckiego!

Tyle zrozumiał z ich kłótni gwałtownie rozpoczętej nad rosółem, bo zaraz zaczęła przypominać wymianę nienawistnych kryptonimów znanych tylko zaangażowanym w sprawę. Tak przynajmniej myślał o tamtym zdarzeniu teraz, jako oficer milicji, bo wówczas jedynie wstał i odsunął zupę. Poderwał się również ojciec i przez chwilę dwaj rośli mężczyźni, stary i młody, stali jak bokserzy w swych narożnikach. Stary uczynił gest, jakby chciał wzniesć ręce niczym ksiądz w kościele, lecz młody zapytał tylko, jakim prawem właściwie ten pan uważa się za jego ojca. Matka nie odpowiedziała. Sam wskazał mu drzwi, chociaż to był raczej teatr odegrany dla matki.

Coś szczególnego nastąpiło w jego ostatnim spojrzeniu, myślał czasem Olek, ale nie przesadzał, bo nie miał ambicji na myśliciela. A zaraz po wakacjach wśród studentek z wydziału humanistycznego rozpoznał Wandę, tę samą i udoskonaloną zarazem wersję dziewczynki, z którą wręczał kwiaty Bierutowi. Nie żeby jakoś szczególnie o niej myślał, ale nieoczekiwane spotkanie po dziesięciu latach było tak zabawne, że wypili cztery wina, przetańczyli całą noc i nie kończyły im się tematy do rozmowy. Miał studia, swoje plany i najładniejszą dziewczynę na uniwersytecie. Matka, ojciec tym bardziej, co go wtedy obchodzili?...

– Pamiętasz Grabarza i twoje śledztwo w czterdziestym piątym? – spytał młody Maciejewski. Ojciec czy nie ojciec, źródło operacyjne, tak sobie powtarzał.

Sklął się jednak w myślach, że za wcześnie zagrał tą kartą z rękawa, ale chyba niepotrzebnie, bo stary Maciejewski się zamyślił.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał po chwili.

– Od Świdronia. Major Świdroń, naczelnik Śledczego w wojewódzkiej. Mój przełożony.

– Więc nie jesteś esbkiem? – Zyga przyjrzał się synowi jakby życzliwiej.

– Nie. – Olek Maciejewski pokręcił głową. I od razu poczuł, że operacyjnie to była dobra odpowiedź.

*

Po sprawie z czterdziestego piątego, za którą Grabarz dostał awans, pozostał tylko jeden jawny ślad: poźółkły „Sztandar Ludu”, który teraz młody milicjant trzymał w rękach.

ZDEMASKOWANA PROWOKACJA LUBELSKICH NAŚLADOWCÓW HITLERA

Dnia 18 IX b.r. szajka NSZ-etowskich prowokatorów próbowała wywołać ekscesy antyżydowskie, wykorzystując fakt zniknięcia 14-letniej dziewczynki, Zofii Koprowskiej. Lubelscy naśladowcy hitlerowskich metod puścili pogłoskę, jakoby Żydzi uprowadzili dziewczynkę, aby ją zamordować do celów rytualnych. W wyniku prowokacji przy ul. Lubartowskiej 18 zbiegły się grupy mętów społecznych podsycane przez prowokacyjne elementy NSZ-etowskie, chcąc demolować mieszkania żydowskie. Sprawą zajęły się Organy Bezpieczeństwa. Stwierdzono – 17 IX znikła Zofia Koprowska z domu. Zofia, nie zdawszy do 7-go oddziału, podrobiła świadectwo szkolne, pokazując je ojcu. Ten chciał je wykorzystać do zapisania córki do gimn. im. Vetterów – 17 IX Zofia w obawie przed ojcem uciekła do W-wy. Ojciec, nie zastawszy córki w domu, zameldował o tym 18 IX do Milicji. Trzy dni potem rodzice odebrali zdrową i całą dziewczynkę z Komendy Miejskiej MO.

– I tylko tyle? – zapytał. – Równie dobrze mogłem pójść do biblioteki.

– Mogłeś, synek – burknął Zyga.

Siedział na taborecie po drugiej stronie starego stołu, z którego blatu całkiem zeszła politura. Dalej stało rozgrzebane łóżko i podrdzewiały piec. Typowa pijacka melina. Kilka takich

podporucznik miał okazję zwiedzić na początku służby. Jednak zawartość starej walizy zdjętej przez ojca z chwiejącej się szafy już mniej do tego miejsca pasowała: trochę gazet, kilka jeszcze sprzed wojny, nieco dokumentów i szwabska książka, *Der Prozess* jakiegoś Kafki, coś prawniczego?...

Ojciec przelał zawartość wyjętej z kieszeni setki do musztardówki. Na elektrycznej maszynie w kuchni szumiał cicho czajnik.

– Świdroń mówił, że masz wiedzę o tej sprawie – powiedział podporucznik tak spokojnie, jakby mu średnio zależało.

– „Masz wiedzę”? – Zyga się uśmiechnął. – Więc to będzie taka gadka! Jak glina z gliną, nie? Ale my jesteśmy gliny z innej gliny, synek. Gadam z tobą tylko przez sentyment do matki i bo nie jesteś z bezpieki. Choć póki co wierzę wyłącznie na słowo.

Olek wyjął z kieszeni legitymację w plastikowej okładce i rzucił ją na stół. Ojciec nawet na nią nie spojrział.

– Chcesz kawy? – zapytał. – Nie taka jak przed wojną, ale przynajmniej nie z cykorii.

Młody Maciejewski wypił od rana już chyba pięć i czuł, że zaraz eksploduje, ale to nie był najlepszy moment, żeby mówić „nie”. Niezależnie od tematu.

– Poproszę, tylko bez mleka.

– A co to ja pedał jestem? – burknął z kuchni przedwojenny komisarz. – No, referuj, jaką ty masz wiedzę.

Właściwie to było głównie nie wiedza, o czym przekonało Olka kilka celnych pytań, jakie zadał mu ojciec. Potrafił tylko z grubsza powtórzyć rozmowę ze Świdroniem, opisać miejsce zbrodni i streścić wstępny raport lekarza – szybka śmierć, zapewne trucizna i brak śladów gwałtu, wypalone znamię. Na sekcję i toksykologię przyjdzie poczekać.

– Wątek żydowski to oczywista bzdura, ale tak żeście zbydlęcili to miasto, że ludzie mogą to kupić. – Zyga pokiwał głową. – Sprawa Koprowskiej z czterdziestego piątego była lepiej zmontowana, podparta antysemitycznymi rozruchami w Krakowie. Wszystko zależało

od szybkiej reakcji policji... znaczy milicji – poprawił się i rozlał do obu kaw resztkę wódki z musztardówki. – Grabarz posłuchał dobrej rady, no i miał jaja, trzeba przyznać. To, że sam jest Żydem, nie miało tu nic do rzeczy.

– Komendant jest Żydem? – zdziwił się podporucznik. Zaczynał rozumieć, dlaczego pułkownik miał stracha.

Tacy jak on od paru miesięcy wylatywali na zbity pysk z dużo lepszych stanowisk. Gazety sączyły jad, lecz ogólnikowo. Za to wewnętrzne biuletyny partyjne i resortowe demaskowały żydowskie pochodzenie i skryte syjonistyczne poglądy niejednego, wydawałoby się, dotąd żelaznego marksisty, zwykle dobrze ustawionego jak nie w którymś ministerstwie czy zjednoczeniu, to w wojsku, resorcie albo na jakiejś wyższej uczelni. Jeżeli w dodatku miał synalka albo córkę biorących udział w marcowych zamieszkach studenckich, wylatywał właściwie z automatu. Inni przyczajali się z nadzieją, że może burza przejdzie bokiem. Że jednak mogło to dotyczyć człowieka istotnie wrednego, jednak sprawdzonego i wcześniej w walce ze zbrojną reakcją, i potem w budowaniu socjalizmu?

– No to... – Olek ugryzł się w język, choć już zamierzał polecieć po linii partyjnej, że w takim razie sam sobie winien.

– No to co?! – oburzył się stary Maciejewski. – Że kosztem Żydów zrobicie sobie teraz więcej Lebensraumu, jakby powiedział doktor Goebbels?! – Łyknął kawy z prądem. – Ale jak mówię, to nie miało nic do rzeczy, chociaż on był Grabarz, a jego siostra nazywała się jeszcze Grejber. Ważne, że postawił się swoim towarzyszom, moczarowcom jebanym, którzy montowali pogromy. Najpierw Kraków, potem Lublin, wreszcie Kielce. Kraków przygrywka, Lublin zupełna porażka, za to w Kielcach pełen sukces.

– A twój udział? – Olek nadstawił ojcu paczkę ekstra mocnych.

– Nie rób mi tu przesłuchania. – Zyga pokręcił głową i wziął własnego sporta. – Jesteś bez kolegów, a ja wciąż jeszcze potrafię przypierdolić. Mój udział też nie ma tu nic do rzeczy. A ta twoja denatka, pogrzebałeś jej w życiorysie?

– Dwadzieścia trzy lata, niekarana, szkoła, studia. Co to za życiorys? – prychnął milicjant.

– Może za mało pogrzebałeś. Ten diabeł z legendy odciska łapę. Może to miała być wiadomość dla wszystkich ładnych dwudziestoparoletnich blondynek, że jedna z drugą są kurwy, albo to był sąd doraźny i egzekucja na tej konkretnej blondynce. Tyle że na zdradzonego chłopaka to nie wygląda. Taki toby pociął buzię żyletką.

Olek potaknął obojętnie, choć słuchając ojca, poczuł cień uznania. Stary pijak gadał jak rasowy glina, tylko naiwnie. Te wszystkie jego, że to czy tamto nie ma nic do rzeczy... Wszystko ma coś do rzeczy, bo w Polsce Ludowej nie istnieją apolityczne trupy. Major Świdroń był od stwierdzenia stanu faktycznego, podpułkownik Gozgawa od przydatności politycznej wyników, komendant Grabarz teoretycznie od syntezy zgodnie z dialektyką, lecz młody śledczy zaczął się właśnie zastanawiać, czy niczym nadbudowa w filozofii marksistowskiej, nie był w tej trójcy kwiatkiem do kożucha.

– Słuchaj, musisz ze mną pojechać do tej kawiarni.

– Ja? – Zyga się zaśmiał. – Ja jestem na emeryturze.

– Ale jesteś mi coś winien. – Podporucznik rozduśił papierosa w zarośniętej popielniczce.

– A niby dlaczego?

– Zostawiłeś matkę!

– Nieprawda.

– Nie? Widziałem w jej papierach twój pozew rozwodowy. „Jako zacieklej wróg Ludowej Ojczyzny, chcąc rozbić podstawową komórkę społeczną, jaką jest socjalistyczna rodzina, z uwagi na fakt urodzenia dziecka wnoszę o rozwód z Różą Maciejewską”. Nie napisałeś tak? A może powiesz, że cię bezpieka zmusiła?

– Napisałem chyba „zajadły” i nie „ludowej”, tylko „demokratycznej”, ale w moim wieku mogę już nie pamiętać. A jeśli nie rozumiesz, że napisałem to dla waszego dobra, szkoda gadać. Twoja matka zrobiła potem... – zająknął się – ...pewnie to, co musiała.

– Ale teraz ty musisz mi pomóc... ojciec – z trudem wyrzucił z siebie Olek. – Jeśli nie rozwiążę szybko tej sprawy, to mnie nie ma.

Nawet nie przypuszczał, jaki skutek odniosą te słowa. Tym bardziej nie mógł wiedzieć, że stary Maciejewski tego dnia słyszał podobne zdanie już po raz drugi. Toteż zaraz wstał i podniósł rzucony na łóżko kapelusz. Był gotów.

*

Młody Maciejewski nerwowo palił papierosa. Ledwie zaparkował warszawę na Rady Delegatów, ojciec kazał mu poczekać i wdał się w rozmowę z wariatem, który kierował sobie ruchem. Pieprzył coś o jego obywatelskiej postawie i o inspekcji ruchu kołowego. Dlaczego psychicznego nie zdjął żaden patrol? Podporucznik miał szczerzy zamiar zrobić o to nazajutrz raban.

– Ojciec, czemu mi robisz na złość? – zapytał, kiedy weszli na Stare Miasto.

– Na złość? – zdziwił się Zyga. – Rozpytałem świadka. Wczoraj późnym wieczorem widział tu czarną wołgę.

– To kretyn!

– A wy niby mądrzy? – zaśmiał się stary Maciejewski.

Milicjant zerwał plomby i weszli do kawiarni. Rozłożył na stoliku zdjęcia denatki, ale ojciec nie od razu się nimi zainteresował. Najpierw obejrzał zamek u drzwi, potem z różnych stron obrys ciała, na koniec zszedł do piwnicy. Olek rzucił marynarkę na krzesło i ruszył za nim.

– Szukasz przedwojennego wina? – wycedził.

– Wolę wódkę – odparł dawny komisarz. Rozejrzał się po ścianach, wszystkie były zastawione skrzynkami pełnymi pustych butelek. – Wygląda, że nie ma przejścia.

– A skąd by się miało wziąć? – Olek wzruszył ramionami.

– Stąd, że Stare Miasto wyremontowaliście tylko od frontu, po wierzchu, a fundamentami nikt się nie zajął. – Zyga zajrzał za

skrzynki, ale za nimi była jedynie wilgotna ceglana ściana. – Tu są lochy. Przed wojną chcieli je nawet zbadać.

– Że niby on mógł tu wejść od piwnicy, a nie włamać się drzwiami?

– Dlaczego mówisz „on”? – Zyga otworzył szeroko oczy. – Ich było przecież dwoje. Pytanie, dlaczego z nim poszła.

– Ty też tu ze mną przyszedłeś! – zarechotał milicjant.

Zyga podrapał się po łysinie.

– Niegłupia hipoteza – stwierdził. – Wracamy na górę.

Olek zupełnie nie rozumiał, co ojciec miał na myśli, mówiąc o hipotezie. Że niby tamten zboczeniec zwabił dziewczynę do nieczynnej kawiarni, bo chciał jej pokazać coś ciekawego? Klaser ze znaczkami czy jak?!

Zgasił światło i zamknął drzwi piwnicy. A kiedy się odwrócił, stary Maciejewski buszował już za barem.

– Siadaj. – Wskazał synowi wysokie krzesło.

– Po co? – zdziwił się Olek.

– Skoro już przyszliśmy do knajpy, tobym się napił. – Zyga sięgnął po wyborową i nalał po setce. – Ty nie? Jesteśmy podobno rodziną.

III

Drzwi trzepnęły o futrynę, Olkowi pociemniało w oczach. Że rano przed wyjściem do szkoły Wanda w ogóle go zauważyła, świadczył tylko talerz z jajecznicą postawiony z takim rozmachem, że kilka żółtawych glutów chlapnęło na ceratę. Nie tknął śniadania. Wszystko go brzydziło i wszystko mu śmierdziało, łącznie z własnym oddechem. Wódka wódką, a papierosy papierosami, lecz młody Maciejewski pomyślał, że być może cuchną mu wyrzuty sumienia. Żona była w piątym miesiącu, już widać było powiększony brzuch, dawały się odczuć jej humory i co drugi dzień miała zachcianki. Obiecał kupić czekolady i wrócić wcześniej. Mógł, cholera, przynieść czekoladę, zjeść z Wandzią obiad, a do ojca pójść wieczorem. Na jedno by wyszło. Co

gorsza, zadzwonił telefon, i to tak głośno, że mało nie rozerwało mu łba.

– Halo? – burknął, gdy się dowłókł do stolika w przedpokoju.

– Olek, powiedz mi, proszę, czy ja cię źle wychowałam? – W słuchawce odezwała się naburmuszona matka. – Masz żonę, niedługo będziecie mieli dziecko, a ty cały wieczór chodzisz gdzieś z tymi swoimi kolegami pijakami! I ja przez ciebie całą noc nie śpię, tylko myślę...

Położył jazgoczącą słuchawkę na stoliku i zerknął w lustro. Spoglądający na niego facet wyglądał tak, że tylko go wylegitymować. Komu jeszcze twoja stara doniosła? To pytanie dało się wyczytać w jego spojrzeniu.

– Mamo, u ojca byłem – powiedział syn marnotrawny, znów przykładając do ucha zimny ebonit.

Różę Maciejewską na chwilę zatkało. Obawiał się, że właśnie zbiera siły do tym większych pretensji, ale go zaskoczyła.

– Oj, to dobrze, synku. I co u niego? Zdrowy?

– Jak cholera, mamusiu – powiedział i z ulgą zakończył rozmowę.

Zrobiło mu się nieco lepiej dopiero, gdy dochodząc do cmentarza, zgasił na chodniku drugiego ekstra mocnego.

To wszystko nie tak miało wyglądać. Ojciec miał go posłuchać bez żadnych warunków, w końcu był mu coś winien za schrzanięte dzieciństwo. A nawet jeśli skończyłoby się na wódce, to stary miał się zwalić pod stół, rzygać i bełkotać, natomiast Olek miał dziarsko wstać i jeszcze wrócić do domu samochodem. Co że po spożyciu? Lublin i tak od wyzwolenia chodzi spać z kurami, a milicjanci nie łapią innych milicjantów, zwłaszcza z komendy wojewódzkiej.

Tymczasem podporucznik najpierw pomylił bloki, bo wszystkie pobudowali takie same, potem ledwo wdrapał się na trzecie piętro, a gdy padł na łóżko, ono z miejsca zaczęło odstawiać karuzelę...

I że też musiał tak zalać pałę akurat teraz! Normalnie wzięłby zwolnienie lekarskie i miałby w dupie, kto kogo dźgnął po pijaku.

Doczłapał na komendę, zameldował się Świdroniowi. Przez kilka minut ledwie słyszał, co mówi do niego major.

Naraz wytrzeźwiał.

– Jak to pracowała dla Służby Bezpieczeństwa?! – Potrząsnął głową.
– I nikt nam tego wczoraj nie powiedział?

– Ta Zamorzyk nie była funkcjonariuszką, tylko tajną współpracowniczką. Wy jacyś nieprzytomni jesteście!

Śledczy zmartwiał. Już urobił ojca, a tu zanosilo się na to, że bezpieczeństwo przejmie sprawę. A jeśli nawet nie, to wydeleguje śledczego, który w razie powodzenia spije całą śmietankę, a w razie niepowodzenia kopnie młodego Maciejewskiego w dupę.

– Nie, ze mną wszystko w porządku. – Nabrał powietrza. – Prowadziłem czynności i...

– Olek, nie pierdol! – przerwał mu Świdroń. – Gołdę piłeś, a nie prowadziłeś czynności.

– Potrzebuję kilku dni, góra tygodnia – obiecał młody Maciejewski.

Może i zabrzmiało to szczerze, może nawet wiarygodnie, jednak wciąż nie miał nic. Tyle dobrego, że znalazł pretekst, by urwać się z komendy – ktoś musiał zdecydować, czy można otworzyć już kawiarnię i podpisać protokół zdjęcia pieczęci. A przy okazji Olek chciał sprawdzić, czy jego warszawa stoi jeszcze na Rady Delegatów, czy ma aby koła i wycieraczki.

*

I dobrze jest, kurwa jego mać! – wywodził oparty o budkę z piwem grubas w robociarskiej kurtce. – Ma być demokracja i socjalizm, tak?

– Ma być, ale nie powiedzieli kiedy. – Zyga Maciejewski umoczył usta w jasnym pełnym. Było ciepławe, za to kufel dostał nawet czysty i mało wyszczerbiony.

– Jak nie powiedzieli?! Właśnie mówią. – Robotnik nie wyglądał na członka PZPR, jednak sądząc po pijackim nosie, mógł być nieślubnym synem ministra Moczara. – Syjoniści do Syjamu! Nareszcie... Nie

będzie tak, że gudłajstwo idzie w dyrektory, kurwa jego mać, a my musimy od rana pić tę szczynę, i to na stojaka.

– No, na stojaka. – Maciejewski pokiwał głową.

Facet, jakby zapomniał, co przed chwilą mówił, ze smakowitym mlaśnięciem dopił piwo i kiwnął do kioskarza, by dawał kolejne. Reszta klientów, też głównie w robociarskich ubraniach, otoczyła grubasa. Jak na wiecu.

– Żeście słyszeli o tej zabitej dziewczynie na Starówie, tak? A w „Kurierze” który czytał? Pan żeś czytał? – spytał Zyge, a gdy ten pokręcił głową, bardzo się ucieszył. – A widzisz pan! Bo kto rządzi państwową prasą, jak nie Żydzi?! Nie napiszą przecież o Polce, którą jakiś gudłaj zgwałcił, zarznął i jeszcze wyciął jej na brzuchu gwiazdę Dawida!

– Ja słyszałem, że nie na brzuchu, tylko na dupie. I nie gwiazdę, tylko... – Maciejewski zaciągnął się głęboko papierosem – ...tylko jakąś figurę.

– Panie, co pan żeś mógł słyszeć?! – Grubas odstawił piwo na wąski blat, aż chlupnęło. – Ja tam wiem, bo mam szwagra milicjanta. By nie kłamał, nie przy wódce, tak?

I w takt kolejnych pociągnięć z brudnego kufła popłynęła legenda lepsza od tych dawnych o Czarciej Łapie, Pięknej Złotniczance albo Kamieniu Nieszczęścia. Żydy podpuściły studentów, zresztą co w tym trudnego, bo kto ma czas na studiowanie, jak nie synkowie żydokomuny?! Ci właśnie zaczęli robić w marcu ruchawki, a tymczasem któryś z ich ojców zaczął zabijać. Przed wojną potrzebowali krwi do macy; po wojnie, żeby się odkarmić po gettach i obozach koncentracyjnych. Teraz niby zaopatrzenie coraz lepsze, ale Żyd pozostanie Żydem, tak? Ta z „Czarciej Łapy” już chyba szósta z kolei. Milicja wie, esbecja wie, ludzie wiedzą, ale póki tak jak Gomułka ktoś im się do dupy nie dobierze, nic się nie wyjaśni. Wampir z Lublina będzie mordował, kogo zechce, tak?

– „Wampir” to jest na Śląsku – burknął Zyga, spoglądając do swojego kufła. Na dnie falował dziwny osad.

– A u nas nie drugi Śląsk? Nie słyszałeś pan, że pod Łęczną dokopali się do węgla? Jest węgiel, jest drugi Śląsk, to i jest wampir! Żydowski, tak?

Dawny komisarz już otwierał usta, gdy po drugiej stronie Lipowej zatrzymała się niebieska warszawa i kierowca dwa razy zatrąbił. Maciejewski kulturalnie wylał resztkę piwa na zdeptany trawnik, mruknął „do widzenia” i przez ulicę skierował się do auta.

– Kaca leczysz? – spytał Olek z przekąsem, ruszając.

– Nie, pracuję operacyjnie, synku. – Zyga uśmiechnął się. – Jesteś mi winien za dwa piwa.

– Przewidziałem to. Masz. – Porucznik wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubo wypchaną kopertę.

*

Zygmunt, to idiotyzm – stwierdził poważnie Fałniewicz. Nabrał w grube paluchy suszonych rozwiłitek i sypnął welonom.

– Daj im lepiej robaków. – Maciejewski pogrzebał pęsetą w kubie z wijącymi się rurecznikami.

– Welonom?! Dostaną zapalenia jelit. Ale nie zmieniaj tematu, nie powinienes w to wchodzić. Sentymentalista się znalazł!

Fałniewicz podszedł do lady i ze złością zabrał przyjacielowi pęsetę. Rzucił ją na blat, nie otrząsnąwszy z robaków. Teraz jeden z nich z determinacją pełzył w stronę torebek z karmą dla ptaków. Właściciel sklepu rozduślił go palcem wskazującym.

– Ale syn mnie prosił, nie rozumiesz?

– To byłby twój syn, ale dwadzieścia parę lat temu! – Fałniewicz wycelował palec z przyklepionym trupem robaka prosto w nos Maciejewskiego. – Zniknąłeś mu, zanim nauczył się odróżniać siku od kupy, a potem co? Gówno nadrobiłeś. Teraz to już obcy człowiek. Ubek, jak oni wszyscy. Ja wciąż pamiętam, gdzie mnie okulawili. – Klepnął się w sztywną nogę i wyrecytował jednym tchem: – Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Krakowskie Przedmieście 47, Fałniewicz Witold, syn Romana, hitlerowski

kolaborant, zdrajca narodu polskiego... Ja wszystko pamiętam, a tobie co, wybite zęby nagle odrosły?! Nie bądź głupi, Zygmunt!

– Zygmunt, Zygmunt... – Były komisarz wzruszył ramionami. – Coś taki patetyczny? Zaraz zaczniesz mi mówić „panie kierowniku”, jak przed wojną?! To nic nie da, bo ja już zdecydowałem, Witek. A ty pomożesz mi albo nie, to twoja sprawa.

– Wiesz, że ci pomogę – westchnął ciężko Fałniewicz. – Ale przemyśl to, na miłość boską...

– Nie musisz, nic mi nie jesteś winien! – Zyga machnął ręką. – Też byś mnie wtedy z pierdła wyciągnął, jakbyś mógł. Chcę, żebyś mi pomógł jak były partner. Jak masz potem mieć żal, to odmów. Nie jestem panienka, żeby się obrażać.

– Dobra. – Witek wytarł dłoń o spodnie. – Co miałbym robić?

Były komisarz uśmiechnął się lekko i wyjął z kieszeni kopertę od Olka. Zerknął odruchowo na drzwi i opowiedział o trupie w „Czarciej Łapie”.

– Trzeba będzie tam pochodzić i powęszyć. Tylko nie mam nawet porządnego garnituru. Zamykaj sklep i pójdziemy do pedetu. Chyba się znajdzie coś gotowego.

– Czeka, Zyga! – Fałniewiczowi zaświeciły się oczy. – A ile jest tej forsy?

– Na razie trzy tysiące, ale rachunek w milicji mamy otwarty.

– No to niech komuna robi raz coś dobrego. Zaraz wracam.

Gdy Maciejewski został sam, zaczął drażnić welony, które głupkowato mlaskały pyskami nad powierzchnią, kiedy tylko widziały ludzką rękę. Nie zdążył jednak nawet żadnego pstryknąć palcem, bo Witek zaraz wrócił, ciągnąc ze sobą Feldbauma. Żyd miał oczy czerwone od kaca, ale gęba mu się śmiała.

– Ja dobrze słyszałem?! – zawołał od progu i wyciągnął rękę do Zygi. – Panowie mają pieniądze? Panowie się nie targują? Ja chyba zaraz wyjrzę za róg, czy czasem Orlą nie idzie już Mesjasz!

– Rozumiem, że pan teraz nadrabia miną, panie Feldbaum, ale przy mnie nie musi się pan zgrywać. Jak zatęsknię za szmoncesem, to

pójdę do kogoś na telewizję *W starym kinie* sobie obejrzeć. Niech pan nas mierzy i powie, ile czego kupić. – Maciejewski zaczął ściągać wyświechtaną marynarkę.

– Kupić?! – Krawiec oburzył się. – W państwowej galanterii? Wcisną szajs i panowie przeplacą. Dajcie zadatek i ja się wszystkim zajmę. Za trzy dni garniturki będą cud-malina! A teraz ręce do góry, panie komisarzu! – powiedział, wyciągając z kieszeni metr, kartkę i ołówek.

IV

*Wzięli Waldusia z cichej meliny.
Przyszli o świcie, było ich trzech.
I szloch się rozległ wiernej dziewczyny
Wiernej mu po ten ostatni dech*

– śpiewała tleniona blondynka oparta o pianino, na którym grał chudy facet z kozią bródką. Zbliżając się do końca zwrotki, szansonistka coraz mocniej wpadała w głęboki, smutny przydech, jak ze starych płyt. Zanim zaczęła tańczyć samotne tango, rzuciła jeszcze krótkie spojrzenie na stolik w głębi, przy którym siedziało dwóch starszych panów. Choć wcześniej nie należeli do bywalców „Czarnej Łapy”, to odkąd milicja znów pozwoliła otworzyć kawiarnię, bywali tu każdego wieczoru. I nie opuścili żadnego przedstawienia kabaretu „Czart”, mimo że ciągle szedł ten sam program stylizowany na przedwojenny folklor złodziejski. Łatwo się było domyślić, że piosenki tak naprawdę mówiły o marcowych rozruchach, po których wielu studentom przypięto paragrafy z ustawy o chuligaństwie.

Zwykle dwaj starsi panowie byli sami, dziś po raz pierwszy dosiadł się do nich ktoś jeszcze – wysoki, dobrze zbudowany młody facet w skórzanej marynarce. Albo esbek, albo badylarz.

*Noc się zza sztachet drewnianych skrada,
Chłopaki idą na nowy skok –
A ja ulicą snuję się blada,
W tragiczne tango wpada mój krok...*

Znów zerknęła na nich, jakby szukając potwierdzenia, czy nie przeszarżowała, naśladowując wykonawców przedwojennych szemranych szlagierów. Jednak przy zgaszonych światłach ich min nie mogła dojrzeć.

Dwaj starsi panowie od początku byli zagadką nie tylko dla niej, ale też dla całego zespołu. Pierwszego dnia ktoś rzucił, że to esbecja przyszła sprawdzić, czy cenzura dobrze wykonała swoją pracę, wycinając z songów i monologów najmniejsze krytyczne aluzje. Zgasił go jednak zaraz pianista, który pracując w przedsiębiorstwie „Estrada”, znał dobrze urzędników cenzury i wiedziałby, gdyby coś takiego się święciło. Dodał zresztą, że na esbeków są stanowczo za dobrze ubrani. I tu się nie pomylił.

Feldbaum, nie wiedzieć skąd, wytrzasnął materiały, o jakich klienci pedetów oraz innych sklepów państwowych mogli tylko pomarzyć. Delikatna szara wełna z lekkimi, prawie niewidocznymi z daleka czarnymi prążkami, która poszła na dwurzędowy garnitur Maciejewskiego, mogła pochodzić albo z przemytu, albo ze starych zapasów krawca. Nieco ciemniejsza marynarka Fałniewiczza z bardziej zdecydowanym wzorem była pierwszym od lat ubraniem, które nie tylko leżało idealnie na tym zwalistym inwalidzie, ale nawet go wyszczuplało. Nogawki spodni Feldbaum umyślnie zrobił nieco szersze niż Maciejewskiemu i kiedy dawny tajniak siedział, nie było widać, że ma sztywną nogę.

Koniec końców artyści z kabaretu uznali, że obaj starsi panowie są z jakiegoś przedsiębiorstwa impresaryjnego. Żaden z nich nie widział przecież, jak ten ze sztywną nogą obszedł uliczki Starego Miasta i spisał zaparkowane na nich samochody. Przy czarnej wołdze na Jezuickiej zatrzymał się nawet na chwilę, rozejrzał ostrożnie

i podniesionym z kocich łbów kawałkiem zardzewiałego drutu wyrył sporą ryse na bagażniku. Może miało to jakiś związek z odrazą do całego radzieckiego przemysłu motoryzacyjnego, a może tylko wołg nie lubił.

Artykuł dwieście pięćdziesiąt siedem...

Żeby tak chociaż paragraf dwa!

Ciekawe, ile na moją biedę

Sąd mu lat kicia w wyroku da?

– załkała dziewczyna i dostrzegła, że panowie cicho ze sobą rozmawiają.

– Piątkę da na bank – mruknął Maciejewski. – Zwłaszcza jak przypnie artykuł jeden ustawy o zaostrzeniu.

Falńewicz wypił potężny łyk piwa. Było co prawda ciepławe, ale zawsze żywiec, w sklepie nie do dostania, chyba że spod lady.

– Paragraf dwa: nadzwyczajne złagodzenie, gdy przedmiot pierwszej potrzeby i okoliczność nędzy? – upewnił się, kiedy umilkły oklaski.

– Pamiętasz! – Były komisarz uśmiechnął się. – Ale to miało być o chuliganach. Bardziej by pasował artykuł dwieście trzydzieści sześć, paragraf jeden. A jak ty myślisz, synek?

Olka denerwowała ta rozmowa, tocząca się jakby nigdy nic, chociaż siedzieli przecież w „Czarnej Łapie”, miejscu niedawnej zbrodni. Że przyszli tu obserwować, to akurat słuszne posunięcie. Właśnie okolice Rynku były przecież areną działania „Ognistego”. Milicjant nie rozumiał jednak dwóch starych gliniarzy, rozmawiających o bzdurach jakby nigdy nic, ani tych wszystkich ludzi, którzy zamiast siedzieć w domu, prowokowali niebezpiecznego przestępcę. Wandzie, gdy już ją przeprosił bukietem róż i dwiema czekoladami, stanowczo nakazał po pracy przychodzić prosto do domu; wszystkie sklepy ma na osiedlu, a jak potrzebuje rozrywki, to w dużym pokoju stoi telewizor. Spojrzała na niego protekcjonalnie

i powiedziała, żeby się nie wygłupiał i poszedł kupić kiszonych ogórków, bo na czekoladę to, owszem, miała chęć, ale we wtorek.

– Nie znam kodeksu na pamięć – mruknął Olek. – A masz już coś?

Zyga z obrzydzeniem wypił resztkę kawy ze szklanki. Że w domu taką właśnie parzył sobie już przed wojną, to jedno, ale w lokalu podawało się kawę w filiżankach. No, tylko wtedy to była kawa, a nie same łupiny! Wytarł usta papierową serwetką, łyżeczką rozbabrał fusy.

– Miną trzy dni albo trzy miesiące, albo trzy lata – zaczął monotonnym głosem zawodowego medium. – Padną trzy trupy albo trzydzieści. Znajdziesz, gdzie nie szukasz, zgubisz i znów znajdziesz...

– Co ty pieprz... – zaczął Olek, ale zaraz syknął, bo pod stołem boleśnie przygwoździła mu stopę sztywna noga Fałniewicza.

– Jak ty się do ojca odzywasz? – warknął były tajniak.

Milicjant w pierwszej chwili zapomniał języka w gębie. Już miał mu odpowiedzieć, że nie będzie go pouczał jakiś dopiero co poznany facet, w dodatku kiedyś z wyrokiem za kolaborację. Jednak nim na podest wszedł kolejny wykonawca, niski, z cwaniacką gębą, przez okno usłyszeli przeraźliwy krzyk kobiety.

Puste szklanki i kieliszki zadźwięczały ostrzegawczo na tacy, którą kelnerka akurat targała na zaplecze.

Olek poderwał się pierwszy, Zyga zaraz za nim. Fałniewicz dołączył ostatni, bo sztywna noga uwięzła mu między stolikiem a krzesłem. Nim wypadli na ulicę, tłumek kawiarnianych gości dobiegał już do Rynku. Wtem wszyscy stanęli w miejscu, niektórzy zaczynali nawet się cofać. Krzyki zamarły. Stary Maciejewski odsunął łokciem wysokiego chudzielca z brodą i długimi włosami.

Podczas gdy słuchali piosenek „Czarta”, Stare Miasto zdążyła oblepić mglista i gęsta noc. Spośród latarni zawieszonych nad bramami kamienic paliły się tylko dwie. Trzecia, po drugiej stronie Rynku, co chwilę gasła, by znowu rozbłysnąć na kilka sekund. I to właśnie ona wyłowiła samotną, wysoką postać przy Trybunale. Olek, który już odruchowo sięgał do kieszeni po legitymację, zamarł na

widok zwalistej sylwetki, która najpierw tylko stała, zapewne mierząc wzrokiem przerażonych ludzi, a potem wolno podniosła czerwoną, rozżarzoną łapę.

– Boże, wampir! – zapiszczała jakaś kobieta.

Zyga Maciejewski widział już raz coś takiego, jeszcze przed wojną, tyle że nie na żadnej ze staromiejskich uliczek, ale w kinie „Corso”, gdy wybrał się tam na *Golema* Paula Wegenera. Ten sam stwór, który na filmie podpalił średniowieczną Pragę, teraz patrzył w jego stronę i tak samo, zamiast oddechu, wypuszczał z ust dym, parę, a może mgłę. Naraz upiór zrobił krok do przodu i były komisarz zobaczył, że w drugiej ręce ściska dłoń bezwładnej dziewczyny. Zbuntowany gliniany potwór z filmu też kogoś ciągnął po bruku, ale kogo, tego już Zyga nie pamiętał.

– Witek, okrąż Trybunał, zajdź go od tyłu! – syknął do przyjaciela. – Olek, glina jesteś. Idź i go aresztuj.

Potwór jakby wyczuł ich intencje. Zanim młody Maciejewski przepchnął się między ludźmi, a Fałniewicz najszybciej jak mógł zniknął za zajmującym środek Rynku Trybunałem, golem cisnął przed siebie bezwładne ciało. Latarnia zgasła. Za chwilę znowu błysnęła, oświetlając leżącą kobietę. Potwora już jednak nie było.

Rozpłynął się w powietrzu czy jak?

Olek i Zyga pobiegli w tamtą stronę. Po chwili za nimi ruszyło też kilku co odważniejszych facetów. Podporucznik pochylił się nad leżącą, dotknął jej szyi. Stary Maciejewski potruchtał jeszcze kawałek w stronę rzędu kamienic, wyciągnął z kieszeni latarkę i zaczął zaglądać do bram.

– Tam jest! – Jeden z knajpianych gości wskazał nagle gmach Trybunału. Jednak zamilkł równie szybko, bo w wyłaniającym się zza budynku mężczyźnie rozpoznał wyższego z tych starszych panów, którzy od tygodnia przychodzili na kabaret.

Fałniewicz dokuśtykał do Maciejewskiego, otarł czoło.

– Żyje? – Zyga odwrócił się do Olka.

– A skąd mam wiedzieć?!

Milicjant szybko wstał z kolan i zlustrował przerażone twarze gapiów. Byłemu komisarzowi nie umknął drobny szczegół. Olek zdążył sięgnąć do torebki bezwładnej kobiety i wyjąć z niej coś płaskiego i pokrytego plastikiem. Mógł to być tylko bilet miesięczny albo legitymacja służbowa.

– Proszę mnie przepuścić, jestem lekarką.

Przez tłum przepchnęła się tleniona blondyna, która śpiewała kryminalne tango o Waldusiu i melinie.

Maciejewski oświetlił latarką róg budynku. Na elewacji, która od czasów pospiesznego remontu na dziesięciolecie Polski Ludowej zdążyła zszarzeć i popękać, wyraźnie odznaczał się czarny kształt diabelskiej dłoni.

*

Zyga strzepnął popiół z papierosa. Wstał, z ekstra mocnym w zębach odwrócił się od biurka i zrobił kilka kroków, jakby znudziła go rozmowa, a niespodziewanie zainteresował wiszący na drzwiach plakat „XX-lecie Milicji Obywatelskiej 1944–1964”. Maciejewski dłuższą chwilę milczał, potem zrobił gest, jakby chciał znokautować jedną z narysowanych tam postaci. Wreszcie ciężko westchnął, by po chwili znów usiąść na wprost Olka.

Jeszcze raz wziął do ręki raporty dotyczące obu ofiar wampira, diabła, golema, jak go tam zwać. Ta Zamorzyk z „Czarnej Łapy”, jak trzy dni po sekcji wykazała toksykologia, zanim naznaczył ją „Ognisty”, dostała śmiertelny zastrzyk chlorku potasu. Lekarz potwierdził brak śladów zgwałcenia i użycia przemocy, chociaż to było oczywiste dla Olka już po wstępnych oględzinach ciała. Gdyby jakiś dziennikarz wszedł w posiadanie jej pośmiertnych zdjęć, widząc wytrzeszczone oczy i półotwarte usta, napisałby, że zmarła ze strachu. Patolog oddał to jednak innymi słowami: „w wyniku czego nastąpiło zatrzymanie akcji serca w fazie rozkurczu”. Obecności chlorku potasu w ciele Jęczyk Teresy co prawda jeszcze nie stwierdzono, nie miała też wypalanej dłoni, bo jej „Ognisty” naznaczyć wyraźnie nie zdążył,

zaskoczony przez publiczność z „Czarnej Łapy”, jednak twarz ofiary wyglądała podobnie jak poprzedniej. Lekarka szansonistka niepotrzebnie się starała, masaż serca nie mógł już w niczym pomóc.

– Ale z ciebie debil! – powtórzył chyba po raz piąty Zyga.

Olek milczał. Wiedział, że ojciec ma rację, choć rano na odprawie mówiono o podporuczniku Maciejewskim zupełnie innym tonem.

Siedzieli wówczas przy tym samym stole konferencyjnym, a Olek został dopuszczony bliżej fotela Grabarza. Może właśnie dlatego zdołał nad wyraz rzeczowo zrelacjonować wydarzenia ubiegłej nocy. Gdy tylko na Rynku pojawił się patrol, on zaraz pojechał na komendę, sprawdził osoby, które rozpracowywała zabita funkcjonariuszka, i zarządził ich zatrzymanie. Poufne dane zachował dla siebie. Wkrótce na korytarzu miał pół męskiego akademika KUL-u. Studenci zeznawali, że sami byli zdziwieni: raz, że panna ładna, a taka łatwa, dwa, że w łóżku gęba jej się nie zamykała, zadzierała nogi i zasypywała pytaniami niczym pocałunkami.

– Dobrze, dobrze, ale przede wszystkim gratuluję wam, żeście zabrali jej legitymację, poruczniku – pochwalił Olka komendant. Spojrzał na podpułkownika Gozgawę. – Dopiero co straciliście te-wu, teraz etatowa funkcjonariuszka... Zapobiec nie zdołał, ale nie stracił zimnej krwi, nie uważacie?

– Słyszałem już o was, słyszałem... – Esbek odkleił wzrok od gazety.

– Zawsze mieliście dobrą opinię po linii służbowej i politycznej, więc chyba do was, towarzyszu poruczniku, mogę mówić po ludzku, a nie jak do ludu roboczego. Nie obrazicie się, że nie będę wam pierdolił?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – Olek mało nie podskoczył razem z krzesłem. – Dziękuję za wasze zaufanie.

Gozgawa jeszcze raz rozłożył płachtę „Kuriera”, jakby chciał znów zerknąć na artykuł na pierwszej stronie. Lecz litery nie zamieniły się miejscami, wciąż była tam mowa o zamordowaniu kobiety około lat trzydziestu, przy której nie znaleziono dokumentów. O zabójstwie wyjątkowo zuchwałym, bo na oczach wielu świadków, nadającym czynowi cech nie tylko przestępczych, ale też antyspołecznych

i wrogich ludowej ojczyźnie. Zważywszy na sytuację polityczną, którą wciąż usiłują destabilizować określone siły... I tak dalej. Nie do końca była to prawda, ale akurat taka nieprawda Gozgawę satysfakcjonowała.

– To tylko dla waszych uszu, Maciejewski, ale sam towarzysz minister Moczar zainteresował się waszym „Ognistym”, rozumiecie?

Olek kiwnął głową, lecz bardziej słuźbiście niż ze zrozumieniem. To przyszło ułamek sekundy później. Ojciec mówił mu, co wygaduje opinia publiczna spod budki z piwem, a teraz przyszło oświecenie. Te warszawskie *Dziady* i protesty studenckie, które rozlaży się po całym kraju, nieuchwytny „Wampir” w Zagłębiu i ten drugi w Lublinie to były tryby tego samego rewizjonistycznego planu wymierzonego w system, dzięki któremu Olek został oficerem milicji, a nie na przykład menelem. Tu nie szło o paragrafy z k.k., ale o życie i karierę.

– „Ognistego” spodziewam się mieć rozpracowanego – powiedział z przekonaniem. – Nie obiecuję wam, że w ciągu miesiąca, ale z pewnością na naszym podwórku będziemy lepsi niż komenda katowicka, towarzyszu pułkowniku.

– Jesteście pewni siebie. – Esbek spojrział znad gazety. – Przy okazji, nie składaliście kiedyś podania o przeniesienie do bezpieczeństwa?

– Tak jest – wypalił Olek.

Dopiero potem dostrzegł ostrzegawczy grymas na kamiennej twarzy Świdronia. A może tylko był zazdrosny o protegowanego? I tak już wysoko zaszedł, w końcu mało kiedy nieopierzony podporucznik jest dopuszczany do narad na szczeblu kierownictwa.

– No to macie szansę – zdecydował komendant. – Bo ja to widzę tak: jak zakończycie tę sprawę, to towarzysz pułkownik będzie waszym dłużnikiem, prawda? A i major Świdroń nie będzie miał nic przeciwko. Więc jak mówicie, zakończycie?

– Tak jest – powtórzył Maciejewski.

I faktycznie żył tą nadzieją, póki nie wrócili z majorem do Śledczego.

– Możesz już szukać chętnego na zamianę mieszkania. Gdzieś na uboczu... Uhrusk, Dorohusk – poradził jadowicie naczelnik.

– Ale dlaczego? Przecież idzie dobrze.

– Dobrze?! – Świdroń aż zakrztusił się dymem z poznańskiego. – Właśnie wlałeś na minę. Legitymację tej Jęczykówny powinieneś był spalić i spuścić w kiblu, i trzymać się wersji, że nie wiesz, nie znasz, była bez dokumentów. I jeszcze wyrwałeś się, że Zamorzyk była od nich!

– Panie Zdzisławie, przecież sam mi to pan powiedział...

– Bo myślałem, że mówię do kogo mądrego, ale ty wyżej srasz, niż dupę masz, Olek! Myślisz, że ci za to podziękują? Wpieprzyli cię właśnie w sprawę, której nie rozwiązesz. Której nie wolno ci rozwiązać. – Major zdusił papierosa i poprawił, bo cuchnący dym zaczął się snuć z innego peta, który właśnie złapał nieco żaru. – Nie chodzi tylko o Zamorzyk i Jęczyk! Zabita 13 marca Janina Jakubowska, pierwsza ofiara „Ognistego”, oficjalnie studentka romanistyki KUL-u, jak myślisz, dlaczego na nielegalnym wiecu wykrzykiwała idiotyczne postulaty? Dlaczego przierzucali z celi do celi Krystynę Wasilec, dla odmiany polonistyką UMCS-u, a kiedy wyszła, 27 marca wykończył ją „Ognisty”? W kwietniu kolejna, sekretarka z dziekanatu Akademii Medycznej, która pracowała na drugim etacie u Gozgawy. Wszystkie donosiły.

– Gdybym wiedział o tym wcześniej...

– Gdyby babcia miała wąsy... – burknął Świdroń. – Sam dopiero dziś to ustaliłem, bo nacisnąłem na SB. I co powiesz? Albo reakcyjne podziemie wstało z martwych, albo ktoś czyści miasto z niewygodnych świadków. Pamiętasz z liceum rachunek prawdopodobieństwa?

– To jak mam to odkręcić? – jęknął Maciejewski.

– Nijak, Olek! – Naczelnik Świdroń znowu zapalił i nerwowo zdmuchnął płomień z zapalki. – Mówią, że jak bozia chce kogoś ukarać, to najpierw odbiera mu rozum. Zeżrą na zakąskę do gorzały, ale sam się podstawileś! Pomagałem ci jak własnemu synowi, tyle że

ryzykować emerytury nie zamierzam. Od teraz „Ognisty” jest twój i tylko twój.

– Ale panie Zdzisławie... – jęknął Olek do zamykających się drzwi.

– Jesteście wolni, podporuczniku – usłyszał, zanim kłapnęły.

Mniej więcej to samo o rozumie podporucznika powtórzył mu ojciec, gdy usłyszał o propozycji komendanta. Olek przemilczał tylko esbeckie związki denatek i nie wspomniał, że gra toczy się o awans, o przyjęcie do bezpieki. Gdyby nie żałosna sytuacja, ze swego mataczenia mógłby być dumny.

– Ale co miałem powiedzieć? – spytał niepewnie byłego gline. – Takich ofert się nie odrzuca.

– To samo mówią ryby, kiedy widzą tłustego robaka na haczyku. – Zyga zarechotał. – Jest tysiąc sposobów, żeby nie odmówić, a jednak się wykręcić. Ale nie tylko dlatego jesteś skończonym kretyńcem! Co wczoraj schowałeś do kieszeni?

– Ja coś chowałem?! – Olek zachnął się.

– Kurwa, synek, nie denerwuj mnie! – Stary Maciejewski walnął pięścią w biurko. Kamionkowa popielniczka z obtłuczonym napisem ORMO zagrzechotała na szybie przykrywającej blat. – Co to było?

– Jej legitymacja. – Podporucznik westchnął ciężko. – Funkcjonariuszka... z bezpieczeństwa – dorzucił wbrew sobie.

Zyga pokręcił głową i sięgnął po kolejnego papierosa.

– I czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

– Zamorzyk też była od nas... Znaczący od nich. Tajna współpracowniczka.

– A poprzednie? – docisnął Zyga.

– Tak samo – wyznał milicjant.

W tej chwili, gdyby stary glina tylko zapytał, Olek pewnie by powiedział mu także o swoich planach kariery w SB i całą prawdę o rozmowie u Grabarza. Na szczęście ojcu było aż nadto. Przedwojenny komisarz poderwał się i zmasakrował niedopałek zupełnie jak Świdroń.

– Tu masz listę samochodów, które stały w pobliżu Rynku. – Rzucił na biurko kartkę zapisaną równym pismem Fałniewicza. – Marki, kolor, rejestracja. Sprawdź to. Podpisz mi przepustkę i postaraj się już dzisiaj niczego nie spieprzyć.

– Tak jest – mruknął Olek.

Przez okno widział jeszcze, jak ojciec przygląda się wozom zaparkowanym przed komendą, gada o czymś z milicjantem przy wejściu, po czym odchodzi wolnym krokiem. Dopiero gdy zniknął za bramą, młody Maciejewski spojrzał na listę. Po odcisniętych śladach długopisu można się było zorientować, że została przepisana na kolejnej stronie tego samego notesu, w którym powstał oryginał. Przy jednym samochodzie, czarnej wołdze z numerami LL-81-10, Olek zauważył odbity z pierwszej listy krzyżyk.

*

Zyga Maciejewski przeszedł się wzdłuż szpaleru wozów niczym gość z amerykańskiego filmu u handlarza używanymi autami. Niedbałym ruchem przejechał dłonią po bagażniku wołgi i skinął na milicjanta, który stał przed wejściem do komendy z kanapką w papierze.

– Obywatelu kapralu! – przywołał go niecierpliwie. – Na służbie jesteście czy na majówce w Dąbrowie?

– A wy czego tu... – zaczął mundurowy, jednak na widok wyciąganego z kieszeni notesu zupełnie zmienił ton. – A pan... a towarzysz w jakiej sprawie?

– Nie staracie się – stwierdził obojętnie Zyga, coś sobie zapisując, choć o nazwisko nie zapytał. – Kto wam tam wóz porysował? – Wskazał paskudną, głęboką rysę. – Jak to wygląda?!

– To nie mój samochód! – wykrzyknął milicjant.

– A czyj, może mój?! – warknął Maciejewski.

– Komendanta. Obywatela pułkownika Grabarza. – Mundurowy odetchnął. Nie miał pojęcia dlaczego, ale w tym facecie było coś, co mówiło wyraźnie: skoro się czepiam, znaczy mam prawo. Jakiś oficer inspekcyjny? Ważny esbek? Ktoś z komitetu?

– A złapaliście chociaż tego chuja, co mu wóz porysował? – Były komisarz zapalił papierosa, milicjanta jednak nie poczęstował. Dmuchnął mu w twarz dymem, kiedy wreszcie zdołał znaleźć w paczce niespaloną zapałkę.

– Nie, jeszcze nie. Ale czynności trwają – dodał zaraz mundurowy.

– Nie staracie się – powtórzył Zyga. – Waszemu komendantowi jakiś szczył rysuje gwoździem karoserię, partia przeżywa trudne czasy, a wy stoicie sobie jak ciele przed komendą wojewódzką i żrecie salceson. Będę miał was na oku – zapowiedział, groźnie podnosząc palec.

Milicjant zasalutował, lecz Maciejewski już tego nie widział, bo odwrócił się i wyszedł przez bramę.

*

Fałniewicza nie było, zamiast niego w sklepie rządził Feldbaum. Stary Żyd właśnie z odrazą zaczerpnął łyżką z kubła wijących się, fioletowoczerwonych robaków i wepchnął je do papierowej torebki. Trzymając ją jak najdalej od siebie, podał może jedenastoletniemu chłopcu w sandałkach i z opadającymi podkolanówkami.

– Złotówka – powiedział.

– Pan Witold zawsze sprzedawał po pięćdziesiąt groszy – sprzeciwił się dzieciak i zamilkł, zapatrzony ciekawie na oświęcimski tatuaż z pięciocyfrowym numerem.

Feldbaum obciągnął rękaw koszuli.

– Dobrze, pięćdziesiąt i uciekaj!

Gdy został sam z Maciejewskim, starannie wytarł palce w ścierkę, którą trzymał pod ladą, i zdjął komisarzowi niewidoczny pyłek z kołnierza marynarki. Chwilę przyglądał się swojemu dziełu niczym lekarz, który po skończonej kuracji widzi byłego połamania, teraz już całego i zdrowego.

– Ale smród! – jęknął, przypomniawszy sobie o niewdzięcznej roli subiekta w sklepie zoologicznym.

– A gdzie szef? – zapytał Zyga.

Feldbaum wykrzywił pogardliwie wargi, jakby to nie Fałniewicz poratował go w biedzie, ale to on z łaski zastępował sąsiada w sklepie. Już przed wojną na ogół żyli w zgodzie, ale krawiec, mimo że nie miał nic na sumieniu, wolał nadmiernie nie spoufalać się z policjantem. Po czterdziestym piątym zrobiło mu się jednak żal biedującego kaleki i to on nauczył go podstaw handlu. Ceny na robaki pan Witold mógłby jednak podnieść, chociażby przez wzgląd na straty moralne Feldbauma! No i skoro miał pracownika, to sklep musiał więcej zarabiać. Wprawdzie zaliczka, którą krawiec dostał od szefa na poczet miesięcznej pensji, była żalosna, jednak nawet trzysta złotych piechotą nie chodzi, a stary Żyd nie życzył sobie jałmużny. Skoro już tu był, zamierzał się przydać.

Na razie przydawał się tylko jako sekretarz tego drobnego geszefciarza.

– Pan Witold wyszedł, wrócił i znowu wyszedł. Powiedział, że zwiedza Stare Miasto i pan będzie wiedział. Kazał powtórzyć, że kretyn na skrzyżowaniu wczoraj znów widział wołgę, że pod budkami z piwem coraz bardziej politykują na Żydów, a milicja od rana zgarnia studentów jak w marcu. Panie Maciejewski, co wy właściwie kombinujecie? – Stary załamał ręce. – Czy to się aby nie skończy jeszcze gorzej, niż zaczęło?

– Pożyjemy, zobaczymy. – Zyga puścił do niego oko. – Szefowi proszę powtórzyć, że wszystko jasne i niech zajdzie do mnie wieczorem. Uszanowanie, panie Feldbaum. Nie powiem: „do zobaczenia w lepszych czasach”, bo dopiero by się pan wystraszył.

Trzasnęły drzwi za Maciejewskim, cicho brzęknął dzwonek. Wtedy z klatki pod sufitem odezwał się kanarek, jedyne sympatyczne stworzenie w sklepie. Feldbaum obiecał mu nawet, że go kupi, jak to wszystko się skończy. Wszedł na stołek, żeby podetknąć ulubionemu ptakowi liść sałaty, ale na widok smakołyku zaczęły wrzeszczeć papugi. Cokolwiek miały na myśli, w uszach byłego kacetowca brzmiało to jak „rrraus, rrraus, rrraus!” obozowych kapo.

*

Fałniewicz zanurzył się w ulicę Jezuicką, to znaczy Trybunalską, jak przezwano ją za Bieruta. Za dobrych sanacyjnych czasów była pełna nielegalnych burdeli, teraz całe Stare Miasto zdawało mu się jednym wielkim burdelem, i to legalnym. Z okien starych kamienic nie wyglądały już dziwki, tylko skacowany lumpenproletariat, przesiedlony z Bronowic, Starej Kaliny i Kośminka. W bramach cuchnęło moczem.

Były tajniak przypomniał sobie wywiadowcę Zielnego, z którym nieraz tu bywali, na ogół służbowo.

Miał więcej szczęścia, pomyślał, kuśtykając. Przynajmniej zginął ze spluwą w garści. Dwóch ubeków poszło do piachu.

Wyminął starszą kobietę, stąpającą niepewnie po kocich łbach. Już skręcał ku Rynkowi, kiedy zatrzymało go wołanie, którego nie słyszał od lat:

– Pan przodownik?!

Odwrócił się. Kobieta szła ku niemu, wymachując siatką z zakupami, by zachować równowagę na nierównym chodniku.

– To pan żyje, panie przodowniku?

– Żyję. – Rozejrzał się ostrożnie. – Pani mnie pomyliła...

– Nigdy w życiu! – Uśmiechnęła się szeroko, ale zaraz zamknęła usta, chyba zawstydzona swoją tanią protezą. – Pan wywiadowca mnie nie poznaje? Helena Majdan. No, Kudłata Helka!

– Poznaję! – skłamał, bo ta staruszka stojąca już nad grobem w niczym nie przypominała dawnej prostytutki. – Przepraszam panią, oczy już nie te.

– Pan zajdzie do mnie, zapraszam. – Wskazała okno na pierwszym piętrze kamienicy obok.

– Glinę pani zaprasza? – Teraz i Fałniewicz się uśmiechnął.

– Z pana tera taka glina, jak ze mnie kurwa. Pogadamy o starych czasach, bo z tą hołotą... – Splunęła.

– Może innym razem, mam tu coś do załatwienia – zaczął się wykręcać, ale bez przekonania. Stare czasy wabiły, choć patrząc na tę babę, czuł bardziej niż kiedykolwiek, że nigdy nie wróca.

– A jak sypnę, kto obrobił Wajca w trzydziestym siódmym? – Puściła oko.

Tak, teraz nie miał już wątpliwości, że stała przed nim Kudłata Helka.

– Skoro chcesz sypać, to inna rozmowa. Daj, pomogę! – Sięgnął po siatkę z zakupami.

*

Była już prawie północ, a oni wciąż siedzieli we trzech na Rurach u Zygi. Fałniewicz starał się nie dotykać niczego poza kieliszkiem, żeby nie zabrudzić nowego garnituru. Olek prawie nic nie mówił, zastanawiając się, czy dwa stare dziady naprawdę wykonały taką robotę operacyjną, czy wciskają mu kit, żeby dostać więcej forsy. Tylko prowadzący tę odprawę przy flaszcze były komisarz od początku czuł się zupełnie swobodnie.

– No więc jest tak: Olek sprawdził i nie zgadzają się numery jednego wozu. To znaczy nie ma wołgi jeżdżącej na rejestracji LL-81-10 – wyjaśnił, zwracając się do Fałniewicza. – Ani czarnej, ani czerwonej, ani w ogóle żadnej. – Uśmiechnął się cynicznie. – Syrena zarejestrowana pod tymi numerami od tygodni stoi w warsztacie.

– Któryś mechanik mógł odkręcić – wtrącił młody Maciejewski. – Jutro się zajmę tym warsztatem.

– Mógł, ale to mało ważne, zaraz się przekonasz. – Zyga pokręcił głową. – Istotne, że Witek widział wołgę z tą rejestracją na Starym Mieście, a nawet naznaczył ją gwoździem.

– Drutem – sprecyzował poważnie Fałniewicz.

– Więc drutem. A ja wołgę z taką samą rysą, chociaż na numerach LL-32-89, widziałem pod twoją komendą, Olek. To wóz Grabarza. Sama milicja mi zeznała.

Podporucznik zrozumiał, o czym ojciec gadał z mundurowym. Tylko że to wszystko wciąż nie mieściło mu się w głowie. Niby nie mieli powodu kłamać, ale...

– Ale nic na niego nie macie. Żadnych dowodów – powiedział.

– Nie, za to mamy poszlakę. – Ojciec zapalił papierosa. – Zresztą nie słyszałeś jeszcze, co ustalił pan Fałniewicz.

Stary tajniak odchrząknął i wyjął notes, choć wszystko miał w głowie.

Milicjant z niedowierzaniem słuchał o esbeckim lokalu kontaktowym przy Rynku, po tej samej wschodniej stronie, gdzie zniknął im z oczu ten wampir czy inny golem, jak nazywał go ojciec. I słuchał o piwnicy w tym samym budynku. Jeden facet chciał zrobić tam więcej miejsca na ziemniaki i jak walnął kilofem, to omal nie spadł za nim dziesięć metrów w dół. Piwnicę szybko mu zabrano, ale nie wyszedł na tym źle, bo raz, dwa dostał przydział na mieszkanie na Nowej Kalinie jako „zasłużony dla budownictwa spółdzielczego”, choć był tylko pomocnikiem magazyniera w cukrowni. W piwnicy wstawiono nowe drzwi z kratą. Lokatorzy woleli nie wiedzieć, kto tam przychodzi, trudno było jednak nie zauważyć, że zawiasy ciągle są lepkie od smaru.

– Mówiłem ci, że tam są lochy – przypomniał Olkowi ojciec. – I cholera wie, dokąd prowadzą. Mogło być tak: Grabarz umawia się z konfidentką w lokalu kontaktowym. Ta aż wkłada nowe majtki, skoro sam komendant chce z nią gadać. Grabarz zabiera ją pod jakimś pozorem na dół, daje szprycę i podrzuca do zamkniętej kawiarni od piwnicy.

– Lokatorzy kamienicy woleli się nie interesować, ale ciekawość rzecz babska i jedna taka się zainteresowała – wtrącił Fałniewicz. – Na milicji nie puściłaby pary z gęby, ale mnie to inna sprawa... – Wydarł zapisaną kartkę z notesu i położył na stole. – Rysopis. To nie Grabarz. Nie ta morda. I nie wyobrażam go sobie w białym krawacie.

Podporucznik złapał notatkę, przeczytał i bez słowa wychylił setkę. Zapalił papierosa.

– No, synek! – ponaglił Zyga.

Olek poczuł się jak gówniarz wracający z prywatki, którego ktoś wciąga do ciemnej bramy i zadaje fundamentalne pytanie: Motor czy Lublinianka? Każdy w głębi serca wie, że nie chodzi o prawidłową odpowiedź, tylko o nadanie mordobiciu pozorów słuszności. A i tak człowiek próbuje zgadnąć, po czyjej stronie jest racja i lepsza przyszłość.

– Rozpoznajesz?

– To Gozgawa – wydusił milicjant. – Pułkownik Gozgawa. Najważniejszy esbek w województwie.

Stary Maciejewski skrzywił się i nalał wódki. Wnioski dotąd szły mu jak po sznurku. Teraz Olek wrzucił piasek w tryby.

– Mój świadek mówił o baletach w tym lokalu kontaktowym. Młode panny i ten gość z pijackim nosem, noszący się jak włoski alfons – sprzeciwił się Fałniewicz.

– Ale zaraz, ojciec, no to Gozgawa czy Grabarz?! – wykrzyknął porucznik.

– Załóżmy roboczo, że jednak Grabarz. Sprawdzimy i ewentualnie damy mu spokój. Jeśli mam rację, Grabarz tej drugiej esbeczce daje taki sam zastrzyk, choćby w bramie, i znika w podziemiach – ciągnął Zyga. – Może wiedziała o nim za dużo, może nie była dość lojalna. Choćbyście nawet zrobili rewizję w całej kamienicy, i tak by to nic nie dało. Spytaj kolegów z SB, jakie mają teraz metody maskowania drzwi czy skrytek. Bo jeśli mam rację, to bez kucia murów nie znajdziesz, chyba że wiesz, gdzie szukać.

– Zaraz, skąd pan to wszystko wie? – Olek zwrócił się do Fałniewicza.

– Z pewnego źródła – mruknął były tajniak.

Chciał dodać: i obiecującego, ale się powstrzymał.

– Z pewnego źródła? Może z Radia Wolna Europa?! – zakpił podporucznik. – A motyw?

– Napij się, synek, po co te nerwy? – Zyga rozlał resztkę wódki. – Motyw? Powiem ci, jak będziemy mieli w ręku dowody. Pytanie tylko,

czy naprawdę chcesz je zobaczyć. Bo może jednak wolisz przeprowadzkę na wieś, jak ci wróżył Świdroń. No to jak, Olek, zaufasz staremu ojcu?

– Niech cię szlag! – Młody Maciejewski zakąsił kiszonym ogórkiem.

V

Choć środki masowego przekazu były pełne życzliwych rad Milicji Obywatelskiej, aby nie żałować paru groszy na solidne zamki, pułkownik Grabarz najwyraźniej wyznawał inną zasadę: jak złodziej widzi porządny zamek, to wie, że jest co kraść. Zresztą dacza komendanta nie zachęcała do kradzieży – z za płotu wyglądała jak zwykła wiejska chałupa. Sporo jeszcze ich stało za drugą górką w stronę Warszawy, choć powoli na najbliższym sławinkowskim przedmieściu zastępowały je domki jednorodzinne.

Gdy Zyga, Fałniewicz i Olek przeszli przez ogrodzenie, odkryli, że niewidoczna z drogi tylna część budynku, wysunięta ku rzeczce, ma nie tylko piętro z poddaszem, ale i dodatkowy pokój na obszernym zabudowanym balkonie.

– Ojciec, jeśli się mylisz... – syknął młody Maciejewski i poprawił na ramieniu torbę z aparatem i lampą błyskową.

– Spokojna głowa, synek, ja jestem stary saper. – Zyga manipulował przy zamku. Do otwarcia wystarczy kawałek drutu, tego był pewien, odwykł jednak od rękawiczek. – Mylę się zwykle raz. Zresztą rozejrzemy się tylko. Jak będzie czysto, znikamy.

Szczęknęła odblokowana zapadka. Były komisarz pchnął nogą drzwi i zobaczyli wąski przedpokój ze ścianami obitymi grubo lakierowanym drewnem. Nawet jeśli kiedyś żył w nim jakiś kornik, dawno zdechł. Zamiast wieszaków przybito czaszki rogatych kozłów – również na błysk pociągnięte lakierem. Obok wejścia koło szafki na buty stały kalosze, a przy nich wędka ze sztucznego tworzywa. Zyga, wiedziony wędkarskim odruchem, sięgnął po nią, zważył kij w dłoni, ale zaraz odstawił. Nie mieli czasu na zabawę.

– Witek, piwnica. Olek, na śpic.

Podporucznik kiwnął głową i wybiegł przed dom. Przykucnął w krzakach, skąd miał widok zarówno na wylot polnej drogi, jak i na dom. Nie była to wygodna pozycja, a jednak cholernie mu ulżyło. W razie czego przeskoczy ogrodzenie i wyprze się. Tak, kurwa, wszystkiego się wyprze, bo przecież nigdy go tu nie było!

Tymczasem Zyga Maciejewski rozejrzał się po pomieszczeniach. Kuchnię od razu sobie darował – w puszcze po kawie można trzymać zaskórniaki, lecz nie to, czego szukał. Podobnie *Dziela zebrane* Lenina w pokoju z telewizorem nadawały się może do ukrycia między kartkami paru dolarów, niczego więcej. W barku była tylko woda. Opukał boczne ścianki, lecz żadna nie rezonowała głucho. Biurko w gabinecie... To nazbyt oczywiste, uznał, choć dla spokoju sumienia przejrzał szuflady. Żadna nie była zamknięta na klucz i znalazł tylko stare rachunki oraz kilka nieużywanych wiecznych piór, zapewne suvenirów z jakichś konferencji partyjnych. Jedno całkiem ładne – masywne, ebonitowe, z elegancko zaokrągloną skuwką. Wsunął je do kieszeni i podszedł do regałów. Trochę książek, pamiątkowe kryształ, puchary, dość przypadkowa kolekcja płyt. Szlagiery taneczne i Mozart miały podniszczone koperty, widocznie komendant ich słuchał, natomiast albumy z radziecką muzyką ludową i wojskowymi marszami musiały być nietrafionymi prezentami; stały na półce nieskalane. Maciejewski przypomniał sobie, że Grabarz dał się poznać jako wyjątkowo muzyczny ubek, uwielbiał podśpiewywać, gdy podczas przesłuchań w ruch szły pięści i konkretniejsze narzędzia. Pamiętał takiego jednego sprzed wojny, śledczego politycznego Tomaszczyka... Podobne upodobania, najwyraźniej świnie w każdym stroju powinny łączyć się niczym proletariusze z motta „Trybuny Ludu”.

Otworzył szafkę radioli z jasnego drewna, pokręcił gałką. Pośród szumów spiker mówił coś o widokach na zwiększenie kwintali z hektara. Zyga szybko wyłączył radio. Poruszył rączką gramofonu, talerz na płyty zaczął się miarowo obracać... Bliżej parapetu stał

jeszcze jeden radioodbiornik, masywna odrapana stolica z magicznym okiem.

– Na cholere mu dwa? – mruknął do siebie Maciejewski i zaczął kręcić gałką.

Nie usłyszał jednak żadnego dźwięku. Tak jak przywoływał do porządku własnego zdezelowanego pioniera, trzepnął w odbiornik pięścią, ale zyskał tylko tyle, że odpadła perforowana tylna ścianka z dykty, odsłaniając lampy obrośnięte kłakami kurzu.

Spojrzał jeszcze raz na płyty i naraz coś go tknęło. Trudno mu było sobie wyobrazić takiego masochistę, tym bardziej złodzieja, który zainteresowałby się ciężkim, oprawionym w skaj zbiorem *Piesni narodow Sowietskogo Sojuza*, ale był mniej pokryty kurzem niż chociażby płyty Fogga.

– W mordę... – jęknął Zyga, ledwie otworzył skajowy album.

– Mam! – usłyszał z przedpokoju głos Fałniewicza. – W piwnicy jest i łapa, i tablice rejestracyjne – dodał były tajniak, stając w drzwiach.

– Ja też mam. – Maciejewski się uśmiechnął. – Zawołaj Olka. Obejrzymy to sobie razem.

Piesni narodow Sowietskogo Sojuza powinny zawierać osiem longplayów, lecz zamiast nich w przegródkach tkwiły papiery, poźółkłe i całkiem świeże. Na żadnym gramofonie nie miały prawa grać, jednak Maciejewskiemu wszystko już grało.

*

Komendant przekręcił klucz w zamku i nacisnął włącznik, światło się jednak nie zapaliło.

– *Job twoju mać!* – warknął, wchodząc. Następny kontakt był już zaraz, w pokoju.

– Ciemno wam mrugać, towarzyszu pułkowniku? – osadził go w miejscu czyjś zimny głos. Głos, który Grabarz już kiedyś słyszał.

Sięgnął po spluwę, ale oślepiło go mocne światło biurkowej lampy skierowane prosto w oczy. Ktoś wypadł z kuchni, podcinając mu nogi.

– Rzuć broń – powiedział inny głos. Ten też był mu skądś znajomy.

Czując dotyk zimnej stali na potylicy, Grabarz wypuścił z ręki pistolet. Migiem na jego przegubach zatrzasnęły się kajdanki.

– Skuty – zameldował mężczyzna, który go rozbroił.

I wtedy skrzypnął gwint żarówki wkręcanej do żyrandola.

– Maciejewski? – sapnął komendant, jeszcze nim zobaczył jego twarz.

– Miło z waszej strony, że pamiętacie po latach, towarzyszu pułkowniku. – Zyga skinął mu głową. – Pamięć fotograficzna, tak przydatna w resorcie.

– Czego chcesz? Pieniędzy? Mam, tylko... – zaczął milicjant, ale Fałniewicz nie dał mu dokończyć.

– To my zadajemy pytania – warknął.

– Tu go dawaj! – Były komisarz skierował biurkową lampę w oczy komendanta. – Więc po kolei: imię, nazwisko, urodzony...

– Co wy sobie, kurwa, myślicie?! – wrzasnął pułkownik, ale prawy sierpowy Fałniewicza zamknął mu gębę.

Witek świetnie wszedł w rolę złego policjanta, choć nie trenowali od przedwojnia. Zyga z kolei z wiecznie podpitego emeryta stał się nagle śledczym. Widocznie to prawda, że z tym jest jak z jazdą na rowerze...

– Początkowo myślałem, że pomyliłem się co do was i trzeba będzie robić włam do Gozgawy – powiedział Maciejewski, kładąc na stole powielaczową odbitkę maszynopisu cyrylicą. – To, że szef KGB pisze „towariszczu ministru Moczaru”, jak to pomogliście im w śledztwie w sprawie kilku Ukraińców, którzy „postupili na służbu w niemiecko-faszystskije wojska SS” i mordowali Żydów w Bełżcu, nawet wzbudziło moje dobre wspomnienia, Grabarz. Zastanowiło mnie jednak, dlaczego nie oprawiliście tego i nie powiesiliście za szkłem. „Za okazannuju pomoszcz Komitet prosit pieriedat’ błogodarnost’ towariszczam: naczalniku otdieła graždanskoj miliciji w Lublinie połkowniku Jakubu Grabażu i jego zamiestitielu po służbie SB Marianu Gozgawu...”. Brzmi zbyt pięknie, dlatego zacząłem grzebać w waszych płytach. I proszę! – Sięgnął po kilka kartek, dla odmiany

zapisanych odręcznie i po polsku różnymi charakterami pisma. – „Mariana Gozgawę poznałem jesienią 1943 roku w areszcie gestapo w Kraśniku i zapamiętałem go, ponieważ w odróżnieniu od innych wracał z przesłuchań niepokonyty...”. Albo to: „Gozgawa miał opinię szmalcownika i chętnie donosił do Niemców na ukrywających się Żydów...”. I jeszcze: „Jako likwidator AK miałem w 1944 roku rozkaz na egzekucję zaprzędanego okupantowi kolaboranta Mariana Gozgawy, którego nie zdołałem wykonać, a kiedy wpadłem w 1947, przesłuchiwał mnie ten sam Gozgawa jako starszy referent UB w Lublinie”. Gratuluję wam roboty operacyjnej! A nie wiecie przypadkiem, Grabarz, czy Gozgawa nie ma podobnych kwitów, tylko na was?

Zaskoczona gęba pułkownika mówiła wszystko. Maciejewski nieraz miał okazję maglować twardych przestępców, których lojalność przypominała gwarancje towarzystw ubezpieczeń wzajemnych. Milczeli tak długo, dopóki nie pękło najsłabsze ogniwo. W końcu Witek zabrał Grabarza do piwnicy, a z sąsiedniego pokoju wyszedł Olek. Był trupio blady, a kiedy sięgnął po papierosa, trzęsącymi się dłońmi ledwo włożył go do ust.

– Spokojnie. – Zyga podał synowi ogień. – To dopiero pierwszy akt. Teraz Fałniewicz pilnuje go, a twój pułkownik zbiera myśli.

– On nic nie powie, ojciec! – wybuchnął Olek. Spalił całego papierosa na trzy machy, tak jak to potrafią tylko więźniowie albo desperaci w zakładach psychiatrycznych. – To wszystko za słabe. Trzeba będzie zabić i spieprzać! Tylko, cholera, gdzie?!

Zyga plasnął go dłonią w twarz. Za moment poprawił z drugiej strony. Olek, choć silniejszy i wyższy, dał się tłuc jak kukła, a potem posadzić na kanapie.

– Gówniarzu głupi! – Ojciec złapał go za kłapy i potrząsnął. – I tak siedzisz w mniejszym szambie niż jeszcze godzinę temu. Jedyna różnica, że wcześniej nie czułeś smrodu. Naprawdę nie zrozumiałeś ostrzeżenia Świdronia? Każdy inny postrzeliłby się w stopę z broni służbowej i poszedł na chorobowe. Ja ci daję szansę, rozumiesz?

Grabarz i Gozgawa są dla siebie najlepszymi sprzymierzeńcami po linii służbowej tylko dlatego, że trzymają się wzajemnie za jaja. Utrącisz jednego, drugi też spadnie. Osobno każdy byłby do zatopienia, ale razem są jak wańka-wstańka. Zapamiętaj sobie, synek, że w twojej robocie nic tak nie sprzyja wiernej przyjaźni, jak haki. Szedłeś na rozkurz, a teraz będziesz miał komendanta w garści. Jeśli się nie zesrasz ze strachu oczywiście.

Syn potulnie kiwnął głową, a Zyga przeszedł się po pokoju i po namyśle otworzył barek. Chwilę oglądał angielskiego stocka, wybrał jednak polską żytnią.

– Grabarz nagrał sobie trzy sprawy za jednym zamachem – ciągnął.
– Pomógł koleżce pozbyć się niewygodnych dziwek. Swoją drogą, Gozgawa to debil, nie nauczył się od towarzyszy radzieckich nawet, że *gdzie żywiosz, nie jebiosz*. Dziw, że dotąd się uchował. Po drugie, wymyślił lubelskiego wampira akurat teraz, gdy w kraju aż huczy. Dobry ruch, bo kiedy ludzie boją się o najbliższych, to gównem ich obchodzi praworządność i *Dziady*, byleby spokój był. Może tego „Wampira” z Zagłębia też SB wymyśliło?... – Stary Maciejewski zadumał się przez chwilę. – Nie, aż tacy sprytni nie są, ale Grabarzowi muszę przyznać, że ma rozum i jaja. A ty, jeżeli ci się jeszcze nie skurczyły jak orzeszki, kombinuj, jak się dostać do kwitów, które trzyma Gozgawa. Niech się i esbecy czegoś boją, to dobrze wpływa na cerę.

Olek podniósł do ust podsuniętą mu butelkę.

– Za cienki jestem. – Pokręcił głową. – Ale powiedz, ojciec, dlaczego wtedy, zaraz po wojnie, Grabarz wyciągnął cię z pudła, żebyś zapobiegł pogromowi?

– Zaczynasz myśleć – pochwalił go Zyga i sam się napił. – Bo wtedy nie było Gozgawy i...

Przerwały mu krzyki. Z piwnicy dobiegł ryk, jęk i odgłosy głuchych uderzeń, jakby łbem o ścianę.

– Fałniewicz! – jęknął stary Maciejewski.

Chwycił za szyjkę niedopitą flaszkę, Olek odbezpieczył broń i zaraz zbiegli po betonowych stopniach.

Wyrwał się, sukinsyn!, myślał w panice były komisarz. Co z Witkiem?!

Pchnął drzwi i zobaczył, że akurat o przyjaciela martwił się zupełnie bez potrzeby.

Nie rzucim żłobu, skąd nasz ród.

Rozkoszne nam pomyje.

My PPR-u wierny lud,

Potężne mamy ryje.

I chcemy Polski aż po Bug.

Tak nam dopomóż wróg!

Tak nam dopomóż wróg!...

– ryczał na patriotyczną melodię Fałniewicz, okładając Grabarza grubym kablem w gumowej izolacji, jakby bił w werbel. Jednak nie te ciosy były najgorsze. Gdy pułkownik nie zdążył odpełznąć po kolejnym uderzeniu, były tajniak kopał go swoją sztywną nogą.

– Witek, kurwa, zabijesz go! – krzyknął Maciejewski.

– Nie od razu. Widzisz, że nie po głowie – warknął Fałniewicz. Odetchnął, przerwał na moment i dodał: – On też mi śpiewał Rotę, jak mnie przesłuchiwał w czterdziestym piątym. Zwłaszcza lubił „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”, skurwysyn!

– Wypuściłem pana! – jęknął Grabarz.

– Jako inwalidę. – Dawny tajniak kopnął go w brzuch i rozpoczął na nowo.

Będzie z nas każdy kradł i rył,

Byleby napaść brzucha.

Chociażby cały chlew nam zgnił,

Moskwy będziemy słuchać...

Zyga odciągnął go od komendanta. Olek Maciejewski stał w drzwiach bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Ojciec miał rację, tak czy siak tkwił po szyję w szambie, tylko już nie był pewien, które gównu gorzej mu śmierdziało. Kto mógłby teraz dać mu plecy? Błagać Świdronia? Nie ma po co. Gdyby był młodszy i jeszcze szedł w górę, to tak, ale nie te parę lat przed jego emeryturą!

Potoczył wzrokiem po ścianach z nieotynkowanej cegły, zmrużył oczy, gdy nieopatrznie skierował je ku gołej żarówce. Absolutnie nie miał chęci patrzeć akurat w tamtą stronę, ale i nie potrafił się powstrzymać. Na stole z ledwie oheblowanych desek leżało to, o czym ojciec już mu opowiedział – coś jak drewniana proteza ręki, tyle że musiałaby być za duża nawet dla faceta postury Fałniewicza. I za ciężka, bo dłoń zamiast gumą czy skórą została pokryta metalem, od którego dwa kable prowadziły do akumulatora. Skórzane szelki zwisały z niego niczym dwa szerokie liście jakiejś dziwacznej rośliny, niepodlewanej od tygodni. Na haku Olek zobaczył obszerną pałatkę z kapturem chyba największego rozmiaru, jakim tylko dysponowały wojska Układu Warszawskiego.

– Matko Boska! – stęknął.

Cofnął się, nie zauważając, że w korytarzu pod ścianą stoją foliowe worki z jakimś proszkiem. Zawadził o któryś nogą, a wtedy małe czerwone kulki z sykiem posypały się na posadzkę. Podporucznik zerknął na etykietę. GRANULAT SYLWANITU. NAWÓZ POTASOWY.

– Zaraz, zaraz, ojciec...

Wszyscy spojrzeli na niego, nawet Grabarz. Olek zdziwił się, że wciąż trzyma w ręku pistolet, więc schował go do kabury. Odchrząknął.

– „Zawartość chlorku potasu do 30 procent” – przeczytał. – Ojciec, chlorku potasu! Wytrącić go z tego nawozu to pewnie niewiele trudniejsze niż zrobić bimber.

– Brawo, Olek. – Zyga posadził dyszącego ciężko Fałniewicza na skrzynce z jabłkami i zapalił papierosa. – A co do was, towarzyszu pułkowniku, to kończymy z wami i pozorujemy napad rabunkowy.

Mój syn zabełta sprawę albo przyszyje jakiemuś draniowi i nikt nie dojdzie. – Zaciągnął się głęboko i rozejrzał dokoła.

Komendant pełzł ciężko w stronę ściany, Fałniewicz wciąż nie mógł złapać tchu, a młody Maciejewski przyglądał się różowemu nawozowi jak nieufny działkowicz.

– Chyba że zrobimy inaczej – ciągnął były komisarz. – Ty, Grabarz, po pijaku spadłeś ze schodów, a nas tu wcale nie było. Tak byłeś zajęty myślami o awansowaniu podporucznika Maciejewskiego, tak się dręczyłeś, czy zdołasz go wychować na następcę Świdronia, zanim ten odejdzie na zasłużoną emeryturę, że zapomniałeś o obluzowanym stopniu.

– Jak to następcę Świdronia? – wyrwał się młody Maciejewski. Zaraz jednak ugryzł się w język. Lepiej nie przeginać. Chociaż niedawno myślał jeszcze o karierze w SB... *Tisze jediesz, dalsze budiesz*, przypomniał sobie rosyjskie przysłowie.

Ojciec zmierzył go wściekłym spojrzeniem, a komendant kiwnął parę razy głową. Dotarł do ściany i zaczął ją obmacywać, jakby szukał dziury, w którą mógłby się wcisnąć.

– Eee! – krzyknął Fałniewicz.

Pułkownik cofnął rękę, choć już prawie chwycił metalowy kątownik, których kilka wałało się w rogu.

– Nie radzę. – Były tajniak pokręcił głową. – Ale to za mało, Zyga. A Feldbaum?

– Racja, pan Feldbaum! – Maciejewski klepnął się w czoło. – Pomożesz człowiekowi, Grabarz, Grejber, w końcu jako komunista jesteś chyba wrażliwy na problemy ludzi pracy. A Feldbaumowi nie trzeba wiele, to cichy, zupełnie niepolityczny człowiek. Wystarczy, jak się odzepi od niego skarbówka. Co wam, sukinsyny, przeszkadza stary krawiec?

– Dobra, twój syn będzie miał plecy, sprawę Feldbauma też załatwię. Oddaj papiery. – Komendant wyciągnął rękę.

– Mam ci oddać naszą polisę na życie? – zaśmiał się Zyga. – Bądź spokojny, twoje kwity skopiuję i zdeponuję w kilku miejscach. I nie

muszę ci chyba mówić, na czyich biurkach to wyląduje, jeśli któremuś z nas przytrafi się tajemniczy wypadek albo napadną go nieznani sprawcy. I co w rewanżu zezna o tobie Gozgawa, kiedy zaczniesz mu się palić koło dupy...

Grabarz kiwnął głową skwapliwie, nawet zbyt skwapliwie. Maciejewski od razu go zgasił.

– I ostatnia rzecz. Nie myśl, że coś przeoczyłem. Młody zaraz pstryknie tu parę zdjęć, ale wcześniej skoczy na górę po papier i pióro. Zaraz napiszesz nam tu obszerny życiorys ze szczególnym uwzględnieniem swojego udziału w ostatnich wypadkach. Pamiętasz, jak było w czterdziestym piątym na Krótkiej? Kazałeś nam pisać po pięć życiorysów dziennie, i to połamanymi palcami. Wasze są całe, towarzyszu pułkowniku. Póki co...

– Albo sam czart wyda na ciebie wyrok. – Fałniewicz zaczął zakładać sobie na rękę łapę diabła czy może golema. Sięgnął po skórzane szelki z akumulatorem.

VI

We wrześniu 2008 roku

Ale syf! – Seba z obrzydzeniem przełknął ślinę. Żołądek podszedł mu do gardła.

Ledwie oderwali od posadzki nieduży podest, pewnie dla orkiestry, a wyroiło się spod niego z tysiąc obrzydliwych, połyskujących robaczek. Widywał je nieraz, kiedy remontowali łazienki, pod wanną albo pralką, ale nigdy w takiej ilości. W zasadzie Seba nie brzydził się nawet pajaków, tyle że na bieganinę tego małego paskudztwa i podrygujące w pędzie odwłoki nie mógł patrzeć.

– No, rybiki. – Jarek kiwnął głową. – Kuba, chodź! Zobacz, ile tego! – zawołał kolegę, który w tym czasie zmagął się z oporną farbą na ścianach.

Trudno było uwierzyć, że remontowali jedną z najlepszych niegdyś lubelskich knajp. Remontowali albo rozpieprzali, zależy jak patrzeć.

Seba i Kuba nie myśleli o tym, nigdy tu nie przychodzili. W sumie Jarek też nie, ale jego matka, która pracowała niedaleko w wydawnictwie, prawie codziennie wpadała do „Czarciej Łapy”. Pamiętał, że kiedyś zabrała go na przedstawienie kabaretu... jak on się nazywał?... „Czart”! Był wtedy za mały, aby zrozumieć, z czego wszyscy się śmieją, a potem miał inne sprawy niż wypełnianie białych plam z dzieciństwa: ciąża Anki, przerwane studia, budowa, druga budowa, Antwerpia, kolejne dziecko, Londyn, wreszcie własna firma remontowo-budowlana.

Kuba z Jarkiem zdeptali wszystkie rybiki, podczas gdy Seba oddychał ciężko, wlewając w siebie nałęczowiankę bez gazu.

– No, podnosimy, łatwiej będzie! – Kuba pierwszy chwycił za skraj podestu.

Dźwignęli ciężkie, wilgotne deski i podpierając rękami, zaczęli stawiać je do pionu jak drabinę. Nagle jednak podest się zachwiał, bo Seba niespodziewanie odskoczył.

– Pojechało cię?! – wydarł się Jarek, który jako najwyższy dostałby dechami w łeb, gdyby Kuba przytomnie nie podparł ich ramieniem.

– Sorry, ale tam jest coś lepkiego – wzdrygnął się Seba.

Wyobraźnia pracowała. Widział gniazdo rybików, wylęgarnię Obcych, wilgotne i oślizgłe przetrwalniki, jaja, poczwarki albo cholera wie co. W przeciwieństwie do Jarka nigdy nie włączał Animal Planet i nie miał najmniejszego pojęcia, skąd się biorą te robale.

– Jakież papiery chyba... – usłyszał i dopiero wtedy otworzył oczy.

Podest stał już oparty o ścianę, a Kuba rozrywał ceratę okrywającą szarą teczkę, starannie zawiązaną na tasiemkę i jeszcze opasaną szpagatem. Seba nie pamiętał, żeby ktokolwiek oprócz jego dziadka używał szpagatu.

Kuba kucnął. Za chwilę wszyscy zobaczyli czarno-białe zdjęcia podobne do policyjnych lub raczej do tych z *Archiwum X*: czyjeś mieszkanie z wybebeszonymi papierami, piwnica, stół na narzędzia i coś jak proteza albo ręka androida. Oprócz fotografii był też czyjś

odręcznie napisany życiorys, plik kopii maszynopisów, wystukanych przez fioletową kalkę, jakiś dokument z pieczętą sądu...

– Stało się coś, panowie? Dlaczego nie pracujecie? – dobiegł ich nagle głos szefowej.

Poderwali się od razu. Pani Wanda Maciejewska, która niedawno wynajęła lokal po „Czarciej Łapie”, mimo przekroczonej sześćdziesiątki była sprawną bizneswoman. Wręcz heterą interesu. Trzymała twardą ręką kilka lokali, jakiś motel pod miastem, a teraz jeszcze wygrała przetarg, choć stanęły też do niego firmy brata poła i córki senatora.

– Znaleźliśmy tu, pod podestem. – Kuba podał jej teczkę. – To chyba trzeba gdzieś oddać. Do IPN-u czy ja wiem...

Szybko przerzuciła dokumenty i sięgnęła do torebki po telefon.

– Panowie się stąd nie ruszają – rozkazała, celując w ekipę otwartą klapką srebrnego telefonu.

Z teczką pod pachą wyszła do sąsiedniej sali i nie spuszczać wzroku z robotników, wybrała numer męża. Nie odpowiadał, więc połączyła się z drugim, z „czerwoną linią” znaną oprócz niej tylko kilku osobom.

– Olek, jestem w „Czarciej”. Przyjeżdżaj natychmiast. Nie, nie wypadek, ale rzuć wszystko i przyjeżdżaj. Czekam!

Nieprzyjemnie plasnęła zatraskiwana klapka. Pani Wanda podeszła do trójki remontowców, bez słowa wyjęła z ręki Seby mineralną i pociągnęła długi łyk.

– Coś się stało, szefowo? – spytał zaniepokojony Jarek.

– Zaraz się okaże. Któryś ma papierosa?

Nie zdążyła nawet spalić westa od Seby, gdy przed lokalem usłyszeli wściekły klakson, a potem pisk opon. Do środka wpadł gość dobrze po sześćdziesiątce, zapewne wciąż odwiedzający siłownię, to było widać po jego kłacie i ruchach. Przechwycił podejrzliwe spojrzenie Kuby wlepione w kolbę pistoletu, którą odsłoniła poła rozwianej marynarki. Spokojnie zapiął guzik i podszedł do szefowej.

– Mam młyn w firmie. Co się... – Nie dokończył, bo zauważył już teczkę.

Tak jak pani Wanda przejrzał pospiesznie zawartość. Starannie zawiązał tasiemkę i uważniej przyjrzał się żonie.

– Znowu palisz?

Seba wyciągnął papierosy, ale facet pokręcił głową.

– Uwierzyłbyś, że tutaj to schował? – powiedziała Maciejewska. – Tylko jak to zrobił?

– Ojciec miał swoje sposoby... – Dawny milicjant zamyślił się.

Cholera, gdyby zatrudniał kogoś takiego w swojej agencji detektywistycznej! Rozumiał tę robotę od każdej strony. A jednak był przedwojenny! Olek nieraz prosił: „Nie pracuję w esbecji, tylko w kryminalnym. Czego jeszcze chcesz?! Powiedz, gdzie są kwity Grabarza”. Ta resztką dawnego Zygi Maciejewskiego, jakiej nie zniszczyła wódka i papierosy, z tępym uporem patrzyła wtedy w ekran czarno-białego telewizora, na którym pierwszy Polak leciał w kosmos.

„Widzisz, ojciec, co się porobiło”, przekonywał dwa i pół roku później, gdy inny pierwszy Polak zbuntował robotników w całym kraju. „Nie masz pojęcia, ilu tych sukinsynów było podczepionych pod Gozgawę. Gdzie to schowałeś? Słuchaj, on teraz leci w dół, a ja potrzebuję forsy. Chcesz, żeby twoje wnuczki tu dorastały?! Trzeba pomyśleć o jakichś studiach dla nich. W RFN-ie, może w Anglii...”. Nie pomogło.

A krótko później, przed śmiercią, stary – gdy papiery byłego komendanta pewnie mu już wisiały – jak na złość stracił głos i władzę w kończynach, więc napisać już nic nie mógł. Olek Maciejewski nawet machnął ręką na kwity, dopóki w obieg nie weszli synowie dawnych prominentów. Media niemal codziennie wymieniały nazwisko senatora Gozgawy, który z zapalem krytykował Unię Europejską i piętnował cywilizację śmierci ostrzej niż papież Polak. W wolnych chwilach jeździł polować na Białoruś, oczywiście by na łonie przyrody dodawać otuchy przyjaciółom z tamtejszej opozycji. Maciejewski

wątpił, by dysydemtom dawano pozwolenia na broń myśliwską, ale oficerowie KGB z pewnością cenili męski sport i polskiego towarzysza łowów.

Któryś z robotników chrząknął, skrępowany przedłużającą się ciszą. Olek westchnął, z namysłem potarł czoło i spojrzał na Jarka.

– Pan jest szefem ekipy?

Jarek skinął głową, zastanawiając się, jak ten facet to odgadł. Wszyscy trzej pracowali przecież razem, byli tak samo spoceni i pokryci kurzem. Widocznie miał nie tylko giwerę pod marynarką, ale też rentgen w oczach.

– Maciejewski, Aleksander Maciejewski – przedstawił się niczym James Bond, wyciągając rękę najpierw do Jarka, potem do Kuby i Seby. – Panowie wyglądają na rozsądnych i zrobimy tak: każdy z panów dostanie, powiedzmy... dwa tysiące do ręki i żadnej teczki nigdy tu nie było. To raz. Dwa: córka i zięć właśnie postawili dom pod Lublinem, stan surowy, ile tam metrów kwadratowych, to nie wiem, ale rowerem można po chałupie jeździć. Cała wykończeniówka do zrobienia. Jak panowie dadzą cenę nawet z górnej półki, ale w granicach rozsądku, to pracy dla panów nie zabraknie. A chyba i motelowi nie zaszkodziłby remont, co, Wandziu? – zwrócił się do żony.

– Żadnej teczki tu nie było – odparł Jarek. – Zresztą niech pan sam spojrzy, ile robactwa! – Rozmazał butem plamę po rybikach. – Czy jakieś papiery uchowałyby się w takim syfie?

Marcin Wroński

Kryptonim „Fatum”

I

W styczniu 1982 roku

Chłopiec w niebieskim skafandrze pośliznął się na oblodzonym chodniku, ale bólu stłuczonego kolana nawet nie poczuł. Podniósł się i pobiegł dalej. Rąbek rozdartej komży ministranta wystającej spod zimowej kurtki ciągnął się za nim, zabawny jak podkulony ogon psa ściganego przez chuliganów z osiedla.

Blok przy Brzeskiej 5 miał pięć klatek i dziesięć pięter. Za dziesięć ósma od strony ulicy był ciemny, nie licząc kilku mdłych żarówek w małych pokojach. Tam dzieci odrabiały lekcje, bo za szybko, niczym tabliczka kartkowej czekolady spod choinki, skończyło się jedyne, co dobre w stanie wojennym: zamknięte szkoły. Prawdziwe życie stu sześćdziesięciu pięciu mieszkań przeniosło się na drugą stronę, do dużych pokoi z telewizorami i balkonami. Jedno tylko zaburzało smutek ciemnej strony największej żyjni najnowszego osiedla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej: wesoło migoczący ekran czarno-białego telewizora postawionego na parapecie przodem do okna na pierwszym piętrze w połowie bloku. W telewizorze mówił coś generał Jaruzelski, ale nim chłopiec przebiegł przez parking, generała zmienił przylizany blondyn w wojskowym mundurze bez dystynkcji, poruszający ustami nad uniesioną nad blatem kartką.

I wtedy obraz zniknął, bo ktoś obrócił telewizor. Żeby Polska była Polską, państwo Budkowscy demonstrowali swe obrzydzenie *Dziennikiem*, lecz wiadomości sportowe i prognoza pogody to inna sprawa. Jedynie te zainteresowania łączyły ich ze społeczeństwem, bo poza tym byli dziwni. Nawet bardziej dziwni niż pan Lipko, no ale on miał prawo, bo był z Budki Suflera i przychodziła do niego sama Urszula. Budkowskich nikt nie odwiedzał. Może dlatego jako jedyni

w całym bloku postawili telewizor w sypialni, a nie w dużym pokoju. Tam mieli tylko książki i telefunkena stereo.

– Pani Budkowska! – krzyknął chłopiec. – Jarek!

Kobieta nie usłyszała go przez zamknięte okno, w dodatku upchane na zimę watą, inaczej wiatr gwizdałby przez szpary w stolarce. Ministrant wbiegł po kilku stopniach, szarpnął drzwi wejściowe i po chwili był już na piętrze. Dusił guzik dzwonka, z trudem łapiąc oddech.

– Proszę pani... Proszę pana... Jarek...

– Tomuś, co się stało? Masz krew na buzi! – Pani Budkowska, jak to pielęgniarka, która nieraz opatrywała całą ich podwórkową bandę, zaczęła go obmacywać.

– Jarka chyba zabili. Tam!

Na klatkach schodowych zwykle traci się orientację, on jednak precyzyjnie wskazywał wyciągniętą ręką przejście podziemne pod ulicą Zana. Był stąd.

*

Podejrzany miał ponad metr osiemdziesiąt i bary zapaśnika, w dodatku kondycję jak Kozakiewicz na olimpiadzie w Moskwie. Facet wybiegł z oświetlonej oszczędnie osiedlowej ulicy Grażyny na chodnik obok dwupasmówki. Trzej zomowcy oparci o sukę, palący papierosy w świetle latarni, w pierwszej chwili zgłupieli. Ich zaskoczenie nie trwało długo.

– A wy, kurwa, gdzie uciekacie? – Kaprał wypluł sporta w śnieg i wymownie zgiął w łapach spracowaną, długą lolę.

Normalny podejrzany zrobiłby w tył zwrot, a potem pognał z powrotem między bloki, licząc, że zgubi pościg w krętych, zacienionych drzewami zaułkach osiedla Mickiewicza. Ten jednak był jakiś ekstremista.

– A ja, kurwa, tam – odpowiedział beczelnie, wskazując w górę ulicy Filaretów.

Zanim jednak zomowiec zdążył zamachnąć się pałką, facet podstawił mu pod nos legitymację w plastikowej okładce.

– Skoro już tu stoicie jak panienki pod latarnią, to mnie podwieziecie. Do wozu, raz, dwa, pięć!

Trzasnęły zasuwane drzwi nyski i ruszyli. Trzęsąc się na twardym rozkładanym siedzeniu z tyłu suki, kapitan Aleksander Maciejewski spojrzął na zegarek. Zawiadomiono go pół godziny za późno, ale przepadło! Gdy oficer dyżurny obiecał za piętnaście minut przysłać radiowóz, Olek machnął na to ręką. Mieszkał w tej samej dzielnicy kilka ulic dalej i uznał, że jeśli przyspieszy kroku, za dziesięć minut będzie na miejscu zdarzenia piechotą. Swojego dużego fiata brać nie chciał. Stał pod blokiem nieużywany od przedwczoraj i cholera wie, za którym razem silnik zapali na mrozie. A gdyby nawet zaskoczył przy trzeciej, piątej próbie, tak czy owak, szkoda prywatnej benzyny.

Spojrzał na czerwoną gębę siedzącego naprzeciw zomowca. Brygady Tygrysa, kurwa jego mać! Ustawili się tak, że widać ich było pewnie aż spod wieżowca Inwestprojektu przy rondzie, więc jakie takie szanse mogliby mieć tylko z pijanym krótkowidzem. Maciejewski czuł przez skórę, że w tej sprawie jeszcze niejedno pójdzie nie tak, ale był wdzięczny dyżurnemu za pretekst do wyrwania się z domu.

Zaledwie godzinę wcześniej spokojnie siedział nad samouczkiem angielskiego. To był jego nowy nałóg, bardziej uspokajający niż papierosy. Wkuwał słówka i powtarzał za kasetami flegmatyczne dialogi jakiejś pary, chyba po czterech guinnessach. Autor, niejaki Szkutnik, podobno też urodził się w Lublinie. Może dlatego nie chciał burzyć Olkowi jego wyobrażenia o Angolach, wyniesionego z seriali. Dzięki temu zajęciu Maciejewski nie musiał pić już przynajmniej w domu. Bo w robocie było gorzej...

Dwunastego grudnia jak wszyscy stawiał się na komendzie przed dwudziestą drugą. Że Jaruzelski szykuje jakąś rozprawę z Solidarnością, to było jasne, wisiało w powietrzu jak dym z papierosów po nasiadówce u komendanta. Wszyscy wiedzieli

o broni wydanej co ważniejszym partyjnym, mówiło się o akcji wyaresztowania ekstremy, co Wałęsie urwałoby jaja przy samej szyi. Dlatego w nocy potrzebni byli funkcjonariusze do przeprowadzenia setek przesłuchań, ponad siły esbecji. Nikt z kolegów Olka nie spodziewał się jednak stanu wojennego ani godziny milicyjnej, a gdy już komendanci pootwierali koperty z tajnymi rozkazami, na Maciejewskiego padł blady strach, że teraz to będzie musiał zasuwać od rana do wieczora. Tymczasem nie robili prawie nic. Stawiali się zgodnie z grafikiem i przez osiem godzin chlali wódkę. Jeżeli jakiś menel zadzgał szwagra po pijaku, normalnie rwali się na wyścigi, chociaż wcześniej takie oczywiste sprawy zostawiali początkującym szczyłom. Cokolwiek istotnego się wydarzyło, brała to prokuratura wojskowa do spółki z esbekami. Przez to Olek zajął się angielskim, bo nawet wódka może znudzić człowieka. I swój nowy nałóg przeniósł do domu.

Właśnie powtarzał już opanowany dialog *At the restaurant*, kiedy przez zamknięte drzwi wdarł się krzyk żony.

– Małgośka! – Wanda próbowała szarpać klamką, ale starsza córka przytomnie podparła ją szczotką.

Nacisnął stop i odłożył książkę. Kelnerka pytała akurat, czego by się napił. Jego ulubiony fragment! Niestety nie mógł już się skupić, skoro miał awanturę tuż za ścianą. Zresztą wiedział, co za chwilę nastąpi.

– Olek! Chodź tu zaraz!

Szurając rozdeptanymi kapciami po linoleum, wypełził do przedpokoju. Żona otaksowała go swym pedagogicznym wzrokiem. W niewyprasowanych spodniach i rozciągniętej górze od pizamy nie nadawał się do roli wychowawczej, Niestety innego ojca w pobliżu nie było.

– Najpierw zobacz w kuchni! – zażądała.

Zaczeplił rękawem o klamkę łazienki, jak zwykle. Zawsze mówił, że drzwi wynaleziono po to, aby je zamykać. Wanda uważała, że w łazience jest wilgoć i trzeba ciągle wietrzyć, bo inaczej grzyb się

załęgnie. Z niechęcią, ślizgając kapciami po podłodze, wszedł za nią do wąskiej kiszki, w której z trudem mieściła się kuchenka, lodówka i pralka, lecz żona uparła się także na stół. W kuchni musi być stół. Więc był: szerokości talerza. Na wyścielającej go ceracie stał chybotliwie najlepszy emaliowany garnek do rosółu, pokryty wewnątrz smolistym nalotem.

– Widzisz? – Przerażliwy dźwięk paznokcia przesuwanego po metalu omal nie rozerwał Olkowi łba, bo chociaż miał nowe hobby, nie zwalniało go to z pół litra na rozpoczęcie służby, skoro chciał dobrze żyć z kolegami. Przejechała znowu, całą dłonią. Gdy zagryzł zęby, jakoś wytrzymał. – Nie da się już domyć.

– Wandziu, ale co ja mam do tego?

– Zapytaj swojej córeczki! – Grzmotnęła garnkiem o podłogę. Tyle dobrego było w linoleum, że tłumilo hałasy. – Jak ci twoja ukochana Małgosia otworzy...

– Prosiła nas przecież, żeby nazywać ją Gocha. Co ci szkodzi?

– Załatw to, bo ja już nie mam do niej siły!

Maciejewski zapiął piżamę na wszystkie guziki, mundurowy odruch.

– Gocha! – Zastukał głośno, przebijając lecącą z magnetofonu córki wokalistkę, która w Opolu śpiewała w kółko, że chce pojechać do Buenos Aires. – Tu mówi Milicja Obywatelska. Otwieraj, bo wyważymy drzwi!

Jego rozpieszczona ósmoklasistka ruszyła się z wersalki, świadczył o tym jęk sprężyn.

– Nie otwieraj, Gocha! – usłyszał sceniczny szept dziesięcioletniej Beatki, zapatrzonej w siostrę jak ciemnogród w papieża Polaka. – Jeszcze nie...

Ta jednak wyjęła szczotkę spod klamki i ojciec aż oparł się o framugę...

Kupić jej w peweksie prawdziwe džinsy z Zachodu to był punkt honoru. Może jeszcze dwoje dzieciaków w całej szkole nosiło takie, ale czemu nie, skoro miał dojścia i wiele haków na każdego cinkciarza.

Gdy zażyczyła sobie, żeby je przerobić na wąskie rurki, machnął ręką, taka nowa moda. Teraz jednak spodnie kupione za dolary, warte więcej niż miesięczna pensja matki, wyglądem i zapachem skojarzyły mu się z materiałem dowodowym wyłowionym z gnojówki.

– I jak wygląda twoja córeczka, twoim zdaniem? – burknęła Wanda, tak akcentując „twoja”, że zaraz przypomniał sobie *unit* o zaimkach.

– *Like any other druggie girl* – powiedział Olek.

Jego wyrosnięta pierworodna uśmiechnęła się zadowolona, chociaż to wcale nie miał być komplement.

– Gocha, przegięłaś pałę – ostrzegł po polsku.

– To mnie spałujcie! – rzuciła, wydymając policzki.

Gdyby powiedziała mu to w cztery oczy... Gdyby nie było przy tym żony i gdyby nie demoralizowała Beatki, obrazę ojca funkcjonariusza mógłby obrócić w żart. Gdyby była jego synem, wróciłby do sypialni po pas od munduru i załatwił sprawę jak należy. Ojciec to ojciec. Lecz nigdy nie dał więcej niż lekkiego ostrzegawczego klapsa żadnej z dziewczynek, a w dodatku jego ukochana nastolatka miała już coraz mniej z dziecka. Nie wiedział, co zrobić.

– Gocha, do ferii pożegnaj się z kieszonkowym! – wydał wyrok, chociaż sam wiedział, że to jak dwa lata w zawiasach.

– Nie zależy mi. – Wzruszyła ramionami. – *No future!*

– *Why no future? You have good parents and they love you.*

Matka gniewnie założyła ręce na piersi. Była zazdrosna o to, że Olek umiał się porozumieć z córką lepiej niż ona, a w dodatku nie znała słowa po angielsku.

– *Because you're poor old communists and I don't love you both anymore. Już was nie kocham* – łaskawie przetłumaczyła końcówkę, żeby również rodzicielka cokolwiek pojęła.

– Szkoda, bo my ciebie kochamy. – Olek zbliżył się jednak i włożył jej za ucho ten kosmyk włosów, z którym zawsze walczyła przed lustrem.

– Może ty... trochę. Bo matka... Ona uczy ruskiego.

Wanda obróciła się na pięcie. Nie trzeba było być gliną, żeby zrozumieć, co chciała przez to powiedzieć. Albo jesteś z nią, albo ze mną, to właśnie miała do zakomunikowania Olkowi. Wiedział, że kiedy żona ochłonie, to jej przejdzie. I że brak kieszonkowego to będzie nic w porównaniu z karą, którą ona wymyśli dla Gochy. Jednak i podczas przesłuchań w duecie lubił być czasem tym dobrym milicjantem.

– Trzeba znać różne języki obce – powiedział, przygarniając do siebie obie córki. Usiedli na łóżku Gochy. Kora już dawno przestała śpiewać o Buenos Aires, teraz zaczęła o żądzy pieniądza.

– *Are you sure?* – znów rzuciła imperialistycznie starsza córka. Młodsza tylko słuchała; lubiła i umiała słuchać. Olek obawiał się jednak, że za parę lat i ona pokaże pazury. Oby Małgosi do tego czasu przeszedł ten gówniarski konflikt pokoleń. Trzech wściekłych bab na pięćdziesięciu czterech metrach kwadratowych nie wytrzyma.

– *I'm fucken sure* – odpowiedział bez namysłu, mniej dbając o gramatykę niż o akcent.

I tym rozwiązał jej język. Aż pożałował, że nie był policjantką z izby dziecka, bo najwyraźniej miał podejście i lepszy instynkt niż do pionu kryminalnego. Trenując na córce, dawno zostałby majorem. Tyle że inne dzieci kompletnie go nie obchodziły.

– *Do you know what my friends are talking about her?* – Znacząco pokazała drzwi, za którymi gdzieś krążyło ich domowe KGB.

– Wystarczy, mów po ludzku!

– Wiesz, co w klasie mówią o matce? Nie chcesz wiedzieć! A ja codziennie muszę być dzieckiem nauczycielki! Dlaczego nie posłaliście mnie do innej szkoły, gdzie ona nie uczy?

– Gocha, to przecież blisko, to dobra szkoła, a dzieciaki z innych podstawówek nie mają takich świetnych nauczycielek jak mama. Zapytaj tych z trójki albo z czterdziestej drugiej.

– Tato! Z trójką i czterdziestą drugą to się nie rozmawia! Ich się bije.

– No, tato, i oni nas też – potwierdziła Beatka.

Kochane dzieci, cudowne osobowe źródła informacji! Nie chciał konkurować wychowawczo z Wandą, ostatecznie to ona miała pedagogiczne wykształcenie, ale był pewien, że nie osiąga podobnych wyników operacyjnych.

– Ty chyba nie bijesz? Jesteś dziewczyną – zarzucił wędkę na młodszą córkę.

– No. Ale Gocha już jest pankówką! – pochwaliła siostrę.

Każdy normalny rodzic na jego miejscu zapytałby, czy Gocha nie bierze jeszcze narkotyków. Olek nie chciał spłoszyć córki. Co gorsze, mogłaby zapytać, jakiego handlarza poleca.

– Ojca milicjanta pewnie też się wstydzisz? – zapytał smutno, przytulając Małgosię.

– No, dobraliście się, pies i rusycystka! – powiedziała, ale wtuliła się ciałniej.

– Hau, hau! – zaszczekał jej do ucha. – Twój dziadek też był gliną, a przecież go kochałaś.

Spojrzała na niego z niesmakiem. Nie błysnął dowcipem, lecz trudno popisać się przed nastolatką. Gocha odpuściła jednak po chwili morderczego gniewu ojca wzrokiem.

– Dziadek był policjantem, a nie milicjantem. Poza tym to dawno i nieprawda. – Odwróciła się gwałtownie i otarła łzę. Nie powinien jej widzieć. Wciąż wstydziała się, że chociaż na pogrzebie niecałe pół roku wcześniej nie pokazała po sobie żadnych emocji, w domu dostała takiej histerii, że Wanda musiała wezwać pogotowie. – A ty gliną jesteś i będziesz. Dlatego właśnie muszę być fajniejsza niż inni, rozumiesz?

– Jesteś bardzo fajna. I ładna – dodał.

Była wprawdzie wyższa niż większość koleżanek, co odziedziczyła po nim, niestety po matce przypadła jej skłonność do tycia. I do biustu, który odznaczał się nawet spod tych modnych teraz bluzek, gotowych przyjąć worek kartofli. Olka zbliżająca się inicjacja płciowa córki nie cieszyła ani trochę, lecz przypuszczał, że Gocha miała na to inny pogląd.

– A dlaczego bijecie się z tamtymi szkołami?

– Bo to oni się biją! Zwłaszcza jak dzieciaki chodzą wieczorami na religię. W trójce i czterdziestej drugiej sami synowie esbeków. Wkładają sobie pod rękawiczki kawałki metalu i biją.

Olek, który właśnie gładził uczennicę szkoły podstawowej numer dwadzieścia dziewięć po jego zdaniem zbyt krótko ostrzyżonej głowie, nagle zamarł. W kuchni garnek, zapewne ten nieodwołalnie zniszczony, znów rąbnął o linoleum. Wanda dawała mu znać, że dla niej jest jakieś *future* i życzy sobie niezwłocznie odbyć domową radę pedagogiczną. Wyratował Maciejewskiego telefon z komendy.

Kiedy jednak dotarł z zomowcami do przejścia podziemnego pod ulicą Zana, zeznania córki znów zadźwięczały mu w uszach.

Rękawica zamieniona w kastet już na pierwszy rzut oka pasowała do zakrwawionej skroni chłopca. Leżał w zaszczanym tunelu głową na pryzmie brudnego śniegu, a nogami wśród butelek po piwie.

*

Nikt porządny tam nie chodził, bo i po co? Przejście wybudowano podobno, żeby bezpiecznie połączyć dwa wielkie osiedla pod ulicą Zana, przeznaczoną do szybkiego ruchu. Tylko ani ruch nie był aż taki szybki, ani osiedla nie powstały aż takie wielkie. I chyba bezpieczniej było przebiec od przystanku do przystanku nawet przed autobusem, niż potykać się w ciemnym tunelu o nierówne stopnie i ryzykować spotkanie z pijakiem.

– Co on tu robił? – zapytał sam siebie Maciejewski, omiatając latarką mur.

Szept nieprzyjemnym echem odbił się od ścian wysmarowanych farbą i gównem. Mimo mrozu z rozbitej głowy ofiary zaczynało czuć mózdzkiem cielecym, rarytas! Olek wzdrygnął się, a zomowiec, jeden z tych, którzy byli tu pierwsi i równo zdeptali wszystkie ślady, nawet bezwiednie się oblizał. Teraz z pałami za pasem i kałasznikowami na plecach pilnowali schodów, mierząc się wzrokiem z tłumem mieszkańców osiedla Prusa, gęstniejącym, mimo że zbliżała się godzina milicyjna.

Z góry rozbrzmiały syreny dwóch dojeżdżających radiowozów, jedna czysta, o wysokim tonie, druga zachrypnięta. Simon and Garfunkel, pomyślał Maciejewski, wstając znad ciała.

– Światło ktoś przywiózł?! – zawołał głośno.

– Zaraz będzie, kapitanie – usłyszał z otworu wentylacyjnego po prawej stronie.

Wyszedł na ulicę i powoli potoczył wzrokiem po ludziach, jakby każdemu chciał zajrzeć w oczy. W świetle ulicznej latarni naprzeciw Olka stał nieufny tłum, gotów krzyczeć: „Gestapo, gestapo!”, gdyby nie zomowcy. Lecz Maciejewski wolałby nawet to niż poruszone ciało, zdeptane odciski butów sprawcy i świadków, którzy już na dobry wieczór stali się jego wrogami.

Poklepał kieszenie kurtki. Były tam ekstra mocne, dwie paczki zapalek, a nawet długopis, notesu jednak nie wziął. Jego ojciec, przedwojenny komisarz policji, prędzej zapomniałby kapelusza. Tyle że słynny Zyga Maciejewski nie miał dwóch córek, w tym jednej zbuntowanej. On całe życie przeżył po kawalersku i to Olek miał problem, bo facet, który w zastępstwie ojca pierwszy i jedyny raz wlał mu na gołą dupę, potem został jego przełożonym w milicji.

Zomowcy stali naprzeciw gapiów jak bezrozumne roboty z któregoś odcinka *Kosmosu 1999*. Chuj ich obchodziło, że ludzkość nie podbije galaktyki w dwudziestym wieku. Ludzkość miała zimną wojnę i stan wojenny w Polsce, Breżniewa i Reagana. I papieża jeszcze. „Ale ile papież ma dywizji?”, zapytał kiedyś Stalin... Olek Maciejewski był w tej sytuacji sam z decyzjami, niczym dowódca bazy księżycowej Alfa.

– Którzy z państwa są świadkami zdarzenia? – zapytał, wychodząc zza kordonu.

Odpowiedział mu histeryczny płacz, zupełnie jakby słyszał Małgozię kilka godzin po pogrzebie dziadka. Tamten zaczął się nagle, poderwał go sprzed telewizora i znad kielicha. Dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem, zapamiętał dobrze, bo spojrział wtedy na wyświetlacz elektronika na przegubie. Teraz zgięła się w pół

długowłosa blondynka w wełnianej czapce i puchowej kurtce. Powinien zwrócić na nią uwagę wcześniej, bo mimo przenikliwego zimna miała na nogach tylko kapcie. Zanim Olek podszedł, objął ją opiekuńczym ramieniem wyższy o głowę mężczyzna w czarnym płaszczu. Nie, tylko mu się wydawało, że to płaszcz! Ubrany był w kurtkę, a spod niej wystawała sutanna.

– Pani jest matką chłopca? – Maciejewski podszedł, starając się zapamiętać jak najwięcej z wyglądu i reakcji pozostałych osób. Utrudniała mu to zapaść przemysłu odzieżowego, bo w nocy, w szaroburych okryciach, wszyscy wyglądali tak samo.

– Pani Budkowska, tak? – zapytał z legitymacją szkolną denata w dłoni. – Niech pani będzie dzielna! Sam mam dzieci w tym wieku... Niech pani nam pomoże i mówi.

Nie kazał jej pokazywać dowodu, sam też nie sięgnął do kieszeni po swoje dokumenty. Psychologicznie.

– Pani Budkowska, ja chcę pomóc – poprosił, patrząc w oczy pogrążone w takim samym stuporze, w jaki na pogrzebie zapadła Gocha. Wtedy myślał, że skoro córka jest spokojna, to nie ma problemu. Zrozumiał swoją pomyłkę, kiedy lekarz podawał jej końską dawkę relanium, a Beatka, zabrana do drugiego pokoju, też dostała spazmów. – Czy syn ostatnio nie sprawiał kłopotów, nie znikał, nie miał nowych kolegów?

– Pan nie rozumie. Pan nic nie rozumie. – Pokręciła głową. – Proszę zawiadomić pana Sadowicza. Tylko on może coś wiedzieć.

– A kto to jest pan Sadowicz?

– Jasnowidz, proszę pana.

– A gdzie jest ojciec chłopca? – burknął Maciejewski.

– W pracy, na uczelni. Nic jeszcze nie wie... Jak się dowie... O Matko Boska!

– Pan Sadowicz pomógł wielu nieszczęśliwym ludziom – powiedział młody ksiądz, który zdawał się zastępować nieobecnego małżonka Budkowskiej. – To wybitny bioenergoterapeuta.

– Dokumenty księdza wybitnie poproszę. – Olek wyciągnął rękę, jak przystało na władzę ludową.

O to, co tak późno robił mąż Budkowskiej na uczelni, nie zapytał. Dość, że i tak każdego milicjanta w mundurze brano za zomowca, a wywiadowcę w cywilu za esbeka. Tymczasem Olkowi chodziło wyłącznie o śledztwo.

*

Przebudźcie się! – zawołał Maciejewskiemu nad uchem porucznik Piotrek Gamrat, jego podwładny biurko w biurko.

Był to stary greps esbeka z czwartego wydziału religijnego, który ledwie oddelegowany na odcinek świadków Jehowy, w porę zdążył uciec do prawdziwej milicji. Za Solidarności nawet w resorcie niejedno było możliwe. Olek też mógł przejść do przestępstw gospodarczych, ale miał po ojcu głowę do wódki zamiast do pieniędzy, tak przynajmniej twierdziła Wanda.

– Spałeś tutaj? – zdziwił się Piotrek, próbując umieścić ciężki kozuch na wieszaku, tak żeby go nie urwać. – Chyba pierwszy raz... I co ci się śniło na nowym miejscu?

– Że przestałeś pieprzyć i wzięłeś się do roboty. – Olek wygrzebał z paczki przedostatniego ekstra mocnego i zapalił go na śniadanie.

Na zdarzeniu był razem z technikami prawie do trzeciej nad ranem. Oględziny wlokły się przez brak dobrego światła, bo oba agregaty milicyjne rozdysponowano w teren, a wojsko w stanie wojennym miało ważniejsze sprawy. Głównie powolne przejazdy konwojami Kraśnicką i Mełgiewską, żeby klasa robotnicza napatrzyła się na sprawne zbrojne ramię Polski Ludowej i zapomniała o Wałęsie oraz internowanych kolegach. Pierwszy reflektor oświetlił przejście pod ulicą Zana po dwudziestej drugiej i zepsuł się po półtorej godziny. Coś w nim pstryknęło i tyle, a ciało chłopca leżało na miejscu, bo czekali na prokuratora. Obserwującym ich ludziom musiało to jednak wyglądać, jakby władza miała śledztwo głęboko w dupie, i Olek wcale się temu nie dziwił. Ale co mógł zrobić? Tylko grzać się przy

koksowniku razem z technikami i zomowcami, dopóki o dwudziestej trzeciej trzydziści wojsko nie przywiozło dwu kolejnych reflektorów. Nie obejrzał prognozy pogody, ale dałby sobie rękę uciąć, że było z dziesięć stopni mrozu.

Szczur, czyli prokurator Piotr Szczurowski, pojawił się dopiero po północy. Wsiadł z prywatnego czerwonego poloneza ubrany w wojskowy mundur i cywilną skórzaną kurtkę z grubym futrzanym kołnierzem. Jeszcze dać mu nagant, a wyglądałby jak enkawudzista.

– A czy ci ludzie, pana zdaniem, powinni tu stać? – Poruszając swymi odstającymi wąsami, jeszcze sztywniejszymi z powodu temperatury, Szczur wskazał gapiów cofniętych na pięć metrów od schodów do przejścia podziemnego. – Jest po godzinie milicyjnej.

– I tak jutro całe miasto będzie mówić o chłopcu pobitym na śmierć przez milicję, więc wolę mieć przynajmniej kilku świadków. – Olek wdeptał niedopałek w śnieg. – Niech społeczeństwo popatrzy władzy na ręce, skoro chce. Ale jeśli pan prokurator... przepraszam, aktualnie obywatel porucznik, sobie życzy, niech bierze ZOMO, idzie do nich i każe się rozejść. Ja tego na siebie nie wezmę!

– Może i racja. W końcu nikt z nas nie chce, żeby nam na drzwiach sąsiedzi pisali „gestapo”... – Szczur chwilę ruszał wąsami, zastanawiając się pewnie, czy nie powiedział zbyt wiele ludzkim głosem. – Na waszą odpowiedzialność! – zaznaczył zaraz, już bardzo służbowo, i umknął do nory pod ulicą Zana, łagodnie opadając ku dawnym Rurom Jezuickim, gdzie większość życia przemieszkał wśród meneli ojciec Olka.

Prawnik pokręcił się chwilę w pobliżu ciała, mrużąc oczy, bo światło spuszczonego na dół reflektora, odbite od śniegu, chwilami było nieznośne. Pomądrzył się przed technikami, podpisał postanowienie o wszczęciu i wsiadł do poloneza.

Olek zaś gestem powstrzymał wezwanych po raz drugi wściekłych sanitariuszy, bo chciał chwilę pobyć sam na sam z ofiarą. Dzieciak! Akurat w tym wieku, że mógłby chodzić z Gochą, chociaż ona akurat wolałaby chłopaka z liceum, miała ambicje. A ten? Gdyby

przyprowadziła go do domu, Olek machnąłby ręką, bo nieszkodliwy, wymoczek, nie dobierałby się Gosi do majtek. Ale co by taki szukał w miejscu, gdzie można się w najlepszym razie pośliznąć, a jeszcze pewniej dostać po ryju? Fakt, mróz i patrole wypłoszyły pijaków i wachających butapren gówniarzy, ale że tu się nie chodzi, musiał doskonale wiedzieć. Przecież mieszkał kilkaset metrów stąd.

I z tą uporczywą myślą w głowie kapitan Maciejewski do piątej trzydzieści przeglądał wszystkie kwity, jakie dotąd udało się wyprodukować. Cios twardym przedmiotem w skroń. Załatwiłby każdego, tym bardziej dzieciaka, którego czaszka jest jeszcze stosunkowo miękka. Ubranie nienaruszone, więc nie zboczeniec. Zabójca wiedział, o co chodzi. W łeb i w długą. Tylko musiał chłopca jakoś zwabić w tę szczurzą norę, bo brak śladów szarpaniny.

Matka, ta nie spodobała się Olkowi od razu. Kochanka klechy czy jak? Ksiądz Andrzej Kłuj, wikary nowo powstałej parafii na osiedlu Maciejewskiego, był jednak od tej kobiety prawie dziesięć lat młodszy, więc nie pasował. Ale pocieszał ją całkiem fachowo, a ta zamiast prosić, żeby zadzwoniono do męża, wyskoczyła z jakimś szarlatanem Sadowiczem. W milicyjnej kartotece nie było żadnego z nich. Służba Bezpieczeństwa musiała mieć teczkę na Kłuja, bo każdy duchowny był na celowniku. Na Budkowskiego jako pracownika uniwersytetu też powinna, na wszelki słuczaj. Pytanie, czy udostępni.

– Piotruś, pójdziesz do starych kolegów i przyniesiesz mi, co potrafisz, o tych trzech facetach. – Maciejewski podał mu zawczasu przygotowaną listę.

– Figuranci ichni? – zainteresował się Gamrat, drapiąc pierś pod golfem, pewnie gryzącym.

– Pytaj się mnie, a ja ciebie. I chcę to wiedzieć, zanim za dwie godziny przyjdą mi gaworzyć na protokół. Nawiasem mówiąc, dlaczego nie dało się ciebie wczoraj wydzwonić?

Niedawny esbek od jehowych nachylił się nad biurkiem i chuchnął. Z pyska jechało mu równo. Dodawać w charakterze wyjaśnień nic nie musiał.

*

Maciejewski słuchał najpierw księdza Kłuja i to było zeznanie jak należy, bo kapitan odświeżył mu fakty. Bardzo plastycznie, w końcu sam brał w nich udział. Trwał jeszcze karnawał Solidarności i żył jeszcze ojciec. Stary zanosił się śmiechem, kiedy Olek mu o tym opowiadał.

Zaczął się od niewinnego pytania do Wandy: dlaczego nie mamy psa? Po cholere nam jeszcze pies, powiedziała całkiem sensownie. Bo miałbym pretekst, żeby z nim wyjść, zanim się z tobą pokłócę. Olek rzucił to bardzo kulturalnym tonem, ale obraziła się, więc wyszedł. Bez psa, choć nieporozumienia małżeńskie też pretekst. Bar „Gerwazy” na Grażyny zmienił się już w garmażerkę od ósmej do osiemnastej, więc poszedł na sąsiednie osiedle Słowackiego, gdzie w pawilonach targowych do dwudziestej otwarta była „Skierka” z kawą i ciastkami, a do dwudziestej pierwszej „Chochlik”, w którym można było nawet napić się taniego wina. Byle minąć publiczną szczalnię schowaną dyskretnie pod schodami, z której jechało tylko trochę. Nie darmo osiedle opisano jako cud socjalistycznego modernizmu w przewodniku po Lublinie, co pamiętał, bo pożyczał przewodnik dla Beatki, żeby zrobiła pogadankę dla klasy i dostała wzorowy ze sprawowania. Szczalnia była jednak jeszcze daleko, gdy Olek zaczynał czuć, że by się przydała. Jak na złość przy Wileńskiej zaraz obok przejścia wpadł mu w oko gówniarz przyklepiający plakaty ze zdjęciem proboszcza.

PARAFIANIE!

KSIĄDZ SOSZKA JEST PIJAKIEM, KTÓRY PIENIĄDZE Z TACY PRZEZNACZA
NA WÓDKĘ I KARTY. MA NIEŚLUBNE DZIECKO I NIE PŁACI ALIMENTÓW
ANI DŁUGÓW. PARAFIANIE, PRECZ...

Olek wyrwał młodemu plakat z ręki i pokazał swoją legitymację. Gówno obchodził go proboszcz, ale nie spodobało mu się samo

nalepianie i lisia morda gówniarza. A wtedy tamten również wyjął swoją bumażkę, dla odmiany esbecką. Rozeszli się zatem na lewo i prawo jak przedwojenni dżentelmeni, wymieniwszy bilety wizytowe. W „Chochliku” Maciejewski odzyskał honor, bo tutejsi złodzieje z miejsca zwolnili mu stolik, a jeden nawet, stary znajomy, usłużnie zażądał od kelnerki, żeby przetała blat. Co do plakatów, owszem, widzieli i całym sercem byli za obywatelską postawą pana kapitana, sami jednak nie mieli zwyczaju się wychylać, szczególnie gdy na ich nosy coś jechało polityką. Ta śmierdzi gorzej niż szczyny.

– Sam ksiądz widzi, ja mówię z księdzem szczerze. – Olek w przesłuchaniu sięgnął do tej historii, choć że złapał akurat esbeka, wolał zataić. – Ksiądz mi za to opowiada o jakimś jasnowidzu. Nie jestem z wydziału czwartego i mogę się nie znać, ale czy takie magiczne sztuczki są w ogóle zgodne z doktryną katolicką?

Dobrze wyczuł, jak wziąć wikarego pod włos, i zeznanie popłynęło samo. Seanse uzdrawiające z udziałem Tomasza Sadowicza, zresztą przykładowego katolika, Kłuj organizował jeszcze w poprzedniej parafii i tak poznał Budkowską. Długa kolejka kalek na wózkach albo z kulami, śliniących się idiotów, chorych na raka, a także matek z chorowitymi dziećmi sunęła powoli, zakręcając na tyłach kościoła w kierunku plebanii. Tam w sali katechetycznej, z której usunięto na ten czas ławki szkolne, Sadowicz od dwóch dni nakładał ręce, ale trzeciego był już nieludzko wyczerpany. Zdaniem Kłuja przypominał ojca Pio biorącego na siebie cierpienia całego świata.

Maciejewski o żadnym ojcu Pio nigdy nie słyszał. Jakieś kretyńskie zdrobnienie od Piotra, jak Gocha od Małgorzaty?! Kiwnął jednak głową.

Zaś ksiądz zaczął dochodzić do sedna. Budkowska z synem Jarkiem, u którego w okresie dojrzewania nasiliły się ataki astmatyczne, była już prawie przed drzwiami domu parafialnego, kiedy Sadowicz, nałożywszy ręce na przywiezioną na wózku dziewczynę z szyją jak żyrafa, spłynął potem i przeprosił, że nikogo już nie może przyjąć.

– Proszę księdza, ja tak księdza proszę! Jestem matką. A gdyby rodzona matka księdza tak gorąco o coś prosiła?

Kłuj w sumie robił tam tylko za kierującego ruchem, lecz nie potrafił odmówić. Sadowicz po krótkich negocjacjach przystał na jeszcze jeden przepływ bioenergii, a jak się okazało z rozmowy, Budkowska mieszkała w tej samej dzielnicy. Poprosił ją zmęczonym głosem, aby się za niego modliła. Kobieta, co wyszło dopiero na późniejszej spowiedzi, akurat modlić się to od dzieciństwa nie miała w zwyczaju.

Kapitan Maciejewski w tym miejscu znowu aprobująco potaknął. Kłuj łamał właśnie dla niego tajemnicę służbową, co każdy porządny glina potrafiłby docenić.

– Tylko proszę tego nie pisać.

– No skąd! Proszę dalej.

Jarek, który wcześniej regularnie był tydzień w szkole, a drugi tydzień na zwolnieniu lekarskim, nagle przestał chorować i zaczął szybko rosnąć. Dlatego pewnie przypominał pająki gnieźdzące się po piwnicach bloków: długie nogi jak nitki i chudy, ledwie dostrzegalny korpus. Taki chuderlak, określił go ksiądz Kłuj. Maciejewski pamiętał o swoim pierwszym skojarzeniu: wymoczek. Dogadywali się zatem.

– Natomiast panią Budkowską zacząłem widywać w naszym nowym kościele. Była z synem nawet na naszej pierwszej pasterce i musieli przyjść z godzinę wcześniej, bo we mszy uczestniczyło około czterech tysięcy wiernych. Nie wszyscy zmieścili się w naszej prowizorycznej kaplicy.

Olek potwierdził i to skinieniem głowy. Kaplica napędce wybudowana za Solidarności, zupełnie jakby kuria czuła, że postawić ją może teraz albo nigdy, przypominała raczej oborę niż obiekt kultu religijnego. Na osiedlu mówiło się, że w noc z 24 na 25 grudnia esbecy i ZOMO zamkną ją wraz z ludźmi i podpalą, a kto zdoła wyjść, przejdzie najpierw ścieżkę zdrowia pod pałami, a potem go internują. I ta plotka wbrew pozorom zgromadziła publiczność jak na festiwalu w Opolu. To porównanie kapitan zatrzymał jednak dla siebie.

– Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem pani Budkowska przyszła do nas z mężem. Chcieli wziąć ślub kościelny i to przypadek, że akurat ja przyjąłem ich w kancelarii, panie kapitanie. Zdziwiłem się, bo przecież u nas poci się jeszcze tynk i woda kapie na ludzi podczas nabożeństwa. Nie ma nic poza ławkami, ołtarzem i tabernakulum.

– A nie zdziwił się ksiądz, że nie mają katolickiego ślubu?

– Nie, proszę pana. Po wstąpieniu Jana Pawła II na Stolicę Piotrową wielu Polaków przypomniało sobie, że nie ma Polski bez Chrystusa. – Dusza Olka niemal rzygnęła na taką mowę klechy, lecz morda uśmiechnęła się zachęcająco. – Wzięli ślub dwa tygodnie temu, bo ksiądz proboszcz uznał, że skoro od lat formalnie są małżeństwem, to z nauk przedmażeńskich można zrezygnować, wystarczą zapowiedzi. Ona była bardzo za tym, on, tak wyczułem, raczej uległ żonie.

– Czy to jest zgodne z prawem kościelnym? – zapytał Olek.

– To nie jest niezgodne z kapłańską troską o parafian – padło w odpowiedzi i kapitan pokiwał głową z aprobatą. Kłuj był dobrze wyszkolony, chociaż w konkurencyjnej firmie. – Poza tym do zawarcia związku małżeńskiego przekonał ich pan Tomasz Sadowicz – dodał, jakby powoływał się co najmniej na autorytet biskupa.

– A co on miał do tego? – zdziwił się kapitan. – Mówił ksiądz, że to bioenergoterapeuta, a teraz okazuje się, że także swatka.

– Pan sobie kpi, tak jak panu każą, ale to wyjątkowy człowiek – powiedział duchowny z miną męczennika. – Był fizykiem, wykładowcą na uczelni i pracował razem z panem Budkowskim, ale w zeszłym roku z dnia na dzień porzucił pracę, bo Pan Bóg dał mu inny talent i inne powołanie. Jest... Jest wyjątkowym człowiekiem i o ile pan to potrafi zrozumieć, w kontekście ortodoksji jego religijność odbiega...

Maciejewski miał dość tych bzdur.

– Dlaczego właśnie księdza funkcjonariusze zastali nad ciałem denata?

Pytanie było szyte. Zomowców kapitan sam uważał za pomiot, nie funkcjonariuszy. Surowiec, który było w ludzkiej mocy nauczyć działania w formacji i robienia pałą, ale podstaw prawa z elementami kryminalistyki? Daremne żale, próżny trud, napisałby poeta, gdyby pracował w resorcie.

– Próbowałem zastosować sztuczne oddychanie...

– Obywatelska postawa. – Olek kiwnął głową. – A dlaczego zdaniem księdza nie pojawił się na miejscu ojciec chłopaka?

– O to powinien pan zapytać pana Budkowskiego – wykręcił się Kłuj.

– Zamiast siedzieć w domu i zajmować się rodziną, organizował nielegalne zebrania, co?! Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie? Niech ksiądz mówi, ja nie jestem esbek. Interesuje mnie tylko sprawca.

– Pan Budkowski i taka działalność? Pan chyba żartuje!

Klecha miał rację, a prowokacja zdała się na nic. Przynajmniej z tego, co wyniósł Gamrat, esbeckie teczki rysowały obraz mdłego pracownika dydaktycznego Instytutu Fizyki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, który brak większych talentów rekompensował postawą. Głównie opieką nad kołem naukowym i działalnością w Polskim Towarzystwie Miłośników Astronomii, które spotykało się przy teleskopie, by ślepić w gwiazdy. Pewnie dlatego, że dwunastopiętrowy rektorat zasłaniał widok na o wiele niższe akademiki i podglądać studentek nie mieli szans.

– To jeden z tych chujków, Olek – potwierdził Piotr od jehowych, gdy bezpośredni przełożony nie dał wiary. – Jeden z tych chujków, z których nabijaliśmy się na studiach...

– To ty coś studiowałeś? – Maciejewski zagrał zdziwienie. – Bo nie ze mną.

– No jak to? Weterynarię na Akademii Rolniczej. Koniu byłem, całe trzy lata! – oburzył się porucznik, wrażliwy na punkcie swojego wykształcenia, wyższego niepełnego.

– No to nie wiem, z kogo ty, ale z ciebie to ja się nabijałem, Piotruś. Pamiętasz gościa, który darł się po nocach pod waszym akademikiem, że konie to chuje? To byłem ja. Nic osobistego, ale miałem ubaw, że tak wolno mnie gonicie.

– I tak odbiorą ci tę sprawę. – Gamrat skrzywił się. – Konie może i chuje, ale mają swój instynkt. Proszę, serce na talerzu, i jeszcze taka notatka! Esbecy stawiali Budkowskiemu wódkę, a on opowiadał im o pierdołach, do których miał na uczelni dostęp. Nic ciekawego, ale koledzy z pionu bezpieczeństwa nie abstynenci i korzystali ze służbowej okazji.

Maciejewski jeszcze raz odtworzył sobie w głowie te informacje, kiedy ksiądz wyszedł już z podpisaną przepustką, a jego miejsce zajął ojciec denata.

– Mojego syna zamordowała z zimną krwią ekstrema Solidarności – zaczął Budkowski z pełnym przekonaniem, zanim kapitan wkręcił nową kartkę do maszyny do pisania. – I nie podobały mi się te gusła, które za zgodą mojej żony wyprawiali księża także nad moim synem. Minąłem się w korytarzu z wikarym. To on opłatał sobie moją żonę wokół palca.

– A poza Solidarnością i Kościołem katolickim ma pan jakichś wrogów?

– Ja? – zdziwił się magister Budkowski.

Olek ostrym, służbowym spojrzeniem ocenił tego niepozornego gościa w śmierdzącym papierosami golfie i puchowej kurtce z rozdartym rękawem, załatanym taśmą klejącą. Patrząc w aspekcie życia prywatnego, widok był krzepiący. Olek wychodził z domu może i wnerwiony, lecz nigdy obdarty.

– Pytam, bo skoro nie nocuje pan pod adresem zameldowania, to albo lubi pan zabalować, albo ma coś do ukrycia. Gdzie pan był i co robił między godziną dziewiętnastą wczoraj a naszym przesłuchaniem?

– Robiłem pewne badania na uczelni i zasiedziałem się. Woląłem doczekać do końca godziny milicyjnej.

– A czy syn pański opowiadał o chuligańskich wybrykach uczniów starszych klas innych szkół w dzielnicy? O napadach na tych uczęszczających na religię, o biciu z użyciem na przykład rękawic z metalowym wkładem?

– Syn nie rozmawiał ze mną. Był pod wpływem żony. – Budkowski znów się wysmyknął.

Olek wprawdzie starał się zawsze wrócić do domu, obojętnie w jakim stanie, ale znał życie. To bywa pełne niespodzianek, szczególnie w Lublinie, mieście Manifestu Lipcowego, gdzie wieczorami mężczyzna nie ma nic do roboty poza zalewaniem pały. Dlatego Maciejewski wiele potrafił zrozumieć, jednak nie faceta, który po śmierci dziecka nie ujawnia grama ludzkich odruchów. I tym chciał wejść mu na łeb, niestety przesłuchanie przerwał alarmujący dzwonek telefonu.

Kapitan podniósł słuchawkę i z miejsca stracił grunt pod nogami.

– Panie Budkowski, pojedzie pan za mną – wydusił, wysłuchawszy krótkiego raportu.

– Ale ja nic nie zrobiłem!

Olek jedną ręką złapał swoją kurtkę z wieszaka, drugą zgarnął gościa pod łokieć.

Trzy minuty później duży fiat Maciejewskiego skręcił w aleję PKWN-u, przed wojną bardziej adekwatnie nazywaną ulicą Głęboką. Wciąż po każdym większym deszczu płynęła nią woda i bywało, że gasły silniki podtopionych samochodów. Po prawej minęli budynki uczelni, po lewej zaraz pojawiło się osiedle Mickiewicza i blok Olka. Zerknął w tamtą stronę. W małym pokoju dostrzegł siedzący na parapecie cień. Gocha paliła papierosa i wydmuchiwała dym przez uchylone okno, żeby matka, kiedy wróci, nic nie poczuła. Spojrzał na zegarek. Czy to możliwe, żeby gówniara skończyła już lekcje?

– Powie mi pan, o co chodzi? – przypomniał o sobie Budkowski.

Milicjant zmienił bieg na czwórkę.

– Na miejscu. – Dodał gazu.

*

Pół godziny wcześniej

Sierżant Waldemar Gazda ponad dziesięć przystanków przesiedział sam w przedostatnim rzędzie berlieta linii dziesięć, zaraz za kołem. Mimo to nie czuł się komfortowo. Nikt nie zajął wolnego miejsca obok milicjanta, chociaż w autobusie tłok był jak cholera. Gazda w zimowym mundurze nie wyglądał na tego pocziwego funkcjonariusza ruchu drogowego, który odłożywszy białą czapkę na biurko nauczycielki, wygłaszał pierwszacom pogadanki o zasadach bezpieczeństwa na przejściu dla pieszych i o różnicach między światłem zielonym a czerwonym. Teraz to obok niego chyba paliło się niewidzialne czerwone światło, bo dla nieznamytnych wyglądał jak znienawidzony zomowiec.

Dziesiątka minęła ostatnie bloki i przypominający barak kościół kapucynów na Poczekajce. Sapiąc i buksując w błocie pośniegowym pokrywającym aleję Kraśnicką, autobus zajechał na przystanek naprzeciwko budowanego od dziesięciu lat szpitala. Gazda zawczasu wstał, żeby dotrzeć do drzwi umieszczonych chyba na złość pasażerom prawie pośrodku pojazdu. Wsiąść zamierzał dopiero na kolejnym przystanku, gdzie na lewo szły do swojego akademika, przez złośliwość ulokowanego jak najdalej od śródmieścia, studentki KUL-u, a po prawej jeden obok drugiego stały jednakowe klocki domów jednorodzinnych. Lud szary na Tatary, kto miał ziemię, to na LSM-ie, a który parobek podebrał koniowi i krowie, ma chałupę na Konstantynowie... Gazda jednak na swój dalszy Konstantynów nie dojechał, bo po przeciwnej stronie ulicy zobaczył między głowami pasażerów raptownie hamujący konwój wojskowy i ludzi gromadzących się wokół miejsca wypadku.

– Panie kierowco, drzwi! Milicja! – krzyknął na cały autobus.

Chwilę później biegł już w stronę wojskowego stara na przodzie kolumny. Ledwie wyminął ciężarówkę, zobaczył znany sobie dobrze przystanek obok szpitala w budowie, ze znienawidzoną nową wiatą

z kilku płyt tworzących wściekły wygwizdów dla chroniących się pod nią pasażerów, ale na jezdni coś bardziej koszmarnego. Obute w kozaki nogi kobiety leżały spokojnie, jakby odpoczywała, chociaż korpus ginął pod nadwoziem wojskowej ciężarówki. Natomiast jej zrobiona na drutach czapka, targana wiatrem, poruszała się po jezdni. Kolor włóczki był biały, czerwone plamy nie wyglądały na zamierzony wzorek.

Tym bardziej gdy czapka zatrzymała się naraz na oblodzonym asfalcie i spod wełny wypadła ułamana kość czaszki niczym kawałek zniszczonej piłki. Teraz dopiero sierżant zauważył w świetle reflektorów brudny ślad na jezdni. Komuś postronnemu mógłby przypominać rozmazane wymiociny, ale Gazda, niestety, już nieraz widywał na zdarzeniach drogowych to, co pozostało z ludzkiego mózgu.

– Jestem z drogówki. – Dopadł porucznika, który chwiejnym krokiem wysiadł właśnie z szoferki. – Macie radio?

– Nagle znalazła się przed maską, nie było jak zahamować... – Wojskowy zdjął zimową czapkę i futrem wytarł czoło.

– Dajcie, panie poruczniku, rozkaz, żeby żołnierze zatrzymali ruch na pasie, i wołajcie radiem komendę – poradził Gazda. Kiedy jednak sięgnął do leżącej obok torebki ofiary wypadku i otworzył dowód osobisty, dodał jeszcze: – Niech zaraz zawiadomią kapitana Maciejewskiego z kryminalnego.

Kobieta w dowodzie obok zdjęcia miała wykaligrafowane Budkowska, na dalszej stronie wpisanego już mniej starannie syna Jaromira. Gazda zapamiętał to imię i nazwisko z porannej odprawy, chociaż nie sądził, że ta sprawa będzie dotyczyć i jego.

*

Maciejewski uniósł wojskową pałatkę okrywającą zwłoki.

– Najpierw zdawało mi się, że ktoś ją popchnął na jezdnię, ale teraz sam nie wiem... – Dowódca konwoju drapał się po głowie pod ocieplaną czapką. Chudy, tyczkowaty, w polowym mundurze

zimowym przypominał słodki sopel choinkowy w opakowaniu zastępczym. – Ona, rozumie pan, ona... Właściwie w jej spojrzeniu! W nim było coś takiego, jakby wcale się nie zdziwiła, że za chwilę wpadnie mi pod koła. Tak, wiem, że to głupie, ale skoro pan pytał...

– Pan porucznik kierował ciężarówką?

– Tak, w zastępstwie.

Olek spojrział na chorążego, który siedział na stopniu wojskowego stara. Nawet nie zielony, wręcz szary na twarzy, gapiom, których już kilkudziesięciu stało po obu stronach alei Kraśnickiej, mógł wyglądać na wstrząśniętego wypadkiem. Kapitan jednak stał dość blisko, aby czuć, że gdyby trep został dobrze wstrząśnięty, dałby radę wyrzygać z pół litra alkoholu.

– Tamten na pewno nie prowadził? – nacisnął Olek, chociaż to nie była jego sprawa, tylko WSW-u.

– Nie, ja prowadziłem – powtórzył wojskowy i cofnął się kilka kroków od zabitej kobiety.

Jej twarz nie była zmasakrowana, ze śladami krwi na policzkach mogłaby uchodzić za ofiarę domowej awantury, nic więcej. Jednakże głowa leżała płasko niczym maska, bo odłupana potylicca skróciła czaszkę o połowę. Jak połówka przekrojonego jabłka położona płasko na talerz, nieczęsty widok, chociaż Maciejewski był świadkiem podobnych obrażeń jako młody milicjant, raz przy wypadku kolejowym, drugi na szosie, też z udziałem ciężarówki. Do identyfikacji nadawała się, chociaż czy warto było wołać teraz Budkowskiego? Dowód miała przy sobie, tak że kapitan dobrze rozpoznawał kobietę, którą rozpytywał zaledwie poprzedniego dnia.

Olek spojrział na swój samochód. Mąż ofiary wciąż siedział w fiacie, podczas gdy Gazda z notesem w garści zajął się świadkami. Sierżant najpierw ustawił żołnierzy, żeby zabezpieczyli miejsce wypadku od początku drogi hamowania. To, że najechały na nie dwa kolejne pojazdy z wojskowego konwoju, nawet mu pasowało, bo ochroniły ślady przed zdeptaniem. A na jezdni pod warstwą zgówniałego

śniegu była szklanka, Maciejewski sam przekonał się o tym, bo o mało nie wywinął orła, wysiadając z auta.

Teraz chciał wrócić tam i jakoś przygotować Budkowskiego na to, co następnego dnia zobaczy w kostnicy. Nie zdążył niestety, bo za kordon wjechał dobrze mu znany polonez i z lekkim poślizgiem zatrzymał się tuż przed Olkiem. Ze strony prokuratora nie było to jednak zamierzone kozakowanie, świadczyła o tym jego mina, gdy hamował. Po prostu również za kierownicą była z niego dupa wołowa, uznał kapitan Maciejewski.

Szczurowski wysiadł powoli, na ciało tylko spojrzął, ale nie zrobił nawet kroku w jego stronę. Tymczasem przed kordonem zatrzymała się nysa Wojskowej Służby Wewnętrznej i buda z zomowcami. Pierwszy wysiadł z niej jednak esbek w kozuchu za dwie robotnicze pensje. Nawet się nie rozglądając, wskazał mundurowym ludzi na przystanku. Trepy z białymi pasami od razu podzieliły się na dwie grupy. Pięciu kazało żołnierzom wsiadać z powrotem do ciężarówek i odjeżdżać, dwóch zasałutowało sierżantowi Gaździe, po czym ich kapral dobitnym gestem też kazał mu spierdalać.

– A wy bez potrzeby narobiliście rabanu – wycedził Szczur, podnosząc wzrok na Olka.

– Niby jakiego rabanu? To pan tu przyjechał w takiej sile, jakby Michnik nawiał z internatu. Zresztą to moje śledztwo. A ci co?!

Na jego oczach wojskowy konwój ze śladami dowodowymi na masce i oponach odjeżdżał z miejsca wypadku, a ludzi z przystanku jak w łapance upychano do migającej światłami milicyjnej dyskoteki. Szczurowski powstrzymał dłonią wyrywającego się do przodu Maciejewskiego. W innej sytuacji chwilę potem by leżał i kwilił, lecz Olek nie zamierzał zostać bohaterem stanu wojennego.

– To już nie jest wasze śledztwo. Przejmuje je prokuratura wojskowa – dodał z miłym uśmiechem Szczur. – Jesteście wolni.

– A od kiedy ja jestem „wy” dla towarzysza prokuratora?

– Jakiego towarzysza? Jestem bezpartyjny! – Szczurowski poprawił pod kurtką kłapy swojego źle dopasowanego munduru. – A wy co mi

chcecie właściwie powiedzieć?

Że jesteś chujem? Że odbierasz mi robotę? Że Polska ci tego nie zapomni? Wiele rzeczy miał ochotę powiedzieć Maciejewski i cholera, przyłapał się na tym, jak bardzo przypominał właśnie ojca z jego niewyparzonym jęzorem. Głównie dlatego odwrócił się bez słowa. Siedzący w fiacie Olka Budkowski wyglądał przez okno, nie do końca rozumiejąc, w co tu się gra.

– Wczoraj straciłem syna. A dzisiaj żonę. Niech pan powie, tak? – poprosił cicho.

– I mnie na pańskim miejscu by wystarczyło. – Maciejewski zapalił silnik.

II

Dwa dni później

Jej kroki rozpoznawał doskonale już od parteru nawet przy zamkniętych drzwiach. Biegła po dwa stopnie, kiedy miała być wypłata kieszonkowego. Albo gdy dostała od kogoś w szkole przegraną na kasetę płytę jakiegoś jej idola bez głosu i słuchu, taką nie do zdobycia w sklepie muzycznym. Bo jeśli była do zdobycia, Olek zawsze kupował ją spod lady na rogu Zielonej i Staszica, zabawne nawet, że naprzeciwko dawnej komendy policji, gdzie stary Maciejewski przesłużył swoje najlepsze lata. Wtedy Gocha też biegła do domu jak na skrzydłach, żeby zdążyć przed powrotem matki i jej „najpierw obiad, potem lekcje, a dopiero na koniec możesz sobie psuć słuch i gust... i tylko do ósmej!”. Poza tymi wyjątkowymi chwilami kroki były *no future*; świadczyły tylko o tym, że dziewczyna idzie, a nie pełźnie. A że nie zemdląca po drodze, można było rozpoznać po wściekłym kopnięciu w schodek tuż obok drzwi sąsiadów, których szczególnie nie lubiła albo którzy w wakacje mieli zwyczaj głośno zwracać uwagę młodzieży przesiadującej na ławce przed klatką schodową. Czyli w praktyce każde kopnięcie oznaczało, że Gocha dotarła na kolejne piętro bloku.

– *Hello, darling!* – rzucił z uśmiechem ojciec, gdy już ją zobaczył. Odłożył pędzel. Wygrzebana w piwnicy farba do lamperii pamiętała jeszcze czasy wczesnego Gierka, pewnie dlatego kryła tylko jako tako. Kładł więc warstwę po warstwie, bo miał co zamalowywać.

– *Nie ponimaju* – burknęła po rosyjsku dziewczyna i od razu w przedpokoju ze szczebiotem wpadła w objęcia Wandy. – Mamusiu, ale jestem głodna!

– A jak było w szkole?

Porządna nastolatka powinna w tym momencie stroić fochy, jednak wredna córka Maciejewskiego przytuliła się matki, jakby miała pięć lat, nie prawie piętnaście.

– Z kartkówki z geografii piątka, z klasówki z matmy cztery plus, z polskiego pięć z odpowiedzi – zreferowała gówniara, zdejmując buty.

– Nie?! – Wanda zrobiła minę jak zdziwiony Lolek z dobranocki. Kiedy się nauczyła rozmawiać z córką? – Naprawdę, Gocha? – Jakoś i to jej przeszło przez gardło.

– Naprawdę, mamó! – Ukochana dziewczynka Olka grała jak z nut i najzupełniej przekonana, że łamie mu serce.

I po części miała rację... Córka i matka trzasnęły drzwiami, pogodzone. Dzięki ojcu, w niebie mu to zapiszą. Tymczasem samotny na klatce schodowej, w rozciągniętym swetrze i spodniach od pizamy, musiał jeszcze raz pociągnąć farbą szubienicę z ruską gwiazdą, bo ciągle wyłaziła.

*

Dzień wcześniej

Coś ty znowu nawywijał, Olek?

Takie były złego początki.

– Niby co, naczelniku?

– Niby nic, ale masz urlop. – Przełożony sięgnął po blankiet i przyduszając półzaschnięty długopis do papieru, zaczął uzupełniać

rubryki. – Okolicznościowy.

– Ślub już brałem, nikt mi nie umarł, dziecko też się nie urodziło...

– Maciejewski wyliczył na palcach. – To, naczelniku, na okoliczność jaką?

– Na sraką! – Major Suszek kiedyś był Olkowi wdzięczny, że gdy zwolniło się miejsce szefa, on nie poszedł po trupach, mimo że był protegowanym odchodzącego na emeryturę Świdronia. Teraz nie można było powiedzieć, że walnął pięścią w blat. On nią dosłownie pierdolnął. – Ma cię nie być przez tydzień, a jak będzie trzeba, to ci się przedłuży. I po cholere wciągnąłeś w to wszystko tego sierżanta... jak mu tam... Gazdę?! Sumienia, kurwa, nie masz czy zrobił ci coś złego?!

To, że było zupełnie inaczej, nie miało teraz znaczenia. Gazda zachował się tak, jak powinien zachować się każdy milicjant. „Jak jest wypadek, wszyscy biegną zobaczyć. A jak ktoś ucieka w drugą stronę? To albo jest lekarzem po dyżurze, albo milicjantem po służbie”, ten kawał znała cała Polska. Oprócz sierżanta Gazdy najwyraźniej.

– Mnie?! Zaraz na ręce naczelnika piszę wniosek o pochwałę dla niego, tylko może myśli zbiorę? – Olek udał, że szuka po kieszeniach papierosów.

Suszek podsunął mu swoją paczkę, dobry znak.

– Nie bój żaby – dodał, chyba widząc, że przesadził. – Gaździe nie sraj w papiery, a sam weź przydział na mięso, odpocznij i staw się, jak ci powiem.

Nie tak kapitan Aleksander Maciejewski wyobrażał sobie ten dzień. Że prokurator Szczurowski narobi mu koło pióra, to było pewne, lecz odstawka z rykoszetami?...

– Olek, kurwa jego mać, ty jesteś dziecko szczęścia! – pocieszył go jednak stary kolega.

Stali razem w pośniewowej brei na tyłach komendy, przed zapleczem kasyna milicyjnego. Z przodu na zamkniętych drzwiach wisiała kartka: nieczynne do odwołania, w tylnym wejściu postawiono prowizoryczną ladę i wydawano przydziały specjalne.

– Dziecko szczęścia... A wy co się pchacie do kolejki?! – Przerwywając rozmowę, Maciejewski złapał za kołnierz jakiegoś ubranego po cywilnemu gościa, szerszego niż wyższego. – Zomowca mam wołać? Co, kurwa, jesteście w ciąży czy kombatant wojenny?

– Ale mnie wysłał komendant! – Esbek chciał się postawić, ale najpewniej kłamał.

– A mnie generał Jaruzelski! – Olek zawinął facetem jak Raszczupkin dyskiem w Moskwie w osiemdziesiątym. – Tam jest koniec kolejki. A niby dlaczego mam się cieszyć, Jacek?

Jacek Szydziel, kolega starszy prawie dziesięć lat, w sześćdziesiątym ósmym przy pierwszej sprawie potraktował go jak gnoja, lecz później nabrał szacunku. Niestety ledwie go nabrał, ich drogi się rozeszły, bo Jacek z techniki kryminalnej przeszedł do sekcji technicznej SB. Praca spokojna i przyszłościowa: instalujesz komuś podsłuch, a przy okazji robisz jego sąsiadowi remont na lewo i w sumie zarabiasz jak naczelnik wydziału.

– Z czego masz się cieszyć, Olek? Chociażby z tego, że stoisz po mięso góra pół godziny, a nie dwa dni jak twoi sąsiedzi. Czeka... Pani Zosieńko złota, no gdzie same kości?! Niech mi pani zważy o tego, chudego!... Olek, nie dawaj się, ale i nie podskakuj!... O, pani Zosiu, cielęcinka taka apetyczna, że aż mi panią przypomina! I jeszcze z tamtego kawałka bardzo proszę, jakby była pani łaskawa...

– Ale ja tak łatwo nie odpuszczam, Jacek – oderwał go od flirtu mięsno-towarzyskiego Maciejewski.

Zbyt głęboko wszedł w sprawę, aby o niej zapomnieć tylko dlatego, że odsunął go od niej byle gnój po aplikacji. Gdy ginie dziecko, żaden glina nie odwraca się dupą, zwłaszcza gdy sam jest ojcem. A gdy w ślad za dzieckiem ginie jeszcze matka, robi się z tego, kto wie, może nawet najważniejsze śledztwo życia. W dodatku Olek sprawdził zgłoszenia o przypadkach pobić dzieci wracających z religii, które oczywiście plotki rozdymały w polityczne, choć za każdym razem okazywały się one zwykłymi porachunkami gówniarzy z ostatnich klas okolicznych podstawówek w wąwozie przy Zana albo

w zdziczałym sadzie obok szkoły czterdziestej drugiej. I nos Maciejewskiego podpowiadał, że ktoś dobrze wykorzystał te zdarzenia jako zasłonę dymną. Tylko do czego? By samemu zniknąć w tłumie, jasne. Ale żeby kontynuować ciąg zabójstw jak jakiś wampir z Zagłębia? Z podobnym przypadkiem Olek miał już do czynienia jako gówniarz w sześćdziesiątym ósmym, więc się nie podniecał. Szczególnie że Budkowską zabił pijany trep. Oczywiście jeśli intuicja go nie myliła, że wojskowym starem kierował ten skacowany chorąży, a dowódca postanowił dać mu alibi. Kapitan Maciejewski nigdy nie słyszał, aby jakaś rodzina miała tyle pecha naraz, no może poza tym... jak mu tam było?... Hiobem. Jednakże rozpoznać to zbiorczo po prostu korciło, chociażby dla przekonania. Niestety przez Szczura stracił świadków z przystanku, bo zastraszeni przez zomowców i esbeków będą nie do użytku, nie mówiąc o dostępie do nowych materiałów.

– No to, pani Zosieńko, ile się należy? – Jacek uśmiechnął się do droższych od pieniędzy chabaniny oraz wędliny jak złoto.

Począł jednak na Olka, aż ten zrobi swoje zakupy, i odeszli na bok pod tylne wyjście z komendy, prowadzące przez ciasną uliczkę na nowe osiedle i tyły starego cmentarza.

– Masz co wypić?

– Niby skąd? – Maciejewski oględnie wzruszył ramionami, bo trzymał pod nimi swoją pachnącą, świeżą zdobycz.

– No to miej – rzucił kolega i w gruncie rzeczy nie była to wygórowana stawka. – Wiesz, gdzie mieszkam.

To akurat wiedział każdy, bo z pobliskich bloków tylko u Jacka na parterze była cukiernia, gdzie po pierwsze, dało się chlapnąć z kierowniczką na zapleczu, a po drugie, skąd można było przynieść do domu chowanej tylko dla stałych klientów enerdowskiej czekolady na wagę, bez kartek. Do tego pani Mariola, kierowniczka, była samotną kobietą rozmiarów i aparycji Violetty Villas, więc było na co popatrzeć. Lecz chociaż gościnna dla stałych znajomych, to eksponując dekolt, zawsze twierdziła, że niestety, dawniej być może owszem, lecz po wyborze Polaka na Stolicę Piotrową zaangażowała się

w Oazę Rodzin. Słusznie pewnie, bo rodzinę miała liczną. Nie licząc braci meneli, którym odpalała z kasy, żeby się odczepili, wychowywała samotnie trzy córki. Gdy bracia przeginali, z dobrego serca jako niezidentyfikowani sprawcy umiarkowany wpierdol spuszczali im funkcjonariusze z wojewódzkiej i na jakiś czas pomagało. Gdy przeginały córki, no to niestety! Matka jest matka... Pierwsza była owocem młodzieńczej miłości, drugą jako początkującej ekspedientce zrobił jej zaopatrzeniowiec, a trzecią podobno już później dyrektor spółdzielni spożywców. Córki miał też Olek, więc rozumiał to zmartwienie. Lecz idźcie i rozmnażajcie się, napisano w Piśmie Świętym. Przeczytał Biblię, podobnie jak znał szkolne podręczniki, bo i jego dzieci chodziły na religię, żeby nie odstawały.

*

Szczęść Boże, pani Waclawo. – Maciejewski uchylił futrzanej czapki, kiedy firanka w oknie poruszyła się i przez okno cmentarnej stróżówki wyjrzała zasuszona staruszka w chustce na głowie.

Zgrzytnął stary zamek.

– Pan dzisiaj klient czy będzie rewizja?

Kapitan uśmiechnął się z politowaniem. Rewizji na mecie pani Waclawy zakazał już chyba jakiś dekret Gomułki, zanim Olek został gliną. Bimberek zawsze był u niej czysty jak woda święcona, a w dodatku piętnaście minut spacerem z komendy wojewódzkiej. Gdy szykowała się większa obława, najmłodszy z wydziału kryminalnego odwiedzał panią Waclawę, przeproszał za kłopot i prosił, żeby wyczyściła melinę. „A o kogo chodzi?”, pytała rutynowo. „Zabił kogoś?” Gdy szło o złodzieja lub kurwę, burczała obrażona, że ona nie zadaje się z takim elementem. Gdy o zbrodnię, bywało, że pomogła, bo sama była czuła na potrzeby umarłych i znała przynajmniej z nazwiska każdego pochowanego przy Lipowej. Tak jak jej matka, po której przejęła stanowisko dozorczyńi cmentarza.

– Powiedziałem chyba, że szczęść Boże, nie?

Drzwi otworzyły się szerzej i stara wpuściła tajniaka do środka. W ciasnej, schludnej izbie piec grzał, aż parowało, na stole przykrytym serwetą stały w wazonie sztuczne chryzantemy, które wcześniej szpeciły czyjś grób. Nie żeby pani Waclawa je buchnęła, o tym nie było mowy, ale potrafiła odzyskać wiele z cmentarnego śmietnika. Olek był pewien, że lalki, które siedziały rzędem na łóżku równo zasłanym kapą, wcześniej ktoś położył na dziecięcych mogiłkach. Teraz nie wszystkie miały oczy, lalom blondynkom zdarzało się wyciągać ku pani Waclawie rączki Murzynek, ale dzięki temu żadna nie była kaleką.

– Siada! – zaprosiła pani Waclawa, kładąc gazetę na siedzisku starego krzesła. „Trybuna Ludu” z 14 grudnia, zauważył Olek.

Podziękował skinieniem głowy, rozpiął kurtkę i posadził resortową dupę na przemówieniu generała Jaruzelskiego. Pakunek w przetłuszczonym papierze położył na stole. Jego przydział pachniał tak smacznie, że pani Waclawa naraz pociągnęła nosem jak jakiś wampir z sobotniego filmu, kiedy zapachniała mu dziewicza krew.

– Ja do ojca – powiedział Maciejewski. Musiał znaleźć taki pretekst, bo cmentarnica potrafiła być naprawdę wredna, jeżeli ktoś nie szanował zmarłych. – Ale też był pijący, no to nie pójdę z pustymi rękami, pani Waclawo. Z półtora litra, żeby dwa razy nie chodzić.

Pani Waclawa nie spojrzała nawet na otwarty portfel Olka, tylko pociągnęła nosem. Znała wartość towarów i surowców lepiej niż niejeden amerykański makler.

– To. – Wskazała pakunek przesycony aromatycznym tłuszczem wieprzowym. – Kielbaska krakowska, prawda? – Rozpoznała bez rozpakowywania. – Skąd ma, kiedy w sklepach tego nie ma? – Niczym wygłodniała krwi morderczyni wyszarpnęła z szuflady nóż. – Da pół.

Przekroili.

*

Ojcu Olek od roku miał tylko jedno do powiedzenia: nie miałeś kiedy, kurwa, umrzeć! Czuł, że zbliża się moment, aby wreszcie szczerze

pogadali jak glina z gliną, mimo że byli z innej gliny, co mu zawsze wytykał stary. Nie przepuścił żadnej okazji, żeby wcisnąć szpilę.

Zyga Maciejewski, pierwszy śledczy sanacyjnej policji w Lublinie, i Olek Maciejewski, oficer komunistycznej milicji, odnaleźli nawet wspólne zainteresowania. Obaj lubili wypić, rzecz jasna, przypadłość służby i krew nie woda, ale syn szybko zauważył także, że kąśliwe rady ojca na tematy zawodowe zawsze się sprawdzały. Kiedy przekroczył siedemdziesiątkę, a Polska Ludowa wkroczyła na drogę przyspieszonego rozwoju gospodarczego, stali się prawie kochającą rodziną. Stary zapadł na demencję, dopiero gdy polski kardynał został papieżem, a krótko potem zaczęły się strajki. Coraz częściej jadł kolację w mieszkaniu Olka i powtarzał jak katarynka: „On wam jeszcze, skurwysynom czerwonym, pokaże”, ile razy pokazali w *Dzienniku* Jana Pawła II. Dawnego komisarza gównu obchodziło, że słyszały to obie wnuczki, papieża tym bardziej. A kiedy w osiemdziesiątym zaczęły się strajki, najpierw w lipcu w Lublinie, potem w sierpniu jeszcze większe na Wybrzeżu, ojciec uparł się doprowadzić do sądowego orzeczenia nieważności swego rozwodu z matką. Olek sprzedał jej nowinę niczym dobry dowcip, matka jednak, równie zdzienniała na starość, potraktowała to niczym długo wyczekiwane oświadczyzny. Odnowili nawet okupacyjny ślub kościelny, i to nie w parafii, bo zdaniem ojca proboszcz rozpytywał jak esbek, ale u dominikanów na Starym Mieście. Stary prowokował, jakby wiedział dobrze, że przecież u dominikanów właśnie zainstalował się figurant kryptonim „Szerszeń”, prowadzący rzekomo duszpasterstwo akademickie, a faktycznie propagandę przeciw ustrojowi. Potem stary sklerotyk miał żal do syna, że wraz z rodziną nie przyszedł na ten ślub. Gotów byłby i zapisać się do Solidarności, ale umarł po trzech miesiącach przykładowego współżycia małżeńskiego, co padło nawet w kazaniu na pogrzebie i zabrzmiało jak ostatni dowcip Zygi Maciejewskiego.

Tym bardziej Olek powinien się spodziewać, że nie pogada z ojcem po męsku, bo przeszkodzi mu matka. Jeszcze nim wąskimi alejkami

doszedł do grobu, zauważył jej małą, ubraną na czarno sylwetkę, brnącą przez nieuprzątnięty śnieg. Pani Waclawa widać nie miała już tyle siły co wcześniej, sumiennie zgarniała go tylko z głównych dróg cmentarza.

Chciał się odwrócić, ale nie zdążył. Matce sprawiało trudność jedynie czytanie, na odległość widziała jak sokół.

– Oluś!

– Dzień dobry, mamusiu. – Pocałował ją w rękę, ugniatając mięso i wędliny pod pachą. Wprawdzie podzielił się z panią Waclawą na okoliczność rozliczeń, ale wciąż miał co zanieść Wandzie. Resort karciał jak ojciec, lecz karmił jak matka. – Zaszedłem do taty po drodze do domu.

– O tej porze do domu? – Zaniepokoiła się. – Środek dnia!

– Zmęczony jestem, mamu, wziąłem urlop.

– Wojna, a ty dostałeś urlop? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Na drugiej wojnie też dawali urlopy – mruknął, odwracając wzrok.

– Chyba szwabom... I skoro idziesz z komendy, to piłeś na służbie!

– Oczy miała może już nie te co dawna pielęgniarka, ale węch bez zarzutu.

Chociaż co on tam wypił! Raptem dwie literatki: na rozgrzewkę i na dzień dobry.

– Ojciec mówił, że też mu się zdarzało. – Olek poklepał krzyż na grobie komisarza.

– Ty się nie zasłaniaj ojcem! – skrzyczała go. – I to było przed wojną! I miał mocniejszą głowę – dodała, zmiatając śnieg z płyty. – A ty się stoczysz i tylko wstyd będzie dla córeczek. Oluś! – Złapała go za ramiona i zadzierając wysoko głowę, spojrzała rosnemu synowi w oczy. – Oluś, ja cię proszę, takiego wstydu nie przeżyję. I tu będę leżeć.

– Mamo, ze wstydem czy nie, mama i tak będzie tu leżeć! – burknął, wskazując zawczasu przygotowany grawerunek: Róża Maciejewska, pielęgniarka oddana chorym dzieciom, 1910–..., obok wcześniejszego

suchego napisu: Zygmunt Maciejewski 1900–1981. Pod jego nazwiskiem pozostało wolne miejsce, bo Olek nalegał, aby poczekać z komisarzem Policji Państwowej na mniej nerwowe czasy. Wprawdzie był jedynie kapitanem, i to w pionie kryminalnym, ale nie tak dawno szef wydziału IV SB pożegnał się ze służbą tylko z powodu ślubu kościelnego wyrodnego syna. – Wszyscy kiedyś będziemy tu leżeć, ale wcześniej całe lata będziemy tu razem przychodzić do tatusia.

– Co ty tak ładnie mówisz o ojcu? – zapytała podejrzliwie jak esbek.
– Co tu tak ładnie pachnie? Co tu masz, Oluś?

Wielkie co! Zwyczajny przydział chabaniny! Fakt, z lekkim naddatkiem, jednak żeby matka, im starsza, tym bardziej sadząca się na przedwojenną elegantkę, reagowała na to jak na woń paryskiej perfumy?

Na woń perfumy? Raczej świeżej krwi! Matka patrzyła na syna niczym drapieżnik z filmu przyrodniczego, w którym dwaj mięsożercy zeszli się nad jedną ofiarą. Olek, chociaż roślejszy i samiec, położył swoją pozakartkową zdobycz na zimnym granicie i rozwinął papier.

– Proszę, chętnie podzielę się z mamusią...

Zanim zdążył wyjąć scyzoryk z kieszeni, wdowa po komisarzu Maciejewskim już wyjęła swój mały nożyk z torebki.

– Noszę, żebym miała czym przyciąć kwiaty na grób – wyjaśniła, chociaż była zima stanu wojennego i kwiatów, nawet spod folii, nikt nie sprzedawał. – No, piękny schabik, Oleczku, ale tej kielbaski krakowskiej to ci dali jak sierotce... Tylko mi pomóż pokroić, żeby starczyło dla Małgosi i Beatki...

O tym, żeby miało coś starczyć dla Wandy, jej teściowa ani się zająknęła. Była wszak emerytowaną pielęgniarką oddaną dzieciom...

– No to powiedz, bo widzisz, że jestem zupełnie spokojna. Wyrzucili cię z milicji? – zaczęła drążyć. – Może to by nie było takie złe... Sam wiesz, co ludzie o was mówią.

– Niech się mama nie cieszy, nie wyrzucili.

Zaczęli kroić na cmentarnym granicie i chociaż noże mieli byle jakie, szło sprawniej niż w domu na desce. Pewnie dlatego, że Wanda się nie wtrącała. Bimber w trzech flaszkach poukrywanych pod kurtką kapitana Maciejewskiego ani zagulgotał, pani Wacława naląła pod korek, rzetelna kobieta.

*

Olek, ciebie to po śmierć posłać! – Jacek Szydziel zatarł ręce. A pani Mariola łakomym wzrokiem hieny spojrzała na przetłuszczony papier pod pachą Maciejewskiego. Oblizwała się bezwiednie z taką miną, jakby za dostęp do łupu gotowa była mu się oddać tu i teraz, na tym stole.

– Pani da jakiś nóż... Ukroję, dla dzieci – zgodził się na niemą prośbę, w końcu za oknem zima.

Miał nadzieję, że wypije i omówi sprawy z Jackiem u niego w domu. Zastał tam jednak tylko syna, który nierozebrany jeszcze z ciemnoniebieskiego szkolnego fartuszka, otworzył mu z kanapką obłożoną grubymi plasterami kielbasy. Olek aż miał ochotę powtórzyć mu wychowawczo za własną matką, że jak jest wojna, to na kromce kładzie się jeden plasterek i jedząc, popycha się go nosem, a potem przekłada na drugą kromkę. Tyle że to był cholernie grzeczny chłopak, z czerwoną naszywką wzorowego ucznia. Tak, dzień dobry panu, tata przyniósł właśnie taaakie zakupy, ale wyszedł zaraz, bo ma na mieście jedną sprawę. Jaką, to było wiadomo, gruby technik ślinił się do pani Marioli i jako prawie rozwiedziony, tak przynajmniej twierdził, chętnie dzieliłby z nią łożę, ale nie przydział mięsny. Opłacił się więc Olek i kierowniczka domyślnie poszła za ladę, chociaż poza słonymi paluszkami od tygodnia nie miała w cukierni innego towaru.

– Sadowicz?! – Wprowadzony w sprawę Jacek omal nie zakrztusił się wódką, ale klepnięty w plecy śmiał się dalej. – Chodzi ci, Olek, o tego bioenergocostam? On ma szajbę jak stąd na Łubiankę, mówię ci!

*

To było jakieś pół roku przed stanem wojennym. Jacek i jego kolega Rysiek, gdy ciągnęli kable, w wyświechtanych kufajkach niczym nie różnili się od pracowników administracji i w razie czego mieli nawet na to lipne kwity. Kiedy na klatce schodowej zaczepił ich tyczkowaty gość w grubych okularach, ostrzyżony prawie do gołej glacy, nawet nie myśleli, że to taki aparat. Na początku nic szajby nie zapowiadało, nie był pierwszym ani ostatnim, który chciał zrobić sobie w mieszkaniu dodatkowe gniazdko, a monterzy spadli mu z nieba. Te bloki na osiedlu Słowackiego budowano w końcu za Gomułki i na planach podobno miały jeden kibel na piętrze, więc co dopiero gniazdka do podłączenia wszystkich lodówek, pralek, telewizorów albo stereo. Kto słyszał o takich rzeczach!

Esbeccy technicy spojrzeli po sobie po robociarsku, by nie psuć legendy. Jacek cmoknął przez zęby, a Rysiek podrapał się w głowę, bardzo sceptyczny, czy im się ta fucha opłaci. Facet na zachętę włożył im do kieszeni po paczce marlboro.

– Jak panu tak zależy, to pójdziemy na rękę. – Jacek kiwnął głową. – Ale jak to ma być ekspresowa robota, no to wie pan...

Wiedział. Zaraz otworzył portfel, w którym oprócz złotych miał i amerykańską salate. No to poszli z nim do mieszkania. Facet jeden pokój miał jak każdy w Peerelu, z meblościanką, czarno-białym telewizorem, wersalką i rozkładanym stołem na wysoki połysk. Jednakże drugi pokój, który im wskazał, wyglądał jak z tego nowego serialu o doktorze Murku; tylko patrzeć, kiedy wejdzie Zelnik albo Janda. Podłoga była wyłożona grubym, włochatym dywanem i buciory obu esbeków tonęły w nim jak w trawie. Na okrągłym stole z czarnym obrusem leżały wahadełko i talia kart, ale grubsza od normalnej i z dziwnymi obrazkami, chociaż raczej upiornymi niż świńskimi, niestety. Ściany pokrywały makaty przywiezione z delegacji w Chinach albo w Indii, z sufitu nisko zwieszał się żyrandol z przyciemnionym kloszem.

– Panie, pan tak ładnie tu ma. Nie szkoda panu kuć? – Ryśka coś tknęło.

– Proszę, panowie spoczna. – Facet podsunął do stolika dwa krzesła.
– Proszę poczekać – dodał miękko i nienaturalnie powoli, stawiając im kryształową popielniczkę.

– Jacuś, ja bym spadał – rzucił kolega, międląc w palcach ekstra mocnego. – To pedał jest jakiś, i to psychiczny!

– Pedał, nie pedał, ale jeden, a nas dwóch. I przyniesie flaszkę, zakład?

– A co ma przynieść? Bawarkę?! Głupi chyba nie jest...

Dziwak wrócił po chwili z kuchni z tacą, na której ze sporego tureckiego tygielka parowała kawa. Trzy zielone enerdowskie filiżanki jak dla lalek obu technikom nie spodobały się ani trochę, rozdęte kieliszki i butelka winiaku luksusowego również. Po kolorowej wódzie łeb zawsze napierdala, lecz kryzys był i Polak piłby nawet wodę z Bystrzycy, gdyby spuszczali do niej syf z gorzelni, a nie tylko z cukrowni.

Gospodarz nalał i otworzył cukiernicę. Brązowe kryształki! Esbecy spojrzeli po sobie. Narkotyki? Kawę zmarnować szkoda i trudno, będą pili gorzką. Napętnione do połowy kieliszki przyjęli jednak bez protestu, zwłaszcza że gość flaszkę napoczął przy nich.

– Na zdrowie – zaproponował, a kiedy obaj goście wypili do dna, on zaś tylko ponownie umoczył usta, dopiero się zaczęło! – Nie będziemy nic kuli. Panowie nie są z administracji, panowie są funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa.

– Panie, co jest z panem?! – Jacek zerwał się z krzesła. – Nic pan prawie nie wypił, a już pan bredzi!

– Panowie przyszli tu założyć komuś podsłuch. Proszę się nie obawiać, nikomu nie powiem! Ja tylko bardzo bym prosił, żeby i mnie panowie założyli.

– Miałeś rację, Rysiu, spadamy stąd! – Gruby technik odstawił kieliszek. – To wariat.

– Panowie, mnie nie musicie się obawiać. – Gość wcisnął Jackowi w rękę otwarty dowód osobisty. – Przepraszam, źle się wyraziłem, przecież panowie nie muszą obawiać się nikogo. Chodzi mi tylko o to, że

naprawdę chciałbym mieć podsłuch i być nagrywany. I ja panom za to zapłacę – obiecał.

*

Nie! – Olek parsknął takim śmiechem, że aż pani Mariola zajrzała na zaplecze.

– Tak! – Jacek otarł wierzchem dłoni wałęsowskie wąsiska, bo wcześniej sam się zapluł. – I myśmy go legalnie zarejestrowali obiektowo i mu ten podsłuch założyli, proszę ciebie. Władza ludowa jest dla obywatela. Pójdiesz do lokalu bazowego na Balladyny 16, ostatnia klatka, drugie piętro, drzwi pośrodku i powiesz, że ja cię przysłałem. No co? Gdzie? Już?!

Maciejewski wypadł jak oparzony. Niedopitej flaszki jednak nie zabrał; narwaniec był, ale nie świnią.

*

Łysiejący facet w rozciągniętym swetrze i w przydeptanych ciapach, który otworzył Olkowi, spojrział tylko na podetkniętą mu flaszkę bimbru i już miał w dupie, kto go przysyła. Dosłownie zawisł na drzwiach, a z pyska waliło mu gorzałą. Gdyby nie obracające się szpule kilku magnetofonów widoczne w pokoju w głębi, Maciejewski mógłby uznać, że pomylił mieszkania. A gdyby nie był z milicji, tylko z Solidarności Walczącej, mógłby przejąć obiekt bazę i przesz mugłować taśmy Radiu Wolna Europa.

– Olek jestem – powiedział, machnąwszy legitymacją, chociaż równie dobrze mógłby wsadzić sobie w oprawkę bilet miesięczny. Format podobny, a tamtemu litery i tak się rozjeżdżały.

Gość klepnął go w ramię.

– Zbychu! – Serdecznie uścisnął dłoń milicjanta. – Właż!

Rozejrzał się po klatce schodowej i cicho zamknął drzwi.

– Konspira? – Olek zaśmiał się.

– Kto z kim przestaje... Daj spokój! Przysześ mnie zmienić? – Facet sięgnął po kozuch z wieszaka.

– Nie, przyszedłem operacyjnie.

– Kurwa jego mać! No to mnie na chuj, że przysześ! – Esbekowi opadły ręce, butelkę jednak zaraz odkręcił i pociągnął z niej jak topielec powietrza. – Gadają wszyscy naraz, ocipieć można! – Wskazał magnetofony. – A ja tu siedzę prawie czterdzieści osiem, jak na dołku...

Maciejewski wyjął spod kurtki resztę chabaniny ze specprzydziału. Żona obedrze go ze skóry, to pewne. Zbychu na widok takiej zakąski przyliżał dłonią resztki włosów do czaszki. Uśmiechnął się do nowego przyjaciela i gościnnym gestem wskazał mu pokój z aparaturą.

– Tylko buty zdejm – zażądał – bo tu jest parkiet, nie jakieś pecefał dla chamów! A kim ty w ogóle jesteś, Olek?

– Milicjantem.

– Przeprowadzasz staruszki przez jezdnię czy pałujesz?

– Jak wypadnie, ale głównie przesłuchuję. A ty kim jesteś, Zbyniu?

– Zbyniu! Fajnie, że tak powiedziałaś! – Esbek złapał go za ramiona i potrząsnął. – Naprawdę fajnie. Zbyniu, tak tatuś do mnie mówił. A ja te staruszki wszystkie słyszę, jak srają. Zobacz!

Zbynio usadził Maciejewskiego w pokracczym fotelu z twardymi podłokietnikami, a sam kręcił się wokół własnej osi, celując palcem po ścianach.

– Oluś, rozejrzyj się! Co za chuj jebany wymyślił robić podsłuchy w takim budownictwie?! Pierdniesz na parterze, a słyszać cię na czwartym piętrze. Po co ja tu kibluję? Dać mieszkanie spółdzielcze kablowi, po rękach by całował, donosił dzień w dzień, a operacyjnie na jedno by wyszło. Kurwa, Oluś, czy ja nie mam rodziny? Sam zobacz!

Maciejewski nie lubił, gdy rozkładano przed nim zdjęcia bliskich. Noworodki były zwykle podobne głównie do żaby, płęć niemowlaków i w kogo one się wrodziły, rozeznałby może tylko wróżbita pokroju Sadowicza, a budowanie przez dzieci zamków z piasku dosłownie go

suszyło. Oczywiście poza zdjęciami, których sam napstrykał trzy rolki na wczasach w Kołobrzegu. Beatka była wtedy jeszcze rozkosznym maluchem, a Małgosia nie była jeszcze Gochą i wygrała piłkę plażową w konkursie na piosenkę. „Parsęta, Parsęta płynie przez Kołobrzeg. Kto się nie postarzał, temu tutaj dobrze...”, wszyscy bili brawo, kiedy dziewczęcym głosikiem naśladowała bas Adama Zwierza. Dawne czasy...

– Zbyniu, ja mam duży kłopot. A ty masz może jakieś szklanki? – poprosił Olek.

– Oczywiście, jesteśmy przecież oficerowie!

Obijając się o ściany, esbek dotarł do kuchni, oddzielonej od pokoju tylko matowym szkłem. Otworzył okienko jak bufetowa i z hałasem postawił na pilśniowym blacie dwie musztardówki. Szpule magnetofonów obracały się tymczasem beznamiętnie. Olek spojrzął na kilka par słuchawek leżących na odchylonej pokrywie barku standardowej meblościanki.

– Więc jesteś milicjant. No to co ty narzekasz, Oluś?! – Zbynio, chociaż rozkrochmalony, bimber lał równo jak od linijki. – Masz ciszę i spokój, a my przez Kiszczaka pierdolonego ruki po szwam jak w jakimś wojsku jebanym. Trepami stołki poobsadzał. Jakbym chciał być kapral, tobym został na zawodowego, nie? A teraz wojsko przyszło do mnie...

Maciejewski smutno pokiwał głową. Kiedy wypili jednym haustem, zupełnie jak berlingowcy z piosenki o zdobyciu Kołobrzegu, esbeka zaczęło rozbierać. Z czknięciem przyłożył wierzch dłoni do ust, ale nie rzygnął. Pewnie dlatego, że wierzch, nie wewnątrz. Wstał, rozejrzał się, jakby dawno go tu nie było, i zamiast na krzesło klapnął na wersalce.

– Zbyniu, ty mi nie pierdol, tylko dopuść mnie do podsłuchu. – Olek uznał, że nadeszła właściwa chwila.

– A po kiego? – Esbek już polegiwał, lecz teraz uniósł się czujnie, oparty na łokciu.

Właściwie można było dać mu w łeb, żeby się zamknął. Że kiedy się ocknie, będzie cokolwiek pamiętał, niewielkie

prawdopodobieństwo. Maciejewski wolał jednak rozegrać to po dobroci.

– Bo mi, kurwa, zależy. Miałem rozwojową sprawę, ale jeden chuj zamiótł mi ją pod dywan.

– A jaki chuj, Oluś? Powiedz, proszę ja ciebie... – Zbynio myślał wciąż podejrzliwie, służbowo.

– Chuj taki jeden pierdolony – wyjaśnił Olek, wychodząc do przedpokoju. Tam opróżnił kieszenie kurtki. Napoczęta paczka ekstra mocnych i ostatnia flaszka. Więcej nie miał. Bój to był jego ostatni.

Esbek wyciągnął łapę po butelkę. Maciejewski grzecznie mu ją odkręcił, w końcu korzystał z cudzej uprzejmości. Zbynio napił się radośnie raz i drugi, po czym zaległ.

– Bierz słuchawki. Tylko pisz notatki! – zaznaczył, chwiejnie wznosząc palec. Chwilę później spał na wersalce ze zwieszoną ręką, a pomiędzy jej palcami tkwił wygasły niedopałek. Nikt by go nie wziął za oficera SB, wyglądał jak margines społeczny. Taśmy opisywał jednak porządnie i Olek szybko odnalazł te z nagraniami Sadowicza. Zmieniał ton głosu i czasem mówił normalnie, a czasem jak z zaświatów, rozkładał karty tego tam... tarota, machał wahadłem, stawiał horoskopy i jeszcze bałamucił baby. Po cholere chciał mieć założony podsłuch? Maciejewski chętnie zapytałby o zdanie Zbynia, lecz ten z gardłowym charkotem akurat odwrócił się na drugi bok, niedopałka jednak nie gubiąc.

*

Przed Olkiem parowała znaleziona w kuchni esbecka kawa, do której Maciejewski dolał bimbru. Na głowę wcisnął dwie pary skrzyżowanych słuchawek: w lewym uchu miał nasłuch na mieszkanie szarlatana, prawym odsłuchiwał go z taśm.

Pracował jak najszybciej. Niestety czuł, że szum we łbie niebezpiecznie się wzmacza i jeszcze trochę, a kawa przestanie na to pomagać. No i Zbynio miał rację, blok był tak akustyczny, że mimo

słuchawek rozpraszały go hałasy na sąsiedniej klatce schodowej. Kurwa, jak się tam nie zamkną, chyba na milicję zadzwoni!

Taśma sprzed trzech dni. Pogłodził. Mikrofon w mieszkaniu Sadowicza Jacek z kolegą zainstalowali fachowo. Łapał głos i wyraźnie był to głos figuranta, ale przygłuszony i nawet pogłaśniając magnetofon do oporu, Olek nie zrozumiał ani słowa. Wróżbita mówił sam do siebie? Nie, Maciejewski rozpoznał odgłos odkładanej słuchawki, a potem zamykanych drzwi. „Nagranie zakończono godz. 17.30”, napisał Zbynio. Czyli krótko przed śmiercią chłopca Sadowicz rozmawiał z kimś przez telefon i wyszedł z domu. Kiedy wrócił? To już nie wynikało z nagrań, bo następne pochodziło dopiero z następnego dnia rano, a oprócz figuranta drugą nagrałą osobą była Budkowska.

SADOWICZ: Nie powiem ci, kto ci to zrobił. Nie czuję się na siłach, Danusiu, ale gdybym potrafił to odwrócić, to wierz mi...

BUDKOWSKA (przytłumionym głosem, płacząc): Wierzę ci, wierzę... Ale dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

SADOWICZ (głośniej): Ostrzegłem cię. Mówiłem ci na początku stycznia, a potem w zeszły piątek, żeby Jarek unikał tego, co jest pod ziemią.

Maciejewski wyłączył magnetofon i zapalił papierosa. Łyknął zimnej już kawy. Coś mu w tym fragmencie nie pasowało... Budkowską słyszał słabiej, bo pewnie zrozpaczona przytuliła się do jasnowidza, szukając pociechy. Dlaczego jednak on się darł? Do niej? Nie, do mikrofonu!

W sąsiednim pionie ktoś krzyknął jeszcze głośniej. Olek zerknął na Zbynia, ten spał. Kapitan podłączył więc słuchawki do innego magnetofonu z nalepką „klat. II”, bo mimo wszystko chciał się upewnić, czy nie zepsuje zapitemu esbekowi jakiegoś ważnego podsłuchu.

MĘŻCZYZNA I: Dowód osobisty!

MĘŻCZYZNA II: Obywatel Gębura?

(W tle spazmujące dziecko, głos kobiety).

MĘŻCZYZNA III: Jak dla panów, to pan Gębura albo pan doktor Gębura.

MĘŻCZYZNA I: Patrz, pan doktor pałą dawno nie oberwał!

MĘŻCZYZNA II: Pójdziecie z nami, panie obywatelu Gębura!

DZIECKO (płacząc): Tatusiu!!!

Maciejewski już rozumiał przyczynę hałasów na sąsiedniej klatce. Jak nie wezmą się do zbyt prostackiego przeszukania, zaraz powinien być spokój. Ale tak czy siak, skoro faceta zgarnęli, podsłuch już nie był potrzebny i tamtemu krzyżyk na drogę!

Odszukał nagranie Sadowicza z ubiegłego piątku i zdjął szpule z drugiego magnetofonu, tak jak je zatrzymał. „Wobec zatrzymania figuranta nagranie zakończono”, napisał Zbyniowi i dodał godzinę. Musiał pogrzebać w szufladzie pełnej paczek po papierosach, zanim znalazł wolną szpulę. Zaplątał o nią taśmę z Sadowiczem i włączył.

Niestety, akurat tamten dzień szarlatan miał od rana cholernie pracowity, a kapitana nie interesowały staruchy z ich astmami albo nadciśnieniem. Przewijał, aż licznik pokaże kolejne sto obrotów, włączał na próbę i po chwili jechał dalej.

To nagranie pewnie by też pominął, bo trafił akurat na jęki jakiejś dymanej baby. Olek zaś od dziecka był wzrokowcem, nie słuchowcem, więc raczej go nudziły, niż pobudzały męską wyobraźnię. Sięgał już do wyłącznika, kiedy usłyszał: „Ciszej, Danusiu...”. I zostawił. Licznik obracał się powoli, rytm odgłosów na nagraniu przyspieszał.

Nagle kapitan przekręcił pokrętło na stop, bo w drugich słuchawkach usłyszał dzwonek do drzwi. Figurant otworzył.

SADOWICZ: Dobrze, że przyszedłeś, bo muszę cię ostrzec.

MĘŻCZYZNA: I ja ciebie też! Pogadamy, ale nie tutaj.

Budkowski! Chociaż nie słuchowiec, Olek zbyt niedawno miał z tym facetem do czynienia, aby nie rozpoznać głosu.

SADOWICZ: Dlaczego nie tutaj?

BUDKOWSKI: Bo się spieszę. Mam coś do zrobienia w dostrzegalni. Ubieraj się, tam pomówimy bez świadków.

SADOWICZ: A u mnie widzisz kogoś? Nie powinieneś iść do dostrzegalni. Unikaj wszystkiego, co jest wysoko, co pod niebem...

BUDKOWSKI: Przestań mi tu pieprzyć! Nie jestem taki naiwny jak Danu...

(Głośne pociągnięcie nosem i odchrząknięcie).

SADOWICZ: Weź się w garść!

BUDKOWSKI: Idziesz czy nie?

SADOWICZ: Sam tego chciałeś...

(Szelest ubrań, zamykanie drzwi, przekręcanie klucza w zamku).

Maciejewski zdjął słuchawki, przemierzył przedpokój i wszedł do łazienki. Prawie jak u niego: wanna, przytulony do niej sedes, po drugiej stronie umywalka. Tylko że w lokalu bazowym chociaż było brudniej, to schludniej, jak w kawalerce. Łazienki nie zagracono, że człowiek obijał się o sprzęty, a nad wanną na sznurkach nie suszyły się ubrania dzieci, skarpety, przyżółcone slipy męskie i zmechaczone rajstopy żony. I na półce nad umywalką nie było nic prócz pędzla do golenia i maszynki. Łazienka marzeń! Można by postawić flaszkę ze szklanką i pić do lustra.

Kapitan odlał się głośno, nie zamykając drzwi. Chrapanie Zbynia świadczyło, że nie jest kobietą, bo kobieta obudziłaby się zaraz i miała pretensje. Potem jednak Olek spojrział w brudne lustro i ten widok bardzo mu się nie spodobał. Zamiast oficera śledczego miał przed sobą zmarnowanego goryla jak z zoo w Zamościu, gdzie kilka lat wcześniej nawet jego córki, tak ucieszone, że zobaczą prawdziwe dzikie zwierzęta, po półgodzinie zaczęły płakać. „On nie chce tu być – rozpaczała przed gorylem Małgosia. – Jemu ktoś zrobił coś złego”. „I ja nie chcę smutnej małpy! – ryczała Beatka, bo już wtedy zawsze była tego samego zdania co starsza siostra. – Ja chcę małpę z telewizji! W telewizji małpy są wesołe”. Miały wiele racji. W telewizji wesołe są nie tylko goryle, ale nawet funkcjonariusze milicji. Chociażby ten od psa Cywila. Albo Borewicz, zawsze pachnący old spice'em, a nie przeupoconą koszulą i gorzałą jak tata... Szczęśliwie, gdy Olek odkręcił gorącą wodę i z piecyka gazowego buchnęło jak z poniemieckiej

bomby, para szybko zamgłiła przykry widok. Odkręcił dla odmiany zimną i zmoczył łeb. Był gotów do dalszej roboty.

Wrócił do poprzedniego nagrania.

SADOWICZ: Widzę przed nami śmiertelne niebezpieczeństwo, Danusiu.

BUDKOWSKA: On dowie się o nas?

(Chichot. Szelest materiału).

SADOWICZ: Nie teraz, poczekaj! Nie ruszaj się, nie przeszkadzaj wahadełku! (Głośniej:) Weź urlop, unikaj ruchliwych ulic. Jak najmniej wychodź z domu. Masz dobrą, wrażliwą, ale bezsilną aurę. Chcesz, odprowadzę cię do domu.

BUDKOWSKA: Zwariowałeś? Co ludzie powiedzą! Zostaw!

(Odgłos długiego pocałunku. Cichy jęk kobiety. Skrzypienie sprężyn wersalki).

SADOWICZ: Twój syn też nie jest bezpieczny. Niech unika wszystkiego, co pod ziemią.

BUDKOWSKA: Jarek i pod ziemią? Nigdy nie chodzi sam do piwnicy. Boi się pajaków, i dobrze, tam jest kurz, a to dla jego zdrooo...! O taaak! (Skrzypienie sprężyn wersalki).

Co za suka! Tak pomyślał Olek, stopując nagranie. Zaraz straci syna, a pieprzy się z kochankiem. Błąd! Maciejewski potrząsnął głową. Przyszła ofiara śmiertelnego wypadku i matka zabitego nastolatka na razie była tylko jedną z wielu puszczających się kobiet między trzydziestą a czterdziestką. Nic nadzwyczajnego. Gorzej, że Olek zaczynał mylić zdarzenia przyszłe z przeszłymi. Alkohol to zguba społeczeństwa. Sadowicz! Czy przypominał tych oszustów matrymonialnych, którzy potrafili dosłownie uzależnić od siebie z pozoru rozsądne kobiety, chociaż na pierwszy rzut oka nikt grosza by za nich nie dał? Maciejewski nie mógł tego wiedzieć, bo SB odebrało mu sprawę, zanim faceta rozpytał. Znów potrząsnął głową i przetarł oczy. Trzeźwy osąd przebijał się do jego kory mózgowej jak bańki gazu w fermentującym zacierze.

I obracając szpulę ręką, odświeżył sobie nagranie sprzed kilku minut.

BUDKOWSKI: Idziesz czy nie?

SADOWICZ: Sam tego chciałeś...

Gdzie mieli iść? Kapitan włożył do ust papierosa, lecz nim pstryknął zapalniczką, rozmyślił się. Szarpnął brutalnie Zbynia.

– Co to jest dostrzegalnia?

– Kurwa... – jęknął wyrwany ze snu esbek. – A, to ty, Oluś?

– Co to jest za obiekt, ta dostrzegalnia? – Maciejewski potrząsnął nim, aż w przełyku pijanego funkcjonariusza coś niebezpiecznie zabulgotało.

– Ustrojstwo takie jak balkon albo co... Na dachu, żeby se w gwiazdy popatrzeć...

– Gdzie? Na jakim dachu?! – Kapitan strzelił niedawnego przyjaciela otwartą dłonią z prawej, z lewej i jeszcze raz z prawej. – Zbyniu, do cholery, nie zasypiaj! Na jakim dachu jebanym?

– Instytut Fizyki, Uniwersytet Marii Kurwi-Skłodowskiej w Lublinie – wyrecytował umęczony służbą esbek. – Ulica... Sprawdź se w książce telefonicznej... A w kurwogóle to my tu zadajemy pytania!

Olek pacnął go otwartą dłonią w czoło i przykrył kocem. Zbynio podziękował kocim mruknięciem, by znowu zapaść w niebyt.

*

Ten budynek Maciejewski dobrze znał. Codziennie mijał w drodze na komendę dwa wieżowce UMCS-u sterczące jak tryumf nauki socjalistycznej nad pobliskim reakcyjnym Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Co roku i z jednego, i z drugiego wysokościowca skakał jakiś nieusatysfakcjonowany egzaminem student i co roku kwalifikowano to jako wypadek ze skutkiem śmiertelnym.

Olek, skracając sobie drogę, przebiegł na ukos przez aleję PKWN-u, a potem ugrzązł w śniegu w Parku Akademickim. Nikt tu zasp nie odgarniał, bo i niby po co? Studenci w parku pili dopiero na wiosnę, kiedy śnieg sam zdążył stopnieć, a zimą mieli od tego położone wyżej

akademiki. Maciejewski musiał wspiąć się kilka metrów po zboczu wąwozu opadającego ku dwupasmówce, zanim oblepiony śniegiem jak bałwan dotarł do wydeptanej ścieżki.

Najpierw pośliznął się na prezerwatywie i to go zszokowało. A zima była mroźna tego roku, napisałby Broniewski, gdyby opiewał grudzień 1981. Jakiego trzeba mieć wzwoda, żeby wystawiać ptaka na minus piętnaście?! Olek przypomniał sobie jednak, że też był kiedyś studentem i wtedy meteorologia istotnie nie miała dla niego żadnego znaczenia. A żył w seksualnie gorszych czasach! Wówczas gospodarka socjalistyczna nie obniżyła jeszcze przelicznika osób na izbę mieszkalną z dwa koma jeden do jeden koma dwa.

Przebiegł przez ulicę, odnotowując, że połowicznie trzeźwieje, i tratując ośnieżone kwietniki, minął plac przed rektoratem. Szarpnął drzwi instytutu. Zamknięte! Popchnął i otworzyły się. Nie odpowiadając na wrzaski portiera, ruszył biegiem po schodach. Miał obok windę, lecz na niej wisiała jakaś tabliczka. Litery mu się trochę rozmazywały, był jednak pewien, że napisano tam: nieczynna. Trudno! Co to jest dziesięć pięter dla zdrowego chłopca? Tylko trzy koma trzy razy tyle, ile codziennie przemierzał do własnego mieszkania. Na ostatnim, ignorując protesty jakiegoś brodacza w okularach jak denka od perły jasnej pełnej i w rozciągniętym swetrze, pchnął drzwi z tabliczką: przejście służbowe. Było otwarte, a z góry powiało mrozem. Maciejewski sięgnął pod kurtkę, gdzie nie miał już wprawdzie bimbru, ale wciąż trzymał służbowy pistolet.

Budkowski i Sadowicz odwrócili na niego spojrzenia z platformy przylegającej do skraju dachu. Olek nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jeżeli pierwszy z mężczyzn był zdziwiony pojawieniem się intruza, to drugi jakby na niego czekał. I ledwie Maciejewski zrobił kilka kroków, tamten popchnął Budkowskiego za barierkę, a potem znacząco pokazał milicjantowi wejście za jego plecami.

– Zrzucił z dachu magistra Budkowskiego. On! – krzyknął do wbiegających na oblodzony dach pracowników uczelni. – Ten pijany esbek.

I jakby go zaklął, cholerny szarlatan, bo chociaż kapitan po forsownym biegu czuł się już prawie trzeźwy, to nagle obraz całkiem rozmazał mu się przed oczami. Oparty o barierkę, mierzył z pistoletu do powidoków, osaczających go niczym żywe trupy z głupiego amerykańskiego filmu. Gdzie go widział? W telewizji? Nie, raczej u kogoś na wideo, równie napruty...

*

Ocknął się w nieoznakowanym radiowozie, kiedy podetknięto mu pod nos otwartą butelkę wyborowej. Podziękował skinieniem głowy i wypił prawie połowę, jakby to był serwowit, który czasem podkradał córkom na ostrzejszym kacu. Po bimbrze od pani Waławy rzeczywiście ze swymi czterdziestoma paroma procentami wyborowa nie mogła zrobić wrażenia na dorosłym mężczyźnie.

– Niech kapitan idzie do domu – poradził życzliwie gość z fryzurą na enerdowskiego piłkarza. Olek nie mógł się oprzeć wrażeniu, że skądś go zna. Może nawet z roboty?

– Muszę przesłuchać skurwysyna. – Maciejewski pokręcił głową, podnosząc się z tylnej kanapy wozu.

– SB będzie go słuchać, to nie jest nasza sprawa. A kapitan ma szczęście, że nie strzelił, bo ostro było.

– Na innym zakładzie toby pana drugiego z dachu zrzucili – potwierdził zachrypnięty głos zza kierownicy. – Pan miał szczęście, że na uczelni pracuje tylko inteligencja – dodał pogardliwie.

Olek spojrział w lusterko i rozpoznał znajome oczy pod narciarską czapką i krzaczastymi brwiami. Zaczynały przywracać mu pamięć. Przypomniawszy sobie, że po cholernie stromych schodach sprowadzali go na dół z gwizdanej zimowym wichrem dostrzegalni astronomicznej. Widząc otwarty gabinet wydziału chuj wie jakiej „troniki”, wyrwał się do telefonu, bo chciał uprzedzić Jacka, jaki burdel się zrobił. Ale w słuchawce jakiś skurwysyn pierdolił raz po raz, że rozmowa jest kontrolowana, no to Maciejewski nawrzucał gościowi o nim i o jego matce, nawet więcej by powiedział, gdyby nie

wykręcono mu ręk do tyłu. Musiał przyznać, bardzo fachowo, bo obaj faceci byli nie tej kategorii wagowej, a obezwładnili go jak dziecko. Bronił się, lecz nie zdołał chwycić krawędzi ciężkiego biurka, złapał tylko flamaster jak topielec brzytwę.

Flamaster? Zdziwiony oficer milicji stwierdził, że wciąż trzyma go w dłoni. Otworzył i zaśmierdziało rozpuszczalnikiem, więc zaraz zamknął. Ci faceci w samochodzie byli kolegami, nie chciał im psuć powietrza.

– Bardzo nabroilem? – zapytał potulnie.

– Jak pijany zajac, ale w porządku jest, kapitanie, w raporcie nie będzie śladu – zapewnił kierowca.

– Tylko niech kapitan już, kurwa, idzie do domu – poprosił mniej cierpliwie enerdowski piłkarz. – Tu, na wprost. – Wskazał klatkę schodową.

– Przecież wiem... To ja tu mieszkam!... – Maciejewski wysiadł z wozu i w jego nozdrza wdarł się mróz ożywczy jak miętówka. Dwa zaciągnięcia się powietrzem, by człowiek odżył, taka jest przyroda ojczysta! – A może bym kupił jeszcze ze dwie flaszki i byśmy do pani Mariolki skoczyli? – zaproponował, znów otwierając tylne drzwi.

Nie odpowiedzieli, tylko wyszli obaj i wzięli go pod ramiona. Dotargali do bloku, wepchnęli go do środka, a żeby się nie wrócił, zapalili papierosy, plecami barykadując drzwi. Dobrze, wierne chłopaki! Maciejewski na pożegnanie plasnął im dłonią w zbrojoną drutem szybę i zaczął piąć się po schodach.

Kurwa, dlaczego nie ma windy?! Porażony tym odkryciem, zatrzymał się na półpiętrze. Był przecież kiedyś w Warszawie w przedwojennej czteropiętrowej kamienicy, nie takiej znowu wyższej niż jego blok. Winda snuła się wolno jak smród po gaciach, lecz kto był lokatorem i miał klucz... Maciejewski też miał klucz, nawet dwa: od dolnego i górnego zamka. Od windy? Nie, od windy nie miał. Ale miał flamaster!

Otworzył go i powąchał. Rozumiał już młodocianych narkomanów, nawet po części był po ich stronie, bo zapach rozpuszczalnika otwierał

w głowie zapomniane klapki. Pijany jak świnia kapitan Maciejewski, gdy wreszcie dotarł pod swoje drzwi, wyrysował na nich najpierw ruską gwiazdę na szubienicy, potem kotwicę Solidarności Walczącej, a teraz pisał właśnie: „WRON-a skona, Orła nie pokona”. Miał zamiar postawić jeszcze wykrzyknik, gdy Wanda otworzyła z rozmachem i zamarł jak głupi z kretyńskim uśmiechem oraz ze śmierdzącym flamastrem w dłoni.

– Rozwiędę się z tobą – zapowiedziała, wlokąc go do łazienki. – Jesteś gorszy niż twój ojciec! – Pochyliła mu łeb nad wanną i odkręciła zimną wodę.

– Nie zrobisz tego. – Olkowi z trudem udało się objąć żonę. – Przecież mnie kochasz!

Zapewne miał rację, bo na potwornym kacu obudził się jednak w łóżku, a nie na klatce schodowej. A kiedy wszedł do łazienki, na lustrze znalazł przyklejoną kartkę z jakiejś skopiowanej przez kalkę rozpiski dla nauczycieli, uzupełnioną starannym pismem Wandy:

*Zadanie odmalować zapaskudzone drzwi
Termin zanim dziewczynki wrócą ze szkoły
Materiały gównu mnie obchodzą!*

III

Trzy dni później

Generalnie jechać na Chełm nie było po co, chyba że ktoś miał rodzinę na wsi i liczył na powrót z ciężkim bagażnikiem, bogatszy o ćwierć świni. Olek nie miał, więc jechał tą trasą może dwa razy w życiu. Za każdym z tych razów mostu nad kanałem Wieprz–Krzna nawet nie zauważył, lecz teraz trudno było przeoczyć pozycję obronną, na której brakowało tylko cekaemu. Pobocze i pół pasa po chełmskiej stronie tarasował wojskowy skot, po lubelskiej blokowała drogę milicyjna nysa z brudnym skajowym pokrowcem na masce. Lizak trzymał

jednak trep, nie pies, i to kapitanowi Maciejewskiemu z miejsca się nie spodobało.

Zatrzymał dużego fiata, zanim wojak na niego machnął. Od Lublina wisiała mgła, od Chełma mdłe słońce odbijało się niemrawo w zaspach na szosie. Z żadnego kierunku nie jechał nikt. Żołnierz z dwiema belkami na naramiennikach pokręcił palcem, żądając opuszczenia szyby.

– Dokumenty, przepustkę proszę.

Wbrew temu, co powiedział, w tonie jego głosu nie było prośby. Nawet nie przytknął palców do czapki. Przepustki Olek nie miał, więc spróbował z legitymacją służbową.

Kapral skrzywił się na jej widok. Maciejewskiego to nie zdziwiło, przecież nawet jego ojciec za sanacji miał z armią swoje porachunki. Obywatelska milicja z ludowym wojskiem też kochali się tylko na potrzeby telewizji i prasy, a stan wojenny jeszcze pogorszył ciche dni służb mundurowych, głównie przez cywili. Ci, karmieni od trzydziestu lat polskimi filmami o bohaterach w zielonych mundurach, łatwo kupowali bajki o żołnierzach, którzy w stanie wojennym mieli odmawiać wykonania rozkazów, a w aktach rozpaczy nawet grozić bronią zomowcom, kiedy ci szli na strajkujące fabryki. Wojsko było przecież z poboru, gliny z wyboru. Olek o żadnym akcie nieposłuszeństwa w armii w dokumentach resortowych nic nie widział, słyszał tylko od ludzi.

– Zgadza się, panie kapralu? – Zdjął czapkę narciarkę, żeby być bardziej podobnym do tego młodszego o kilka lat faceta prosto od fryzjera, który widniał na zdjęciu.

Gdy woził całą rodzinę, nawet zimą w dużym fiacie z miejsca robił się gorąc i zaduch. Kiedy jechał sam, po prostu piździło.

– Delegację proszę obywatela kapitana – wycedził trep.

– Może jeszcze paszport! – ryknął Olek, rozpinając kurtkę i marynarkę, żeby wojak zobaczył kaburę z pistoletem. – Nie jadę świniaka kupić, tylko operacyjnie. Co jest za tym mosteczkiem

waszym zdaniem? Zagranica jakaś? NRD czy może Berlin Zachodni, kurwa?!

– Przekraczacie granicę województwa. I używacie wyrazów w stosunku do mojej osoby – wyjaśnił zupak, ściągnając kałacha z ramienia. – Bagażnik!

Karabinu jednak nie odbezpieczył. Może nie umiał? Tak Olek pomyślał w pierwszej chwili. Lecz gdy zagryzł zęby i policzył do dziesięciu, już wiedział, że obywatel kapral nie był idiotą, a w co się gra na rogatkach w szczerym polu, wiedział lepiej niż oficer z wydziału kryminalnego.

Olek wyjrzał z auta. Wąsaty sierżant milicji zbliżał się dostojnym krokiem z drugiej strony.

– Jestem kapitan Maciejewski z wojewódzkiego. – Wysiadł, zabierając kluczyki. – Mnie chcecie trzepać?

– Stan wojenny, kapitanie, i wojsko górą. – Sierżancina nie był tak bezczelny, żeby puścić perskie oko, ale porozumiewawczo klepnął się w szyję. – Bez rozkazu wyjazdu... w gruncie rzeczy jesteście cywil. Otwórzcie bagażnik, nie utrudniajcie.

Obaj poszli za nim na tył samochodu. Starzy zawodnicy! Olek podniósł klapę i obie mordy zaraz się rozświeciły, jakby milicjanta i trepa przytuliła Matka Boska Częstochowska, a pobłogosławił papież Polak.

– Marlborasów mam trzy kartony, ale przynajmniej jeden mi niezbędny, operacyjnie jadę!

– Wiadoma rzecz, kapitanie! Mam tylko dwie ręce – zgodził się gliniarz, zabierając swoją dolę.

Zupak natomiast bez skrpułów dźwignął całą skrzynkę wódki.

– Ochujeliście, kapralu?! – Maciejewski niemal w locie wyjął z niej trzy półlitrowki.

Sierżant stanął między nimi jak sędzia bokszerski, nim zabrzmiał dzwonek na ringu.

– Pan kapitan następnym razem, nawet po kielichu i bez papierów, na Chełm jedzie na czysto.

Olek pojechał, ale bocznymi drogami, bo miasto wolał ominąć. Zwązzone do jednego pasa, nieodśnieżane chyba od 13 grudnia szosy nosiły dużego fiata zakosami, lecz nie stał przy nich żaden patrol. Aż do Szkodynia nie napotkał żywej duszy.

*

Sołtys współpracował, wystarczyło wypić z nim kielicha, by przyniósł zakąskę. Maciejewski polubił człowieka, inny nie rozwiązałby języka mniej niż po litrze.

– Ma pan kapitan szczęście w nieszczęściu, bo skoro o Budkowskich się rozchodzi, to stara została, znaczy matka, ze sklerozą. Na Wólce mieszka. Za to stary Gwarda dwie chałupy dalej ma kwaterę, napiszę panu kartkę.

– Skierowanie – poprawił Maciejewski.

Sołtys miał psi obowiązek zapewnić kwaterę funkcjonariuszowi, żeby po pijaku nie plątał się po drogach. Najprościej było u siebie, lecz albo się bał, że miejscowi wezmą go za kapusia, albo chciał podłożyć świnię sąsiadowi.

– A co to za jeden, ten Gwarda?

– Emeryt. Wcześniej chłoporobotnik, rzeźnik z zawodu.

– I pewnie mięso u niego pierwsza klasa, co?

– Mięso? Mięso jest na kartki. – Gospodarz wykręcił się od stołu i głośno wysmarkał nos w pomiętą chustkę.

– A to kupił pan w spółdzielni gminnej? – Olek odgryzł słuszny kawał swojskiej kiełbasy. – Dobra, dobra, niech pan nie odpowiada, ja nie jestem z przestępstw gospodarczych. Co ten Gwarda ma za uszami?

– Stare dzieje, po co język strzepić? – Sołtys machnął ręką. – Zresztą amnestia była jeszcze za Bieruta.

– Partyzant? – domyślił się Maciejewski. – A z której partyzantki?

– Pan kapitan jest za młody, żeby pamiętać, ale było tak: Niemcy mieli mundury, Ruskie mieli mundury, polskie wojsko miało

mundury, nawet milicja jakie takie. A bandy z lasu? Kto by ich rozróżnił?!

Olek pożegnał się i nie zwracając uwagi na psa, z wściekłym ujadaniem szarpiącego łańcuch, natarł czoło śniegiem. Wsiadł do samochodu, ale zanim pojechał do Wólki Szkodyńskiej, zapalił i włączył radio. Akurat leciał *Biały krzyż* Czerwonych Gitar, odgrzewany kotlet. Maciejewski uśmiechnął się jednak, bo pomyślał o Małgosi. Katowana tą piosenką w dzieciństwie, przypomniła ją sobie, kiedy bodajże w piątej klasie miała napisać referat o partyzantach i skorzystała z wizyty dziadka. Ktoś tak stary musiał pamiętać partyzantów, to było dla niej logiczne.

– A od nowego akapitu ja bym chciała: „Nawet znany piosenkarz napisał utwór o partyzantach”. Może tak być, dziadziu?

– Piosenkarz jej na pewno nie napisał. – Zyga Maciejewski wykręcił się od istoty sprawy. – Utwory piszą poeci, a gwiazdorzy tylko je śpiewają. Tak przynajmniej było przed wojną.

– Napisz, że czyn zbrojny Armii Ludowej opiewał w swym popularnym utworze znany polski artysta – podpowiedziała Wanda, która nawet zmywając gary, nie przestawała być nauczycielką.

Palce przedwojennego gliny aż zbieleły, gdy ścisnął kant stołu, ale na jego twarzy trzymał się uśmiech dobrego dziadka.

– To nie jest o Armii Ludowej, tylko o Armii Krajowej – wycodził przez zęby. – A w ogóle to nie znam się na tym waszym bigbicie.

– To w Polsce było więcej partyzantek? Nie lepiej, gdyby była jedna?

– Oczywiście, teraz jest jedna partia i wszystkim jest z tym lepiej. – Zyga spojrział spode łba na synową, przewodniczącą PZPR w jej szkole. – Pójdę już, Gosieńko. Daj buzi i pa, pa!

– Buzi? Nie jestem dzieckiem. Myślałam, że dziadzio mi opowie!...

– Nie potrafię, nie byłem w partyzantce. – Stary Maciejewski ni to skłamał, ni to powiedział prawdę, jak przystało na weterana wielu przesłuchań. Olek wiedział, że ojciec działał w akowskiej konspiracji, ale w leśnym oddziale rzeczywiście nigdy nie walczył.

Zyga zabrał ze stołu swoje papierosy i pudełko zapalek w połowie wypełnione spalonymi. Rozczarował Gochę, lecz szybko o tym zapomniała. Usatysfakcjonował natomiast pamiętliwą Wandę.

*W szczerym polu biały krzyż
nie pamięta już,
kto pod nim śpi...*

– zakończył z radia Krzysztof Klenczon.

Może i dobrze, że nikt nie pamięta! Olek wyrzucił papierosa na śnieg. W szczerym polu przed nim, jeżeli nawet w oddali były brzozowe krzyże, to przykryły je zasy i zasnuła szarówka. Przekręcił kluczyk. Zziębnięty silnik zaskoczył za piątym razem.

*

Pan Gwarda? Dzień dobry, nazywam się Maciejewski i przyjechałem...

– Zygmunt Maciejewski? To pan?!

Kapitan MO nie tego się spodziewał, kiedy pchnął furtkę przed kurną chatą, która z dobrodziejstw socjalizmu dorobiła się tylko eternitu zamiast strzechy. Nie o tym myślał, rozglądając się za podwórzowym kundlem, w każdej chwili gotów do kopniaka. Wreszcie nie tego oczekiwał na widok starca w wysłużonym kożuchu narzuconym na wyciągnięty sweter. I dopiero na koniec wyskoczył pies, właściwie szczeniak, który rzucił się do gościa, merdając ogonem, ale zatonął w śniegu i zaczął piszczeć przerażony.

– Istotnie, jestem Maciejewski. – Podchodząc, milicjant wziął zwierzę na ręce i został wylizany po twarzy. – Ale...

– Ale to angielskie piwo! – Stary zaniósł się rehotliwym śmiechem, zagarniając Olka pod ramię i prowadząc przez sionkę do kuchni. – Pies pozna dobrego człowieka!

Wewnątrz roznosiła się woń rosółu i machorki. Na stole leżały rozłożone gazety, a na nich w nieładzie bibułki, stara, pamiętająca chyba okupację maszynka do skręcania papierosów oraz domowy

tytoń, niedostarczony do skupu. Gospodarz omiół rękawem krawędź stołu i zaraz postawił tam talerz. Hojnie zagarnął chochlą z gara.

– Pan je, pan się rozgrzeje. Taki gość! Zara się napijem, ale najpierw *Ojciec nasz*, a potem *Zdrowaś Mario*, panie majorze.

Olek zupełnie inaczej planował rozpytanie Gwardy, teraz jednak nie chciał wyjść z roli. Zbawienna skleroza, na którą cierpiała w tej wiosce nie tylko Budkowska, to było mu w tej chwili nawet na rękę. Stary wziął Olka za jego ojca, co za traf! Rzeczywiście, matka mówiła coś o letnisku w Szkodynie, na którym spędzili wakacje przed wojną, gdy jego nie było jeszcze na świecie. Ale major? Ojciec był tylko komisarzem policji, no chyba że dosłużył się takiego stopnia w AK. O takich sprawach mówiło się zdawkowo, zostawiając prawdę na lepsze czasy. A potem ludzie odchodzili, zaś lepsze czasy wciąż przyjść nie zamierzały...

– Wykonywało się wyroki – burknął raz ojciec po Wigilii w osiemdziesiątym. – Brudna robota. Raz zlikwidowałem prawdziwego sukinsyna, tylko nie tego, co miałem... Daj spokój, Olek, dawno i nieprawda! – rzucił, widząc minę Wandy. – Dobrze, że wy nie macie takich zmartwień...

A jednak młody Maciejewski zmartwienie miał! Bo chociaż wiosłował łyżka za łyżką najlepszy rosół od lat, to martwił się, jak długo w oczach Gwardy utrzyma swoją legendę. O ojcu tak naprawdę nic nie wiedział!

– Pan to wtedy nie przychodził tak wprost do chłopaków, o nie! – Gospodarz zwinął sobie papierosa i zapalił. – Pan se spokojnie je, pan się nic nie boi! W Szkodynie nie było poruty ani za Hitlera, ani za Stalina, tu się skurwysyństwo bało, oj, bało... – Pokręcił z zadowoleniem głową i popluł na podłogę. – Pan teraz sobie myśli: co jest, że ja pana znam nie po pseudonimie, ale po nazwisku, co?

Kapitan kiwnął głową, nie przerywając jedzenia. Rosół był żółciutki, mrugający okami tłuszczu i lekko klejący usta. Z dobrej, starej kury! Bez kilograma pietruszki, drobnej marchwi i kostki Winiary, które w domu maskowały miałki smak sklepowego

kurczaka; samo prawdziwe jedzenie! Ani myślał przejść do rzeczy, dopóki nie zje z talerza i nie poprosi o dokładkę.

– W końcu pan też do mnie wyskoczył z nazwiskiem, a nie po pseudonie, no nie? Pan je, pan je na zdrowie! Jest wojna, jest zima, trzeba jeść! – niemal rozkazał Gwarda, sięgając chochlą do gara, i wyjął śliczne, duże udko.

To nie była kura, tylko kogut! Pewnie stąd brał się ten głębszy smak, ta krzepa, jaką Maciejewski zaczął odczuwać w mięśniach. Na razie jednak otarł nos wierzchem dłoni.

– Pan się nie krępuje, pan se smarknie – zachęcił gospodarz, kładąc mu gotowane mięso na talerz. – Przy rosole nie wstyd smarkać.

– Dziękuję wam, Gwarda – powiedział z ociąganiem Olek. – Kwatermistrzostwo macie tu na medal.

– A jak! – Stary chciał stuknąć obcasami, ale na nogach miał kapcie, więc jedynie nimi szurnał. – Plutonowy „Puchacz” o Szkodyniu wszystko wie, ja tu w gminie tylko pstryknę...

– Dobrze, „Puchacz”, dobrze – wczuł się w rolę milicjanta. Gówniarzem już nie był, ale udawać partyzanta? Tyle o nich wiedział, co z filmów, na które ojciec nie chciał nawet patrzeć. – Powiedźcie mi coś o Budkowskich.

– Swołocz, panie majorze. Jest wyrok? – Stary zapalił się, lecz Olek zgasił go niemrawym machnięciem łyżki. – Rozumiem, rozeznanie. Coś takiego, jak pan robił u nas w trzydziestym ósmym? Niech pan nic nie mówi, niech pan spokojnie je! Ja gówniarz jeszcze byłem, ale to zapamiętałem... – Gwarda usiadł naprzeciw, jego oczy jakby odmłodziły. – Zwalało się tu cerkiew Ukraińcom, swołocz, a pan tu naraz wystąpił przeciw wojsku, tak było, nie?

Tę historię Maciejewski rzeczywiście pamiętał. Gdy matka zażywała kąpieli słonecznej na leżaku, ojciec wdał się w awanturę z wojskiem, bo podjudziła go jakaś miejscowa dziewczyna. Olek wiedział swoje, stary po prostu miał na nią ochotę, ale matka opowiedziała mu o tym na stypie w zupełnie innych, społecznych barwach. Mniejsza zresztą z barwami!

– No, tak było. Nie spodobało się wam?

– Nie spodobało? Dobrze sobie! – Gwarda zarechotał i zakaszłał. – Myśmy z chłopakami zamiarowali iść potem do was na letnisko ze zgniłymi jajami! Dopiero w konspiracji ja zrozumiał, o co szło panu majorowi. Pan się sam podstawił, żeby zobaczyć, kto pójdzie za panem. Nikt nie poszedł, a pan oberwał po mordzie. I już pan wiedział, że na Szkodyń można liczyć, że tu nikt nie będzie za banderowcami, no nie? A ja stąd wiedziałem, że jest pan Maciejewski, komisarz. A potem w czterdziestym trzecim widziałem pana, jak pan wychodził z posterunku żandarmów i jeszcze podawał rękę gestapowcowi i folksdojczowi. O, ja bez spluwy nie chodziłem, myślałem nawet stuknąć, bo wrywny byłem, młody, no tylko nie wolno stuknąć bez rozkazu. A potem przyszedł rozkaz na tych dwóch, to się ich zlikwidowało, a ja już się zacząłem domyślać. Kiedy mi jeszcze powiedzieli, że ten, co dał pozwolenie na odstrzał, to podobno był przed wojną komisarz policji, no to, panie majorze, o czym tu więcej mówić?

– A Budkowscy? – Olek ze smakiem wycmoktał udko. Szczeniak u jego nóg zaczął przymilnie piszczeć.

– Tak jest! – Gwarda zgarnął ręką kości z talerza gościa i rzucił je psu na podłogę, po czym nie przejmując się zmianą zastawy, dołożył kiełbasy i chleba.

Piesek dostał kręcka. Kiełbasa pachniała mu lepiej niż resztki z rosółu, no ale te już miał, a o tamtej dopiero marzył. Niewprawnie warcząc, zaczął lizać kość. Gospodarz odsunął go nogą, kiedy nalewał do szklanek z butelki bez etykiety. Zapachniało plonem polskiej ziemi w spirytusie ukrytym.

– Ja na każdy rozkaz pana majora cały powiat miałem pod lufą – powiedział gospodarz, a Maciejewskiemu nieco bimbru wylało się na dłoń. – Drgnąłby palec i połowy bachorów od Bełzca do Lubyczy nie byłoby na świecie. Nie miałyby kto ich zrobić. Ale to żadna sztuka zatłuc wszystkich. Ktoś powinien zostać sam ze swoim strachem...

– I zostawiliście ich? – mruknął z pretensją Maciejewski. Jednocześnie zdjął kurtkę. Fakt, w tej dusznej kuchni zrobiło mu się gorąco od rosołu i emocji. Chętnie zdjąłby też marynarkę, lecz pod nią miał pistolet. Odślaniać broni nie powinien.

– Ja? Ich? Zostawiłem? – W rytm trzech pytań stary opróżnił szklanekę jak doświadczony zawodnik.

Gestem zachęcił gościa. Ten wypił, czując wstające mu włosy na karku i gazy w kiszkach. Nadstawił szklanekę, a bimber wlał się w nią łagodnie i uspokajająco, cichutko plumkając.

– Ja ich mogę w każdej chwili, panie majorze. – Gwarda powiódł po szyi palcem niczym brzytwą. – Niech pan pije na zdrowie, to dobry bimber, sam pędziłem! I ja dobrze wiem, że pan chce najpierw raportu z rozpoznania. No to do rzeczy!

– Budkowscy.

Stary skinął głową, wstał i uklęknął obok pieca. Piesek podbiegł, licząc na zabawę, ale dostał kuksańca i umknął pod stół. Gwarda szarpnął deskę z podłogi, by wyjąć spod niej spięty skórzanym paskiem plik zeszytów. Starsze były pogniecione i spłowiałe, ten na wierzchu miał nadruk z zabytkami miast polskich, jak na tych, które kilka miesięcy wcześniej Olek kupował córkom na nowy rok szkolny.

– Ja mam całą gminę rozpoznaną, ani zipną! – pochwalił się gospodarz. – Pięćdziesiąte lata, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte... U mnie jest wszystko. – Położył przed sobą zeszyty jak akta rozpracowywanych spraw i nie musiał ich nawet kartkować, aby z miejsca trafić na dobrze sobie znany protokół. – Budkowscy to przed wojną biedota, wyrobniki, sam smród i ubóstwo! Komuna – dodał konfidencyjnie, wznosząc palec. – 1943, stary Budkowski, znaczy ojciec, co już nie żyje, bo 1976 wylew, ale do rzeczy: 1943, ukrywał Żyda i zaciukał. W czterdziestym piątym jeździł kopać do Sobiboru. Dom sobie postawili za żydowskie złoto i babka Budkowska co noc krzyczy, bo duchy kurwę starą budzą, panie majorze! Czterdziesty siódmy i wsypa. Budkowski z ubekami chodzi po wsi, zgarnęli mnie, Ryczaka i Wadurskiego. Pięćdziesiąty szósty: jak wyszedłem,

Budkowski był w radzie sołeckiej i agitował za elektryfikacją. Ale ja nie jestem taki głupi, niech pan major popatrzy! – Gwarda wskazał zapaćkany wapnem kabel biegnący po ścianie chałupy. – Widzi pan major tę puszkę? Ona nie była z przydziału, zamieniłem. Tu nie ma podsłuchu. Dlatego jak tu zwabiłem Budkowskiego, jak go społem i na koniec powiedziałem co trzeba, to nikt na milicji nie skapował, skąd na łąkach znalazł się trup. Bo ja potrafię się mścić po chamsku, ze spluwą, ale jak trza, i umiejętnie potrafię, panie majorze. – Były partyzant uśmiechnął się chytrze.

Olek wypił. Czuł, że Gwarda czeka na jakiś wykwit jego dedukcji, ale od kilku minut myślał głównie o swojej tetetce pod marynarką. Czy nie zatnie się, jakby co... Polska wieś, za okupacji czy demokracji, stała bimbrem, mięsem i nienawiścią. I chyba tylko rozleniwiający bimber sprawiał, że nie były to wendety na miarę sycylijskich albo korsykańskich, bo wino mniej usypia. Takie sprawy jak połaniecka, w której rozjechano samochodami i dobito kluczami do opon kobietę w ciąży, jej męża i dwunastoletniego brata, pozostaną wyjątkami. Oczywiście, prawnuki Gwardów i Budkowskich będą się prały sztachetami po zabawach w remizie, tyle że już nie będą pamiętać, o co poszło w czterdziestym siódmym.

– Kto jeszcze wie? – rzucił Maciejewski oficerskim tonem.

– Tak myślałem, że pan o to zapyta, panie majorze. – Gwarda się zafrasował. – Kołodun stary wiedział najlepiej, tyle że zmarło mu się w zeszłym roku, na jesień. I widzi mi się, teraz jego syn, ale niech pan major będzie spokojny. Kołodun pary z gęby nie puści.

– Kołodun? Dziwne nazwisko...

– A bo to nie nazwisko! Pan major z miasta, to nie rozumie. Kołodun tu u nas odczynia uroki, leczy, ale i może zaszkodzić. W Szkodyniu od zawsze Sadowicze są kołodunami, z ojca na syna, więc teraz młodego kolej.

Z Maciejewskiego migiem wyparował cały wypity alkohol i wszystko nagle zaczęło się zgadzać. Sadowicze zawsze są kołodunami, więc przyszła kolej na byłego fizyka z UMCS-u, który odszedł z uczelni

i przerzucił się na szarlatanerię akurat wtedy, gdy zmarł stary znachor. Nie wyglądało to na przypadek, mimo że milicjant nie pojmował motywacji: trzydzieści lat po zwalczeniu w Polsce analfabetyzmu wykształcony człowiek wraca do starych, wsiowych przesądów?! Że były wykładowca miał niezłego szmergla, to kapitan już wiedział. Podobnie jak młody Sadowicz musiał wiedzieć o szkodyńskiej wendecie przeciw Budkowskiemu. To tłumaczyło niechęć, z jaką ci dwaj akademicy koledzy odnosili się do siebie; wyjaśniało doskonale, dlaczego Budkowski nie przedstawił syna kołduna żonie, dlaczego nie wpadali do siebie na imieniny, na wódkę czy innego brydza.

– Tylko po co? – zapytał na głos Olek. – Po co mu pan mówił?

– Żem niby komu mówił? Aaa, kołdunowi! – Gwarda zrozumiał pytanie dopiero po chwili.

*

Tę chatę za wsią wiosną omijały ptaki, latem bały się jej natarczywe komary i inne robactwo, wystraszone zapachem ziół suszących się pod powałą. Jesienią nie wszedł do niej żaden Niemiec, a zimą żaden Ruski ani ubowiec. Dlatego gospodarz, okryty zasłaniającą go od stóp do głów kapotą, nie ukrywał zdziwienia na widok trzech mężczyzn z bronią, ubranych w zwykłe wiejskie półkożuszki ściągnięte wojskowymi pasami. Była zima czterdziestego siódmego na ósmy.

– *I czego wy chcecie ode mnie? – warknął, statecznie zapalając świeczkę najpierw przed starą ikoną z dawnej cerkwi, zburzonej jeszcze za sanacji, a potem przed katolicką Matką Boską Częstochowską, jaką można było kupić na każdym odpuszcie. – Może wy chcecie wiedzieć, kiedy znowu będzie wojna i przyjdą tu Amerykańce albo czort wie kto? Nikt do was nie przyjdzie, wszyscy was i nas mają już w dupie i tak zostanie, powiedziałem.*

– *Kołdunie, my do was, ale nie przeciw wam przecież... A wy nam pomożecie, boście Polak. – Zdjął baranicę z po więziennemu ogolonej głowy, niestary jeszcze, niespełna trzydziestoletni chłop, ale już z gębą*

poznaczoną zmarszczkami, jakie rzeźbią na człowieku tylko ból do szpiku kości i wściekłość tak bezsilna, jak kniazienie szaraka złapanego we wnyki. – Poznajecie mnie?

– A co bym cię miał nie poznać, Gwarda? – Na gospodarzu poruszyła się kapota, kiedy przeżegnał się przed obrazami najpierw po cerkiewnemu, potem po rzymsku. – Z pyska ci cuchnie. Zioła pij, wódkę miarkuj, bo kiszki ci pogniją.

– Kołdunie, nie do mnie taka mowa! – Partyzancki watażka zdarł z niego okrycie i spod kapoty pokazał się człowiek ledwie kilka lat starszy od Gwardy.

Przed wojną obaj obtańcowywali co ładniejsze dziewczuchy na wiejskich zabawach, nieraz bili ich kawalerów lub, rzadziej znacznie, obrywali od nich. Wtedy mówili sobie na ty, bo jak inaczej! Kołdun był po prostu Staszkiem Sadowiczem, dopóki nie przyszedł siedemnasty września trzydziestego dziewiątego i jego ojciec nie położył się, by zapowiedzieć: „To, co będzie, to już ponad moje siły”. A kołdun był na wsi potrzebny, więc Staszek musiał wejść w buty ojca. Wszedł gładko i szybko postarzył mu się głos.

Teraz jednak, gdy Gwarda ściągnął z niego skórę nie do końca zrosniętą jeszcze z ciałem, Sadowicz miał ochotę uciec w jakiś odmęt jak umęczona w zabawie traszka, o której na chwilę zapomniały torturujące ją dzieci. Lecz izba była pięć na pięć metrów, zaś przy obu drzwiach stali z pistoletami chłopaki z leśnego oddziału.

– Szanuję was, kołdunie, ale uważajcie! – ostrzegł dawny kolega. W jego głosie drgała lekka obawa, lecz brała górę ta wściekłość, od której po kiszkach robią się złogi i wrzody, która zatruwa też umysł. – Rzucicie dla mnie przekleństwo. I dopilnujecie, żeby się wypełniło! – dodał Gwarda, unosząc lufę.

Obnażony młody kołdun spojrział na swoje zioła i na broń.

– Czego chcecie ode mnie? – powtórzył.

– Budkowskie mają wyginąć. Ma ich boleć, aż będą wyć, i znikąd nikt im nie powie, dlaczego na nich to spadło.

Kołodun pokiwał głową. Byle cham, który chce się mścić za prawdziwe czy urojone krzywdy, nie zazna spełnienia, jeżeli nie spojrzy w twarz cierpiącemu człowiekowi. Gwarda nie był byle chamem, lecz kimś znacznie gorszym.

– Stałeś się złym człowiekiem – powiedział Sadowicz.

Watażka dał znak i otwarto drzwi do drugiej izby.

– Twój chłopak rośnie jak na drożdżach! Chodź do wujka! – Gwarda odebrał dziecko leżące w pościeli żonie kołoduna. To była cicha i rozumna kobieta, nie krzyknęła nawet, chociaż wiedziała, o co idzie. Natomiast nie miał pojęcia, co się święci, mały Tomuś. Ufny, szybko zaśmiał się w ramionach Gwardy.

Myśli kołoduna tymczasem gnały jak tabun koni pierwszy raz po zimie puszczonej na pastwisko. Jedne wrywały się do przodu, inne na boki, inne jeszcze niczym głupie roczniaki podskakiwały i zataczały koła. Lecz chodziło mu o jedno: zadowolić Gwardę, lecz zarazem rzucić takie przekleństwo, które nie spełni się nigdy.

– Jeżeli znów będzie wojna, zginą dzieci Budkowskich pod ziemią, zginą ich żony na ziemi i oni sami nad ziemią. Tyle mogę.

– Mało! – warknął dawny kolega. – Ale... – zastanowił się. – Wojna będzie jak dwa razy dwa, doczekam! Przeklnij! Tylko tak, że jeśli ty nie zdążył, on ma tego dopełnić. – Partyzant pogilgał dziecko po brzuszku i znów zaśmiało się do niego. Złapało także rączką lufę lugera, lecz zaraz ją odjęło, zdziwione, że coś może być tak zimne jak śmierć. – Pal zioła!

Kołodun zaraz wszedł na stółek i sięgnął do powały, gdzie suszyły się całe narecza lekarstw i trucizn, jakie ta ziemia wydała.

– Przysięgasz?

– Jakem kołodun, gdy czołgi znów wyjadą na polskie drogi, zginą dzieci Budkowskich pod ziemią, a jeśli anioł niebieski nie stanie na drodze śmierci, zginą ich żony na ziemi, a jeśli sam anioł niebieski nie przekreśli wyroków, przekleństwo kołodunów Sadowiczów niech ciśnie Budkowskich z nieba na ziemię – powiedział uroczyście gospodarz, nie

spodziewając się zobaczyć czegoś podobnego ani za życia swojego, ani że syn to kiedykolwiek ujrzy.

*

I się stary omylił! – zarechotał Gwarda, nalewając Maciejewskiemu. – Ja już się bałem, co z tego będzie, bom i ja się omylił: nie było wojny. Ale kołduńskie słowo to słowo! I wisiało nad Budkowskimi, oj, wisiało, bo bogacili się, mnożyli, ale marli jeden po drugim, bo im moja krzywda kością w gardle stała. Z dzieci został im tylko ten młody, może bo do Lublina wyjechał? Ale sam pan major widzi: dzieciak zginął mu pod ziemią, żonę samochód rozjechał na ziemi, a na koniec on sam pofrunął z dachu. W gazetach o tym nie pisali, bo gównu w gazetach piszą, ale Lublin nie tak daleko, żeby nie wiedzieć, nie? Ja potrafię nie tylko cały powiat mieć pod lufą! – Zarechotał z satysfakcją, by po chwili spoważnieć. – Jakie rozkazy, panie majorze?

Jakie? To było oczywiste: kazać staremu wsiadać do fiata i jechać z nim do Lublina. Tam znalazłby sposób, żeby skonfrontować go z Tomaszem Sadowiczem, i pokazałby wała esbekom, a co ważniejsze, zrobiłby idiotę ze Szczura. Nawet jeśli nie odzyskałby swojego śledztwa, podobnej wpadki nikt by prokuratorowi nie zapomniał. Już widział tego wazeliniarza przeniesionego do prokuratury we Włodawie albo do jeszcze większego zadupia, żeby mógł sobie wyglądać z zagrzybionego gabinetu na skuty lodem Bug i słupy graniczne!

Do Lublina! Niestety, Olek wypił za dużo, aby prowadzić... Po chwilowym rozjaśnieniu umysłu bimber z podwójną siłą zaczął mu kręcić przed oczami obrazy niczym z dzieciennego kalejdoskopu. Zawsze powtarzał dziewczynkom, że dzięki tej zabawce nauczą się, co widzi pijak, a one zawsze się z tego śmiały.

– Cóż, Gwarda, zanocuję chyba u was... – Niezgrabnym ruchem wyłuskał z paczki papierosa. – Jeśli jest u was bezpiecznie, ma się rozumieć.

– A gdzie może być bezpieczniej, jak nie u mnie! – Stary rozłożył ręce, jakby chciał uściskać gościa przez stół.

W tej samej chwili w sionce otwarły się drzwi, a mały kundel wybiegł połasić się do przybysza. Do kuchni zajrzała czerwona mordka na krótkiej, mięsistej szyi, ledwie wystająca spod postawionego kołnierza kozucha.

– Synku! Dobrze, żeś przyszedł! – ucieszył się stary Gwarda. – Tylko cicho sza, coś tu widział! To pan major Maciejewski z AK.

– Tak, to jest Maciejewski... – osiłek zbliżył się – ale nie major, tylko kapitan, i nie z AK, tylko z MO – oznajmił, rzucając na gazety legitymację Olka. – Ręce na stół i rusz się tylko! – Spod okrycia wyjrzała lufa obrzyna. – A ty chodź! – rozkazał komuś w sieni. – Chodź i pal zioła!

Do kuchni wszedł Sadowicz z miną jeńca, ale policzkami pełniejszymi, niż gdy Maciejewski widział go ostatnio na dachu instytutu. Nie tak wyglądali zazwyczaj ludzie ukrywający się przed milicją, przed esbecją tym bardziej. Lecz wieś to nie tylko dobre powietrze, wieś to również mięso.

Olek spodziewał się po nim cynicznego uśmiechu, ale szarlatan potraktował go jak powietrze. Zaś kundelek zaczął wreszcie ujadać ze swoją śmieszoną szczenięcą złością, widocznie właśnie nauczył się rozpoznawać złego człowieka. Albo psi węch nie znosił zapachu ziół, z których wróżbita, odsunawszy zastępujące obrus gazety, usypał niewielki stos.

– Ojciec, obszukaj go! – Młody Gwarda znacząco poruszył lufą w stronę kapitana.

– Przecież wiem, że ma klamkę pod kapotą, ale nie będę sobie rąk brudził! – Partyzant zamierzył się kułakiem, lecz nie wyprowadził ciosu. – Zabierz go za stodołę, synku, i zrób tak, jak cię uczyłem.

– Nie teraz! Nie przy mnie! – zaprotestował niespodziewanie Sadowicz, gasząc zapalną, którą już miał podpalić zioła. – Gdzie wielki grzech, tam moja robota na nic.

Maciejewski wielu rzeczy by się spodziewał, lecz nie że poczuje do tego faceta cień sympatii. Był z niego niezły zawodnik, wciąż nie zaszczycił milicjanta spojrzeniem, jednak teraz na swój pokrętny sposób był po jego stronie. Tylko dlaczego?

Olek już zaczął kombinować, jak uciec pod stół, wyjąć i odbezpieczyć broń. Na to nie miał szans, niestety. Obrzyn wciąż celował mu w łeb. Wtem, patrząc w lufę, Maciejewski doznał olśnienia, podobno tak bywa przed śmiercią. Przekleństwo starego kołduna zapowiadało przecież anioła, który mógł przeszkodzić w spełnieniu przepowiedni. Kapitan uznał to za szarłatańską paplaninę, tymczasem anioł wcale nie był teoretyczny, chociaż i nie boży. Nie przypadkiem młody Sadowicz przekupił esbeków, żeby założyli mu podsłuch, tylko te ofiary losu nie zrobiły użytku z informacji. Niestety, Olek też nie. A cholerny szarlatan przecież cały czas uprzedzał władzę jak kogoś mądrego: „Załatwię Jarka Budkowskiego, załatwię jego matkę i ojca. Słyszycie mnie, to powstrzymajcie, jesteście przecież anioły w niebieskich mundurach”.

– A jak już, kurwa, skończysz? – warknął do wróżbity młody Gwarda.

– Synku, grzeczniej, do kołduna mówisz! – upomniał go ojciec, stara szkoła. – Chociaż taki kołdun, jakie czasy... No, nie gniewajcie się, kołdunie, załatwimy go później. A teraz, jak było umówione, dajcie tę przepowiednię, żeby ludzie dobrze mnie pamiętali.

– Tak się stanie, panie Gwarda – powiedział z nabożną powagą Sadowicz. Zapałka rozpałała zioła i kuchnię wypełnił zapach jak z albańskich papierosów. Pies dostał szału, lecz nikt nie zwracał uwagi na szczeniaka. – Tak właśnie się stanie w wolnej Polsce. Tak się stanie, gdy starzy komuniści nawrócą się, w telewizji księża będą nadawać różaniec, a o takich jak wy zaczną uczyć w szkołach. Przepowiadam!

– Co ty pierdolisz? – przerwał mu syn partyzanta. – Co to za przepowiednia na święty nigdy?!

Obaj Gwardowie pochylili się groźnie nad wróżbitą i Olek zrozumiał, że lepszej okazji nie będzie.

Porwał rzuconą na stół legitymację i chlusnął bimbrem w palone zioła. Ogień wyskoczył do powały. Zaś Maciejewski, chociaż dawno nie bywał na torze przeszkód, zrobił tygrysi skok prosto w niewielkie okno kuchni. Że masą ciała je wybił, to go szczególnie nie zdziwiło, lecz że nie utknął w futrynie i lądując na śniegu, zrobił taki przewrót w przód, jakiego nigdy nie osiągnął na szkoleniu? W tym musiał mu pomóc anioł boży, bez dwóch zdań.

*

Maciejewski miał stracha, że w lesie będzie ciemno jak w przysłowiowej dupie zagranicznego studenta Akademii Medycznej. Do tej pory nie miał okazji zaglądać ani tu, ani tam. Teraz zweryfikował swoją opinię o lesie i przynajmniej ten nad Bugiem był po jego stronie. Przez bezlistne gałęzie księżyc świecił jak latarnia, jego blask odbijał się od zalegającego wszędzie białego puchu, nierozjeżdżonego kołami jak w mieście. Biegł więc bez obawy, że przyładowuje łbem w któryś z pni, tylko nogi grzęzły mu w śniegu jak w bagnie.

Strzał rozbrzmiał w zimowej ciszy niczym wyrok. Na głowę Olka posypały się płaty odłupanej kory i przyspieszył kroku, starając się kluczyć. Na północny zachód powinna być szosa, o ile kierunek, który wybrał, istotnie był północnym zachodem. Gwiazdozbiory świeciły wprawdzie wyraźnie niczym neony, ale który jest Wielką Niedźwiedzicą, milicjant nie potrafił rozpoznać. Alkohol znów z niego wyparował, ustępując adrenalinie, lecz braku obeznania z terenem i adrenalina nie mogła zastąpić.

Służbowej tetetki nie odbezpieczył nawet. Do niego walili z długiej broni: z karabinu czy z myśliwskiej fuzji, ani nie zgadywał. Ze swoim pistoletem był przy nich jak impotent w burdelu, powiedziałby pewnie ojciec. A naczelnik by dodał, że legitymację funkcjonariusz trzyma przy sobie, aby nie wpadła w niepowołane ręce. Rzecz jasna, trzymał ją tam, dopóki nie cisnął do skrytki, wściekły po legitymowaniu na granicy województwa. Kluczyki od auta zaleca się

zabierać ze sobą, upewniwszy się wcześniej, że wszystkie drzwi zostały zamknięte, to można było przeczytać w każdej instrukcji wozu. Tyle że Olek nie zaparkował u siebie na osiedlu, ale na zupełnym zadupiu. Może nawet zdążyłby wsiąść za kierownicę, jednak czy uruchomiłby silnik na czas? Pewnie nie. Dlatego rozgarniał metrowy śnieg, aż dobrnął do zagajnika i odetchnął na chwilę, zupełnie jak w mieście ktoś goniony przez chuliganów na widok budki telefonicznej. Z której można by zawiadomić pogotowie milicyjne, gdyby nie urwana słuchawka.

Mimo wysiłku zaczął marznąć. Siekły go po pysku nagie gałęzie, śnieg spadał mu za postawiony kołnierz marynarki i pełzną zimnym glutem po plecach, ale przynajmniej pod butami Maciejewski czuł twardą, zmarzniętą ziemię. Wydobył pistolet i poczuł się raźniej. Kurwa, ojciec, ty byłeś kozak, a ja nigdy w życiu nie mierzyłem do człowieka, tyle co do fantoma na strzelnicy! Człowieka czy fantoma? To nawet chuj, ale mam w tetetce raptem osiem pocisków bez zapasu i nawet jak się pistolet nie zatnie, to na unieszkodliwienie trzeba liczyć trzy na cel. Olek do mistrzów strzelectwa nigdy nie należał, sprawdziany zaliczał na dostateczny. Zaś tamci szli za nim z prawdziwą bronią, która zajebie jednym strzałem.

A zima była piękna tego roku, mógłby napisać Broniewski, gdyby się nie zapiał. Nagi las przyjął Olka jak swojego, tyle że tamci znali go lepiej i nawet stary Gwarda wciąż pewnie instynktem odróżniał w nim twardą ścieżkę od zdradliwie oprószonego śniegiem jaru. Z jakiegoś powodu milicjant bardziej się bał dawnego partyzanta niż jego syna, mimo że syn był silniejszy. Nie miał jednak leśnych nawyków, tak przynajmniej podpowiadały Maciejewskiemu odgłosy przewracającego się co chwilę ponadstukilowego cielska i rzucane przy tym kurwy oraz cholery.

A kapitan tymczasem, spocony i zziębnięty zarazem, zobaczył wreszcie przed sobą skraj lasu i szosę. Tyle że za nią było tylko nagie pole, na jakim cień na śniegu jest jak czarny kształt na białej tarczy.

– Ojciec, ratuj, bo zaraz mnie zajebią! – jęknął pod nosem, chociaż nie powinien się spodziewać, że komisarz Policji Państwowej zasilił po śmierci korpus świętych Pańskich.

Tymczasem, jakby naprawdę wymodlił, zza zakrętu pokazały się światła samochodu, a potem drugie, trzecie, czwarte... Cały konwój, a takimi w stanie wojennym nie jeździły bynajmniej transporty mleka ani pieczywa. Olek niczym topielec zdobył się na wysiłek nad ludzką miarę. Chociaż śnieg wciągał jak bagno, Maciejewski pokonał ostatnie pięćdziesiąt metrów niczym na bieżni, tyle że zgubił lewy but.

– Stój, stój! – krzyknął jak na złodzieja, choć na burtach pojazdów wymalowano: milicja.

Hamujący na nieodśnieżonej drodze prowadzący kolumnę uaz niemal go potrącił, na drugiej w konwoju nysce Olek zawisł całym ciałem, lecz mimo to gotów był uściskać obu kierowców. Nigdy by nie przypuszczał, że widok przygłupów z ZOMO tak go ucieszy. Jechali pewnie do Włodawy, bo za wozem terenowym i nyską ciągnęły trzy zakratowane budy więzienne. I Maciejewski mógł liczyć na pomoc kilkunastu kałasznikowów, a że w źle wyszkolonych łapach, to go już mniej martwiło. Zmordowany zsunął się dupą na zderzak milicyjnej suki. Mogło być gorzej, o wiele gorzej...

IV

We wrześniu 2015 roku

Wchodząc po schodach cichego czteropiętrowego bloku na najstarszym osiedlu LSM-u, Olek Maciejewski poczuł nostalgię. Szczerze, to najchętniej wcale nie sprzedawałby tego mieszkania, a w każdym razie nie za rynkowe pięć pięćset za metr. Dlatego nalegał na żonę, żeby zajęła się wzrostem wartości. I zajęła się, była w tym dobra. Teraz ich dawne M-4, przeszacowane, kosztowało trzysta tysięcy, lecz Olek czuł, że jego samego kosztowało o wiele więcej. Najpierw musiał zasłużyć na przydział, potem poprawić fuszerki, w ciągu tych lat, które tu spędzili, kilka razy samemu odmalować i tak dalej.

Tymczasem mężczyzna i kobieta, których prowadził na trzecie piętro, zaczęli się krzywić już na drugim. A przecież na klatce schodowej nie było ani jednego peta na posadzce czy gówniarskich bohomasów na ścianach.

– Bez windy? – zapytał facet w marynarce tak dopasowanej, że nie zasłaniała nawet tylnych kieszeni spodni.

Za to nowo wstawione drzwi antywłamaniowe zrobiły dobre wrażenie, a na widok hiszpańskiej terakoty w przedpokoju oczy kobiety wyraźnie się rozszerzyły. Maciejewski wyczuł, że to ona zadecyduje o kupnie. Trzydziestoletnia blondynka metr sześćdziesiąt pięć, jednak na takich szpilkach, że wydawała się wyższa od byłego gliny. Nie mówiąc o jej facecie.

– Muszą państwo zrozumieć, my nie sprzedajemy metrażu, ale lokalizację i ciszę – powiedział z uśmiechem.

I akurat zza ściany ryknął urywkiem hymnu telewizor. Telewizja Trwam, rozpoznał bezbłędnie Olek, bo uciął sobie kiedyś rozmowę z dawnym sąsiadem, majorem Pielakiem. Stary komunista służył w Wojskowej Służbie Wewnętrznej, ale rzadko chodził w mundurze, więc było jasne, że nie zajmował się żołnierzami, którzy poszli na samowolkę. Za to nie wpisano by go do Honorowej Księgi Czynów Żołnierskich „za szczególne zasługi dla socjalistycznej Ojczyzny w okresie stanu wojennego”. Po osiemdziesiątym dziewiątym kombinował podobnie jak Maciejewski, a nawet chwilami zarabiał lepiej, będąc po kolei szefem ochrony kilku podejrzanych banków. Jednakże w końcu Olek rozkręcił swoją agencję detektywistyczną i ochroniarską, a Pielakowi została tylko emerytura. I Matka Boska, którą zaczął nosić w klapie nad kieszenią z aparatem słuchowym.

– Tutaj tak zawsze? – zapytał kpiącym tonem facet w przykrótkiej marynarce.

Czy ktoś chciał, czy nie, kilka pięter słyszało, że zaczęły się właśnie *Rozmowy niedokończone*.

– Na LSM-ie nie znajdą państwo lepszego standardu. Gdzie indziej ściany działowe są z gipsu i słycać nawet, jak komuś upadnie ołówek.

A tam po prostu mieszkają starsi ludzie. – Maciejewski rozłożył ręce i uśmiechnął się ze współczuciem, chociaż sam był młodszy od Pielaka może pięć lat. – Chodzą spać wcześniej i chyba to lepiej, niż gdyby darły się dzieci albo młodzież robiła domówki i na ful słuchała disco polo.

– Mój partner pisze teksty dla kilku takich zespołów – po raz pierwszy od przywitania odezwała się kobieta.

Olek otworzył balkon, aby pokazać piękne stare drzewa na skwerze oraz że w pobliżu nie ma bloków, z których ciekawscy mogliby zaglądać tym państwu do okien.

Jak na złość otworzyło się okno także u sąsiadów i Telewizja Trwam przemówiła pełnym głosem, głosem Antoniego Macierewicza. Maciejewski nerwowo sięgnął po papierosa.

– Jeszcze nie podjęliśmy decyzji, ale jeżeli mamy tu mieszkać, wolałbym, aby tu się nie paliło – zwrócił mu uwagę tekściarz od badziewia.

Tymczasem za ścianą do dawnego wielbiciela Che Guevary dołączył głos cichy i spokojny.

Były milicjant nagle poczerwieniał.

– Póki co jestem u siebie! – Wrócił do pokoju i włączył telewizor. Wkomponowany w ścianę, tak jak chciała Wanda, i który rzeczywiście podobał się każdemu z potencjalnych klientów. Zaczął klikać pilotem po kanałach.

– Słucham?! – Facet wyskoczył do Olka jak kogut. Może faktycznie pisał disco polo, bo wyraźnie wiedział, jak należy reagować na prowokacje na zabawach w remizie.

Maciejewski spokojnym ruchem odsunął go jak zasłaniającą widok paprotkę. Para trzasnęła drzwiami i dalej nie zawracała dupy. Pilot był mniej posłuszny. Discovery, szmery, bajery, TVN-y, wróż Tomasz, wreszcie Maciejewski znalazł właściwy kanał. Rozsiadł się na sofie, która również za radą Wandy była funkcjonalnie wkomponowana w ciąg nowych regałów.

Obok okrągłego na gębie gościa w koloratce i Macierewicza siedział znajomy prokurator, któremu dawny glina obiecywał w duchu dać w mordę, jak go spotka. Na pasku widniało: „PIOTR Szczurowski (PiS). Zbrodnię stanu wojennego w Lublinie (1982) ukrył b. oficer milicji Aleksander M.”.

– To, ojcze redaktorze, nie jest jedyna z podobnych spraw, które chcemy naświetlić i ukarać – mówił Szczur. – A to były ciężkie i trudne lata, kiedy tacy ludzie jak ja ryzykowali najwięcej. Liberałowie, którzy tak się boją przegrać wybory, usiłują przypiąć mi etykietę, zacytuję jedną z ich polskojęzycznych gazet, „prokuratora stanu wojennego”. Tak, nie ukrywałem nigdy, byłem wówczas młodym prokuratorem. I gdy nim zostałem, podjąłem trudne powołanie obrony ludzi, którzy walczyli wówczas z komuną.

Olek jak jasna cholera potrzebował chlapnąć wódki, niestety o odpowiednim zaopatrzeniu barku w sprzedawanym mieszkaniu Wanda nie pomyślała. Strzepnął papierosa na dłoń, lecz zaraz wyrzucił popiół na włoskie panele, a rękę otarł o spodnie. Te już nie kosztowały tyle, były z H&M, ale skądkolwiek by były, w tamtej chwili Maciejewski nie myślał o pieniądzach.

– W tamtych trudnych czasach mogłem tylko gromadzić dokumentację, którą zresztą wciąż skrupulatnie gromadzimy. – Szczur uniósł spracowaną, wypchaną teczkę, w jakich lubują się prawnicy. Dobry chwyt! Gość powtarzał w katolickiej telewizji sprawdzony rekwizyt psychologa Tymińskiego z wyborów prezydenckich w dziewięćdziesiątym. – Ta dokumentacja, ojcze redaktorze, zostanie przekazana do IPN-u i do prokuratur, gdy oczyścimy sądownictwo z beneficjentów, powiedzmy to wprost, z beneficjentów korporacyjnego systemu łapówkarstwa. W przedmiotowej sprawie... – Lubość, z jaką Szczur sięgnął do teczki i położył przed sobą plik spiętych zszywaczem kserokopii, Maciejewskiemu skojarzyła się z jego własną twarzą odbitą w lustrze przed trzema laty. Było to po zabiegu ukraińskiej masażystki, przy której okazał się jednak mężczyzną, pewnie ostatni raz w życiu. – Proszę mi wybaczyć ten

prawniczy żargon... – Szczurowski spojrział na Macierewicza, a ten wybaczył, kiwając głową z uśmiechem doprawdy trockistowskim – ... jednak wówczas mogłem robić tylko jedno: chronić patriotów, a jednocześnie gromadzić materiały na zbrodniarzy stanu wojennego, co zresztą czyliłem. – Szczur poklepał teczkę jak chłop kobyłę zaprzęgniętą do pług. Napis pod jego wredną mordą zmienił się na: „PIOTR Szczurowski (PiS). PiS ostatnią szansą na pociągnięcie do odpowiedzialności zbrodniarzy stanu wojennego”.

– A przecież zbrodnia, o której pan wcześniej powiedział, to cyniczne powtórzenie przez komunistów historii Hioba – ocenił pedalskim głosem klecha redaktor. – Zanim zabito Budkowskiego, musiał patrzeć na śmierć dziecka, następnie żony...

– W tej samej perspektywie – wtrącił się Macierewicz – możemy patrzeć także na zamach smoleński, który po wyborach wyjaśnimy przede wszystkim. Natomiast nie zapominajmy, że najnowsza historia naszej ojczyzny to w istocie historia cynicznego mordowania polskości.

*

Macierewicza Olek osobiście nie znał, pamiętał natomiast dobrze minę Szczura, kiedy do kompletu z Sadowiczem dostarczył mu obu Gwardów, ojca i syna. Zlikwidował książeczkę oszczędnościową, żeby starczyło na wódkę dla wszystkich chłopaków z konwoju. Bydło to było i porzygało się po kątach, trudno, on miał swój honor. Dzięki nim żył.

– Ale jak to się ma logiki śledztwa, obywatelu kapitanie? – Szczur nie mógł uwierzyć w ludowe mity znad Buga, chociaż lata później mit zamachu smoleńskiego łyknął jak kaczka.

– Odsunęliście mnie od sprawy, obywatelu prokuratorze, więc nie moja w tym głowa. – Maciejewski z wrednym uśmiechem popatrzył na wąsy opadające prawnikowi niczym u gryzonia zasmuconego swą przykrą dolą nielubianego szkodnika.

Podejrzani oczywiście milczeli. Może szkoda, że Olek zabronił zomowcom ich pałować? Sądził, że ma na nich dość. Sadowicz na jego oczach zrzucił Budkowskiego z dachu instytutu, chociaż wypity tamtego dnia alkohol nie dodawał kapitanowi wiarygodności. Że wróżbita kręcił się koło Budkowskiej i wyszedł z domu tuż przed śmiercią jej syna, dobrze zaplatało się poszlakowo. Obaj Gwardowie mieli jak w banku groźby karalne, czynną napaść na milicjanta i nielegalne posiadanie broni. Zresztą o Maciejewskim dwa dni później napisała sama „Trybuna Ludu”. Artykuł był krótki, lecz jego wydźwięk bardzo nieprzyjemny dla prokuratury. Gazeta chwaliła zaangażowanie i czujność funkcjonariusza, wprost przeciwne rutynie wymiaru sprawiedliwości. Szczurowski po cichu zniknął z Lublina, zaś Olek awansował. Siedzący w areszcie stary Gwarda mógłby już serio mówić do niego „majorze Maciejewski”, lecz dostał wylewu i karetka nie przyjechała w porę, a Sadowicz, osadzony z grypsującymi, powiesił się.

Sprawy, którą major Aleksander Maciejewski sam opatrzył kryptonimem „Fatum”, ani myślał jednak odpuścić. Wciąż siedział na Południowej młody Gwarda, zaś akcje Olka rosły. Nawet w telewizji go pokazali! Niestety, po miesiącu jego sława wyparowała, a esbecja kazała przenieść Gwardę do innego aresztu. Do którego, Maciejewskiemu poradzono przestać się interesować. To samo powiedział Jacek Szydziel, który po miesiącu wreszcie odebrał telefon od kolegi. A kilka dni później okazało się, że spierdolił do Szwecji z synem, panią Mariolką i jej córkami. Jeżeli żył i śledził zza Bałtyku telewizję dla prawdziwych Polaków, też pewnie go teraz zamurowało.

*

Kamera ukazała kolejnego gościa. Nie przypominał działacza PiS-u. Miał tłustą mordę postkomunisty i kark regionalnego ludowca, na którym żaden kołnierzyk się nie dopina. Nie pasował do tych z katolickiej prawicy, gdzie dominują chudzi, jako że prezes nie szczędzi stresów i goni do roboty. Lecz pasek mówił wszystko:

„GRZEGORZ GWARDA (PiS). Mój ojciec był żołnierzem wyklętym. W stanie wojennym dobili go esbecy”.

– To wszystko było zasługą nieugiętej wiary w Boga i w Polskę, ojczyznę redaktorze – słuchał z telewizora Olek. – To wszystko było zasługą tej samej nieugiętej wiary, która przygaszona w ludziach przez komuny, wybuchła na nowo dzięki Ojcu Świętemu, świętemu Janowi Pawłowi II. Mój ojciec był szczerym, prostym człowiekiem i nie znał wielu książek, ojczyznę redaktorze, ale „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska będzie Polską, a Polak Polakiem” to było jego... eee...

– Motto? – odpowiedział duchowny.

– Tak, to było jego motto. – Gwarda kiwnął głową. – Motto, które i mnie powtarzał od małego. Dlatego gdy przyszło mi się ukrywać w stanie wojennym, to nie miałem się czego bać, bo z różańcem w ręku przeciw esbekom kto był lepiej uzbrojony?

Olkowi scyzoryk otwierał się w kieszeni, gdy próbował sobie wyobrazić jego łapy z różańcem zamiast obrzyna. Przed kamerami telewizyjnymi najspokojniej w świecie pouczali ludzi cham, gnida i facet z bródką, jaką kiedyś miały diabły na kościelnych malowidłach.

Maciejewski zgasił papierosa na drogich panelach i wstał. Wciąż był kawał chłopca, lecz trzech faceci w spodniach i jeden w sukience równo mieli go w dupie.

– WRON-a Orła nie pokona! – Olek szarpnął plazmą. W porównaniu z jego starym telewizorem ważyła tyle co nic, jednak robotnicy z Ukrainy wmontowali ją w ścianę, jakby miała wytrzymać do drugiego tysiąclecia chrztu Polski. „Solidni fachowcy i szanują pieniądze”, powtarzał Wandzi, ile razy mu nadawała na ruskich, chociaż sama rusycystka. Bładź ich mać, ledwie wyrwał!

Dziura w tynku na połowę ściany przyjemnie go rozmarzyła. Jaki był młody, kiedy sam niewprawnie pokrywał te mury gipsem, a potem tapetą! Chciał, żeby Małgosia lub Jaś, zależnie od rozdania z brzucha matki, nie mieszkali wśród zimnych ścian...

Szarpnął płaski telewizor jeszcze raz, z kablami poszło łatwiej. Wyrwane z kontaktu i styków, zaprotestowały cichym iskrzeniem, lecz Olek był górą. Frunąca z balkonu plazma wolno obróciła się kilka razy w powietrzu i opadła jak latawiec.

Gocha kiedyś uwielbiała latawce. Maciejewski uśmiechnął się na samą myśl o tamtych czasach.

Dziesięć lat z Zygą Maciejewskim

Oficjalny rodowód jest taki, że komisarz Zygmunt Maciejewski narodził się dzięki teatrowi. Było to pewnie w 1995 roku, bez wątplenia w bibliotece KUL-u, gdzie jako student polonistyki siedziałem z koleżanką nad rocznikami przedwojennych gazet. Nie tak wyobrażaliśmy sobie nasze zajęcia z wiedzy o teatrze! Nie pamiętam już, dlaczego wybrała je akurat moja koleżanka, ale ja – to dla odmiany pamiętam dobrze – co dzień rano widziałem w lustrze świetnie zapowiadającego się dramaturga młodego pokolenia. Miałem w końcu za sobą premierę własnej sztuki, granej przez słuchaczy studium teatralnego, gotową kolejną, inspirowaną ukochanym wówczas Wieniediktem Jerofiejewem, a także udział w polsko-brytyjskim projekcie pisania dla teatru. A jakby tego było mało, byłem przecież autorem dwóch książek prozą (*Udo Pani Nocy* z 1992 i *Obsesyjny motyw babiego lata* z 1994), wprowadzie niskonakładowych, lecz mimo to w swym mniemaniu nie zasługiwałem, aby grzebać się w starych recenzijkach lubelskich teatrów i wynotowywać na fiszkach obsady oraz daty przedstawień.

Smutny i pognębiony, co raz wychodziłem na papierosa. Pamiętam, że były to caro („kto pali cara, ma chorobę zara”), ponieważ pewien Amerykanin wmówił mi, że z polskich papierosów najbardziej przypominają w smaku camele bez filtra. W przebłyskach świadomości czułem w ustach oraz płucach, że amerykański optymizm ma się nijak do rzeczywistości, niemniej z caro w pysku wyglądało się przy maszynie do pisania prawie jak Camus z gitanes'em. O ile fotografia była czarno-biała, oczywiście.

Moją katorgę przerwała koleżanka, pokazując mi w wertowanym roczniku czarujący tytuł: *Pan Teofil dostał w profil*. Bohaterem dziennikarskiej notki był stateczny mieszczanin, który wybrał się za Bramę Krakowską, szukając towarzystwa kobiet płatnych i łatwych,

lecz spotkawszy miejscowych zakapiorów, stracił portfel, zegarek i nieco godności osobistej. By nie być gorszym, zaraz odwzajemniłem się koleżance reklamą: Nie eksperymentuj! Używaj OLLA prezerwatywy, ale przede wszystkim w tamtej chwili pojąłem, jaki głębszy sens ma moja zsyłka nad zapomniane recenzje teatralne. Cudownie szeleszczące gazety z lat trzydziestych XX wieku stały się moim żywiołem, dlatego na nich oparłem później moją pracę magisterską. Przede wszystkim pamiętam jednak myśl, która mi wykwitła jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych, istny akt strzelisty: „Chciałbym przeczytać wywiedzioną z tych artykułów powieść kryminalną o przedwojennym Lublinie”.

Dlaczego chciałem ją przeczytać, a nie napisać? Mój ówczesny program literacki był zbyt ambitny na mariaże z literaturą popularną. Chciałem zostać Proustem, Joyce’em, ostatecznie Irzykowskim, ale prawda jest taka, że na uprawianie literatury gatunkowej byłem zwyczajnie za głupi. Uświadomiła mi to dobitnie rozmowa, którą odbyłem z Jankiem Sobczakiem pod koniec XX wieku, po spotkaniu promującym zbiór prozy pod szyldem artzину „Brytan Od nowa”. Gdy piliśmy razem winiak luksusowy, autor *Dryfu* okazał się najbardziej szczerym pisarzem, jakiego spotkałem. „Dlaczego robimy postmodernizm?”, zwrócił się do mnie pytaniem i zaraz sam na nie odpowiedział: „Bo tak naprawdę nie umiemy pisać. Gdyby któryś z nas umiał, tobyśmy pisali porządnie, jak Mniszkówna”.

Wracając pekaesem z Siedlec po zarwanej nocy (wtedy takie przygody jeszcze mnie bardziej cieszyły, niż bolały), miałem kilka godzin, żeby to przemyśleć. Janek Sobczak w tamtej chwili wydał mi się geniuszem, wynalazcą prochu i odkrywcą Ameryki. I wciąż za takiego go uważam, bo w krótkich żołnierskich słowach uświadomił mi, że byłem zwolennikiem teorii płaskiej Ziemi i idei samoródtwa. Zaczynałem pojmować, że mój ówczesny warsztat pisarski ograniczał się do zgrabnych momentami dialogów i przeszarżowanych puent. Myśl o horyzontach czytelniczych, gatunkowości, nie mówiąc już o zaplanowaniu intrygi od A do Z, ledwie wzleciała, rozwiewała się

jak dym z papierosa i tylko smog w pokoju uświadamiał mi chwilami, że należałoby przewietrzyć. Szczęśliwie już wówczas zrezygnowałem z roli doktoranta z głową w chmurach i udało mi się zakończyć mój smutny okres belferski. Przemieniłem się w redaktora książek dla dzieci, co również okazało się traumatyczne, ale przynajmniej pouczające, bo w praktyce krok po kroku rewidowałem to wszystko, czym na poziomie metaliterackim podniecałem się na uczelni. Ponieważ zawsze należałem do wolnomyślicieli – w tym sensie, że moja droga od myśli do czynu im bardziej była słuszna, tym bardziej grzęzła w meandrach – *Morderstwo pod cenzurą*, pierwszy kryminał historyczny o komisarzu Maciejewskim – zacząłem pisać dopiero w 2006 roku.

Lecz druga wersja jest bardziej zabawna, przynajmniej dla tych Czytelników, którzy nie lubią, gdy umykają im najdrobniejsze sensory. Postać komisarza Zygmunta Maciejewskiego wiąże się bowiem z moimi prywatnymi wyrzutami sumienia, ze skrzywdzoną, choć obiecującą postacią drugiego planu mojej pierwszej powieści, pijacko-przygodowego *Obsesyjnego motywu babiego lata*. Chociaż *Obsesyjny...* zawiera kilka obiecująco zatytułowanych rozdziałów, jak *Terrorem in terris*, akurat w znacznie mniej pomysłowym *Namiętności* pojawił się wątek prowincjonalnej rewolucji przygotowywanej w miasteczku L. Tam niejaki B.B. spotyka się z niejakiem Śledziem i jego towarzyszami. Z kieliszków i zakąsek ustawiają plan sytuacyjny miasteczka.

B.B.: Spokój, towarzysze! Punktualnie piąta pięćdziesiąt sześć towarzysz Zygmunt pomacha gazetą, żebyśmy wiedzieli, która godzina. Potem rzucicie [bombę]. My z za rogu Mokrej. [...] Wy się cofacie, my wyskakujemy, oni wyskakują, wy doskakujecie. [...] I może niech zrobi sztuczny tłok na ulicy. W razie czego ułatwi nam zadanie.

Towarzysz Nedoruchin podnosi głowę, bo cóż zrobić, skoro B.B. go szturcha? Pozostali rewolucjoniści ukryli twarze w dłoniach i łyżę leją rżęsiste. B.B. wygląda, jakby cokolwiek

rozumiał, a Iwan [...], Śledź i pozostali towarzysze siedzą skuleni pod stołem, obejmują się wszyscy za szyje, od szłochu, aż skaczą kieliszki.

– No, no, kochani – uspokaja B.B. – Wstańcie, może da się złemu zaradzić.

FACET OD ŚLEDZIA II: Nie można, towarzyszu B.B. Zyga nie zrobi sztucznego tłoku. Za skarby świat sztucznego tłoku nie robi. Nie miejcie mu tego za złe, ale Zyga nie będzie się tłoczył.

FACET OD ŚLEDZIA I: Przecież to aż serce się kraje. Taki człowiek! Święty człowiek! Dobry człowiek, ale tego nie żądajcie.

ŚLEDŹ: Zyga Maciejewski. Prawda, wy, towarzyszu Bebe, nie mogliście znać naszego Zygmunta Maciejewskiego. Jak on umiał machać! Ale tłoczyć, to nigdy.

FACET OD ŚLEDZIA II: Oni nie może, nie lubi. Zgubił się nam raz w wielkim tłumie przed kinem. Jak myśmy szukali, jak wołali! Po trzech dniach się znalazł. Zmieniony nie do poznania. Gdyby nie machał gazetą, daję słowo, nie miałbym pojęcia, że to nasz Zyga Maciejewski.

I myślę sobie, że tym bardziej bym go nie poznał jako komisarza policji. Więcej, w tamtych zdaniach i ja z trudem rozpoznaję samego siebie, chociaż ci dwaj Zyguntowie Maciejewscy dobrze symbolizują dwa okresy mojej pracy literackiej! Nie mogę też oprzeć się wrażeniu, że w ciągu dziesięciu lat z komisarzem Maciejewskim wydarzyło się dziesięć razy więcej niż przez piętnaście poprzednich. Jeszcze nim pierwsze wydanie *Morderstwa pod cenzurą* trafiło do księgarń, już stałem się bohaterem lokalnych mediów, zwłaszcza wytrwale mi kibicował Tomasz Stawecki, pracujący wówczas w „Kurierze Lubelskim”.

„Czy jesteś gotowy na ten sukces?”, zafrasował się wszakże, kiedy trzymaliśmy książkę w ręku. Mogłem tylko przypomnieć moją odpowiedź z epizodu pracy w radiu, kiedy naczelny zapytał, czy nie

będę stremowany na myśl, że słuchają mnie tysiące ludzi. „Nie, bo jestem za głupi, żeby sobie wyobrazić tysiące ludzi”, odpowiedziałem wówczas.

Początki wcale nie były jednak tak piękne, jak mogłoby się wydawać. Moje miasto wyraźnie czekało na swojego bohatera – i tego powieściowego, i na jego namacalnego twórcę, mimo że Zygi Maciejewskiego nie przypominał ani trochę. Wcześniej nie miało bowiem szczęścia do własnej legendy literackiej, omijane przez pisarzy równie wytrwale, co przez budowniczych autostrad. Znamienne, że już Bolesław Prus w *Lalce* sklep Mincla przeniósł do Warszawy, chociaż udowodniono naukowo, że pierwowzorem był lubelski skład przy Krakowskim Przedmieściu, który znany cyklista dobrze poznał w czasach szkolnych. Trafiłem się więc jak ślepej kurze ziarno.

Lecz mimo że polski kryminał w pierwszej dekadzie XXI wieku brawurowo wdzierał się na salony, dla autora debiutującego w tym gatunku nie były to łatwe czasy. Trend dopiero się nasilał, a ponieważ wyniósł go na własnych plecach Marek Krajewski, wszystkich porównywano wówczas z autorem *Śmierci w Breslau*. Nowi pisarze szybko znajdowali swych czytelników, lecz niekoniecznie fanów, bo w mediach Mock i Breslau były takimi żelaznymi punktami odniesienia, jak Nokia, gdy szło o telefony komórkowe. Pamiętam mój pierwszy wieczór autorski we Wrocławiu w kazamatach tamtejszego empiku przy Rynku. Chociaż dopiero co przyznano mi tytuł *Bene Meritus Terrae Lublinensi* (trochę na wyrost) i zostałem po raz pierwszy nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru, na spotkanie ze mną przyszli tylko pewien przysypiający mężczyzna i Marek Krajewski właśnie. Już choćby z tego powodu mój Kolega po piórze na zawsze pozostanie w mej wdzięcznej pamięci, a w dodatku, chociaż mógł, nie porzucił mnie, tylko zaprosił na kolację. Aż do odjazdu mojego autobusu do Torunia, gdzie miałem mieć kolejne spotkanie, jedliśmy, pili, palili i rozmawiali o literaturze oraz o tym, że w robocie pisarza najważniejsza jest wytrwałość. „Czy jesteś gotowy na sukces?”.

To pytanie przypomniałem sobie, o ile pamiętam, patrząc w lustro w toalecie. Oczywiście, że byłem! Gdy następnego dnia w Toruniu w hotelu „Petite Fleur” (a nie był to przybytek z pokojami na godziny) przed ósmą rano obudził mnie z ulicy wrzask: „Marcin! Marcin!”, otworzyłem okno, gotów pozdrawiać tłumy. Niestety, to nie była publiczność na miarę. „Pa-de-rewski! Pa-de-rewski!”, tylko jakiś uczeń przebrzydły wołał swego kolegę z kamienicy naprzeciw, żeby razem pójść do szkoły.

Za to w zeszłym roku, kiedy wczesnym przedpołudniem siedziałem nad kawą w jednej z kawiarni na toruńskim Rynku Staromiejskim, podszedł do mnie spieszący do pracy mężczyzna. „Pan Marcin Wroński? Gdybym wiedział, że pana zobaczę, wziąłbym pańską książkę do podpisania”. Zrozumiałem wówczas, że coś się zmieniło, jak rzadko kiedy – na lepsze. Jeżeli kiedykolwiek będą Państwo chcieli sprawdzić, czy już jesteście rozpoznawalni, pod żadnym pozorem nie róbcie tego w swoim mieście, tylko jedźcie prosto do Torunia!

Słucham... Mieszkacie w Toruniu? Spróbujcie więc może testu lubelskiego...

Sam, pochodząc z tego miasta jak mój bohater, również czuję się od Lublina uzależniony. Wprawdzie nieraz bywał to trudny związek, lecz tutaj od *Morderstwa pod cenzurą* zawsze znajduję szczególnie wdzięczną publiczność na spotkaniach autorskich, a co się działo pod kasami przed premierą adaptacji scenicznej *Pogromu w przyszły wtorek*, w lipcu 2017 roku, zaskoczyłoby nie tylko pisarza, ale też dyrektorów większości teatrów. Tu także niedawno obchodziłem jubileusz 25-lecia pracy literackiej i sala widowiskowa okazała się za ciasna. Rzadko kiedy widziałem wokół siebie aż tyle przyjaznych twarzy, a już całkiem nigdy nie poczułem się tak doceniony i przyznam się Państwu, byłem o krok od samozachwyty. Szczęśliwie uratowały mnie media! „Jak się czuje pisarz obchodzący 25-lecie kariery?”, usłyszałem od dziennikarki i poczułem się, przyznam, tak sobie. To pomyłka, jakie znowu dwadzieścia pięć lat kariery?! Owszem, ćwierć wieku prób i błędów, lecz kariery tak zwanej

najwyżej dziesięć. Najlepiej podsumował to popularny kwartalnik „Przekrój”:

Marcin Wroński (1972) – pisarz. W 2017 roku obchodzi 25-lecie twórczości, mimo że przez pierwsze 15 był wzorcowym przykładem nieudacznika. Planował [...] napisać sagę powieściową, *Historia nieudaczności*, ale nawet to mu nie wyszło. Popularność i życie z pióra przyniósł mu cykl kryminałów retro o komisarzu Maciejewskim, rozpoczęty w 2007 *Morderstwem pod cenzurą*. Za *Pogrom w przyszły wtorek* w 2014 zdobył wszystkie możliwe laury dla polskiego autora kryminałów, w tym Nagrodę Wielkiego Kalibru. Jednakże do historii tego zaszczytnego wyróżnienia i tak przeszedł jako najdłużej i najczęściej nominowany, bo takie jest życie. Ostatnio w cyklu ukazał się *Czas Herkulesów* (2017), a na przyszły rok pisarz planuje zbiór opowiadań kryminalnych ze swoim bohaterem [...]. Dziesięcioletnie pasmo sukcesów wyczerpało bowiem autorowi jego system nerwowy.

Z systemem nerwowym to uroczą przesadą, jedno wszak pewne: gdyby nie komisarz Zygmunt Maciejewski, również Marcin Wroński nie byłby tym samym człowiekiem i pisarzem. W posłowiach do wszystkich poprzednich kryminałów dziękowałem wielu przyjaciołom, którzy wspomogli mnie swoją wiedzą historyczną, kryminalistyczną czy literacką, dziękowałem także kibicującym mi Czytelnikom. Tym razem dziękuję szczególnie moim Kolegom pisarzom, a zarazem czytelnikom – Ryszardowi Ćwirlejowi, Robertowi Ostaszewskiemu i Andrzejowi Pilipiukowi – za to, że zechcieli uświetnić finisz komisarza Maciejewskiego własnymi opowiadaniem. Są lepsze od moich, ale o tym porozmawiamy kiedy indziej i niekoniecznie publicznie. Dziś, gdy *Gliny z innej gliny* kończą cykl moich retrokryminałów, muszę nadrobić coś, co później będzie nie do nadrobienia – nigdy przecież nie podziękowałem swemu bohaterowi.

*

Zyga, dziękuję Ci za te dziesięć lat na ogół tłustych! Dziękuję, że przy Tobie z adepta literackiego zostałem zawodowym pisarzem! Wprawdzie przykry z Ciebie człowiek i bywało, że nazbyt absorbujący; przez Ciebie lepiej pamiętam, co było przed wojną niż wczoraj, ale za to wreszcie nauczyłem się pisać. Wybacz, że to ja Cię wymyśliłem, jednak wyłącznie dlatego, że nikt inny nie chciał. I przyjmij ostatnie podziękowanie za to, że przy Tobie i przez ostatnie dziesięć lat w moim pisarskim życiu wydarzyło się dziesięć razy więcej niż przez poprzednich piętnaście. To miłe, ale mam Cię dość!

– Z wzajemnością – burknął.

–² – powiedzieli Czytelnicy.

w lutym 2018 roku



- ¹ W pierwszym polskim przekładzie Adeli S. z 1910 r. Lewis Carroll był Ludwikiem Karrolem, Alicja – Alinką, a Kraina Czarów – Krainą Cudów. Tylko taki mogła znać Regina Wołkońska. Jednakże miejmy również świadomość, że ostatni (i najwierniejszy filologicznie) przekład *Kubusia Puchatka* Moniki Adamczyk-Garbowskiej (1986) ujawnił, że Kubuś Puchatek był tak naprawdę Fredzią Phi-Phi. Sherlock Holmes miewał we wczesnych tłumaczeniach tylko spolszczone imię... Translatorstwo to też detektywistyka! [Przyp. autora].
- ² Uzupełnić starannie atramentem lub ołówkiem kopiowym.